

# Godlewska Ludwika

## KATO

### Powieść Współczesna

#### I.

Andrzej Krępic włożył do kuferka ostatnią książkę, a zamknąwszy go, wstał, wyprostował się i powiódł oczami po pokoju.

Szeroko otwarta szafa, z której wyglądały opróżnione półki, miała dziwny wyraz, bo zdawała się na coś czekać. Oba łóżka, na których nie pozostało już nic, prócz dwóch szarych sienników, ziejących przez otwory słomą, puste wieszadło, które z rogu pokoju wyciągało czarne ramiona, niedbale rozstawione krzesła, podłoga, zarzucona zmiętymi zwitkami papieru, nawet szare mury, zapisane węglem w różnych kierunkach, mówiły o opuszczeniu i przemawiały jakgdyby żalem za czemś, co odchodzi bez powrotu. Rzeczy martwe tak czasami wyglądają, że bez trudu możnaby o nich napisać coś w rodzaju psychologicznego traktatu. Są chwile, w których one się ożywiają, dostają duszy i przemawiają wymowniej, aniżeli twarz człowieka. Andrzej Krępic siadł teraz na oknie i rozglądał się po pokoju, w którym z kolegą Znamienieckim przemieszkał i przeżył cztery lata pobytu w instytucie, a martwe przedmioty poczęły do niego mówić, przywoływać dawne wspomnienia, skarżyć się i żegnać go zupełnie tak, jakgdyby szmat duszy oderwał się przez lata wspólnej pracy od niego i jego kolegów i napełnił sobą pokój, ściany i wszystkie sprzęty.

W oczach młodego studenta było widać rozrzewnienie.

„Prawda jest to kundel, którego wyganiają kijem do budy”, przeczytał na ścianie obok pieca i pomyślał, że kolega Kubacki był we wszystkim bezwzględny. Na świecie uznawał tylko jednego geniusza — Szekspira. Wtedy przyszli obadwaj z Naftalem. Była dopiero ósma wieczorem, lecz oni nie chcieli zostać na herbacie i nawet nie chcieli siadać, bo mieli w domu pilną robotę. Wpadli tylko na chwilę, ale w paltach i w czapkach stali przy drzwiach i rozmawiali, a raczej klócili się do trzeciej w nocy, poczem, ku utwierdzeniu swoich przekonań, Kubacki wziął węgiel, wypisał na ścianie sentencję lirowskiego błazna i wychnąwszy za drzwi Naftala, machającego rękami, poszedł kończyć pilną robotę.

Kubacki pozostawił po sobie najwięcej napisów.

„Kruchości! imię twoje niewiasta”.

Sprzeczali się tego dnia o równouprawnienie kobiety, ale z nim nigdy nie było można mówić

o tym przedmiocie serjo. Powtarzał zawsze : — „nie wierz słowom panny, ani żadnej niewiasty, bo ich serce jest jak koło”, a jednak tym niewiastom poświęcał więcej czasu, aniżeli kursom i rysunkom.

Nad łóżkami były także napisy. Wakowicz wykaligrafował nad jednym — „ostatni z roman

tyków”, a nad drugim — „Kato, książkę niezłomny”. „Ostatni z romantyków” to przydomek, który nadano koledze Znamienieckiemu. Miał marzący wyraz oczu i deklamował na pamięć „Przedświt”, zresztą nie był mniej trzeźwym od innych. A Kato, to on — Andrzej Krępic. Nie lubił, gdy koledzy naciągali Naftala na „biby”, a sarn tylko wtedy brał w

nich udział, gdy miał trochę pieniędzy na wyrzucenie, albo też gdy go Naftal uprosił. Poza tem nie uważał, aby go matka natura obdarzyła jaką cechą katonizmu, albo niezłomności.

Przyglądając się tym napisom, miał w oczach uśmiech, ale potem skierował wzrok na zdanie, umieszczone pod „Katonem” i wypisane jego własną ręką, i spoważniał.

„W życiu jest dużo dróg krzywych, ale tylko jedna prosta”. Jak to już temu dawno, a jak on pamięta każdy szczegół! Są widocznie rzeczy, które się nie zacierają długo, a może nawet nie zacierają się nigdy? Drobnostka poruszy jedno wspomnienie, a ono, niby fala świetlna cząsteczką eteru, wstrząśnie i zakolysze wspomnieniem drugim — dziesiątem — setnym aż do wyczerpania wszystkich, jakie były...

Gdy tę spuściznę odziedziczył po matce, właśnie kwiecień miał się ku końcowi. Rozmiękła ziemia świeciła na polach i drogach jeziorami, które powstały z zimowego śniegu i z marcowych deszczów. Łany ozimin były od spodu zielone, z wierzchu pocentkowane na żółto przymrozkami i resztkami zeszłorocznej runi. Kaczeniec błyszczał

na mokrych łąkach i w rowach zupełnie jak rozsypane złoto; bór stał czarny, a wierzby i brzozy, podobne do hożych tanecznic, brały się za ręce i powiewne, powyginane, jedne blademi gałązkami, drugie śniegiem pni, śmiały się do słońca i do szafirów. Świat budził się jakby do nadziei i do szczęścia, ale on — Krępic przeklinał go wtedy właśnie za to. Wiosna z całym upojeniem, które zdaje się wówczas płynąć w powietrzu, ze skowronkami w ekstazie, z omdlewającą ciepłotą, z całą orgią seledynu, złota i barw turkusowych, przemawia słodyczą do szczęśliwych lub ukojeniem do tych, którzy już mogą sobie powiedzieć: gorzej nie będzie. Ale on właśnie dążył po owo gorzej. W około niego cały świat dyszał nadmiarem sił i życia, on zaś miał stanąć oko w oko z niemocą i śmiercią. Ta rozterka jego wewnętrznego ja z otoczeniem bolała go, jak rana.

Wózek wtoczył się na wzgórek. Jak na dłoni leżała teraz przed nim, wezbrana — srebrnoszara taśma Wisły i długi szereg osad daszowickich, rozrzuconych u falistego brzegu rzeki. Już przy każdej zagrodzie zieleniły się wierzby i płoty z dzikiego agrestu, tylko na samym końcu długiego szeregu chat, pod lasem, sterczał nagiemi gałęziami pęk wysmukłych topoli. Nad osadą jego matki kołowała śmierć, więc wiosna jeszcze nie śmiała położyć na niej swoich ciepłych dłoni.

On wtedy patrzył i czuł, że im bardziej zbliża się do celu, tem większy go zdejmuje lęk. Nawet nie wiedział, że tak bardzo kocha matkę i że tak straszną jest myśl o życiu, w którym nie będzie

się już miało na własność ani jednego oddanego serca. Żyje, czy nie żyje? Żeby choć zdążyć choć usłyszeć jedno serdeczne słowo, które już będzie musiało wystarczyć na zawsze... Chwilami zrywał się i miał ochotę biec pieszo, bo zdawało mu się, że to będzie prędzej, a potem upadał na siedzenie, rad, że ma jeszcze kilka chwil przed sobą, że zdąży się uspokoić i że nie przerazi jej własną trwogą. Wmawiał wtedy w siebie, że powinien nad sobą panować, bo już nie jest wyrostkiem, czepiającym się matczynej spódnicy, iecz studentem pierwszego kursu — skończonym człowiekiem.

Ale równocześnie zachodziły mu oczy łzami, a on, wściekły na własną niemoc, zaciskał zęby i walczył z nowym dopływem bólu.

Dojeżdżali już do kolonji, gdy nagle ogarnęła go chęć wypróbowania własnego głosu, więc zwrócił się do chłopaka, siedzącego przed nim na wiązce słomy i popędzającego batożkiem parę wypasionych kasztanów, i zapytał: Kto jest przy matce?

Zdawało mu się, że mówi spokojnie, a tymczasem chłopak odwrócił się tak szybko i popatrzył na niego tak jakoś dziwnie, że jego wzięła wtedy złość.

— Czego się na mnie gapisz i nie odpowiadasz? — rzucił sucho.

— A bo... a dyć... nie urzewniajcie sobie po próżnicy. Stara Bobrzakowa i nasza Nastka ciągiem siedzom, a i cała kolonijo do waszej chałupy zazirowo.

Wtedy zdjęło go na chwilę wielkie rozrzewnienie

i wdzięczność dla Bobrzakowej, dla Nastki i dla całej kolonji, a chłopak tymczasem cmokał na swoje kasztany i wywijał batożkiem. Konie rwały, wózek wpadł między dwa szeregi chat i zaczął podskakiwać na kamieniach, on zaś zamknął oczy i uczył to, co musi czuć skazaniec, wieziony na miejsce męki. A potem klęczał przy łóżku matczynem. Ona mu gładziła włosy, mówiła długo i cicho, ale on nic nie słyszał, a raczej nie rozumiał, bo wpadł w stan dziwnego zubożenia i doznawał takiego uczucia, jak kiedy będąc dzieckiem, sfukany przez ojca i splakany, usypiał w ogródku między łodygami malw, przy brzęku owadów, uwijających się w słońcu. A tymczasem, choć bez jego wiedzy i woli, jej słowa zapadały mu gdzieś głęboko w serce i potem przypomniały się wszystkie.

— Synku, — mówiła — dla tego cię wysłałam do ludzi, żebyś się nauczył kochania i mądrości. To mię mordowało od młodych lat. Byłam głupią dziewczuchą, ale rozumiałam i pamiętam wszystko... Jak w naszej chałupie ojca i brata nie stało, w inszych chałupach nie brakowało nikogo i jeszcze na nas krzywo patrzyli, że aż mię zdejmowała wielka złość i żal. Potem zaczęłam się po ludziach rozglądać i do dusz im zazierać, a gdy obaczyłam, że tam jest więcej nędzy, niż żalu, że bieda jest jako rdza, co zjada wszelakie dobro, to złość mię ominęła, a żal ostatek i ciągle we mnie rosł. Mój ojciec, a twój dziadek, synku, był szlachcic, choć z obyczajów chłop, twój ojciec był chłop i z ojców i z obyczajów. Oni wszyscy

kochają tylko swój grunt i żadnego innego kochania nie zaznali nigdy. Ale ja myślałam, że ty, synku, nie możesz być taki, jak wszyscy w Daszówce, bo bałabym się stanąć na Boskim sądzie i bałabym się spotkać z twoim dziadkiem i wujem. Więc naprzód uczyłam cię sama, a potem Duch najświętszy mnie natchnął, że to mało i że ty powinieneś iść między mądrych ludzi i między książki. Dlatego, synku, wysłałam cię do szkoły, choć po śmierci mojego było mi okrutnie ciężko i rady sobie dać nie mogłam, jako że i kradli sporo. Pamiętaj Jędrus o tem, bo inaczej święta ziemia będzie dla mnie jako ciężki kamień. I jeszcze jedno ci powiem. Ludziom się zdaje, że jest tylko jedna droga zła, a dobrych moc — a poprawdzie, złych jest moc, tylko dobra jednaTy o tem Jędrus pamiętaj najbardziej i uważaj, żebyś

się nie zmylił, bo dobra jest tylko jedna, bo jabym wiecznej spokojności nie zaznała, żebyś ty się zmylił. Ja jestem zwyczajna kobieta i nie wiem, czy dobrze zrobiłam z oną nauką, ale wiem, że możesz żyć na chwałę Boską i możesz nie krzywdzić nigdy.

Krzywdy i cudzych łez nie daruję samo Miłosierdzie, i ja ci nie podaruję, Jędrus, spamiętaj!

Wtedy on poczuł na swojej głowie jej ręce, które były bardzo ciężkie i jak przez sen, albo z bardzo daleka usłyszał:

— Niech cię ma w swojej opiece Pan Jezus i Przenajświętsza...

A potem, też jak przez sen, widział dużo bab, dziewczuch i gospodarzy, dużo choiny, żółtych świec,

czuł, że słońce grzało i że ciepły wiatr całował go we włosy, słyszał nisko nad ziemią jakieś smutne śpiewanie, a w górze, w słońcu, pieśń wesołą, tryskającą szczęściem, ekstatyczną, i widział, że wyrzucili między dwiema białymi brzoźami całą moc piasku dziwnie żółtego. Ta żółtość gryzła go w oczy ciągle. wtedy, gdy siedział na wózku i jechał między łąkami przetykanymi kaczęncem, który widział już kiedyś, niedawno, a może i dawno? — i wtedy, gdy się zobaczył w wagonie, także żółtym jak piasek. Jakaś żydówka schowała żydziaka pod ławkę. Konduktor krzyczał, ona krzyczała jeszcze głośniejsze, jego bolała głowa, przejmował dziwny mróz i prócz tego chciało mu się pić. Wyszedł, lecz gdzie, nie pamiętał i pił póty, aż już więcej nie mógł, a potem znowu siedział na ławce, żółtej jak piasek, w głowie turkotał mu pociąg ze wszystkimi wagonami i zdawał się dokładać wszelkich starań, by rozsadzić nie tylko jego mózg, ale i cały świat. Znamieniecki miał minę zdziwioną, Kubacki także, mówili coś, co prawdopodobnie mógłby był zrozumieć, gdyby był chciał koniecznie, a w końcu zrobiło się bardzo cicho i przyjemnie i wyciągnęła się przed nim piaszczysta, mocno żółta droga i ciągnęła jego oczy z sobą gdzieś daleko w nieskończoność... Gdy pierwszy raz ta droga znikła mu z oczu, Znamieniecki siedział w kącie na kuferkach i spał, Kubacki, oparty łokciami o stół, uczył się głośno, a on — Krępic leżał na łóżku i dziwił się, że na obu krzesłach stoi tak dużo butelek i że te butelki nie są ani od piwa, ani

od wódki. Z początku zapragnął koniecznie dojść, dlaczego Znamieniecki usnął w kącie i co to są za butelki, ale potem sobie powiedział, że nie warto się trudzić dla takiej małej rzeczy i że przyjemniej jest nie myśleć wcale. Gdy się obudził powtórnie, Kubacki leżał w mundurze na swoim łóżku i spał, a Znamieniecki siedział przy stole i uczył się. Wtedy zaczął bardzo powoli myśleć i najpierw przypomniała mu się owa żółta droga, która szła w nieskończoność i jego za sobą ciągnęła, potem żydówka, która się kłóciła z konduktorem, potem, jakieś śpiewanie, jakieś ciche słowa, które ktoś do niego mówił, a w końcu uczył wielki ból, za pomocą którego zrozumiał wszystko.

Chorował wtedy całe osiem tygodni, stracił rok nauki, ale zyskał nowego przyjaciela.

Dotąd znał kolegę Znamienieckiego niewiele. Dawał mu lekcje języka rosyjskiego i na tem koniec. Co skłoniło eleganckiego panicza, że dzień i noc, razem z Kubackim dozorował go w tyfusie, nie wiedział i, co prawda, nie starał się dowiadywać. Serca tak samo biją pod batystową, jak i pod zgrzebną koszulą — to przecież rzecz nie nowa. W Znamienieckim odkrył serce, więc uczył dla niego najpierw dużo wdzięczności, potem dużo pociągu, a wreszcie te uczucia zamieniły się w głęboką i podzielaną przyjaźń, która trwała. Nie rozstawali się prawie od tej pory. Kubacki

zamieszkał po wakacjach z Naftalem. Znamieniecki przeniósł się do niego, do Kręcica — i tak już pozostało przez wszystkie lata kursów.

Były to dobre czasy, choć często z pieniędzmi bywało różnie. Krępic miał stypendjum, którym dzielił się z Kubackim, dawał prócz tego lekcje i co wakacje wyjeżdżał do różnych dworów na wieś, po zarobek korepetytorski, ale pomimo to, zdarzało się, że z mamoną było krucho. Wogóle, brak owego nervus rerum to była choroba, na którą prawie wszyscy w instytucie niedomagali. Kubacki i on, Krępic, parli się przez życie własnymi siłami, Dembosz i Wakowicz mieli z domu zasiłki, ale niewielkie, Znamieniecki i Naftal byli, w porównaniu z innymi, prawdziwymi Rotszyldami, a wszyscy razem mieli wieczyste pustki w kieszeniach. Czemu tak było, nikt nie dociekał, bo dociekanie nie byłoby zmieniło położenia rzeczy, ale w rzeczywistości kwestja się tak przedstawiała. Kto miał choć trochę zawiele, musiał pożyczać tym, którzy mieli zamało, i stąd się wytwarzała pewna równowaga. Zawartość jednych kieszeni równała się zeru, zawartość zaś drugich — zeru z minusami.

Pomimo to, te czasy były dobre, a jak dobre, on, Krępic zrozumiał dziś, gdy z dyplomem w kieszeni powiedział sobie : teraz zacznie się życie.

Zdaleka to życie przedstawiało im się, jak jakieś bardzo jasne słońce, pełne czystych ideałów, poświęceń i ofiar, po których, jak po szczeblach drabiny, oni będą iść wciąż w górę i sprawią, że sprawiedliwość odniesie tryumf, a prawda zwycięży.

Ale jakie też ono okaże się zblizka?

Krępic czuł w sobie coś nakształt niepokoju, smutku czy żalu. Może to przecucie, że nie wszystko będzie szło tak, jak oni marzyli?

Znowu utkwiał oczy w napisie, który czarnymi literami wyraźnie się rysował na szarej ścianie i przed chwilą odegrał był rolę fali świetlnej. „W życiu jest dużo dróg krzywych, lecz tylko jedna prosta”. Jego matka była zwyczajną kobietą, ale on teraz widział, że była równocześnie niezwykłą. W myśli napisu kryła się wspaniała filozof] a uczciwości. Nieraz zastanawiał się, jak ta jego „święta” rozumiała ową jedyną prostą drogę, ale dopiero niedawno zrozumiał to po raz pierwszy.

Brał stypendjum i mógł je brać jeszcze przez kilka miesięcy, gdyby ostatnie roboty odłożył na czas powakacyjny. Tak zrobił Dembosz i tak robili prawie wszyscy, którym zależało na kilkudziesięciu rublach. Jemu na nich zależało także, ale w ostatniej chwili, nie wiedząc czemu, przypomniał sobie słowa matki i spostrzegł, że nietylko ma przed sobą dwie drogi do wyboru, ale że obie wydają się równie uczciwemi. A matka powiedziała, że uczciwa jest tylko jedna. To był pierwszy szkopuł — pierwsza wątpliwość, jak postąpić. Ostatecznie, kwestja nie była wielkiej wagi... niemniej wszakże wątpliwość istniała, niepokoila go i gniewała.

Postanowił zdawać odrazu, zdał, a wewnętrzne zadowolenie, jakie wtedy uczuł, objaśniło go, że dobrze zrobił.

— Mam obiecanie miejsce u Rotte'go — myślał teraz — z osady powinno mi się jeszcze

z jakie kilkadziesiąt rubli okroić, na ubranie tymczasem wystarczy, a potem... przecież i do najmniejszej pensji można przystosować swoje potrzeby. U Znamienieckiego wypocznę, nabiorę sił i dalej — w życie!

Zacisnął pięści, wyciągnął ramiona i wyglądał, jakgdyby próbował walczyć z jakimś urojonym wrogiem.

Tymczasem wszedł Znamieniecki, rzucił czapkę na łóżko, siadł na stole i puściwszy w ruch nogi, począł mówić:

— Wyobraź sobie, licho mnie poniosło koło instytutu i zepsuło humor. Nie masz pojęcia, co tam teraz za pustka!

Próbowałem sobie wyobrazić, że po wakacjach znowu się brama otworzy, a podwórze zaroi nowymi ludźmi, i nie mogłem. Co za głupie usposobienie! Równie dobrze mogłem sobie powiedzieć, że gdyby tak niespodzianie śmierć zmiotła mnie, ciebie i resztę naszych, ziemia by stanęła jak słup i nie miałaby sił ani na jeden obrót więcej.

Przesunął cienkie palce po brunatnych włosach, a Krępic się zgodził, że i on doznaje tego samego wrażenia, choć nie widział zamkniętego instytutu i jego zamkniętej bramy i że prócz tego jest mu jakoś głupio. Dotąd wiedział, czego chce i dokąd dąży, a teraz się przekonał, że głównie dążył do dyplomu, bo reszta gdzieś się zaprzepaściła, a właściwie oddaliła i tylko majaczy zdaleka, jak coś nieokreślonego i nieujętego.

— Prawdopodobnie — kończył — jest to chwilowy odruch nerwów, spowodowany nadmia

rem pracy i osiągnięciem upragnionego dyplomu; ale pomimo to, fakt faktem, jest mi jakoś nieswojo i najwyraźniej głupio!

Tu siadł na krześle, jak na koniu, nawprost Znamienieckiego, oparł brodę na poręcz i kiwał się w takt ruchu nóg tamtego. Milczeli teraz, obadwaj — zamyśleni, patrzyli wprost przed siebie nie widząc i drgnęli równocześnie, gdy się drzwi otworzyły z wielkim impetem, a do pokoju wpadł Wakowicz.

— Chodźcie „Pod Planetę” na bibę! — wrzasnął i sapiąc oparł się plecami o ścianę.

Znamieniecki zeskoczył ze stołu.

— Dobra myśl! — zawołał uradowany. — Chodź, Kato, zapijemy robaka głupoty, a jutro w drogę po wypoczynek! Zobaczysz, jak w nas energia odżyje, byle nam tylko zaszumiwały nasze kłosa, zapachniały nasze lipy, byle nas nasze wiatry owiały! Chodźcie!

Chwycił za czapkę, ale Krępic się ociągał i wahał.

— Ani ty nie masz za wiele pieniędzy, ani ja — zauważył.

Wakowicz patrzył na niego zdziwiony, chwilę stał milcząc i nagle uderzywszy się pięścią w czoło, krzyknął:

— Ot! wieczysta głupota i sentymentalizm, jak mówi Kubacki. Na co ci pieniądze? Nafta funduje wszystkim. Pomyśl, że to już ostatni raz, a Kubacki powiada, że choćby Nafta ani jednej biby nam nie wyprawił, ani dziadzio Naftal, ani ojciec Naftal o grosz nie podniosą robocizny

w swoich fabrykach — tak! No, Kato, raz złóż ofiarę na ołtarzu koleżeństwa i chodź!

Wakowicz machał rękami, starał się mówić patetycznie i wyglądał zabawnie ze swą krępą figurką, gęstą czupryną, podobną kolorem do dojrzalego owsa i wielką twarzą, pocentkowaną piegami.

Ale Krępic stał wciąż nachmurzony i widocznie zły, co spostrzegłszy tamten, zmienił ton i mówił teraz prawie żałośnie:

— Bój się Boga, Kato, nie psuj nam ostatniego dnia! Przecież i my nie jesteśmy już takie ostatnie psy, bez ambicji. Naftę naciągnęliśmy, to prawda, ale on ma, a my nie mamy, a przytem to taki poczciwy chłopak! Jakby nie wydał na bibę, toby puścił na co innego. Chodźcie, bo zrobicie rzetelną przykrość i jemu i nam.

— Nie filozofuj, Kato! — poparł kolegę Znamieniecki i z prośbą popatrzył w oczy Krępicowi.— Chodź, ostatni raz! Chwilę czekali w milczeniu, wreszcie Krępic wziął wolno czapkę i mruknąwszy, że Naftal jest zawsze osioł, a oni wszyscy świ...ce łojowe — wyszedł.

Na ulicy wzięli się pod ręce i utworzyli trójkę dość niezwykłą. Krępic siedł w środku. Był najwyższy i najlepiej zbudowany, włosy i oczy miał czarne, czoło niskie, prawie prostokątne, rysy może trochę za grube, ale bardzo regularne, chód zręczny, pewny, prawie żołnierski. Głowę niósł wysoko, niemal sztywno i patrzył przed siebie z chmurną powagą, który to wyraz nadawały mu

brwi bardzo proste i blisko schodzące się nad nosem.

Znamieniecki siedł po jego prawej stronie i tworzył z nim uderzający kontrast. Jeżeli tamten był istnem wyobrazeniem siły w jej estetycznym znaczeniu, twarz tego mogła być natchnieniem dla rzeźbiarza, marzącego o pięknie idealnem.

Był niższy i szczuplejszy, włosy miał wijące się, ciemne, z odcieniem bronzu i błyskami złota, rysy bez zarzutu, delikatne jak piękna kamea, a oczy szafirowe, z długimi rzęsami i z takim wyrazem, jaki czasami miewają młode dziewczyny, zapatrzone w gwiazdy.

Obaj byli uważani przez kolegów za najprzystojniejszych chłopaków w całym instytucie, Krępicowi wszakże oddawano pierwszeństwo, uważając twarz Znamienieckiego za nazbyt kobiecą.

Ale niewiasty były innego zdania. Każda, mijając trójkę studentów, zatrzymywała wzrok na urodziwej postaci Kręcica i uśmiechała się, lecz gdy jej oczy spotkały się następnie z oczami „ostatniego z romantyków”, widać w nich było wprost zdumienie. Minąwszy go, wszystkie jeszcze raz odwracały głowy; młodsze się rumieniły i wzdychały, same nie wiedząc czego.

Wakowicz nie wywoływał rumieńców na niewieścich twarzach, ale pomimo to nie wydawał się strapiionym. Z fantazją kołysał się na krótkich nóżkach, z fantazją giestykulował wolną ręką i z fantazją opowiadał o „kawale”, jaki urządzili Nafcie.

— Zastali go przy fortepianie — mówił. —

Wyparł się sztuki, jak Piotr Chrystusa i przyrzekł dziadkowi z Łodzi, że będzie fabrykował artystyczne perkaliki, ale dziś został sam, więc nie mógł wytrzymać i zaczął się żegnać z Szumanem. Niech djabli wezmą jego — Wakowicza, jeżeli ten Nafta nie jest większym artystą, niż będzie kiedykolwiek fabrykantem! Tak go dzisiaj wzruszył, że choć język przysechł mu do podniebienia, a żołądek do krzyża, stracił ochotę do piwa i do całej biby. Ale Kubacki jest widać wrażliwy tylko na fizjonomje babskie. Wyrwał Naftę z objęć zachwyty i opowiedział mu — a bestja wspaniale udaje wzruszenie — że wszyscy jechali tramwajem, że Kato wyskoczył ostatni i złamał nogę, że go odwieźli do szpitala, ale pieniędzy nikt nie ma etc... Tak łgał, że aż się ckliwo robiło, a jego, to jest Wakowicza, zdjął lęk, żeby aby naprawdę który gnata w nodze nie złamał. Czasem się tak staje... ale główna rzecz, było wtedy widzieć Naftę! Poprosto, coś piramidalnie — pomidorowego! Zbladł jak wyprana chustka do nosa, gęba mu latała, nie mógł trafić do kieszeni, a w końcu powyrzucił wszystką mamonę, jaką miał, i powypychał ich za drzwi, krzycząc, żeby się śpieszyli i na doktorów nie żalowali. Mało co nie poumierali od powstrzymywanego śmiechu. Obiecał, że zaraz za nimi przyleci, tylko wprzód wysła do ojca depeszę o nową flotę, oni zaś zleźli na dół i dopiero z podwórza Kubacki zaczął się drzeć z całego gardła, pokazywać pieniądze i zapraszać Naftę na bibę. Kto nie widział gęby Nafty w oknie, a Kubackiego na dole, jak mu wymyślał od

podłych kolegów, którzy dlatego się wściekają, że przyjaciel naprawdę nogi nie złamał, ten nic nie widział i jest wprost litości godną osobą. Brali się pod boki i wyli ze śmiechu. Nafta w końcu także się śmiał, a kucharki powytykały głowy z lufcików i wszystkie razem wymyślały im od mała i „migilistów”.

To był „figowy kawał” i Kuba już chyba nigdy nic lepszego nie spłodzi.

Tymczasem Nafta, Kubacki i Dembosz siedzieli w niewielkim pokoju „Pod Planetą” i, gwoli skrócenia niemiłego oczekiwania, zabawiali się w różny sposób.

Nafta kołysał się na dwóch nogach krzesła, puszczał regularne kółka dymu i cały się zatopił w obserwowaniu szarobłękitnych obrączek, które goniły jedna za drugą, powiększały się, nacierały na siebie, a w starciu traciły pierwotny kształt i nikły w przestrzeni. Jego oczy, które, trzeba przyznać, były bardzo ładne, podłużne i miały kolor błyszczącego kasztana, świeżo wypadłego z dojrzałej łupiny, patrzyły na obrączki dymu z takim wyrazem, jaki prawdopodobnie miał Newton, gdy mu się zdarzyła sławna przygoda z jabłkiem. Były to oczy myśliciela, osadzone w twarzy o rysach wybitnych, silnie zdradzających rasę.

Kubacki, szczupły, anemiczny, z rzadkim zarostem blondynek, oparł się obu łokciami o stół, twarz wsparł na dłoniach i w tej wygodnej pozycji ziewał nader szeroko.

A Dembosz chodził wzdłuż i wszerz pokoju,



zajadle muskał ciemny wąsik i krótko przystrzyżoną bródkę, czasami stawał przed zakurzonem lustrem, przyglądał się odbiciu swojej kształtnej figury i, dla urozmaicenia nudnego czekania, od czasu do czasu kłął.

Wreszcie stanął przy stole, popatrzył uważnie na Kubackiego, ziewającego stoicko, ziewnął także i rzucił niecierpliwie:

— Ręczę, że Kato robi głupie awantury i nie chce przyjść, a Znamieniecki udaje, że mu przyznaje rację.

— Skądżeż wiesz, że udaje? — zapytał flegmatycznie Kubacki.

— Zabawnyś! On we wszystkim udaje Katona, jak kos papugę, a że wy, pogrążeni w bezwzględnej adoracji, tego nie widzicie, to tylko dowód, że macie kurzy wzrok, nic więcej.

— Przedewszystkiem — wtrącił Naftal — nikt tu szczególnie nie uwielbia Znamienieckiego, a że umie sobie zjednywać więcej przyjaciół, niż naprzykład ty, to tem lepiej dla niego.

Na to Dembosz wzruszył ramionami.

— Też coś nowego! — mruknął. — Od chwili, jak się zapisałem do instytutu, słyszę na wszystkie strony: Kato i Znamieniecki, Znamieniecki i Kato, dwa świeczniki jednym słowem, jeżeli nie słońca.

Ale Naftal odrzekł, że co do Krępica, to się zgadza, bo nawet on, Dembosz, przyzna chyba, że tak samo nie jest wart smarować mu butów, jak zresztą wszyscy. Co zaś do Znamienieckiego, to sympatja, jaką mu okazują, pochodzi prawdo

podobnie stąd, że miłem obejściem umie zjednywać sobie wszystkich i że go lubi Kato.

Po tych słowach Dembosz oburzył się jeszcze więcej i zawołał niecierpliwie:

— Właśnie tego nie rozumiem! Kato jest demokratą z krwi, z kości i z przekonań, a Znamieniecki to w gruncie paniczyk, arystokrata, szlachcic filozof, z twarzą lalki, który wie, że mu teraz równie pięknie w demokratycznej bluzie, jak będzie później w czerwonym, albo niebieskim fraku!

Kubacki uważnie słuchał, z wielkim spokojem przyglądał się ożywionej twarzy Dembosza, a gdy ten skończył mówić, wysunął jeszcze więcej łokcie na stół i rzekł:

— Zawsze byłeś płochy, kolego, a teraz widzę że głębia waszego mózgu równa się głębi mielizn wiślanych. Ale mniejsza o to, powiedzcie mi, za co właściwie nie cierpicie Znamienieckiego?

— Ja nie cierpię Znamienieckiego? Ależ i owszem, przyznaję że to jest miły i dobry chłopak, tylko nie mogę pojąć, że wy na niego liczycie — oto wszystko.

Na to Kubacki wzruszył ramionami, poczem zaczął kiwać głową.

— Oj, nie dał Pan Bóg świni rogów, bo też bodłaby, bodła...

— Co przez to rozumiesz? — krzyknął teraz Dembosz i zaczerwieniony przyskoczył do stołu.

Sprzeczką się zaostrzyła, więc Naftal, który, lubił „pianissima" i nie protegował życiowych dysonansów, zaczął ich godzić, przekładając, żeby

sobie dali pokój, że ile razy się zejdą, zawsze muszą sobie do oczu skakać i że spokojna dysputa należy do najprzyjemniejszych rzeczy właśnie dlatego, że jest rzadkością. Ale Kubacki mu przerwał:

— Czekaj Nafta — rzekł — i pozwól, niech mu się wytłumaczę, bo to już mnie dawno korci.

Tu się zwrócił do Dembosza i tak mówił:

— Słuchajcie, kolego! Po niechęci, jaką pałacie ku Znamienieckiemu, widzę, że primo: albo mu zazdrościcie przyjaźni Katona, co jest nieprawdopodobne, bo byłoby dziecinne, albo też nie możecie mu darować jego ładnej gęby, wielkopańskich manier, czy jak je tam... możliwości wydawania pieniędzy, mówiąc nawiasem, na rzeczy niegłupie, i tam dalej i tym podobne. A teraz wiecie, jaką mi to wszystko myśl nasuwa? Oto, gdyby do waszego nazwiska spadł wam na nos, ergo do kieszeni, jaki gruby kapitał, spadek, lub coś podobnego, odrazu zakwitnęlibyście temi wszystkimi przymiotami, w które teraz garnirujecie „ostatniego z romantyków”, jak kucharz garniruje w gwiazdki z marchwi majonez z ryby. W dodatku wtenczas nie spojrzelibyście na Katona, bo on się nie zna na szlacheckich delikatnościach. Jakby wam zaczął mówić po swojemu, uraziłby was w arystokratyczne nerwy, a romantyka nie razi. Romantyk umiał domacać w nim takich rzeczy, że dla nich darowywa mu więcej, niż my wszyscy. Tak.

Ale teraz Dembosz parsknął śmiechem.

— Wyobraź sobie, Kuba, że jesteście niezrównani! — wołał. — Stawiacie hipotezę, że ja byłbym zdolny, w sprzyjających okolicznościach,

wyprzeć się zasad i przekonań i pomimo to uważacie mnie za swego przyjaciela, czy nie tak?

— Tak, stawiam hipotezę i uważam cię za mego przyjaciela, a nawet, pomimo uprzedzeń do Znamienieckiego, za porządnego kolegę. Ale mówię „teraz”, bo co czas zrobi z ciebie, z Nafty, z reszty i nawet z Katona, to nie wie nikt i ja nie wiem.

— Aa! nie wiesz? Nie wierzysz ani w siebie, ani w Katona, ani zresztą w nic, prócz w owego mistrza — życie, które, gdy zechce, zrobi z tchórzów bohaterów, a z takich ludzi, jak Kato, złodziei! Powinszować! Ale ja ci powiadam, że każdy z nas ma już od urodzenia pewne cechy, których nie zmienią ani okoliczności, ani najdłuższe życie. Jeżeli we mnie do tej pory nie dopatrzyłeś szlachetczyzny, to już jej nigdy nie dopatrzysz, Nafta zaś, choćby pękł, będzie zawsze lepszym artystą, niż fabrykantem, będzie zawsze sobie wyrzucał, że wyzyskuje innych, a tymczasem jego wyzyskują. — Wakowiczowi nic nie odejmie jego ciężkiego myślenia i nic go nie wyrobi na aferzystę, dajmy na to, choćby nawet prócz aferzystów żadnych innych ludzi nie widział, a Kato może nic nie robi, ale pozostanie uczciwym do szpiku, bo w uczciwości on jest granit, stal!

— Granit wietrzeje, stal się utlenia i ja nigdy nie mam do nich pretensji — zauważył flegmatycznie Kubacki i ziewnął. Lecz teraz wtrącił się Naftal i zawołał z ogniem:

— Mniej niż ktokolwiek masz prawo wątpić o Katonie. Gdyby nawet tacy mieli zawodzić,

pierwszym przeklął podłe życie i chyba by sobie palnął w łeb!

Kubacki tylko dzięki energicznej opiece Krępic i lekcjom odstępowanym mu przez niego skończył instytut. Gdy Naftal mówił, przyglądał mu się z widocznym zadowoleniem, ale pomimo to zaraz potem zauważył, iż kolega-artysta nigdy by się nie targnął na swoje cenne życie, choćby tylko dlatego, że biblijny naród boi się krwi i że w najgorszym razie tylko by wydał na świat jaką desperacką appassionatę i zaćmiłby Beethovena, czego on, Kubacki, życzy mu z całego serca.

Poczem zwrócił trochę smutny, trochę ironiczny wzrok na Dembosza i rzekł:

— Kiedy już usiadłeś na trójnogu i zacząłeś patrzeć w przyszłość, jak na twoją wrodzoną płochotę nawet dość logicznie, to może zechcesz także udzielić przepowiedni mnie i romantykowi. Mów, Pytjo!

— A! Znamieniecki... On, a raczej jego gwiazdka postara się już o to, by z życia i z ludzi, którzy go będą otaczali, niby z wosku, ulepić dla niego szczęście. On będzie miłym, ujmującym i zawsze estetycznym filistrem, któremu jest na świecie dobrze.

— Daj mu Boże to wszystko, prócz filisterstwa — mruknął Kubacki. — No! a ja?

— Ty?

Dembosz się zamyślił.

— Ty jesteś dziwny człowiek — rzekł po chwili. — Właściwego twego gruntu chyba nikt nie zna, a najmniej ty sam; ale strzeż się, bo

zanadto lubisz krańce! Może być, że pierwszy staniesz z pochodnią na okopach Świętej Trójcy, ale równie dobrze możesz odrazu pójść na dno, albo się rozpic, jeśli notabene wcześniej nie wpędzi cię w suchoty głupia adoracja dla spódnicy.

— Bredzisz! — roześmiał się Naftal i wstał, bo do pokoju weszli Krępic, Znamieniecki i Wakowicz.

Odrazu zrobiło się gwarno. Kubacki zaczął walić nożem w karafkę i przywoływać kielnera, Naftal i Wakowicz wołali, żeby Znamieniecki układał porządek biby, Znamieniecki zlewał tę godność na Dembosza, krzyczeli wszyscy, a gdy wreszcie przyniesiono wódkę i przekąski, gwar zmienił się w chaos urywanych zdań, wyrazów i śmiechów, zmieszanych z brzękiem szkła i porcelany.

Kubacki miał słabą głowę, więc po pierwszym kuflu piwa począł krzyczeć najgłośniej.

— Słuchajcie! — wołał — przed waszym przyjściem Dembosz przepowiedział przyszłość i orzekł, że Nafta będzie fabrykował nędzne perkale, że „romantyk” sfilistrzeje, Wakowicz nie wymyśli prochu, że Kato zostanie do śmierci Katonem, bowiem w razie przeciwnym, Nafta spłodzi rozpaczliwą „fugę” i świat wysadzi z posad, że ja umrę na delirium tremens, a on, Dembosz...

Lecz tu sobie przypomniał, że Dembosz nic o własnej osobie nie mówił, więc zaczął go namawiać do dalszych przepowiedni, gdy tamten zaś odesłał go do Lucypera, rozgniewany, począł wołać jeszcze głośniej:

— Słuchajcie! Ja przepowiadam przyszłość Dembosza! Spadnie na niego deszcz mamony w postaci skarbu, odkopanego po francuzach, poczem wielki demokrata założy trwałę podwaliny, tego... ten... jakiejś kolosalnej sprawy, ale wpierw kupi sobie tytuł hrabiowski i sprowadzi z Paryża jedwabne skarpetki.

— Dembosz! — wołał, wyciągając przed siebie ręce — ja ciebie chrzczę przezacnym hrabią Majtaszko! Zdrowie hrabiego Majtaszki!

Podniósł kufel w górę i przy wtórze chóralnego śmiechu zbliżył go do ust, ale Krępic przytrzymał jego rękę.

— Czekaj — rzekł — spijesz się odwiecznym zwyczajem, a chyba dzisiaj my powinniśmy sobie jeszcze cośkolwiek innego powiedzieć.

— Słusznie — poczęto zaraz wołać — Kato ma głos, słuchajcie!

Kubacki się skrzywił, lecz postawił kufel, a Krępic się wyprostował i tak mówił:

— O celu, który nas łączy, niema co wspominać! Że nie sprzeniewierzy mu się żaden, że wytrwa każdy, wierzymy wszyscy. Na jakikolwiek grunt naszej ziemi losy nas rzuca, pracować można. Zawsze naprzód, prosto, nigdy w bok, ani w tył! W naturze nie ginie nic, ani materja, ani myśli, ani czyny i to niech nam będzie umocnieniem w chwilach zniechęcenia.

A teraz stawiam wniosek, abyśmy dali słowo, że zawsze będziemy wiedzieli o sobie, wspierali się wzajemnie i moralnie i materialnie i od czasu do czasu zjeżdżali wszyscy, gdzie się da.

Skończył; reszta w milczeniu wyciągnęła do niego ręce, lecz Znamieniecki nagle rzekł:

— Przyrzeczmy sobie jeszcze, że stawimy się zawsze i wszyscy na ślub każdego z nas.

A ten wniosek odrazu stał powagę i skupienie z twarzy zebranych. Kubacki wrzasnął:

— Pyszny projekt! Wiwat śluby i ozdoby życia, kobiety!

Dembosz zaś zaproponował przejść do porządku dziennego nad toastem, który wniósł Kubacki i radził wypić na wiwat koleżeństwa i dzisiejszej umowy.

Na to zgodzono się jednogłośnie, a Naftal skinął na kielnera, poczem rzekł do kolegów, że takie zdrowie trzeba co najmniej wypić benedyktynem.

Wtedy Kubacki uczuł się nowym wnioskiem tak rozrzewniony, że wlaź na krzesło i podnosząc w górę kufel, którego mu dotąd wypić nie pozwolono, zawołał:

— Niech żyje Nafta, najczystsza z naft, jaką kiedykolwiek wydała ropa Izraela!

Poczem śpiesznie wypróżnił kufel, zeskoczył z krzesła i począł z ogromnem wylaniem ścisnąć przyszłego fabrykanta perkalików, którego następnie całowali wszyscy.

Ale kielner wniósł czarną kawę i pękata flaszę benedyktyna, zaczem Kubacki z wielkiem skupieniem otworzył ją własnoręcznie, a potem napełnił wszystkie kieliszki, które opróżniono w milczeniu, ściskając sobie wzajemnie dłonie. Po chwili poważnego nastroju gwar począł się znów zwiększać

i rósł w stosunku prostym do próżni, która zwolna wypierała z flaszki benedyktyna.

Dembosz płakał szczeremi łzami, przeproszał Znamienieckiego za podłości, jakie względem niego popełniał i przysięgał, że odtąd nigdy w nikogo, chyba w jednego Katona, nie będzie wierzył tak, jak w niego, ostatniego z romantyków. Rozczulony romantyk deklamował w odpowiedzi: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem...”

Naftal przekładał Kubackiemu, że istnienie rozumu dowodzi istnienia prawdy i sprawiedliwości, których przecuciem są idee i aspiracje, a choć tamten odpowiedział z przekonaniem, że rozum artysty chorego na filozofa jest to młyn, który miele próżnię, Naftal nie zwracał na to uwagi, machał rękami niby wiatrak i co chwila chwytając słuchacza za klapę od mundura, starał się w niego wlać przekonanie, że prawda jest pojęciem identycznym ze sprawiedliwością, a sprawiedliwość jest równoznacznikiem dobra, które jest celem rodzaju ludzkiego i do którego jedyną drogą jest sztuka, płynąca z miłości.

Na to Kubacki znowu zauważył, że choć Nafta od urodzenia nosi „dowcip w brzuchu, a kiszki w mózgu”, ostatnia jego hipoteza co do sztuki, płynącej z miłości, jest wprost genialną. Miłość osi, wokoło której obraca się cała ziemia i pewno cały wszechświat, a choć kobieta jest właściwie zlepkiem błota, w którym słońce, gwiazdy i księżyc — ergo złudzenia, rozniecają fałszywe brylanty i perły, on jednakże proponuje na zakończenie biby, wypić za zdrowie „naj

nędniejszego i najrozkoszniejszego tworu natury”.

Ale Krępic, który pod wpływem alkoholu zawsze się stawał milczącym i już od chwili siedział z oczyma, utkwionemi bezmyślnie w sufit, teraz się zerwał i zawołał z gwałtownością niespodziewaną :

— Ty, Kubacki, jesteś szuja, jeżeli mając matkę, śmiesz w podobny sposób i do tego w knajpie, wymawiać taki wyraz jak kobieta! Ja ci tego zabraniam, rozumiesz!

Tamten drgnął, otworzył usta, przez chwilę zdawało się, że także bryzgnie brutalnym słowem w twarz kolegi i odrazu zapanowało przykre milczenie, tylko dym wydobywał się Kłębami z ust siedzących studentów i chwilami zupełnie przesłaniał im twarze.

Oczy wszystkich tkwiły teraz z niepokojem w twarzy Kubackiego, który po widocznej walce z sobą nagle ochłonął i rzekł ze zwykłą flegmą:

— Wyobraź sobie, przezacny Katonie, że jesteś pijany jak indor, który się nałykał śliwek, wyrzuconych ze spirytusu, inaczej bowiem, wepchnąłbym ci tego szuję w gardło i zmusił do połknięcia. To jedno; drugie, że wcale nie myślę cofać swoich słów, pomimo, że, jak zgadłeś, miałem matkę i do tego bardzo poczciwą kobiecie; trzecie zaś, na dowód, że już nie pamiętam twego uniesienia, mam ochotę przy rozstaniu dać ci koleżeńską radę.

Tu rozparł się na stole i patrząc w oczy zmieszanego Kręcica, tak dalek ciągnął:

— Ty, Kato, jesteś naiwny, jak nowonarodzone dziecko, a ja ci powiadam, nim ci to samo powtórzy życie, że kobiety wszystkie są licha warte. Jeżeli się zdarzy uczciwa, to tylko dlatego, że jej się nie trafiła sympatyczna sposobność powalania, ale niechby się tylko trafiła, a dobra, słuchaj Kato i wierz mi, żadna nie wytrwa, żadna! Niema między niemi bogiń i aniołów, a ty się strzeż, jeśli kiedy spotkasz anioła, żeby ci on nie połamał skrzydeł i przypadkiem nie obryzgał cię błotem.

Wszyscy słuchali w jakimś smutnem milczeniu. Po twarzy Znamienieckiego przeleciał gorący płomień i znikł, Krępic zaś, z początku zmieszany, teraz zamyślił się, stał i słuchał mowy Kubackiego z uwagą, a gdy ten skończył, oparł się rękami

o stół i rzekł dobitnie:

— Fałsz. Ty poznałeś tylko takie kobiety, które ciebie brudziły, albo które tobie się udało wciągać w kałużę. Po nich sądzisz o wszystkich, ale ja czuję i wierzę, że to fałsz. Wy wszyscy umiecie się odzywać o kobietach z lekceważeniem, albo ze wzdargą, ale pomyślcie, czy, jeśli pomiędzy niemi zdarzają się zwierzęta lub lalki, nie jest to winą naszych zwyczajów i obyczajów. Czy kobieta jest winna, że małżeństwo stało się handlem, kiedy tylko ten handel zapewnia jej własny kąt

i byt materialny? że miłość to tylko sześć liter — pusty dźwięk, w który ona, dla przypodobania się mężczyźnie, tak samo się stroi, jak się ubiera w wycięte staniki? Czy jej kto wskazuje inne cele? czy jej kto daje możliwość zwycięstwa w walce

o byt? czy jej kto mówi, że tylko miłość uświęca małżeństwo, które bez uczucia jest prostytutką tem podlejszą, że ubraną w nimb świętości? czy ją kto naucza, że i bez męża może żyć i być użytecznym członkiem społeczeństwa? To są fakty, a pomimo wszystko, świat niewieści wydaje z pomiędzy siebie prawdziwe gieniusze uczucia bohaterstwa. Czyż to nie dowód wyższości tego świata?

Odetchnął, ręką przesunął po oczach i mówił dalej:

— O kobiety upadłe dość już rzucano grochu na ścianę, ja zaś sądzę, że jeśli cywilizacja przyznała kobiecie człowieczeństwo, to chcąc być logiczną, powinna teraz mieć dla wszystkich ludzi jedną etykę, nie dwie. Czego wymagamy od kobiety, to samo powinniśmy jej dawać.

A ty, Kubacki, nie myśl, że ja nie znam kobiet dlatego, że nie znoszę zapachu błota, którym ty się lubujesz, by potem pluć na czystość i świętości. Ja się dość włóczyłem po świecie, dość patrzyłem i słuchałem i, prócz tego, miałem — matkę.

Głos złamał mu się i urwał. Znamieniecki siedział z twarzą wspartą na dłoni i patrzył na obrus, Kubacki tonął w gęstych kłębach dymu, który zajadłe z ust wyrzucał, reszta patrzyła z uwagą na Krępica. On zaś chwilę milczał, a potem, głosem niższym, w tym pokoju dusznym i od dymu ciemnym, nad stołem zlanym winem i zastawionym kufkami, począł przed oczami kolegów roztaczać czyste lazury, błyszczące

nad daszowiecką osadą i malować gorącym i barwami świętą postać swej matki, prostej, zagonowej szlachcianki, która wysłała za chłopą, która uczyła go czytać i kochać na „Żywotach Świętych” i na „Wieczorach pod Lipą”, która wysłała go w świat po światło dla ciemnych i w ostatniej chwili uczyła, że złych dróg jest wiele, ale dobra tylko jedna. Gdy skończył, podniósł się i stanąwszy w otwartym oknie, począł patrzeć w noc gwiaździstą. Kubacki już dawno przestał się uśmiechać, wszyscy mieli na twarzach poważne zamyślenie, tylko Znamieniecki siedział wciąż nieruchomy, z twarzą wspartą na dłoni.

## II.

W kilka dni potem, na jedną z małych stacji kolei Wiedeńskiej wpadł pociąg pośpieszny, wyrzucił z siebie dwóch podróżnych i odsapnąwszy, poleciał dalej.

Podróżnymi byli Krępic i Znamieniecki.

Nie wchodząc do poczekalni, obadwaj z kuferkami w rękach przeszli korytarz i stanęli na cementowych schodach, wychodzących na podwórze, a w tejże chwili wąsaty stangret, siedzący na koźle węgierskiego wózka, rozwinął bat nad czwórką szpaków, zajechał z wielką fantazją przed owe schody i z uśmiechem widocznego zadowolenia zdjął ceratową czapkę.

Krępic i Znamieniecki zdjęli także swoje, a ten ostatni zawołał:

— Jak się macie, Pipczyński!

— A dobrze, proszę jaśnie... proszę wiel... proszę pana — brzmiała zadowolona odpowiedź.

Znamieniecki parsknął wesołym śmiechem i rzuciwszy: — ..coś wam nie idzie, obywatelu Pipczyński!" — ulokował w wózku najpierw kuferki, a potem kolegę i siebie.

Konie pomknęły rząc i wyrzucając głowami

i zaraz za stacją wpadły na wąską, twardą drogę, z której dwóch stron ciągnęły się dwa łąny żyta, rozkołysanego w słońcu i podobnego to do szarego stepu, to znów do migotliwego oceanu. Młodzi się rozejrzeli, całą piersią wciągnęli nieokreślony, lecz upajający zapach pól, a Znamieniecki, co chwila przesuwał ręką po kłosach, które to się nachylały, to podnosiły i prawie muskały koła węgierskiego wózka, zwrócił się do wąsatego woźnicy:

— Co słychać, Pipczyński?

— A nic — odparł stary, nie odwracając głowy. — Wej nie dali jak wczora, przedaliśmy Górki...

Znamieniecki drgnął lekko i dopiero po pewnej chwili rzucił nowe pytanie:

— Cóż to, nie urodziło się, czy co?

— Ee! ni. Fur była moc i sypało nikiem mak, ale jak te psie pary żydy się zawziemi i ciągiem dają niecałe trzy ruble za żyto, a bez mała po styry ruble za pszenicę, nikto nie wstrzymo i Miemiec by zbenkrotował.

Pipczyński podrapał się fraszobliwie koło ucha, zaklął na podreęczną i nie mogąc się doczekać żadnej nowej uwagi ze strony młodego pana, począł ciągnąć dalej sam:

— Bezmała dwadzieścia pięć lat, tośma mieli Karolówkę, Górki i Wygróbkę; potem zamańszy przybywało, to Leszczyny, to Karniki, to Przyręba, a tero to już wej ciągiem na ocip. Poszła Przyręba, djabli wzieni Karniki, chłopci Wygróbkę, tero Miemieć Górki i tylo!... Zeby tak, z pse

proseniem, jasna pani ockła, toby pewnikiem znowuk się... zamerła od żałości.

Stary huknął z bata, zaklął na podreęczną, poczem mrucał:

— Psie krwie żydy parchy, wyszczuć psami, abo co?

Znamieniecki nie chwycił już ręką kłósów, tylko siedział zamyślony, Krępic od czasu do czasu na niego spoglądał, a konie tymczasem rwały na wyścigi z wiatrem, minęły wspaniały las dębowy i wydostały się na wzgórze, z którego oko widza mogło objąć przestrzeń znaczną.

Po lewej stronie drogi ciągnął się wciąż las dębowy, naprost i po prawej nieprzejrzone łąny i łąki, a z pysznej zieleni tych łąk spoglądało w niebo olbrzymie, połyskliwe oko, jezioro.

To jezioro leżało jakby w szerokim jarze, na którego przeciwległych, łagodnych stokach widać było zdała zabudowania, ogrody i białe chaty dwóch dużych folwarków.

Ten, z rozległym ogrodem, dochodzącym do samego brzegu jeziora, to Kamionka Olchowiczów; drugi, z błyszczącymi wieżyczkami kościoła i płaskim dachem dworu, to Karolówka, rodzinny majątek Znamienieckich.

Teraz droga zakreśliła wielkie półkole, jakiś czas jeszcze się wiła między łąnem żyta i pszenicy, poczem skręciła pod kątem prostym, na lewo. Wózek mknął po łagodnej pochyłości, tuż koło parkanu ogrodów Kamionki, a potem wpadł w jar i posuwał się przez łąki, cicho jak ptak.

Znamieniecki odwrócił głowę, rzucił wzrokiem

na gontowy, śpiczasty dach, wyglądający ciekawie z morza zieleni, i znów rozpoczął gawędę z Pipczyńskim.

— A cóż tam nowego w Kamionce? — zapytał.

— A nic. Jak pan Bodzewicz zbenkrotował, to i tam się tero wylizać nie mogą. Pani Bodzewiczowa przyjechała z dziećmi na lato i panienska ze szkoły tyz.

— Pamiętasz Bodzewiczów? — zwrócił się do Krępica Znamieniecki.

A Krępic, który przed czterema laty spędził był wakacje w Karolówce, ujrzał teraz przed oczami jak żywych, grubego Olchowicza, szczupłą i suchą panią Olchowiczową, słodką twarz pięknej panny Matji Olchowiczówny i wesołą, junacką jej narzeczoną, Jana Bodzewicza.

— Pamiętam, — rzekł — ale nie rozumiem, bo przecież Bodzewicz uchodził za zamożnego.

— Tak, ale tylko uchodził. Ta opinia o wielu obywatelach została jeszcze z czasów, kiedy płacono szesnaście, albo i więcej rubli za parę. Jak zaczęto brać po ośm, medale poczęły się odwracać z zadziwiającą szybkością.



Umilkł i po małej chwili ciągnął dalej w zamyśleniu:

— Trochę to jednak dziwne, że oni jakoś nie umieją się przystosować do nowych warunków. Przecież powinna być jakaś rada, aby jeśli nie dorabiać, to choć utrzymać w rękach to, co mają. No! co prawda mój ojciec trzymał w rękach za dużo, bo miał po prostu pasję nabywania ziemi...

ale ja właściwie nie znam ani jego rachunku, ani też stanu majątkowego. Nad zmianą warunków zastanowiłem się pierwszy raz dopiero wtedy, gdy ojciec odwołał mię z Lipska i miał do mnie długą przemowę o konieczności posiadania w ręku produkcyjnego fachu, na wypadek, gdyby się złe czasy nie poprawiły. Wtedy to mi się wydało trochę dziwne, trochę zabawne, ale jeśli teraz jeszcze sprzedał Górki, hm...

Urwał i zamyślił się głęboko. Krępic wpadł także w zadumę, a wózek, minąwszy jezioro, począł się teraz wspinać na przeciwległe wzgórze, poczem skręcił i wtoczył się w długą aleję kasztanową, na której końcu migotały białe ściany i cynkowy dach pałacyku.

Teraz Pipczyński huknął z bata ze wszystkich sił, wielkim klusem przejechał aleję, okrążył wielki klomb, na którym kwitły wieńcem sztampowe róże i pięły się festony dzikiego wina, i pod kolumnami podjazdu osadził konie na miejscu. Młodzi wyskoczyli, a w tej samej chwili po białych stopniach ganku zbiegł chłopak w szarej liberji, zabrał rzeczy i w chłodnej sieni zdjąwszy z obu przyjaciół zwierze ubranie, oznajmił, że iainie pan jest w gabinecie.

Więc Znamieniecki nacisnął klamkę drzwi prawych i puścił kolegę przed sobą.

W dużym, bezsłonecznym pokoju o dwóch oknach, zasłoniętych szaremi roletami, przy wielkim, dębowym biurku, na którym piętrzyły się stopy papierów i szarych ksiąg rachunkowych, siedział ojciec Zygmunta, Stanisław Znamieniecki.

Na widok młodych ludzi położył pióro, wstał i bez uśmiechu, z jednakim wyrazem na twarzy, podał rękę obudwom. Był wysoki i szczupły, włosy miał jasne, gdziegdzie przeświecające srebrem i przerzedzone nad czołem, oczy bładniebieskie, bystre i chłodne, nos rzymskiego patrycjusza i bardzo wąskie usta. Wzbudzał coś w rodzaju poszanowania, czy bojaźni, ale przeważnie szedł od niego chłód.

Krępic się skłonił i uściśnął podaną rękę, Zygmunt podniósł ją do ust i patrzył w oczy ojca z wyrazem, w którym, obok zwykłego rozmarzenia, widać było teraz radość.

Ale twarz chłodnego mężczyzny pozostała niewzruszenie spokojną. Zlekka ścisnął palce syna, ustami musnął jego włosy, poczem, ruchem ręki wskazując młodym miejsce na szezlongu, który stał wysunięty na środek pokoju, siadł w swoim fotelu i zapytał głosem zadziwiająco dźwięcznym i czystym:

— Podróż musiała was, panowie, zmęczyć, bo zdaje mi się, że dziś jest upał.

— Nie — zaprzeczyli obadwaj, a Krępic dodał, że czas jest bardzo ładny, że oni zatrzymali się w Warszawie dwa dni i że po takim wypoczynku, podróż nie mogła ich zmęczyć żadną miarą.

Wtedy, po dość długim milczeniu, Znamieniecki rzekł:

— W takim razie, byliście pewno panowie u Rotte'go?

— Byliśmy — odparli równocześnie, szybko się podnosząc, a Zygmunt wyciągnął do ojca rękę i zawołał żywo:  
. — Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że pamiętałeś nietylko o mnie. Andrzej był tak przejęty twoją dobrocią...  
Ale Znamieniecki nie dał mu skończyć. Wzruszył ramionami obojętnie, utkwiał swoje iście stalowe oczy w twarzy Krępic i rzekł wolno:

— Tylko nie poczuwaj się pan do żadnej wdzięczności, bowiem ja w każdym interesie przeważnie mam własną korzyść na celu. Uważam pana za człowieka praktycznego i trzeźwego, a że dla Zygmunta wpływ takiego towarzysza jest nader pożądanym, że pragnę, byście panowie byli razem jaknajdłużej, przeto tylko w tym celu mówiłem o panu z Rotte'm. Jeżeli kiedykolwiek będzie kto komu dłużny, to prawdopodobnie tylko ja panu.

Młodzi usiedli w milczeniu na dawnym miejscu, Znamieniecki zaś, dodawszy jeszcze obojętnie — że panu Krępicowi niepotrzebna protekcja, bo zbyt dobre pozostawił wspomnienie w fabryce — umilkł także i z wielką uwagą począł się przyglądać swoim paznogciom, które miały kształt migdałów i były bardzo starannie oszlifowane.

Zygmunt utkwiał oczy w dywanie, zaścielającym pokój, Krępic w krajobrazie Klaudjusza Lorrain'a, wiszącym nad biurkiem gospodarza domu; obadwaj doznawali wrażenia, którego najściślej określeniem byłby prawdopodobnie wyraz — zimno; i w tym dużym, przyćmionym pokoju

zapanowała teraz cisza tak zupełna, że brzęczenie jedynej muchy, która się rozbijała rozpaczliwie o szyby okna, stawało się wprost denerwującym.

Gospodarz domu przerwał milczenie pierwszy. Oderwał oczy od swych cienkich palców, zwrócił je w stronę szezlonga i zapytał głosem, jak zwykle miarowym:

— Czy nie będzie to z mej strony zbyt niedyskretne, jeśli zapytam obu panów o ich najdalsze plany i nadzieje na przyszłość? Wiem, że młodzi, a zwłaszcza też pionierzy pewnych klas, są ambitni, mają zazwyczaj szerokie skrzydła i dążą wysoko. Ja tego nie ganię, chciałbym i w Zygmuncie odkryć podobne dążenia i dlatego byłbym panu, panie Krępic, bardzo obowiązany, gdybyś zechciał choć częściowo wtajemniczyć mnie w swoje zamiary co do przyszłej kariery.

Krępic podniósł na pytającego wzrok, w którym wyraźnie się malowało zdziwienie i jakby wahanie, i rzekł po krótkiej chwili namysłu:

— Moje zamiary są bardzo proste i zwyczajne, więc łatwo mi być szczerym. Chcę przede wszystkim pracować w kraju, a o karierze nie marzę, bo wiem, że ją trudno zrobić.

Znamieniecki zaczął znowu oglądać paznogcie i nagle zwrócił się do syna.

— Czy i ty hołdujesz tym samym ideałom, co pan Krępic? — zapytał, nie patrząc na niego.

A Zygmunt zaczerwienił się, lecz odparł dość stanowczo:

— Tak, ojczec, i mam zamiar nie sprzeniewierzyć się im.

— Taak? — powtórzył Znamieniecki przeciągle, a w tym jednym wyrazie zmieściło się i zdziwienie, i coś w rodzaju zawodu, i ciekawość, a przede wszystkim szyderstwo.

W pokoju zapanowała znowu cisza, przykrzejsza teraz, niż poprzednio, i trwała póty, póki Znamieniecki, nie skończywszy nowego przeglądu palców, nie podniósł się, mówiąc:

— Mam nadzieję, że jeszcze pomówimy o tym interesującym przedmiocie, tylko później. Teraz idźcie panowie odświeżyć się po podróży i za małe pół godziny przychodźcie na obiad. Porządek u mnie nie zmieniony. Obiad o szóstej, poza tem, proszę, nie krępujcie się zupełnie i po pracy odpoczywajcie w taki sposób, jaki wam się wyda najodpowiedniejszy.

Zygmunt i Krępic podnieśli się także i wyszli. W przedsiönku, u wejścia na szerokie schody, wiodące na pierwsze piętro, czekała na nich pani Kulasińska, zwana Bonią.

Zobaczywszy młodych, najpierw dygnęła głęboko, poczem, gdy ją Zygmunt za ręce schwycił, z wielkiem uszanowaniem nachyliła się i pocałowała go w ramię.

Zygmunt uczynił to samo, ale rąk jej nie puszczał, począł teraz z wesołym uśmiechem patrzeć w jej oczy, wyblakłe i mrugające z zadziwiającą szybkością. Wtedy stara się rozplakała, wyrwała ręce i objąwszy go za głowę, całowała w oczy, w czoło i we włosy.

A Zygmunt wciąż się uśmiechał i mówił żartobliwie :

— Otóż to! Bonia chciała się już wyprzeć Zygmusia, chciała go przywitać tak samo, jak pana Olchowicza z Kamionki, ładnie — bardzo ładnie, Boniu...

Na to Bonia rozplakała się jeszcze rzęsiściej i przez łzy zaczęła powtarzać, a głos jej się urywał co chwila:

— Ładny mi Zygmus... mężczyzna jak się patrzy... wielki pan... wąsy już widzę urosły, a Bonia głowę nawet do ramienia nie sięga... tak.

Za każdym powrotem młodego Znamienieckiego próbowała go witać z szacunkiem, należnym przysłemu dziedzicowi, i za każdym razem płakała z rozczulenia, odkrywając w nim niezmienionego, dawnego Zygmusia.

Teraz oczy fartuchem obtarła i uśmiechając się do własnych myśli a sapiąc, poczęła obu młodych prowadzić na górę. Była to osoba okazałej tuszy i posiadała pocziwą twarz o szerokości niezwyklej. Ongi, jak to twierdziła sama, miała być przystojną i obfityjącą w konkurentów; ale za mąż nie wyszła, bo zanadto ceniła swoją godność szlachecką i za bardzo się przywiązała do swej wychowanki, przy której spełniała urząd bony i z którą się nie rozstała nawet wtedy, gdy pan Stanisław Znamieniecki wywiózł młodą żonę z domu rodziców i uczynił panią Karolówki. Matka Zygmunta przywykła uważać swoją dawną wychowawczynię więcej za przyjaciółkę, niż za służbę, a gdy młodej kobiety nie stało, Bonia wszystkie tkliwsze uczucia,

mieszczące się w jej szerokiej piersi, przeniosła na Zygmunta. Do gospodarza domu miała pewne uprzedzenia, a właściwie bała się go; że jednakże okazał jej wielkie zaufanie i w jej ręce złożył zarząd całego dworu karolowieckiego, nie opuszczała go i bez wielkiej energii, ale z nieposzlakowaną uczciwością, przyjęte obowiązki wypełniała.

W długim korytarzu młodzi minęli drzwi kilkoro, poczem Bonia otworzyła jedno i pierwsza wtoczyła się do dużego, balkonowego pokoju, który drzwiami przysłoniętymi portjerą, łączył się z drugim podobnym. Czysto tu było jak w szklance; na biurku i na stole przed kanapką stały wielkie bukiety żółtych róż, widocznie rękami Boni ułożone, bo niezbyt zgrabne; zapuszczone rolety powstrzymywały nawałę słoneczną, a gorące półświatło, atmosfera przesycona zapachem kwiatów i miły chłód czyniły wrażenie przyjemne i wręcz przeciwne temu, jakie się odbierało w gabinecie gospodarza domu. Bonia obrzuciła oba pokoje badawczym wzrokiem, sprawdziła, czy właściwe materace włożono w łóżka i nie znalazłszy nic do poprawienia, rzekła:

— Rozgośćcie się, chłopcy i zaraz przychodźcie na obiad, bo niedługo każę podawać.

Poczem wyszła, sapiąc i oddychając ciężko. Zygmunt tymczasem poskoczył do okna, podniósł roletę, a gdy złotawy potok światła zalał ściany, meble i posadzkę, otworzył jeszcze drzwi balkonowe i wybiegł.

Krępic poszedł za nim i ujrzał widok, który

już przed czterema laty zachwycał go, kolegę, zaś zawsze rozmarzał.

Jezioro leżało im u nóg, a było tak błękitne i takie ciche, jakgdyby zahipnotyzowane światłem i milczeniem. Na przeciwległym brzegu Kamionka, cała w zieleni i w blaskach, wygrzewała się na słońcu i przeglądała w wodzie. Na prawo świeżo skoszone łąki ciągnęły się aksamitnym szmatem, aż hen, pod stopy dąbrowy; na lewo, błękit i błękit bez końca, pocentkowany gdzieś srebrem skrzydeł mewy, a nad tem wszystkim jakaś mgławica nieuchwytna, niedojrzana, ale przemawiająca rozmarzeniem, zadumą i tęsknicą słodką, choć bezdenną.

Zygmunt wyciągnął ramiona, jakgdyby chciał to wszystko przygarnąć do siebie i wchłonąć, a potem je zarzucił nad głowę i począł mówić rozmarzonym głosem:

— Nie masz pojęcia, jaka jest we mnie olbrzymia siła kochania! Konserwowano mnie w lodzie, ale wystarczą łzy Boni, albo ot taki szmat jeziora, by wszystko we mnie tajało i rozplýwało się w jakąś słodycz, w jakąś tęsknotę, sam nie wiem za czem.

Opuścił ręce, stał tak chwilę i nagle położył dłoń na ramieniu Kręcica.

— Słuchaj! — zawołał z zalem i nie odwracając oczu od szyby wodnej — gdybym teraz nie miał ciebie i Boni, może palnąłbym sobie w łeb... Niech co chce mówi Kubacki, ale idea i miłośćki, które jemu wypełniają życie, nie każdemu są w stanie wystarczyć za wszystko. Aby być szczę

śliwym, trzeba jeszcze mieć choć jedno ciepłe, ludzkie serce, mniejsza z tem, ojca, siostry, czy żony, byle wiedzieć, że się je posiada, byle w nie wierzyć...

Na to Krępic uściśnął mu rękę silnie i rzekł:

— I ja nie mam ani jednego takiego serca, a jednak mam ochotę żyć. Przytem bardzo wierzę w tamtych i w ciebie i może dlatego nie czuję się zupełnie sam.

— ja także wierzę w ciebie — szepnął Zygmunt, poczem umilkli i nie puszczać rąk, stali tak poty, aż we drzwiach ukazał się służący i cichym głosem poprosił ich na obiad.

Obiady, jak to niedługo zauważył Krępic, były jedyną niesłoneczną chwilą w Karolówce.

Siedząc nawprost spokojnej, jakby zakrzepłej postaci ojca Zygmunta, zdawało mu się zawsze, że zupa jest za mało gorąca. Patrząc na śnieżny obrus, na sztywne kryształy i cicho się snującą służbę, mimowoli zwracał się myślą w przeszłość, do niskiej matczynej zagrody, do fajansowego z szafirową obwódką talerza, do różowego barszczu, któremu podobnie dobrego nie jadł potem nigdzie, i myślał, że szczęście, zamiast się ślizgać po wykwintnych posadzkach, woli się czasem ukryć pod słomianą strzechą, bo tam cieplej.

Ale poza obiadami przyjaciele nie widywali prawie gospodarza domu. Całymi dniami przesiadywał w gabinecie, samotnie, albo w towarzystwie licznych interesantów i wyjeżdżał często, oni zaś zrzucali wtedy z siebie lodową powłokę, która na nich krzepła pod spojrzeniem jego sta

już przed czterema laty zachwycał go, kolegę zaś zawsze rozmarzał.

Jezioro leżało im u nóg, a było tak błękitne i takie ciche, jakgdyby zahipnotyzowane światłem i milczeniem. Na przeciwległym brzegu Kamionka, cała w zieleni i w blaskach, wygrzewała się na słońcu i przeglądała w wodzie. Na prawo świeżo skoszone łąki ciągnęły się aksamitnym szmatem, aż hen, pod stopy dąbrowy; na lewo, błękit i błękit bez końca, pocentkowany gdzieś srebrem skrzydeł mewy, a nad tem wszystkim jakaś mgławica nieuchwytna, niedojrzana, ale przemawiająca rozmarzeniem, zadumą i tęsknicą słodką, choć bezdenną.

Zygmunt wyciągnął ramiona, jakgdyby chciał to wszystko przygarnąć do siebie i wchłonąć, a potem je zarzucił nad głowę i począł mówić rozmarzonym głosem:

— Nie masz pojęcia, jaka jest we mnie olbrzymia siła kochania! Konserwowano mnie w lodzie, ale wystarczą łyżki Boni, albo ot taki szmat jeziora, by wszystko we mnie tajało i rozplątywało się w jakąś słodycz, w jakąś tęsknotę, sam nie wiem za czem.

Opuścił ręce, stał tak chwilę i nagle położył dłoń na ramieniu Kręcica.

— Słuchaj! — zawołał z zalem i nie odwracając oczu od szyby wodnej — gdybym teraz nie miał ciebie i Boni, może palnąłbym sobie w łeb... Niech co chce mówi Kubacki, ale idea i miłostki, które jemu wypełniają życie, nie każdemu są w stanie wystarczyć za wszystko. Aby być szczę

śliwym, trzeba jeszcze mieć choć jedno ciepłe, ludzkie serce, mniejsza z tem, ojca, siostry, czy żony, byle wiedzieć, że się je posiada, byle w nie wierzyć...

Na to Krępic uściśnął mu rękę silnie i rzekł:

— I ja nie mam ani jednego takiego serca, a jednak mam ochotę żyć. Przytem bardzo wierzę w tamtych i w ciebie i może dlatego nie czuję się zupełnie sam.

— Ja także wierzę w ciebie — szepnął Zygmunt, poczem umilkli i nie puszczać rąk, stali tak póty, aż we drzwiach ukazał się służący i cichym głosem poprosił ich na obiad.

Obiady, jak to niedługo zauważył Krępic, były jedyną niesłoneczną chwilą w Karolówce.

Siedząc nawprost spokojnej, jakby zakrzepłej postaci ojca Zygmunta, zdawało mu się zawsze, że zupa jest za mało gorąca. Patrząc na śnieżny obrus, na sztywne kryształy i cicho się snującą służbę, mimowoli zwracał się myślą w przeszłość, do niskiej matczynej zagrody, do fajansowego z szafirową obwódką talerza, do różowego barszczu, któremu podobnie dobrego nie jadł potem nigdzie, i myślał, że szczęście, zamiast się ślizgać po wykwintnych posadzkach, woli się czasem ukryć pod słomianą strzechą, bo tam ciepłej.

Ale poza obiadami przyjaciele nie widywali prawie gospodarza domu. Całymi dniami przesiadywał w gabinecie, samotnie, albo w towarzystwie licznych interesantów i wyjeżdżał często, oni zaś zrzucali wtedy z siebie lodową powłokę, która na nich krzepła pod spojrzeniem jego sta

lowych oczu, ze śmiechem spożywali we dwóch ranne śniadania i późne wieczery, przy których zawsze im asystowała Bonia, po całych dniach wygrzewali się na słońcu, gadali bez przerwy i bez zmęczenia i było im we dwóch dobrze. Najwięcej godzin spędzali w parku, w miejscu, gdzie pod staremi świerkami słońce się przedzierało z trudem i kładło na murawę żółte, drgające plamy i gdzie między gałęziami drzew błyskało jezioro.

Oni leżeli w hamakach, patrzyli w skrawki błękitu nieba albo wody, snuli wielkie projekty, marzyli głośno i nierzadko sprzeczały się zawzięcie. Za zobopólną zgodą nie czytali nic, ale po kilku dniach Krępic, silniejszy fizycznie, uczuł, że ten bezmyślny wypoczynek zaczyna go nudzić i nużyć. Więc począł rzucać różne projekty, mające służyć do racjonalniejszego zabicia czasu, ale natrafił na silny opór Zygmunta.

— Daj mi pokój — mówił tenże — nie jestem jeszcze zdolny do niczego i sama myśl o jakimkolwiek wysiłku myślowym czy fizycznym przeraża mnie.

Krępic przestał rzucać projekty, ale za to, nie mogąc już sypiać tak długo, jak Zygmunt, począł wstawać wcześniej i zaglądać coraz częściej do biblioteki karolowieckiej.

Ta biblioteka był to duży, o trzech oknach pokój, położony obok wielkiego, parterowego salonu i sali bilardowej.

Obicia w nim były ciemne, szafy i stoły dębowe, duże i ciężkie, meble bardzo stare, pokryte brązową, złoconą skórą. Czystość

tu była wielka, ale chłód jeszcze większy, niż w całym karolowieckim dworze. Krępic przed czterema laty zapoznał się był bliżej z tym pokojem i teraz strzeła mu nagle myśl uporządkowania biblioteki i pokatalogowania książek.

Zwierzył się ze swoim zamiarem koledze, ale Zygmunt wzruszył ramionami i rzekł:

— Ojca się o to spytaj, bo, jak widzisz, ja tu jestem prawie takim samym gościem, jak ty.

Więc Krępic podniósł swój projekt podczas obiadu i sankcję najwyższą uzyskał nader łatwo.

— Jeżeli pan nie masz nic lepszego do roboty — mówił Znamieniecki — proszę, rób pan, co ci się tylko podoba.

A po chwili dodał:

— Tam nawet powinny gdzieś być dawne katalogi, lecz wątpię, aby się teraz na co przydały. Kiedyś, już dawno, wychodząc z zasady, że książki są do czytania, pożyczałem je na wszystkie strony, ale że nikt nie oddawał, zamknąłem w końcu szafy i teraz to wszystko leży bezużyteczne. Przypuszczam, że znajdą się tam wielkie braki.

Mówił dłużej, niż zwykle, co mu się rzadko zdarzało, i był, zdaje się, zadowolony z prośby Kręcica, bo miał na wążkach ustach coś, jakby życzliwy uśmiech.

— Czy pana już znudził wypoczynek? — zapytał jeszcze po krótkim milczeniu.

— Trochę — odparł Krępic szczerze — jestem zanadto zdrowszy i silny, by absolutnie nic nie robić, a czytanie jeszcze mnie męczy.

— Zupełnie to rozumiem — zgodził się gospodarz — bo w wieku pana byłem tak samo energicznym i czynnym, ale Zygmunt wdał się ww..., nie we mnie.

Krępic słuchał go trochę zdziwiony.

— Zygmunt nie jest energiczny? — powtórzył.

— No, może się źle wyraziłem; czasami on umie być energiczny, nawet zanadto, ale to słomiany ogień, płomień duży, a popiołu potem jeszcze więcej.

Zygmunt się uśmiechnął trochę smutnie.

— Nie wiedziałem — rzekł — że ojciec się stara zbadać moje wewnętrzne ja i że je ocenia tak trafnie.

A Znamieniecki zwrócił na niego oczy, które teraz były trochę mniej błyszczące i dodał:

— Zresztą nie mam o to do ciebie pretensji, bo pretensja nie zmienia stanu rzeczy, przytem nie twoja w ten wino.

Umilkł i wpadł w zwykłe zamyślenie, które fałdowało mu gładkie czoło w dwie pionowe zmarszczki, biegnące tuż przy sobie nad wydatnym nosem.

Więc Krępic spędzał teraz całe ranki w bibliotece. Zygmunt niemal przemocą musiał go codziennie odrywać od zakurzonych foljałów, poczem go prowadził na śniadanie i na miłe farniente pod świerkami. Dobre to były dni, pogodne, ciche i właśnie takie, o których później wspomnienie, zamiast zachodzić mgłą, złoci się i ubiera w uroki nie istniejące nigdy, a zawsze świeże.

Ale jednego dnia, biblioteka zrobiła Kręcicowi

niespodziankę. Zauważył na dnie szafy wielkie, płaskie pudło i wyciągnął je z trudem. A gdy zdjął wierzch i sporą ilość arkuszy papieru, pokrywających zawartość pudła, z ciemnego wnętrza, z prześlicznie rzeźbionych w róże i rumiany dębowych ram spojrzały na niego rozmarzone oczy Zygmunta, osadzone w twarzy młodej dziewczyny, idealnie pięknej. Główka w wieńcu białych róż na brązowych włosach, z wielkimi szafirowymi oczami, z ustami wyciętymi nakształt łuku amora, w najmniejszym szczególe przypominała mu kolegę, a pomimo to, była głową anioła. Krępic nie miał pojęcia, by natura była w stanie uwięzić w twarzy ludzkiej tyle pierwiastku poezji, marzenia, ideału, jednym słowem zaświatowości.

Patrzył, przecierał obraz ścierką i znów patrzył prawie zamodlony, dziwiąc się po trochu, że anielska twarz dziewczyny nie rozplywa się w mgle, że nie odlatuje z ziemi do swej właściwej dziedziny, w błękity.

— Matka Zygmunta! — pomyślał i nagle stanęła mu przed oczami postać kobiety, którą wyobraził był sobie dawniej pod wpływem opowiadań pani Olchowiczowej z Kamionki.

— To nie była kobieta — mówiła pani Olchowiczowa — to był żyd w spódnicy. Znamieniecki żył pieniędzmi i skupowaniem ziemi, to prawda, ale ona przeszła nawet jego. Razem z nim siadywała nad rejestrami, wiedziała o każdym interesie, lepiej od geometrów знаła pomiary każdego majątku, lepiej od adwokatów i rejentów przepisy prawne, ujadła się z żydami i z kupcami, a on

był dumny z tego i nie robił nic bez niej, bo przewyższała go sprytem i chciwością.

Ale gdy potem kupili Przyrębę od Bassiniego, karta się odwróciła i pokazały się jeszcze inne rzeczy. Bassini był chłopak ładny, pół Włoch, pół Polak, więc się pani zakochała i naraz jak grom spadła wiadomość, że Znamieniecka uciekła od męża za granicę.

Miała dziecko, mąż ją kochał, była bogata, niczego jej nie brakowało, ale jak kobieta raz przestanie być kobietą i zacznie się wdzierać w prawa mężczyzny, zawsze się w końcu stoczy w błoto. Ona, Olchowiczowa, wiecznie jej przepowiadała smutny koniec i przepowiedziała. Znamieniecka po kilku dniach napisała do męża, żeby jej pozwolił wrócić do dziecka, w głowie takich kobiet nawet takie rzeczy się mieszczą, jej się to wydawało możliwym, no! ale Znamieniecki naturalnie nie pozwolił, a ona... zastrzeliła się, prawdopodobnie dlatego, że i tamten ją rzucił.

Tego ostatniego szczegółu pani Olchowiczowa nie była pewna, zwłaszcza, iż chodziły wieści, że i Bassini w łeb sobie palnął, ale fakt faktem, że to była kobieta bez serca, bez zasad moralnych i bez religii.

Taki był obraz matki Zygmunta, kreślony przez panią Olchowiczową, która była kobietą dobrą i rzadko mówiła źle o innych, Krępic więc starał się wyobrazić sobie panią Znamieniecką, targującą się z kupcami, piszącą kontrakty, asystującą przy pomiarach ziemi, a tymczasem z rzeźbionych ram patrzyły na niego prześliczne



oczy Zygmunta, a idealna główka zdawała się mówić: — jam jest kwiat uczucia, jam jest natchnienie, jam jest ideał, którego nic nie zdoła ściągnąć na ziemię.

Kłęczał przed portretem i jak urzeczony, wpatrywał się w czyste czoło dziewczyny uwieńczone różami, w to czoło, na które później miała się targnąć samobójcza dłoń zrozpaczonej kobiety. Zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy, a w tejże chwili wszedł do biblioteki Zygmunt.

Staął za plecami Kręcica, spojrzął i równocześnie schwycił go za ramię, mówiąc zniżonym głosem:

— Czemu ty to wyjąłeś?

A Kręcic się podniósł, z wysiłkiem dźwignął ciężki portret, oparł go o ścianę i wskazując Zygmunutowi, rzekł:

— Gdybym był tobą, nie rozstawałbym się z tem ani na chwilę. Ta twarz, gdyby nawet nie była twarzą mojej matki, dla mnie byłaby wsparciem, bodźcem do wszystkiego, co dobre.

Zygmunt się roześmiał, a ten śmiech był dziwny.

— Czy ty wiesz, co mówisz? — zawołał — Kubacki miałby tu jeszcze jeden dowód więcej na poparcie swoich twierdzeń o kobietach, więcej nic.

— To nie prawda! — odparł Kręcic z przejęciem. — Popatrz ty w te oczy, zupełnie takie jak twoje, spójrz na to czoło i na te niewinne, zupełnie dziecinne usta i pomyśl, że ta kobieta jest, a raczej była tem, o co ją obwiniają. To jest niemożliwe, to jest wprost przeciwne naturze! He ona miała lat, gdy wyszła za mąż?

— Siedmnaście, ten portret jest właśnie z tych czasów.

— Siedmnaście... — powtórzył Kręcic i znowu utkwiał oczy w obrazie — siedmnaście, dziecko, może o gorącym sercu i rozmarzonej głowie, a przy niej twój ojciec, Zygmuncie...

Popatrzył na przyjaciela i począł mówić szybko, jakby w gorączce:

— Słuchaj, nie mam prawa poruszać tajemnic twojej rodziny, nie dotykałem ich nigdy, pomimo iż wiedziałem więcej, niż przypuszczałeś, ale nieraz raziły mnie twoje słowa, w których może bezwiednie zdradzałeś się z żalem do twojej matki, mało z żalem, prawie z pogardą. Może ci to nie trafi do przekonania, ale mojem zdaniem, dzieci nie powinny sądzić rodziców, a zwłaszcza matki, i tobie byłoby lepiej, gdybyś, zamiast się truć żalem, przebaczył i kochał jej wspomnienie. Tak myślałem dawniej, a teraz, gdym zobaczył tę twarz, wprost cię nie pojmuję. Toż ona nie mogła być winna, toż to musiał być anioł, któremu wyskubano pióra ze skrzydeł i kazano żyć... pieniądzem! Powiedz, czy ty możesz sobie wyobrazić dwudziestoletnią kobietę, z zamiłowaniem uprawiającą handel i ciułającą grosze? Ja nie, a jeszcze, gdy patrzę na twarz twojej matki, po sto razy nie! To musiała być nieszczęśliwa kobieta, to może była ofiara, która w szale, porwana miłością tamtego, spragniona jej, jak kwiat rosy, rzuciła wszystko i o wszystkim zapomniała. A teraz pomyśl, jak ona musiała ciebie kochać, kiedy się opamiętała tak prędko i miała odwagę napisać

list do twego ojca. Toż to było straszne upokorzenie dla kobiety, która umiała się zdobyć na samobójstwo! Zygmunt stał oparty o poręcz wyłaczanego krzesła, a po jego twarzy, jak światła i cienie, przesuwały się różnorodne wrażenia i myśli. Krępic popatrzał na przyjaciela, jeszcze raz rzucił wzrokiem na twarz jego matki, idealnie dziewiczej, a jednak podobnej do syna, jak są do siebie podobne dwie bliźnie krople wody, i wyszedł cicho, bardzo wzruszony. A wieczorem tegoż dnia, Bonia, ujrawszy nad łóżkiem Zygmunta portret swej dawnej wychowanki, stanęła jak wryta, poczem tak się rozplakała, że młodzi nie wiedzieli, co z nią robić. Zygmunt posadził ją na kanapie, dał jej się napić wody, a potem zaczął ją prosić głosem, któremu trudno było się oprzeć:

— Boniu, powiedz mi co o matce! Powiedz prawdę, wszystko!

To poskutkowało odrazu. Bonia wytarła oczy i nos, utkwiała przygasły wzrok w portrecie i nie patrząc na młodych, którzy usiedli obok siebie i oczami zawisli na jej ustach, poczęła mówić zupełnie tak, jakgdyby opowiadała bajkę.

— Zabroniła jej mówić Zygmuśowi o sobie, bo się bała, że ją będzie przeklinał, ale była taka dobra, że płakała nad każdym obdartym dziadem, i raz, a miała wtedy z dziesięć lat, zdjęła pantofelki, dała je babie, co przyszła z dzieckiem po prośbie, i sama poszła do dworu boso. A potem była taka ładna, że gdy się modliła w kościele,

ludzie, zamiast na święte obrazy, patrzyli na nią. Tylko była trochę inna, niż wszystkie panny. Śmiać, to się śmiała jak dzwonek i tańczyć lubiła okrutnie; ale jak czasem przyszła noc ciepła i na pełni, to nie szła spać, choć ją Bonia prosiła, tylko stawała w oknie, patrzyła na ów księżyc i ciągle gadała do siebie głośno, a do wiersza:

Czemu mi smutno ? Czy że wiatr jesieni  
Lasy i pola już odarł z zieleni...

Bonia nie pamiętała dobrze ani tego wiersza, ani tego drugiego, który panienka widać lubiła najwięcej, bo najczęściej powtarzała:

Ach! być „paetom” — czy wiesz, dziewczyno,  
Co to „paetom” być znaczy?

To nawet nie było zupełnie do sensu, ale panienka wyglądała wtenczas zupełnie tak, jakby jej tylko brakowało skrzydeł, i Boni najlepiej wtedy szło z pacierzami.

A potem przyjechał pan. Był ładny i mówili jeszcze, że mądry i bogaty. Panienka zawsze bladła, jak wchodził; przy ślubie to się trzęsła jak osika i wyglądała niby święty opłatek, a starsza pani mówiła, że u państwa tak wypada. Bonia pojechała z rzeczami do Karolówki, a państwo młodzi do ciepłych krajów. Kończył się maj, jak wrócili. Wtenczas w Karolówce było pięknie, jak w niebie, tak pięknie, że nawet Boni chciało się czasem płakać, gdy w wieczór wyjrzała przez okno. Kwiatów była wielka moc, a pachniały, że aż dusiło, słowiki śpiewały jeden przez drugiego

i jezioro wyglądało, jakby kto srybra nalał do jaru.

Myślała, że panienka całe noce teraz będzie gadała do księżycy: — Ach, być „paetom” — ale panienka dzień i noc pieściła pana, ciągle siedzieli razem, nic nie widzieli i kochali się, jak turkawki.

Potem urodził się Zygmus, pani długo chorowała, a pan kupował Karniki i ciągle jeździł. Na to jeżdzenie pani się z początku gniewała, potem płakała, a jeszcze potem wzięła i dawaj z panem rachować i jeździć i tak już było ciągle. Bonia wolała to, niż żeby się złościła, albo nie sypiała po nocach z płaczu, ale czasem serce ją bolało, bo takie rzeczy to przecie nie dla pani. I pani nie było z tem dobrze. Często przychodziła do dziecinnego pokoju, ścisła małego tak mocno, że aż krzyczał, albo razem z nim siadała przy niej, tuliła się jak kociak i skarżyła jak dziecko : zimno mi, Boniu, zimno!

Czasami ją Bonia prosiła, żeby częściej zaglądała do Zygmutusa, ale ona się wtenczas podnosiła, marszczyła brwi i mówiła, że Zygmutusiowi to wszystko jedno, bo Zygmus jej nie kocha i nikt jej nie kocha.

A potem przyszło nieszczęście. Ten antychryst, co ją urzekł, oczy miał jak węgle i jeżeli pan był jako lód, tamten był jako ogień.

Jak i kiedy się to stało, Bonia nie wiedziała. Pani jeździła do Przyręby z panem, albo i sama; ten gałgan także tu przyjeżdżał i przesiadywał, aż gdy pojechali pisać kontrakt, przyszła noc,

której Bonia nie zapomni nigdy, choćby żyła sto lat.

Pani weszła do dziecinnego pokoju w futrze i w kapeluszu, blada jak nieboszczyk. Uklękła przy dziecku, całowała je tak, że chyba i jednego miejsca nie przyzostawiła, a płakała, a trzęsła się jako liść na wietrze. Nie mogła się oderwać, wstawała i znów wracała, w końcu ją, Bonie, schwyciła za rękę i wciągnęła do sypialnego pokoju. Tam kazała jej uklęknąć przed krzyżem i przysiąc, że nie opuści dziecka do śmierci i że mu nigdy nie będzie mówiła o matce. Bonia dopiero wtedy zrozumiała, że się ma stać jakieś wielkie nieszczęście, więc, choć nie wiedziała jakie, u nóg pani się włożyła i puścić jej nie chciała.

Ale akurat konie zaszyły, pani się wstrząsła, wyrwała, wyleciała przed dom jak wiatr i tyle ją Bonia widziała.

Pan przyjechał dopiero w trzy dni. Jak przeczytał list, co pani na biurku zostawiła, podobno stanął jak słup, a z oczu to mu szedł ogień.

Zaraz pojechał do Przyręby, ale i tam już nie było nikogo...

Bonia zakryła szeroką twarz tłustymi rękami i długo siedziała w milczeniu, którego nie przerywali jej ani Krępic, ani Zygmunt, ale po chwili znowu zwróciła oczy na obraz anioła dziewczyny i mówiła dalej, tylko głosem cichszym i jakby złamanym:

— Żeby choć jej dał czas na odpokutowanie... toż ten antychryst z djabelskim nazwiskiem po

prostu ją urzekł... ale u wielkich państwa jest jakiś honor, a pokuty nijakiej niema.

Sama przyniosła panu list z czerwonymi markami, bo poznała, że to od niej, i choć jej nogi dygotały od strachu, przy drzwiach stała i czekała, czy się czego nie dowie.

Ale nie dowiedziała się nic. Pan przeczytał, roześmiał się tak, że aż ją mrowie przeszło, długo chodził po pokoju, jakby nigdy nic, a potem na nią spojrzął i krzyknął:

— Marsz, do dziecka!

A w dziesięć dni potem przyjechali państwo Olchowiczowie oboje, u pana siedzieli długo, w pałacu zaś wzięli gadać, że pani się zabiła.

Jako i zastrzeliła się, a w gazetach ponój pisało, że i ten antychryst także.

Pan wziął znowuk jeździć i rachować, jak dawniej, na dziecko nie chciał patrzeć, jako że było takusieńkie jak matka, i wszystko było jak było, tylko już nie stało jej biednej, zabitej na duszy.

Bonia załkała głośno, mówiła jeszcze, że dwa razy do roku zakupuje msze święte i pości co środa, żeby dla niej choć czyściec wyprosić, w końcu tak się rozszlochała, że wyszła z pokoju, w pośpiechu klapiąc wielkimi pantoflami.

Przyjaciele zostali sami. Zygmunt siedział zapatrzoną w posadzkę, Krępic zaś wstał i począł latać po pokoju, co chwila zatrzymując się przed portretem. Wreszcie stanął przed kolegą.

— Widzisz! Gdyby nie głupie przesady, nie wykrzywione pojęcia honoru i oschłość serca, ta

biedna, krucha istota byłaby dziś może zasnęła i nawet szczęśliwą kobietą, twój ojciec miałby w sobie więcej ciepła, a ty nie byłbyś bez matki!

Lecz Zygmunt nic mu na to nie odpowiedział! Siedział bez ruchu, bez słowa, rozebrał się i położył spać i przez parę dni chodził jak senny.

Krępic, pomimo pozornej szorstkości, czuł głęboko i czasami umiał się zdobyć na subtelność uczuć prawie kobiecą.

Teraz mu się nie narzucał, czekał i dopiero po paru dniach rzekł:

— Słuchaj, Zyguncie, pogoda jest ciągle wspaniała, a my prawie z niej nie korzystamy. Nie masz pojęcia, jak mnie dziś ciągnie jezioro... Popłynijmy do Górek.

— A popłynijmy — odparł Zygmunt apatycznie, poczem poszli do parku i w parę minut już się kołysali na wodzie.

W powietrzu unosiła się senność, niebo było raczej szare niż błękitne, jakby spłowiałe od żaru słońca, woda pod uderzeniami wiosel przelewała się, jak płynna masa szafiru o postrzępionych rąbkach ze śniegu i srebra, a młodzi wiosłowali zawzięcie, lecz w milczeniu.

Nagle Zygmunt puścił wiosło, rozejrzał się i rzekł:

— Żyjemy jak we śnie; to jezioro jest także jak sen, a mnie teraz przydałby się na głowę zimny prysznic...

Zadumane oczy utkwiał w przeciwległym brzegu i nagle rzucił:

— Jedźmy do Kamionki!

— Czy to ma być prysznic? — uśmiechnął się Krępic.

Nie, ale przecież jakieś życie, ruch, jednym słowem zmiana... Ta Karolówka, to coś zupełnie oderwanego od świata, można w niej zostać poetą, albo warjatem...

Począł wiosłować z podwójną energią, a w kwadrans potem przybili do przeciwległego brzegu w tym miejscu, gdzie w ogrodzie Kamionki jest grabowa altana. W piasku nadbrzeżnym bawiło się dwoje dzieci, trzyletni chłopiec i dwuletnia dziewczynka, w altanie zaś były trzy kobiety, młode, lecz różnego wieku.

Gdy Krępic i Znamieniecki wyskoczyli z łodzi, dzieci zaczęły klaskać w ręce, kobiety zerwały się z darniowej ławeczki, a najstarsza, z ujmującym wyrazem ust, delikatną twarzą i ciemnymi włosami, uśmiechnęła się do nich, wołając:

— Śliczni, uprzejmi sąsiedzi! Podobno już od trzech tygodni siedzi się w Karolówce, a do Kamionki zupełnie jak za morze...

— Za może, jak za morze, kuzyneczko, ale za jezioro! — odparł jej równie wesoło Zygmunt i poniósł do ust rączkę pani Bodziewiczowej, poczem obrzucił wzrokiem jej towarzyszkę.

Jedna z nich, panienka z krótkimi włosami, które w czarnych pierścieniach spadały na ramiona i tworzyły ramę do główki o nosku wschodnim, czarnych oczach i bardzo wąskich ustach, wyglądała jak cyganka i ciekawie patrzyła na nowoprzybyłych. Druga, jeszcze dziewczynka, może lat trzynastu, a może piętnastu, biała, przezro

czysta, miała piwne oczy, niezwykle duże, włosy jak len, a na twarzy apatję, właściwą dzieciom, chorym na bezkrwistość i skrofuły. Zygmunt i Krępic przywitali dziewczynkę, a gdy potem obadwaj skłonili się przed panienką, podobną do cyganki, pani Bodziewiczowa wybuchnęła wesołym śmiechem:

— Jakto — wołała — pan jej nie poznaje, panie Zyguncie? Maniusi Sławskiej pan nie poznał?

Z twarzy Zygmunta znikł wyraz, okraszony niepewnym uśmiechem, który sili się mówić: ależ wiem, poznaję, a właściwie nic nie wie i nic nie poznaje. Widocznie uradowany, wyciągnął teraz rękę do panny Maniusi i mówił:

— Przepraszam, rzeczywiście nie przypuszczałem... Nie trzeba widocznie nigdy zapominać, że młode panienki są jak poczwarki, w których siedzi przyszły motyl.

— Co znaczy, że byłem poczwarką... śliczny komplement — roześmiała się panna Sławska.

— To tylko szczerłość, tem przyjemniejsza, że teraz można mówić tylko o motyłu. Ale pani pozwoli, że jej przedstawię mego kolegę i przyjaciela. Andrzej Krępic.

Panienka wyciągnęła rękę do uścisku, potem całe towarzystwo opuściło altanę i skierowało się ku domowi, do którego wiodła bardzo stara aleja grabowa. Ta aleja była tak szeroka, że wszyscy mogli zupełnie swobodnie postępować obok siebie w szeregu, ciągnęła się wokoło całego ogrodu i kończyła tuż przed werendą salonu.

Zygmunt postępując obok panny Sławskiej pytał:

— Czy pani już dawno bawi w Kamionce? Czy rodzice są także?

A ona patrzyła na niego uśmiechniętymi oczami, opowiadała, że przyjechali wszyscy, ale tylko na parę dni, że są w przejeździe, że lato spędzą w Ischlu i że, ponieważ ona w tym roku dorosła, więc rodzice obiecali jej pokazać Paryż i Wenecję. Śmiała się przytem, jak rozbawione dziecko i co chwila błyskała na niego czarnymi oczyma.

Tymczasem pani Bodziewiczowa mówiła do Kręcica, że jej bardzo żal męża, który nigdy razem z niemi nie może odpocząć na wsi i jest strasznie zapracowany, i wypytywała go o egzamina, oraz o sposób, w jaki obaj przepędzają czas w Karolówce.

Błada dziewczynka zaś postępowała tuż obok siostry, patrzyła wprost przed siebie i nie odzywała się wcale, a gdy przez oszklone drzwi wszyscy weszli do salonu, umeblowanego trochę po staroświecku, natychmiast znikła.

Lecz salon nie był pusty. Obok jednego z weneckich okien stał stolik do kart, a przy nim siedziało dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

— Jak ty nędznie grasz! — wołał właśnie wysoki, tęgi pan w szarym kitlu do szczupłej, jakby zasuszonej blondynki, w ciemnej, perkalowej sukni.

— Ale skądże! — broniła się pani Olchowiczowa — przecież leży bez jednej.

A pan Łamkowski, ojczym panny Manusi, zanosił się od śmiechu i wołał:

— Bez dwóch byłbym, bez dwóch, kuzynko! Dziękuję ci i proszę o częściej.

— Eh! Poco bez dwóch... dla mnie i bez jednej dosyć — zaczęła pani Olchowiczowa i urwała, zobaczywszy we drzwiach gości.

Zaraz też podnieśli się wszyscy. Gospodyni pocałowała Zygmunta w głowę i bardzo serdecznie powitała Kręcica, a gospodarz wycałował obudwóch i począł mówić ogromnie głośno:

— Wyobrażcie sobie, wychodzi pod drugą rękę w najmocniejszy kolor i obrabia senatorowi króla. Przecie gracie w preferansa?

Nie gramy — odparł Zygmunt, który właśnie przedstawiał państwu Łamkowskim Kręcica.

— Co? Ani be?

— Ani be.

— Aha! Nauczyciście się w winta, ba, postępocy! Ale my tu jeszcze na partykularzu uprawiamy prefka i wiścika.

Pan Łamkowski zaś wyprostował swoją szczupłą figurkę, poprawił na palcu pierścioneł z wielkim brylantem i gładząc ręką siwe faworyty, rzekł:

— Daj im pokój, oni świat przerabiają, a ty im każesz grać w winta. Jakże? Dyplomy przywieźliśmy, teraz odpoczywamy, a potem co?

— A potem będą robili miljony! — przerwał mu Olchowicz i westchnął. — Bodajto być młodym i w dodatku inżynierem, dyrektorem, albo administratorem paru fabryczek! Takiemu nic nie doje, ani deszcz, ani susza, ani ceny, ani serwituty, pan całą gębą i kwita!

Zygmunt na to odparł z powagą:

— Daj Boże, żebyś pan to wymówił w szczęśliwą godziną! Jak tylko zostaniemy administratorami paru fabryczek, zaraz tu gdzie w sąsiedztwie kupimy sobie włości i razem będziemy narzekali na ceny, na żydów i na serwituty.

Olchowicz popatrzył na niego ze zdziwieniem, które jego wypukłe oczy jeszcze wypuklejszemi uczyniło.

— Jakto, co, kpisz, czy o drogę pytasz? Kapitały topiłbyś w ziemi, warjacie?

— Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek zrobił kapitały, gdyby jednak... w ziemi jest dużo do roboty.

— To pocóż u diabła ta nauka i wydatki? — wybuchnął Olchowicz. — Trzeba było odrazu z ojcem siedzieć i gospodarować!

— Mój ojciec jeszcze nie chce pomocy, więc ja tymczasem poprobuję sił na innym polu.

Ale Olchowicz wziął go pod ramię i zbliżywszy się razem z nim do Łamkowskiego, począł mówić zniżonym głosem:

— Właśnieśmy tu mówili z senatorem, że twój ojciec jest zwarjowany maniak, wiesz? Nikt w takich krytycznych czasach nie spekuluje ziemią, a on znów sprzedaje Górki i podobno kupuje dwa folwarki od Stobickiego, które chce parcelować. Warjat! Ja ci to mówię. Jeśli masz rozum, pieniądź rób, ale z nim od ziemi daleko, rozumiesz?

Zygmunt pokręcił głową.

— To będzie trudno, — rzekł bo przecież

choć przy Karolówce i Leszczynach chyba zostanie.

— Phi... niewiadomo! — skrzywił się Olchowicz — Karolówka, ładny kawał ziemi i lasu, trzysta lat w ręku Znamienieckich, ale... jabym się w takie romanse nie bawił. Póki jeszcze czas, sprzedałbym wszystko i postawiłbym fabrykę, rozumiesz? Jak postęp, to niech będzie postęp i kwita.

Na to Łamkowski się uśmiechnął:

— Tak się to mówi; jakby przyszło co do czego, Kamionki byś nie sprzedał.

— Co, nie sprzedałbym? Proponowałem Znamienieckiemu, ale jemu teraz parcelacja w głowie; chłopci by mi graby wycięli, a przecie nie dla nich ojciec sadił. Słuchaj, daj mi ty dwa tysiące rubli za włókę, a jutro Kamionka będzie twoja. Mam już tego wszystkiego po sam nos — i żydów, i tej pszenicy po cztery ruble, i serwitutów, a najwięcej tych kochanych chłopków, co to podobno w powieściach ładnie gadają, ale z kłonicą w garści nie, o, nie!

Łamkowski, który mieszkał w Warszawie, umieszczał swoje kapitały na domach i sam miał ich dwa, tylko wzruszył ramionami, więc Olchowicz znowu się zwrócił do Zygmunta.

— Twój ojciec w tem jednym rozum pokazał, że cię na fachowca wy kierował, a ty się tego trzymaj i na ziemię plu.

Poczem go za ramię ujął i zniżywszy głos, zapytał :

— Czy prawda, że Rotte zakłada w Moskwie

czy też w Odesie filję swojej fabryki i ciebie z Krępicem wysyłał na reprezentantów? Znamieniecki parsknął śmiechem.

— Ładnieby wyglądał, gdyby go tam reprezentowali tacy studenci jak my — rzekł i po chwili dodał serjo:

— My zresztą mamy zamiar pracować w kraju. A Łamkowski na to pogładził faworyty i kiwnął głową.

— Masz rację ; ja także dawniej miałem myśl wynieść się za granicę, ale potem przyszedłem do przekonania, że i tu wiele można zrobić.

— No i cóż ty robisz ? — zapytał Olchowicz bardzo zdziwiony, wiedział bowiem, że jego kuzyn prowadził w Warszawie dom otwarty, że codzień chodził do Stępkowskiego na kawior i na ćwiartkę porteru, skutkiem czego przewano go „ćwiartką”, i że poza tem niczem więcej się nie zajmuje.

Lecz senator wydał usta trochę wzgardliwie i zwracając się raczej do Zygmunta, niż do gospodarza domu, tak mówił:

— Nie myślcie, żeby arystokracja nie rozumiała, iż antagonizm klas to gordyjski węzeł. Ona wie o tem, ale wie także, iż go nie należy przecinać. Cięcie pokaleczyłoby wiele palcy, a zgodne rozwiązanie nikomu nie zrobi krzywdy; i myśmy to zrozumieli.

— Więc? — zapytał Zygmunt, bardzo ubawiony nie tyle namaszczoneym tonem senatora, ile oczami Olchowicza, który teraz przypominał wołu.

— Więc to jest pole, na którym dzisiejsza

arystokracja ma bardzo wiele do roboty i dla którego ja pozostałem w kraju. Moje salony to teren, na którym gromadzą się wszystkie żywioły i ścierają wszystkie zdania. Ja równie uprzejmie witam u siebie adwokata, literata, studenta, jak i księcia, barona i finansistę. Mogą się porozumiewać, a jeśli się nie porozumieją, to już nie będzie moja wina.

— Wobec tego, tatko musi i pana Znamienieckiego zaprosić na nasze soboty! — zawołała panna Manusia, która, znudzony się rozmową pań z Krępicem, stanęła za krzesłem ojczyma i rączkami objęła jego szyję.

— A naturalnie, to się samo przez się rozumie. Pamiętaj o naszych sobotach, Zygmuncie, i kolegę także przyprowadź. Zobaczysz! Nawet tacy burzyciele tronów i ołtarzy, jak wy, nie znudzą się u nas, nie mówiąc, że mogą się wiele nauczyć.

A tymczasem pani Olchowiczowa badała Kręcica, czy rodzina jego ojca nie pochodzi przypadkiem z Litwy, na co Kręcic odparł spokojnie, że nie, bo Kręcice na Litwie piszą się przez m i są szlachtą, a jego ojciec był chłopem i zwyczajnym Kręcicem przez ę. Wtedy pani Olchowiczowa się zmieszała i spojrzała na panią Łamkowską, poczem obie zaczęły ukradkiem wodzić oczami po twarzy i całej postaci młodego inżyniera i jakby się dziwić, skąd chłop doszedł do takich rysów, takiej figury i ruchów, w których nie było wprawdzie nic szczególnego, ale które niczem nie raziły w salonie.

A pani Bodziewiczowa, cała zarumieniona, tłumaczyła mu, że mama bardzo lubi wyprowadzać rodowody, że zna na palcach genealogię mnóstwa rodzin i że na wsi ludzie jeszcze zachowali trochę starych przyzwyczajęń, które ostatecznie nikomu nie szkodzą.



Krępic wszakże nie był urażony. Trochę go bawiło zakłopotanie pani domu i badawczy wzrok pani Łamkowskiej, a delikatność uczuć, widoczna w rumieńcach i w słowach pani Bodziewiczowej, nawet go rozrzewniła. Przytem podobało mu się w Kamionce. Te wszystkie twarze były jakieś cieplejsze, niż twarz Zygmunta ojca, od ścian nie wiało takim chłodem, jak w Karolówce. Właśnie zachodziło słońce, weneckie okna zapaliły się czerwonym ogniem, napoiły gorącą barwą spłowiełe obicia ścian i mebli i atmosfera pokoju stała się niewymownie spokojną. Krępic rozmawiał z paniami, a równocześnie wodził wzrokiem po starożytnych sprzętach i z przyjemnością patrzył to na charakterystyczną postać Olchowicza obok delikatnej Zygmunta, w którego włosach migotało złoto zachodu, to na angielską twarz senatora obok cygańskiej buzi jego pasierbicy.

Ale czerwone blaski gasły i uciekały przed zmrokiem, pan Olchowicz począł bardzo głośno skarżyć się na serwituty i przysięgał, że na przyszły rok zasieje przelot, a szelmy chłopcy niechaj wtedy pasą na drugoletnim koniczysku! — wniesiono zapalone lampy, poczem błada dziewczynka ukazała się na progu i oznajmiła podanie kolacji. Wszyscy przeszli teraz do jadalnego pokoju

i przy wtórce wesołego śmiechu dzieci i panny Maniusi, zabrali się do spożywania kurcząt z sałatą.

Panna Sławska była widocznie usposobienia żywego, mówiła dużo i lubiła, aby się nią zajmowano. Siedząc obok Zygmunta, namawiała go teraz, by im towarzyszył za granicę, a gdy się śmiał, ubawiony tym projektem, gniewała się jak dziecko, które nie rozumie, by mu można cośkolwiek odmówić. Łamkowski patrzył na nią prawie z uwielbieniem, a jego żona jakby z prośbą i niepokojem.

Z całego towarzystwa tylko dwie osoby milczały: błada dziewczynka i gospodarz domu.

Pan Olchowicz nałożył sobie na talerz piramidę z kurcząt, z wielką systematycznością ogryzał kostki i nie mieszał się wcale do ogólnej rozmowy, lecz gdy piramida zamieniła się w stos ruin, otarł usta na dowód, że proces pożywiania bynajmniej nie stoi na drodze procesowi myślenia.

— Tak, tak — rzekł nagle, jakby w odpowiedzi na wątpliwości, które mu w czasie rozprawy z kurczętami mózg przetrawiły — gadajcie co chcecie, ale teraz niema jak fach w garści! Znamieniecki w tem jednym rozum pokazał, a i ja zrobiłbym tak samo, gdybym miał syna.

Tu machnął ręką ze zniechęceniem i dodał:

— Tylko... czy to Pan Bóg wie, komu synów dawać? Taki osioł Stobicki ma aż czterech a wszyscy jołop w jołopa, na gospodarzy idą, żeby potem żydom buty pucować.

Na to Zygmunt rzekł:

— Pan zato może mieć zięcia fachowca.

— O, to z pewnością. Mam już dość jednego gospodarza, co teraz łapy liże, drugi może być goły, byle miał fach. Prawda, Emilciu, ty weźmiesz sobie inżyniera, albo chociaż doktora, co?

Po tych słowach pani Bodziewiczowa się zaczerwieniła i poczęła drżącymi rękami odwiązywać serwetę z szyi swego syna, panna Sławska błysnęła oczami najpierw na Zygmunta, potem na bladą dziewczynkę, ta zaś podniosła oczy na ojca i rzekła spokojnie:

— Dziękuję ci, tatku... ja wcale nie wyjdę za męża.

Powiedziała to wolno i apatycznie, ale nagle rozbłysłe oczy zdradziły, że była podrażniona. Krępicowi te oczy wydały się teraz niezwykle ładne.

A Olchowicz się roześmiał, ogromnie ubawiony, poczem zapytał:

— A cóż ty, mała, będziesz robiła, sprzedawała rutę, hę?

Panna Emilcia spuściła oczy, usta jej drżały, ale w końcu podniosła główkę i rzekła dość pewnym głosem:

— Ja będę aktorką.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a najgłośniej i najserdeczniej śmiał się Olchowicz.

— Dałbym ja ci... dałbym ja ci... — powtarzał wśród wybuchów dobrego humoru i ocierał łzy, które mu płynęły z oczów gradem.

Tylko Krępic się nie śmiał i z zajęciem obserwował dziewczynkę. Na jej buzię najpierw buchnęły rumieńce, potem wystąpiła bledość,

a w oczach ukazały się kolejno zdziwienie, gniew i wreszcie dwie wielkie łzy, z którymi panienka się nagle zerwała i uciekła.

— Niedobry pan jesteście! — zawołała wtedy panna Sławska i wybiegła także.

A Olchowicz przeprowadził obie wzrokiem aż do drzwi, poczem rzekł:

— Jakbym tylko ja się śmiał!... i miała się też czego rozbeczeć... Z temi pensjonarkami nigdy nie można trafić do ładu. Gospodyni zaś westchnęła i poczęła się żalić do pani Łamkowskiej na dzisiejsze pokolenie panien, na pensje i wogóle na świat, który był zupełnie inny, gdy one były młode.

— Taki piętnastoletni smarkacz — kończyła — twierdzi teraz, że małżeństwo jest ubliżeniem dla kobiety. Dorastające panny czytają książki, przy których dawniej mężatki się rumieniły, i wyciągają z nich wnioski, które mnie się zupełnie nie mogą w głowie pomieścić.

Lecz Olchowicz tylko wzruszył ramionami.

— Masz też czem sobie głowę zawracać! Jak dorośnie, a zjawi się konkurent, pójdzie za męża i będzie taką samą żoną, jak wszystkie.

— Ale musicie ją koniecznie zawieźć do Ciechocinka — odezwała się pani Łamkowska. — Usta jej zgrubiały, nos się robi jakiś niekształtny i skrofuły mogą jej zupełnie twarz popsuć.

Na to pani Olchowiczowa westchnęła i spojrzała z wymówką na męża, ten zaś trochę spochmurniał, wreszcie wstał i zawołał rażno:

— Dałbym ja jej, żeby mi była brzydka!

Poczem wszyscy przeszli do salonu, gdzie obie panny w pół się objąwszy chodziły i rozmawiały bardzo żywo. Młodzi zbliżyli się do nich, panna Emilcia zrobiła ruch, jakgdyby chciała uciekać, ale towarzyszka ją przytrzymała.

— Ona nie cierpi mężczyzn — zawołała śmiejąc się do Zygmunta.

— Jakto, wszystkich? — zdziwił się Znamieniecki i patrzył na dziewczynkę z komicznym wyrazem przygnębienia. —

Co myśmy pani zrobili, panno Emilciu?

— Nic — odparła krótko.

— Więc za cóż pani nienawidzi mnie i biednego Kręcica?

— Wcale panów nie nienawidzę, tylko... nic mnie nie obchodzie.

— Więc obojętność! Ależ to gorsze, niż nienawiść.

Nie odpowiedziała mu, tylko odwróciła głowę, a panna Sławska rzekła:

— Ona dowodzi, że mężczyźni są tyrani, że gnębią kobiety i że kochać trzeba tylko słabych, nie mocnych.

— A pani jak myśli?

— Tak samo.

— Niepodobna! Niech pani zrobi wyjątek dla jednego mężczyzny, tylko dla jednego... — prosił.

— Ani myślę! Pojedzie pan do Ischlu?

— Aha! już pani zrobiła.

— Wcale nie! Ale pojedzie pan?

— Na przyszły rok.

Sprzeczali się dalej, a tymczasem Kręcic po

stępował obok panny Emilci i dokładał starań, by przemóc jej uporczywe milczenie. Po części mu się to udało, bo zaczepił o temat pensji, koleżanek i profesorów.

— To może pan zna i Mejherta? — pytała dziewczynka już z pewnym zajęciem.

— A znam, to mój kolega gimnazjalny. Cóż on paniom wykłada?

Skrzywiła się.

— Wykłada arytmetykę, ale to osioł! — Tu zmieniła ton mowy i naśladowując potępionego Mejherta, zaczęła mówić słodko: — Dostanie pani dziesięć groszy, z jedną trzecią pójdzie pani po bułeczki...

Kręcic się roześmiał, panna Emilcia także, a pani Bodzewiczowa przesłała mu z daleka spojrzenie, w którym chłopak wyczytał wdzięczność.

Gdy młodzi opuścili Kamionkę, była już godzina dwunasta. Pan Łamkowski zapowiedział na jutrzejszy dzień swoją wizytę w Karolówce, a panna Manusia, uczepiona u jego ramienia, rzekła:

— Pozwolę ci, tatku, jeżeli nie powrócisz sam.

— Tylko z nimi? A jeśli nie będą chcieli?

— Muszą, bo ja chcę.

Łamkowski się śmiał i ścisnął ręce obu przyjaciół.

— Nie macie pojęcia, co to za tyranka!

A w chwilę potem łódź płynęła cicho po jeziorze i ciągnęła za sobą srebrzysty warkocz

drgających fal, gwiazdy zapalały w wodzie długie płomyki, księżyc przyglądał się bezmyślnie nocnym urokom, a młodzi wiosłowali w tej ciszy i mieli w duszach także ciszę.

Lecz po chwili Zygmunt przerwał milczenie:

— Wiesz, ta mała jest zabawna, Olchowicz ciekawy okaz jako mamut, a ten wuj Łamkowski, to istna mała zielona. Ani myślałem, że się tak ubawię.

Opowiedział o społecznych zasługach senatora i o węźle gordyjskim, lecz Krępic był nastrojony na ton pobłażliwy.

— Tacy ludzie przynajmniej nie są szkodliwi — mówił — i, kto wie, czasami mogą nawet zrobić coś dobrego, bo mają serce.

— Gdzieżeś ty je dopatrzył?

— W jego przywiązaniu do panny Sławskiej.

— A ładna, co?

— Tak sobie, dzieciak!

— Phi... flirtować umie.

Znowu zamilkli; Krępic myślał, że panna Emilcia stanowczo dziwnie odbija na tle Kamionki i że pani Bodziewiczowa jest tak cicha i spokojna, jak dzisiejsza noc letnia, a fale pluskały im pod wiosłami i przelewały się srebrem.

### III.

Pomimo wyjazdu państwa Łamkowskich, Zygmunt i Krępic bywali teraz w Kamionce dość często. Takie wycieczki urozmaicały jednostajność wiejską, przytem państwo Olchowiczowie zawsze ich witali serdecznie, pani Bodziewiczowa była stanowczo pociągająca, a panna Emilcia zabawna.

I ani się opatrzyli, jak minęło lato. Zwieziono do stodoł ostatnie fury grochu, poczerniałe ścierniska rozwlokły po ogołconych polach pustkę i smutek, suchy wiatr wzdymał szare łona podorywek i bałwanil po nich chmury ciemnego pyłu, niebo wyblakło i zionęło żarem, od którego kupki zgrabionej tatarskiej poczęły tracić barwę krwistą i stawały się prawie czarne, i nastala pora, która jest może najsmutniejsza w roku. Natura zapadła w zupełny letarg, a ziemia, z piersią spaloną, odartą z zieleni i złota, nawet westchnieniem nie zdradzała życia, które tam wewnątrz, głęboko, tkwiło przecież, a im bardziej niedostrzeżone pod pozorną martwością, tem większe może zapowiadało nadzieje w tęgich piórach młodej runi.

— Głębia ziemi nie zawodzi nigdy, byle ziarna

i rąk nie brakło! — myślał Krępic, patrząc na rozpaczliwie smutne i szare pola.

W Kamionce pani Bodziewiczowa i panna Emilcia zabierały się do odlotu, przyjaciele także już o nim myśleli.

W przeddzień wyjazdu, przy obiedzie, pan Znamieniecki ożywił się niezwykle. Wspominał o ideałach, które wyniańczyły jego pokolenie, o złudzeniach, które zrodziły dużo łez i krzywd, o filozofii życiowej, której się nabywa tylko własnym rozczarowaniem, i w końcu tak mówił:

— My jesteśmy teraz niby słoje z cienkiego kryształu, które los puścił na bystrą wodę życia w towarzystwie żelaznych garnków. Wobec parcia ze wszystkich stron, gwałtowne eksperymenty chyba nie mogą być szkodliwe dla żelaza, a korzystne dla kryształu, lub nawet dla glinianych garnków, czyż nie tak?

Ale gdy nie otrzymał odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Ludzie wierzą w istnienie Ameryki, choć ją niewielu widziało naocznie, nie sprawdzają każdego wyniku nauki, bo na to nie stałoby ani sił, ani życia, i wierzą na słowo, bo muszą wierzyć. Ale wyjątkiem jest filozofja życia. Tu musu niema, więc każdy chce sam robić doświadczenia i robi je, na nieszczęście, nietylko własnym kosztem Nie bronię mojego pokolenia, bo i ono było takim, ale myślę, że po niem powinna była pozostać nauka, któraby wystarczyła przynajmniej dla paru następnych pokoleń.

Młodzi siedzieli wciąż w głębokiem milczeniu,

ale było widać, że im to nie przychodzi łatwo, Znamieniecki zaś patrzył na nich bystro i miarowo, spokojnie wciąż mówił:

— Wynikiem naszej filozofji była praca, praca i jeszcze raz praca. Jednostki myślące o własnym dobrobycie, tem samem podnosiły dobrobyt ogólny i były uważane za jednostki zupełnie uspołecznione, a choć ten prąd może się wydać wielu nazbyt praktycznym, pomimo to był dobrym i jeszcze trwać powinien.

— Był bardzo wygodnym! — wybuchnął nagle Zygmunt.

Poczem, jakgdyby prysła tama, popłynęły słowa i zawiązała się gorąca dysputa, w której Krępic odzywał się niewiele i która skończyła się na tem, na czem się zwykle kończą wszelkie usiłowania, skierowane ku przelaniu własnych przekonań w inne głowy.

— Nie rozumieliśmy się z ojcem nigdy i nie zrozumiemy nigdy! Stoimy na przeciwległych biegunach! — wołał z uniesieniem Zygmunt.

Krępic w milczeniu przygryzał wąsy, a Znamieniecki tak zakończył:

— Bardzo pięknie! Pomówimy jeszcze o tem, lecz za parę lat.

wyszedł, nadmieniwszy tylko, że pragnąłby przed wyjazdem pomówić z synem o interesach.

A nazajutrz obaj przyjaciele znowu siedzieli na węgierskim wózku, lecz tym razem dążyli w stronę stacji.

— Czy wiesz, do czego była skierowana wczorajsza mowa ojca i nasza dzisiejsza rozmowa

o interesach? — zapytał Zygmunt, gdy już Karolówka pozostała za nimi daleko.

Był nachmurzony i widocznie zły, gdy zaś Krępic spojrział nań pytającym wzrokiem, począł mówić szybko i niecierpliwie:

— Ojciec wbił sobie w głowę, że ja powinienem zrobić koniecznie duże pieniądze, przeczekać przesilenie rolne i odkupić wszystką ziemię, której on nie mógł utrzymać w rękach. Odpowiedziałem na to, że nie mam do niego pretensji, że ma prawo stracić wszystko, prócz Karolówki i Leszczyn, które kocham i których za nic się nie wyrzeknę, ale groszorem i handlarzem ziemi nie będę, gdyż do tego nie mam kwalifikacji. Przemówiliśmy się tak, jak nigdy, to jest głównie ja się uniosłem, bo gdy ciebie niema, nie umiem nad sobą panować, no i dowiedziałem się w końcu, że już teraz żadnej pomocy z domu mieć nie będę.

Umilkł i nachmurzone oczy utkwiał w dębowym lesie, który już przeświecał bursztynem i bronzem, a Krępic rzekł spokojnie:

— Chyba się nie obawiasz, byś sobie sam nie dał rady?

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Cóż znowu! Potrafię się ograniczyć, gdy trzeba, ale mnie to wszystko doprowadza do pasji. Przyzwyczylił mnie do dużych wydatków, teraz chce na tem grać i... omyli się.

Na chwilę szyderstwo mu wykrzywiło usta, poczem westchnął.

— Dwóch ludzi, bardziej sobie dalekich, jak ja i ojciec, chyba niema na ziemi.

Ale tu Krępic poklepał go po ramieniu i rzekł, zawsze spokojnie:

— Dramatyzujesz, mój drogi. Różni was wiek i przekonania, to wszakże jest rzecz stara, jak świat. Ja na twojem miejscu byłbym rad z pozostawionej swobody. Jest wielka przyjemność iść o własnych siłach, zobaczysz!

— A zobaczę — mruknął Zygmunt, niezupełnie przekonany, lecz już spokojniejszy.

Zajechali na podwórze stacyjne, gdzie z wielkiej karety wychylała się właśnie pani Bodziewiczowa i podawała służącej małą Marysię, a potem wszyscy wsiedli do jednego przedziału.

Dzieci się śmiały zadowolone, że jadą, panna Emilcia była ożywiona niezwykle i bez względu na Zygmunta, który jej zawsze dokuczał nienawiścią ku rodzajowi męskiemu, z przejęciem opowiadała Krępicowi o koleżankach, które zastanie napewno, i o tych, które się zawsze spóźniają. Tylko pani Bodziewiczowa była mniej spokojna, niż zwykle.

— Trochę się spodziewam, że Jaś wyjedzie na nasze spotkanie — mówiła do Zygmunta, jakby się tłumacząc z ciągłego wyglądania na stacjach przez okno.

I w istocie, w Rudzie Guzowskiej się okazało, że miała dobre przeczucie. Wyjrzała, zarumieniła się i prędko spuściwszy okno, zawołała radośnie:

— Jasiu, my tu!

Prawie w tej samej chwili wpadł do wagonu mężczyzna jeszcze młody, ale. znużony, blade,

z czołem pofałdowanym, z czarnymi wąsami, zwieszonemi ku dołowi, wysoki i szczupły.

To był Bodziewicz.

Nie spojrzął na nikogo, porwał żonę w objęcia i począł ją całować niemal z dziką namiętnością. Odsunęła go od siebie i cała zarumieniona rzekła:

— Jasiu, pan Krępic i pan Znamieniecki.

Dopiero wtedy spojrzął na towarzyszków podróży żony, powitał ich z niezbyt ukrywanem niezadowoleniem, podał rękę pannie Emilci, a potem, jakby już dla niego nie istnieli, zwrócił się do dzieci i począł ustami wpijać się w ich twarzyczki, tak samo, jak przedtem w twarz żony.

Chłopak z pomocą rąk i nóg starał się odsunąć jego głowę, Marysia się rozpląkała, ale po chwili wszyscy czworo siedli przy sobie i tak się zatopili we własnej radości, że poza tem nie zdawali się już nic widzieć.

— Tęskniliście do tatusia i do Warszawy? — pytał Bodziewicz i patrzył na dzieci z takim wyrazem, jakby z tych drobnych ust miał na niego paść wyrok życia, lub śmierci.

— Nie — odparł Janek stanowczo i dodał ze wzgardą:

— A czy ty masz jeziolo, muśle i osiolo, co?!

— Osiolo, co! — powtórzyła Marysia.

A twarz Bodziewicza skurczyła się prawie tragicznym bólem. Spojrzął na żonę z wyrzutem, lecz gdy ona popatrzyła na niego swoim słodkim wzrokiem i coś mu zaczęła tłumaczyć, rozpromienił się i znowu całował dzieci.

Panna Emilcia przyglądała im się z miną, która mówiła wyraźnie, że jej właścicielka czuje całą swoją wyższość nad podobne słabości i że do pobłażania wcale nie jest skłonna. Nie odzywała się do nich wcale. Na szwagra patrzyła z oburzeniem, a Zygmunt, ubawiony jej zachmurzonymi oczami, rozpoczął rozmowę na temat małżeństwa i obowiązków dobrej żony i pokładał się od śmiechu, gdy panna Emilcia rzekła z głębokim przekonaniem:

— Aby być dobrą żoną według wymagań mężczyzny, trzeba przedewszystkiem albo być idiotką, albo też zupełnie się wyprzeć własnego ja tak, jak wół w jarzmie.

Poczem odwróciła się od niego i stale patrzyła w okno, pomimo że dokładał wszelkich starań, by ją przekonać do instytucji małżeńskiej.

W Warszawie rozstali się, pożegnani bardzo serdecznie przez panią Bodziewiczową, która już z dorożki wołała:

— Zagłądajcie, panowie, do nas. Mój mąż jest zapracowany, nigdzie nie bywamy, ale gdy przyjdziecie, będziemy radzi oboje.

A w trzy dni potem siedzieli nad rajsbretami, w obszernej, dość widnej, lecz trochę brudnej sali biura, należącego do fabryki odlewów i wielkiej stalowni Rottego et C.

Licząc inżynierów, ich pomocników i zwykłych kopistów, pracujących w tej sali, było osób około piętnastu. Krępic i Znamieniecki przedstawili się swoim wszystkim kolegom po cyrklu, począwszy od szefa biura, pana Aromackiego, podobnego

do szarej, pomarszczonej renety, a skończywszy na inżynierze Rańkowskim, najstarszym przedstawicielu firmy, piastującym od lat dwudziestu godność pomocnika z pensją, która dopiero w tym roku doszła do siedmdziesięciu rubli miesięcznie.

Pan Aromacki powitał ich dość obojętnie, choć z nieznacznym wyróżnieniem dla Znamienieckiego, poczem nie zajmował się nimi bardziej, aniżeli resztą kolegów, czyli nie zajmował się wcale.

Zasiedli przy swoich biurkach i teraz ciszę, która zalegała wielką salę, przerywał tylko skrzyp pióra kopistów, szelest papieru i wielkich rulonów kalki, czasem poruszone krzesło, przesunięty rajzbret, lub metaliczny dźwięk rzuconych cyrkli.

Ale jeden z kopistów podniósł się, podszedł do biurka, przy którym siedział młody, bardzo wysoki blondyn i położył na niem plan.

— Gotowe — rzekł.

Inżynier przebiegł oczami karton i nagle zerwał się zaczerwieniony.

— Cielęta paść, nie plany kopiować! — krzyknął.

Poczem schwytał papier i szybko podbiegł do Aromackiego, który właśnie ukazał się we drzwiach swego gabinetu.

— Masz pan transmisję dla Bruchów! Miała być na jutro, zależało firmie, żeby nam nic nie mogli zarzucić i oto jest! Ja nie biorę na siebie odpowiedzialności, bo nie chciałem takiej roboty dawać panu Cimaszce.

Roześmiał się i zwrócił do kolegów.

— Na boku planu nabazgrałem sobie parę trójkątów i on też, aby to jedno przekopował ze ścisłą dokładnością!

Wszystkie oczy były teraz skierowane na szefa i wszystkich usta uśmiechały się złośliwie, Aromacki zaś przejrzał rysunek, poczem widocznie zmieszany, zwrócił się do kopisty.

— Plan jest zły i pomimo najlepszych chęci...

— Plan jest tylko kopią tego, co mi dał inżynier Matelski. Nie odpowiadam za niedokładności tych panów — odparł śmiało kopista i mrugającymi oczami wodził po twarzach zebranych.

— Może dla pana jest dobry, nie pójdzie wszakże na pański rachunek, chyba że się na to zgodzi pan Rotte.

Aromacki mówił spokojnie, ale było znać, że się hamuje. Poczem chybiony plan oddał innemu kopiście, w biurze znowu zapanowało milczenie i trwało póty, póki z niego szef nie wyszedł.

Gdy drzwi wchodowe za nim się zamknęły, fizjonomja sali technicznej poczęła się zmieniać. Ten i ów zapalił papierosa i zabrał się do studjowania kurjera, wyjętego z kieszeni, inni rozmawiali rysując, albo też siedząc beczynnym z rękami, głęboko wsuniętymi w kieszenie, jakby na znak, że je nieprędko myślą stamtąd wydobyć; inżynier Galewicz zaś wyjął z szuflady czapkę, jakby dla sprawdzenia rzucił okiem na cylinder, spoczywający na biurku i wyszedł. Nie przerywali zajęcia tylko kopiści i pomocnik Rańkowski, którego



biurko sąsiadowało z biurkiem Znamienieckiego i Kręcica.

— Pan nie odpoczywasz? — zwrócił się do niego Kręcic i podał mu papierośnicę.

Zapalili obadwaj, poczem stary inżynier rzekł:

— Ja, widzisz pan, uważam, że kiedy za robotę płacą, to za płacę trzeba naodwrot dawać robotę; tylko naturalnie, pan nie potrzebujesz się stosować do takich przedawnionych przesądów, bo źlebyś na tem wyszedł.

Skrzywił usta i po krótkim milczeniu mówił dalej z wyraźnym szyderstwem:

— Ot, wzoruj się pan na Galewiczu, Siedzi na rogu w cukierni, ale ponieważ cylinder na biurku jest i świadczy o obecności swego właściciela w fabryce, więc mu wczoraj podnieśli pensję do stu rubli.

Umilkł, gdyż zbliżył się do nich Matelski i usiadłszy naprost starego, rzekł zniżonym głosem:

— Takie tchórzostwo, to podłość, do której niewiedomo właściwie, po co my ręki przykładamy.

— A któż wam każe przykładać? — mruknął Rańkowski i z papierosem w ustach rysował dalej.

Matelski coś jeszcze mówił, lecz zupełnie cicho, a Kręcic przyglądał się staremu z uwagą, poczem pochylił się nad rejbretem i myślał, że jednak to jest głowa charakterystyczna.

Wązkie i mocno zaciśnięte usta mówiły, że ich właściciel umie być upartym i zaciętym, wysokie czoło, choć pokryte mnóstwem zmarszczek, znamionowało człowieka dumnego, a niebieskie oczy miały taki wyraz, jaki mają oczy jagnięcia, albo czasem dziecka.

O drugiej biuro się opróżniło, wszyscy poszli na obiad, wrócili, aby znowu siedzieć do szóstej, lub nawet do siódmej, i tak było codziennie.

Ten zegarkowy tryb życia był Zygmunutowi trochę przykry z tego głównie powodu, że już o ósmej rano trzeba było być w biurze. Jednak nie przyznawał się do tego, bo mu było trochę wstyd Kręcica, który, choć niezupełnie zachwycony otoczeniem, był wielce zadowolony ze swoich dziewięciu godzin pracy i sześćdziesięciu rubli miesięcznie.

Zamieszkałi razem w dwóch dużych pokojach, na trzecim piętrze przy ulicy Marszałkowskiej, nie bywali nigdzie, bo nie mieli ani ochoty, ani czasu, czytali dużo i coraz więcej się sprzeczali.

— Wspaniałe życie! — zaczynał zawsze Zygmunt, ile razy wrócili z fabryki i zmęczeni pokładli się na łóżka.

A Kręcic się uśmiechał.

— Dla mnie tak, bo wiele więcej się nie spodziewałem.

Lecz ten spokój wyprowadzał tamtego z granic cierpliwości.

— Naturalnie! Widzę! — wołał. — Inni fili

strzeją dopiero wtedy, gdy mają krocie, twoje potrzeby są mniej rozwinięte, więc sfilistrzałeś przy sześćdziesięciu rublach miesięcznie. Powinszować!

Tymczasem od kolegów przychodziły listy, także niebardzo różowe.

Kubacki dostał zajęcie mechanika w przędzalni Naftala dziadzi w Zawierciu, był cały przejęty badaniem miejscowych stosunków i oburzony na brak urodziwych niewiast.

Dembosz, jako pomocnik chemika, praktykował za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie w cukrowni Koniłówka w Lubelskiem i stwierdził, że mu język mchem porasta, bo nie ma do kogo gęby otworzyć.

Nafta pojechał za granicę kształcić się na farbiarza, chodził do konserwatorjum i jeszcze nie opuścił żadnego koncertu, a wszyscy razem zgadzali się na jedno, że zazdrozczą Katonowi i Romantykowi Warszawy, że im żal instytutu, że tęsknią do porządnego wygadania się z porządnymi ludźmi i że życie jest stanowczo głupsze, niż myśleli.

Wakowicz umieścił się w warsztatach kolejowych na drodze Dąbrowskiej i ze wszystkich on jeden był zadowolony. Donosił, że napewno zrobi karierę i że ma przed sobą wielką przyszłość, z którą będzie wiedział co zrobić; ale mu nie wierzano.

— Takiemu najlepiej! — roześmiał się Zygmunt. — Do samej śmierci będą mu wystarczały złudzenia. I czegoż chcieć więcej?

Tego dnia trochę spóźnili się do fabryki. Gdy weszli, zastali w sali technicznej ruch i gwar niezwykły. Tylko sam Rańkowski siedział na swoim miejscu, wszyscy inni stali, a Galewicz wołał podniesionym głosem:

— Zdaje mi się, panie dyrektorze, że ten dowód wystarczy. Zresztą, ja go sam wpakuję do kozy!

Krępic zbliżył się szybko do Rańkowskiego.

— Co tu się stało? — zapytał.

— Cimaszko ściągnął Galewiczowi pięć rubli.

— To on taki ptaszek? I jakim sposobem? A Rańkowski uśmiechnął się szydersko i począł mówić zniżonym głosem:

— On jest ptaszek w najlepszym gatunku, wielkich zasług i o odpowiednich piecach. Dlatego nie dawał się wygryźć.

Otóż Galewicz naznaczył sobie pięć rubli i umyślnie podrzucił na swoim biurku, a gdy ryba złapała robaka, narobił gwałtu i przy Cimaszce znaleźli te same pięć rubli.

Krępic popatrzył uważnie w oczy Rańkowskiego.

— Skąd on, ten Cimaszko?

— A kto go wie? Podobno syn woźnego z Siedlec. Ktoś go tu Rottemu wsadził i teraz go trzymają dla miłego spokoju.

— No, chyba dłużej trzymać nie będą. Kopista niedbały, już uważałem, że arogant, obecnie wydało się, że złodziej, a to chyba dość powodów do wydalenia.

Rańkowski znowu się uśmiechnął szydersko.

—Eh! co znowu... dla miłego spokoju Galewicz mu daruje, jak go Rotte poprosi.

I rzeczywiście zgadł stary inżynier.

Nazajutrz poproszono Galewicza przed oblicze fabrykanta, a gdy wrócił do sali technicznej, miał minę zupełnie nieszczęśliwą.

— No i cóż, wyrzuci Cimaszkę? — posypały się zapytania.

— A jakże! Całą godzinę mi gadał, żeby skandalu nie rozmazywać, że go tem ujmę osobiście i że ten łotr tylko z biedy ukradł. Potem urządził efektowną scenę przeprosin i, jak Boga Kocham, ten gałgan to wspaniały aktor! Prawdziwymi łzami płakał, powiadam panom... sam widziałem.

Ale tu Matelski zbliżył się i rzekł:

— To nam wszystko jedno. Wyrzucą go, czy nie?

— Obiecuję, ale jeszcze nie teraz... może od kwartału.

W sali zaległo milczenie, tylko Rańkowski śmiał się cicho. Ale po chwili Krępic się podniósł i stanąwszy przed Galewiczem, zawołał:

— Czy pan nie będziesz szukał sprawiedliwości na drodze sądowej?

— Właśnie obiecałem panu Rottemu, że nie. Myślałem, że za to może go wyrzuci, a tymczasem widzę, że się złapał i że tego cichego kota już wiecznie będziemy mieli za plecami!

— Tak, będziemy go musieli cierpieć, natu

ralnie! — wybuchnął Matelski. — Właściwie, po coś pan urządzał cały ten kawał?

— Jaki po co? Zdawało się, że przecie złodzieja nie będzie trzymał przez dobre serce.

— Tak, ale z tem wszystkim, my możemy zmusić fabrykę, żeby wyrzuciła kopistę, który nie zna roboty i kradnie — rzekł Krępic. — Ja sądzę, że to jest nawet naszym obowiązkiem.

— Podajmy prośbę i w razie odmowy, zażądajmy wszyscy uwolnienia — dodał Znamieniecki.

A Rańkowski także się zbliżył.

— Ja to już dawno radziłem i radzę. Inżynierowie spojrzeli po sobie. Chwilę była cisza taka, jak kiedy ziarno kiełkuje, wreszcie Galewicz rzekł:

— A jak przyjmie nasze uwolnienia?

— To pan poszukasz sobie innego miejsca i prawdopodobnie znajdziesz. Nigdy bieda nie doje tym, którzy tak bardzo umieją o sobie pamiętać.

Krępic powiedział to takim tonem, że Galewicz oblał się krwią.

— Dobrze panu mówić, jak masz plecy! — wybuchnął.

A Krępic popatrzył mu prosto w twarz i zapytał :

— Czy inżynier Rańkowski ma także plecy?

Tamten się zmieszał, Znamieniecki zaś począł teraz przemawiać pojednawczo i po chwili długiego namysłu, zupełnie niespodziewanie nastąpiło porozumienie.

Pan Rotte odebrał nazajutrz papier, z którego się dowiedział, że należało mu wybierać między całym personelem techników i kopistą Cimaszką. Podpisu nie dał tylko pan dyrektor Aromacki.

Obadwaj przyjaciele opuścili tego dnia biuro w doskonałych humorach. Po raz pierwszy porozumieli się z kolegami biurowymi, do których już nieraz próbowali się zbliżyć i zawsze napróżno. Z początku zdawało się im, że to nie będzie rzeczą trudną. Zygmunt miał jakby talizman na zdobywanie ludzkich sympatji, Krępic zrażał trochę powściągliwością, ale mimo swej woli wzbudzał zaufanie, więc na razie pogarnęli się do nich wszyscy. Ale bardzo prędko nastąpiło to, co można zauważyć, gdy przysuniemy do siebie dwa różnej wielkości ciała, dwiema różnymi elektrycznościami naładowane. Po wypowiedzeniu sobie wszystkiego, przyszło wylądowanie, a następnie odskok; taki odskok zaś pozostawia zawsze w pewnym od siebie oddaleniu ludzi, których duszom brak jednej, wspólnej struny zbliżonych ideałów. Ideały Kręcica i Znamienieckiego były jeszcze skrzydlate młodością, niezwarzone cierpieniem i tak świeże, jak jest świeża rosa na kwiecie, ideały zaś ich biurowych kolegów zdążyły skurczeć, spraktycznieć i przykroić się do warunków. Zupełne porozumienie się między nimi było o tyle możliwe, o ile może się porozumieć tatrzański orzeł ze skrzętną kokoszką. Przyjaciele to zrozumieli aż zanadto. Zygmunt

często wołał: karjerowicze, próznaki, bydło! Krępic mu nie przeczył, i oto teraz mieli niespodziankę.

— Matelski to porządny człowiek, Rańkowski tembardziej, to było widoczne od początku — zgodzili się obadwaj i jeden nucił pod nosem, a drugi pogwizdywał.

W domu zastali list od Łamkowskiego.

— Dziś sobota u Łamkowskich, zapraszają nas — rzekł Zygmunt.

— Skądże to? — zdziwił się Krępic. — Znają nasz adres?

— Naturalnie, bo ja przed paru dniami spotkałem wuja, nasłuchałem się mnóstwa wymówek, musiałem mu przyrzec, że przyjdziemy, bo tak chce panna Manusia, no, i dla pewności wziął mój adres.

— Więc tam panna Manusia jest naprawdę autorytetem! Idziesz?

— Nie idziesz, tylko idziemy. Poznamy moc specjalistów od przecinania węzła, pobawimy się z niewiastami i kwita. Ja iść muszę, a bez ciebie nie pójdę.

Krępic nie miał ochoty, sama myśl o tej wizycie ziębiła go, lecz Zygmunt nie chciał ustąpić i póty prosił, aż poszli obadwaj. A gdy już odbyli podróż po salonie i zostali przedstawieni damom, zatrzymali się we drzwiach, prowadzących do gabinetu gospodarza domu.

— Moc niewiast —• rzekł wtedy Zygmunt — i wszyscy nam się przyglądają, więc musieliśmy zrobić wrażenie.

Krępic wzruszył ramionami, w tej samej chwili zaś podszedł do nich senator i podbiegła panna Manusia. Była w jakiejś mglistej, różowej sukience, całej usianej czarnymi motylami i sama wyglądała jak motyl.

— Nie byłabym nigdy darowała, gdybyście panowie nie przyszli! — zawołała, błyskając oczami. — Będziemy tańczyli dzisiaj i ja panów zabieram z sobą.

— Ależ czekaj! — rzekł Łamkowski — niechże ich wpierv wezmę do gabinetu i poznam z mężczyznami. Co chcecie, znajdziecie.

Panna Maniusia się zachmurzyła.

— A jakże! będą bawili panów, a ja się będę nudziła! Jak tatko chce koniecznie, to się potargujemy. Dla nas pan Zygmunt, dla gabinetu pan Krępic, i to na krótko, proszę pamiętać!

Odeszła ze Znamienieckim, Krępic zaś poszedł za Łankowskim.

Kilku dziennikarzy, dwóch poetów, jeden przyrodnik, oraz paru przedstawicieli rodu i finansów otaczało tu okrągły stolik i siedząc lub stojąc, rozmawiało bez ożywienia. Dotykano polityki, poruszano przysze wyścigi i kwestje społeczne, a gdy gospodarz przedstawiał młodego inżyniera, omawiano właśnie drożyznę mieszkań i wadliwą budowę domów.

— Gdybym tylko mógł kiedy postawić dom dla siebie, — mówił jeden z dziennikarzy — przedewszystkiem wyrzuciłbym z planu suteryny i suteryniarzy.

A Krępic, usłyszawszy to, zajął się bardzo, zbliżył i zaraz zauważył, że to jest zdanie bardzo trafne i słuszne, że suteryny są zabytkiem barbarzyńskim, godnym czasów średniowiecznych i że społeczeństwo powinno już pomyśleć o stawianiu mieszkań wyjątkowo dla warstw uboższych.

— Suteryny — mówił — są istnym rozsadnikiem chorób nie tylko fizycznych. Chcąc się o tem przekonać, dość zobaczyć te nory i sprawdzić, ile rodzin w każdej się mieści.

Spojrzano na niego z wielką uwagą, a dziennikarz, który marzył o postawieniu domu dla siebie i suteryny uważał za zło o tyle, o ile ich nieletni mieszkańcy, wylegający z wiosną na podwórze, przeszkadzali mu w pracy, chwilę pomyślał i odparł:

— W zasadzie masz pan rację, tylko gdyby nasz robotnik i rzemieślnik nie pił, miałby na własną suterynę.

— O, to z pewnością — poparło go kilka głosów, ale Krępic odparł na to trochę żywo:

— Ten sposób rozumowania jest bardzo przyjemny, głównie z tego powodu, że zupełnie uspokaja sumienie mówiącego. Ale tę kwestję można tak odwrócić: znośne mieszkanie możeby więcej ciągnęło robotnika do domu, rozwinęłoby w nim poczucie zwiększonych potrzeb i niejednego powstrzymało od kieliszka.

Te słowa stały się powodem do bardzo ożywionej dysputy, a tymczasem redaktor jednego z większych dzienników politycznych zbliżył się

do Kręcica i odprowadziwszy go w głąb pokoju, zapytał :

— Czy pan zna tę kwestję bliżej?

Krępic spojrzał mu w oczy uważnie i odparł — że istotnie go to bardzo zajmuje, że pracując w jednej z większych fabryk, trochę się rozgląda w warunkach, ale że nie wie, co pan redaktor rozumie pod „bliższem poznaniem kwestji i." Wtedy tamten począł z nim chodzić po gabinecie senatora i starał się go objaśnić, że oni, choć ich przezywają zachowawcami, są rzeczywiście więcej postępowymi od czerwonych gardłaczy, którzy siły swoich mózgów marnują

tylko na to, by na białem dopatrzeć czarnego, że kwestja mieszkań robotniczych jest bardzo żywotna i nie była poruszana już dawno i że on, Krępic, jeśli zechce opracować jaki artykuł w tym guście, to znajdzie łamy ich dziennika otwarte.

— A czy pan przypuszczasz, że taki artykuł mógłby zachęcić przedsiębiorców? — zapytał Krępic bardzo zajęty. Ale tu redaktor wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem, to mnie nie obchodzi, to już są dalsze konsekwencje, które później mogłyby być nawet tematem do niezłej polemiki. Dla nas najważniejsze to, że kwestja jest żywotna. My zawsze jesteśmy gotowi myśleć o tem, co społeczeństwu najwięcej dolega, i dlatego byłibyśmy panu bardzo wdzięczni... Byle jak najwięcej danych statystycznych... dla publiczności cyfry

to grunt, to wzbudza zaufanie do artykułu... Bardzo, bardzo kwestja na czasie.

Mówił tak jeszcze długo i zaprosił Kręcica na swoje czwartki, na których bardzo chętnie widywał młode i świeże siły, poczem wrócili do towarzystwa, które już zgodnie przetrawiło suteryny i teraz się karmiło estetyką.

Młody student z pincenez na nosie wołał:

— Więc pan uważasz, że tendencja psuje utwór literacki?

— Bezwarunkowo — odparł z przekonaniem szczupły człowieczek z twarzą bez zarostu i ruchami z czasów Marivaux'a. — My krytycy żądamy, by autorowie przedstawiali nam życie takim, jakim ono jest rzeczywiście. Sztuka nie może być sługą tez, od tego są traktaty.

— Ale zważywszy, że traktatów nie czyta szersza publiczność? — upierał się młodzieniec, który miał moralne przekonanie, że jego stanowisko społeczne nakazuje mu być w opozycji.

— Więc dlatego ma mieć zepsuty smak? — zapytał krytyk. — Zadaniem beletrystów i poetów jest kształcić smak, zadaniem krytyków zaś czuwać, by wymaganiom estetyki stawało się zadość.

— A jednak Dickens zreformował sądownictwo i system szkolny w Anglii! Czy to mu należy zaliczyć do passiv'ów?

— Oh! Dickens... my mamy bliższe wzory do naśladowania. Mamy Mickiewiczów i Krasieńskich...

— Jakto, — zdziwił się teraz Krępic — pan chce dowieść, że Mickiewicz porywał tłumy tylko formą? Jąbym sądził, że publiczność istotnie wymaga od poezji i beletrystyki czegoś więcej, niż wiernej fotografii życia. Jeżeli społeczeństwo żyje w takich warunkach, że nigdzie nie słysząc

o ideałach, pragnie się z nimi spotkać bodaj w książce, to dla niego forma estetyczna chyba nie wystarczy.

W gabinecie zrobiło się cicho. Parę osób spojrzało na Kręcica jakby z obawą i wyszło, ale krytyk uśmiechnął się pobłaźliwie i po chwili rzekł:

— Znać, że panowie jesteście bardzo młodzi! Publiczność nie ma żadnych aspiracji tego rodzaju, to jest tłum, a psychologia tłumy jest bardzo zbliżona do psychologii stada owiec. Jeżeli jedna popchnięta albo nastraszona,

zdecyduje się iść w prawo, całe stado pójdzie w prawo. Bodźcem dla tej jednej owcy z tłumu publiczności jest krytyka i dlatego literaci słusznie piszą nie dla tłumu, lecz dla krytyki.

— Trochę to nieścisle — odezwał się na to przyrodnik, posiadający długi, czarny tużurek i długą, równie czarną brodę. — Wy wszyscy piszecie przede wszystkim dla samych siebie, a dopiero potem dla reszty z konfraterni literackiej. Publiczność to kłopot wydawców. Wy stworzyliście sobie królestwo w królestwie, jak masło rozplwacie się na słońcu z rozkoszy, gdy czytacie hymny, które dla was piszą ludzie z tego samego obozu, a chorujecie na żółtaczkę,

gdy po was jeżdżą ludzie z obozów odmiennych — i naodwrot. To jest zresztą sposób bardzo sympatyczny, bo wytwarza miłą równowagę, która czasami spowodowywa śmierć talentu z niestrawności, ale częściej do olbrzymich rozmiarów nadyma gazem wzajemnej adoracji balony, które podziwia tłum, nic się nie domyślający, co siedzi w balonie.

Przyrodnik pogłaskał się po brodzie, bo lubił, gdy go słuchano, i zupełnie zadowolony, dodał:

— Zresztą, co do stada owiec, nie oponuję.

Wszyscy obecni, nie wyłączając literatów, poczęli się śmiać, a przedstawiciel sztuki wierszowanej, z okrągłości głowy, rąk i całej figurki podobny do kombinacji z kłębuszków, zawołał :

— Fe, profesorze, po co się irytować za to, że was nikt nie czyta, nawet literaci?

— Nie czytacie, bo nie rozumiecie — odparł profesor i poszedł grać w winta.

Towarzystwo jeszcze się chwilę z niego śmiało, potem zaczęło rozmawiać o polityce, i Krępic doszedł do przekonania, że zasada, której się powinny trzymać szklane naczynia, skazane na wspólny żywot z żelaznymi garnkami, nie jest wzięta w monopol przez Zygmunta ojca.

Opowiadano sobie nowiny głośno lub półgłosem, poczem się zgodzono z bezwzględną jednomyślnością, że głupotą jest szczerzyć zęby i szczeakać, jeśli się nie ma siły ugryźć i że cała nadzieja w tem, iż młodzież jeszcze niezupełnie

zepsuta i że jej coraz mniej daje się porywać wstecznym prądom.

Krępica wzięła wtedy chęć rzucić pytanie, co w obecnych warunkach nazywa się prądem wstecznym, ale się powstrzymała i wrócił do salonu.

Właśnie tańczono tam mazura, a Zygmunt prowadził jakąś młodą osobę w jasno popielatej sukni i pannę Maniusię. Młoda osoba była prawie tak wysoka, jak Znamieniecki, miała ciemne włosy gładko zaczesane, oczy podłużne, z wyrazem bardzo poważnym i odbijała trochę dziwnie nie tylko od swej sąsiadki, ale od całego tła salonu.

A panna Manusia, zobaczywszy Krępicę, pociągnęła tamtych i stając przed nim, zapytała:

— Kwiat, czy gwiazda?

— Chciałbym mieć i jedno i drugie — odparł z ukłonem — ale że nie tańczę, muszę być pozbawiony i ozdoby życia i jego światła.

Zygmunt się roześmiał.

— A co! Nie chciała pani wierzyć, ale on jest Katonem i nie tylko piękne oczy, lecz bramy piekielne go nie przemogą.

— Szkaradny pan jesteś! — nachmurzyła się panienkamotył, a gdy odeszli, zapytała:

— I to naprawdę pański przyjaciel od serca?

— Tak, pani.

— To i pan powinieneś uciekać od kobiet.

— Dlaczego?

— Przez przyjaźń.

— Alboż ja powiedziałem, że Kato ucieka od kobiet? On nawet jest feministą,

— Cóż to znaczy?

— Że jest wielkim przyjacielem niewiast. Teraz młoda osóbką w popielatej sukni dostała się jako gwiazda w chwilowe posiadanie studenta w pincenez, a panna Manusia znowu się zwróciła do Zygmunta,

— I panowie nigdy się nie różnicie w zdaniach?

— I owszem, ja byłem dotąd wrogiem świata niewieściego.

— Cóż to znaczy, owo „dotąd” i owo „byłem”?

— To znaczy, że zaczynam się zmieniać i że od czasu pewnej wizyty w Kamionce, dałbym wiele, by być przyjacielem — jednej kobiety.

Zygmunt mówił wesoło i lekko, tylko jego oczy miały swój zwykły wyraz. Panna Manusia odwróciła głowę, wszakże po chwili znowu na niego spojrzała.

— Czy pan mówi o Emilci Olchowiczównie? — zapytała żartobliwie.

— Nie — odparł swobodnie, ale głęboko spojrzął jej w oczy.

Teraz dziewczyna zaczerwieniła się, jak mak polny, zadrżała i doznała uczucia, jak gdyby przez nią przebiegł prąd elektryczny.

Poprowadził ją do kanapki, a gdy usiedli, ona znowu zapytała:

— Czy pan myślisz, że to tak łatwo zdobyć, albo ofiarować przyjaźń?

— Wiem, że niełatwo; przecież powiedziałem: „dałbym wiele”.

— Wiele?... Czasem daje się wszystko i nie ma się nic wzamian.

— Wszystko za przyjaźń? To lichy targ, panno Marjo.

Żartowali dalej, przyczem oczy Zygmunta błyszczały niezwykle, oczy jego towarzyszek coraz częściej się nakrywały rękami, a Krępic to patrzył na nich, to się przyglądał parom, przebiegającym salon, to słuchał przelotnych rozmów tych, które się zatrzymywały przy nim.



— Nie mamy typów trzeźwych — mówił do młodej osóbkę w popielatej sukni student w pincenez. — Pierwszy Sienkiewicz zrobił początek i dał nam przecie Połanieckiego, 'za którego mu się słusznie należy wdzięczność całego społeczeństwa. Płoszowski, to przedstawiciel generacji, która szczęśliwie schodzi z pola — Połaniecki, to typ przyszłości, który zostanie skryształizowany w nas, młodych.

— A ja bym sądziła, że pan źle rozumiał Połanieckiego — odezwała się jego towarzyszkę. — Byłoby smutno, gdyby młodzież przyszłości była tak wygodnie praktyczną i gdyby w Maryniach Pławickich widziała tylko tę dobrą stronę, że są „bardzo pewne” jako żony.

Odeszli oboje, lecz poważna dama, zagłębiona w fotelu przy drzwiach, przeprowadziła ich pogardliwym wzrokiem i rzekła do obok siedzącej towarzyszkę:

— Powarjowali z tym Sienkiewiczem — tylko

O tem mówią, ale młodzi muszą mieć na wszystko modę. Taki Płoszowski niby się to kochał, niby się miał oświadczyć, wkońcu się nie oświadczył, — nie ożenił — panna byłaby głupia czekać — i czego chciał, to tylko wie jeden Sienkiewicz, chociaż ja bym nie dała trzech groszy, że i on nie wie... Wołałam ja dawniejsze powieści! Krępic mimowoli się uśmiechnął, ale potem znowu popadł w smutną zadumę. Pomimo gwaru i nieklamanej wesołości, która zdawała się wypełniać salon po same brzegi, a właściwie wskutek gwaru i wesołości, jemu było nieswojo i samotnie.

Rozdziwieniu między bodaj chwilowym własnym nastrojem i chwilowym nastrojem otoczenia młode dusze nie są w stanie analizować spokojnie. Odczuwają go tak silnie, że o ile są wtedy skłonne do uogólniania wniosków i faktów, o tyle zupełnie zatracają zdolność do bezstronnego zastanawiania się nad ich przyczyną.

Krępic w gabinecie senatora zostawił humor, który był wyniósł dzisiaj z biura, a teraz, patrząc na postrojone kobiety, myślał o matce i mówił:

— Lalki!

Optymistą go nazywali w instytucie i kto wie, czy nie mieli racji. Może naprawdę większość ludzi jest bezduszną, głupią, albo znikczemnią? Może naprawdę walka z tą głupotą i znikczemniem będzie nie ciężka, lecz wprost niemożliwa, bo podniesiona przez jednostki odoso

bnione? Ibsen ufa tylko w siłę takich odsobnionych, wierzy w moc filarów, na których stanie gmach przyszłej prawdy, ale kto wie, czy wielki mistrz pesymizmu nie jest warjatem, biednym don Kiszotem optymistą?

Krępic już oddawna miał wrażenie, że przed nim, zwolna, wznosi się mur, który go oddziela od jego wielkich ukochań. Ale tu po raz pierwszy uczuł, że ten mur jeszcze wytwarza wkoło niego próżnię i że takie uczucie odosobnienia, zamiast potęgować energię, wbrew twierdzeniu ibsenowskiego bohatera, osłabia ją, a nawet prawie sprowadza do zera.

Nie lubił się poddawać zniechęceniu, ale obecnie było mu jakoś trudniej otrząsnąć się z niego.

— Gdyby tak namówić Zygmunta i dać nura? — myślał i począł szukać wzrokiem kolegi.  
Lecz nim go odnalazł, spotkał się z oczami, które tkwiły w jego twarzy badawczo i poważnie.  
— Aha, to owa przeciwniczka Połanieckiego — przeleciało mu przez głowę.  
Tuż obok niej siedział Zygmunt, a dalej panna Manusia, więc Krępic się zbliżył i stanął przed nimi.  
— Widzę, że się pan nudzi! — zaśmiała się panna Sławska, poczem ruchem głowy wskazując sąsiadkę Zygmunta, dodała:  
— Ta poważna osoba także się nie zachwyca tańcem, więc powinniście się państwo pocieszać wzajemnie.  
— Naprawdę? — zwrócił się zaraz Krępic do właścicielki popielatej sukni i poważnych oczu.

Uśmiechnęła się, a ten uśmiech szedł jej nietylko z ust, lecz także z oczu i całą jej twarz rozjaśnił.  
— Ależ i owszem, lubię się bawić, — odparła — tylko niezawsze się jest w odpowiednim usposobieniu.  
— To znaczy, że pani wyjątkowo dziś nie jest nastrojona na nutę majorową — zauważył znów Krępic i siadł przy niej.  
W tym samym, trochę żartobliwym tonie rozmawiali jeszcze chwilę, poczem ona urwała i patrząc mu w oczy z jakimś dziwnym wyrazem, rzekła:  
— Jestem panu serdecznie wdzięczna za Staśka Palczaka.  
Był tak zdziwiony, że się cofnął.  
— Nie rozumiem... jakim sposobem... skądżeż pani wie o istnieniu Staśka Palczaka? — zaczął wreszcie i patrzył na nią badawczo.  
Ona zaś roześmiała się, widocznie ubawiona jego miną. :  
— O! nietylko wiem, ale znamy się bardzo dobrze i oddawna. Pierwsza nitka sympatji zawiązała się między nami w zeszłym roku przez jego małą siostrę, z którą wyjeżdżałam na kolonie letnie.  
Pani wyjeżdżała na kolonie letnie? ...  
— Jako nauczycielka. W tym roku także pojedę.  
Przyglądał jej się coraz bardziej zdziwiony.  
— Skąd w tym salonie wzięła się nauczy

cielka i do tego taka, która wyjeżdża z dziećmi na kolonie? — myślał.

A ona tymczasem mówiła:

— Stasiek przychodzi do mnie z każdą książką, jaką tylko od pana dostanie, i gdybym go nie wypędzała, mógłby godzinami bawić mnie opowiadaniem o panu inżynierze. Czy pan zna całą jego rodzinę?

— Nie, tylko ojca. Był dawniej woźnym w jednym z czasopism, a teraz jest przedsiębiorcą, który w naszym domu obsługuje wszystkich osobników męskich, nie posiadających żon.

Uśmiechnął się.

— To jest zabawny człowiek. Przez dawne stosunki redakcyjne dostaje jakimś, sposobem dwa tygodniki i czyta je od deski do deski. Niech pani zgadnie, jakie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a on rzekł :

— „Przegląd Tygodniowy” i „Przegląd Katolicki.” Czasami wyciągamy go z Zygmuntem na dysputę i bawimy się kokosowo! Ah, przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi. Znam język studentów, a że pan niedawno przestał być studentem, więc się wybacza.

Krępic zapomniał o pesymizmie i o Ibsenie i co chwila śmiał się teraz tak szczerze, jak panna Manusia.

A gdy wrócili do domu, już szary świt zaglądał przez okna.

— Jakże się bawiłeś? — zapytał Zygmunt.

— Z początku byłem zły, ale później bardzo

dobrze. Nie wiesz, jak się nazywa ta panienska w popielatej sukni?

— Nie wiem.

— Wyobraź sobie, jakaś nauczycielka i w dodatku, zdaje się, bardzo porządna dziewczyna. Zachodziłem w głowę, skąd ona się wzięła w takim towarzystwie.

— Aha! mruknął Zygmunt już w łóżku. — Musiałeś się ładnych rzeczy nasłuchać w gabinecie wuja, ale dziś mi się chce spać i w dodatku już wolę sobie nie psuć humoru. Jutro musisz mi opowiedzieć, jak rozwiązywaliście węzeł wuja senatora... tylko nie zapomnij nic...

Krępic byłby wolał wygadać się zaraz. Nie chciało mu się spać, miał w głowie urywki mazura i walców i czasami, jak echo, wracały do niego słowa nauczycielki : Jestem panu serdecznie wdzięczna...

— Musi być inteligentna i ma serce... Ciekawość, czy doznaje takich zniechęceń, jak on... ale skądżeby? Do tego jest potrzebny wzrok daleki i głęboki, marzenia szerokie i — życie. Skąd ona może znać życie? Czy przyjrzała się kiedy zbliżka szarym masom, chciwym, zuchwałym, kłębiącym się nienawiścią, w ciemnościach, nie rozjaśnionych ani iskierką światła, ani żdźbłem miłości? Czy jest w stanie pojąć całą nędzę ludzi, którzy śpią strachem przykryci i dobrze im, bo mają spać na czem, albo nicość tych, którzy u steru zasiedli i jak w togi, tak się owinęli w sztandary, że zasłonili przed sobą i za sobą... wszystko.

Podniósł się, stanął przy oknie i oparłszy czoło o chłodne szkło, stał bez ruchu.

Miasto spało; jego oddech, tłumiony nocą, dolatywał aż tu, niby daleki szept wodospadu; w górze błękitniał poblądły szmat nieba, złotem tkany; świeciło i gwiazdy białeły.

Krępic zapatrzył się na szare morze dachów i murów i oto poczęło go nagle zdejmować rozrzewnienie i litość dla tej półmilionowej masy istnień, która pod temi dachami śpi, niepewna, co ją czeka jutro, radość, czy cierpienie?

A potem podniósł wzrok w górę. Okrawek nieba począł mu w oczach rosnać, obejmował coraz szersze przestrzenie, coraz dalsze horyzonty, aż porwał za sobą jego wszystkie myśli i ziemię niemi objął. Teraz chłopak odetchnął i

zapatrzony w mleczną przestrzeń, uczuł w sobie tyle mocy, że gdyby ten jego świat miał tylko jedną duszę, gdyby on mógł ją przygarnąć do piersi jednym objęciem i tchnąć w nią własnego ducha — niechajby ją wyziębili na sopel lodu... Bodaj ofiarą własnego życia rozgrzałby ją — aż do zdolności kochania.

#### IV.

— Panowie, przynoszę wam odpowiedź pana Rottego!

Szef miał minę sztucznie uroczystą, z kącików jego ust i z każdego zagięcia pomarszczonej twarzy wyglądał szyderski uśmiech.

Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski podnieśli się natychmiast i zbliżyli do dyrektora biura. Reszta wstawała ze swych miejsc, jakby się ociągając, a pan Aromacki mówił:

— Ci z panów, którzy zdążyli się porozumieć z właścicielem fabryki, pozostają na wiadomych im warunkach.

Technicy: pan Krępic i Znamieniecki zechcą łaskawie pofatygować się do kantoru, gdzie na nich pan Rotte czeka.

Inżynierowie Rańkowski i Matelski zostali uwolnieni na własne żądanie...

Milczenie. Szef stał na środku sali i patrzył na swych podwładnych, podzielonych na dwie gromadki. Po jednej stronie Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski, po drugiej reszta; pierwsi z nieopisanym zdziwieniem na twarzach, drudzy bardzo zmieszani.

— Więc ci panowie porozumieli się z właścicielem? — zapytał wreszcie Krępic i ruchem głowy wskazał na Galewicza i jego towarzyszy.

— Czy można się dowiedzieć, na jakich warunkach, co do osoby pana Cimaszki? — ciągnął dalej, a głos mu drżał hamowanym oburzeniem.

— To pozostawiono do uznania panu Rottemu.

— Aaa... tak.

W głosie Kręcica była nieopisana pogarda, a szef znowu się szydersko uśmiechnął, poczem rzekł

— Nie lubię takich maskarad, bo wiem, na czym się zwykle kończą i dlatego mojego podpisu nie dałem. Wszakże bardzo mi przykro, że ci z panów, którzy mogą najmniej ryzykować, zostali wysadzeni z siodła. Pan Matelski ma sześćdziesiąt rubli miesięcznie i o ile wiem, utrzymuje matkę, inżynier Rańkowski zaś posiada bardzo liczną rodzinę... Nie rozumiem, jak można o takich rzeczach zapominać.

Tu zwrócił się do Znamienieckiego i Kręcica.

— Zdaje mi się, że cała wina leży po stronie panów. Wszelkie zbiorowe protesty były dotąd nieznanne w naszej fabryce. Do panów więc należy skorzystać ze stosunku, jaki was łączy z panem Rottem, i złe naprawić. Myślę, że ta cała komedia skończy się na niczym, byle pan Znamieniecki zechciał się o to postarać.

Zygmunt był zdziwiony.

— Jakto, komedja? Pan to nazywa komedją?

— Tak, dla tych panów te rzeczy nazywają się farsą, — przerwał mu Krępic i wyprostowany, mierzył wzrokiem Galewicza — tylko ja z takimi ludźmi kolegować nie będę. Uważam Cimaszkę za niewiele większego szubrawca. Stał chwilę, jakby czekał na odpowiedź, poczem zwrócił się do szefa.

— Jutro pierwszy, więc mam prawo uważać się za uwolnionego od obowiązków.

I wyszedł, a wkrótce potem wyszli Znamieniecki, Rańkowski i Matelski.

— Jeżeli panowie sobie życzycie, — rzekł pierwszy — pójdę do Rottego i spróbuję pomówić z nim w naszym interesie. Rotte jest kolegą mojego ojca, który kiedyś dał mu kapitał na jego pierwsze przedsiębiorstwo. Myślę, że może mi nie odmówi, zwłaszcza, że roboty w biurze jest dużo. a my z Krępicem ustępujemy.

Tamci milczeli obadwaj, wreszcie Rańkowski zaczął pierwszy:

— Nie, dziękuję panu. Nie przewidywałem takiego końca, bo wszyscy razem nie ryzykowaliśmy nic. Dyrektor byłby musiał ustąpić, ale teraz, trudno. Słowo się rzekło i jeśli Cimaszko ma pozostać, ja się postaram o inne miejsce.

Uśmiechnął się gorzko.

— To może będzie skuteczna nauka dla tamtych. Pan Krępic powiedział im trochę za ostro, ale... oni już widać nie biorą takich rzeczy do serca.

— A ja myślę, że to będzie nauka ze skutkiem wręcz odwrotnym. Dowiedzieli się na cudzej skórze, jak jest niebezpiecznie żartować z ka

prysem pana dyrektora — roześmiał się Znamieniecki i bardzo serdecznie u ścisnąwszy ręce obudwóch, poszedł do domu.

Lecz ten dzień był widocznie przeznaczony na niespodzianki, gdyż tego samego wieczoru zjawił się w mieszkaniu przyjaciół Galewicz.

Zerwali się obadwaj bardzo zdziwieni, a nieproszony gość chwilę zatrzymał się przy drzwiach, poczem nagle się zbliżył i zaczął mówić, widocznie zmieszany:

— Przepraszam panów... To jest przykre nie tyle dla was, ile dla mnie, ale ponieważ najwięcej zawiniłem... zresztą mnie szczególnie zależy na tem, byście zmienili zdanie...

Patrzyli na niego zimno i nie prosili siedzieć, on zaś odetchnął i mówił dalej już trochę pewniejszym głosem:

— Po wyjściu panów z biura porozumieliśmy się wszyscy i pomimo protestu pana Aromackiego, udaliśmy się do pana Rottego. Tym razem ustąpił. Czy pan zechce teraz cofnąć to, coś nam powiedział w biurze ?

— Tak, przepraszam pana — rzekł Krępic i wyciągnął do niego rękę. — Zatem Cimaszkę wyrzucą ?

— Wyrzucą.

— A Rańkowski i Matelski?

— Zostają. Przecież nam szło głównie o nich.

— No, to szczęśliwie! Siadaj pan.

Ale Galewicz nie chciał siadać. Przyszedł tylko im się wytłumaczyć, oraz zapytać, czy nie mogliby się porozumieć z Rańkowskim.

— Ja muszę jeszcze być u Matelskiego — kończył. Przyszły nowe zamówienia i pan Rotte sobie życzy, by jutro nie brakowało nikogo w biurze.

— Dobrze, pójdziemy do Rańkowskiego. Z dobrą nowiną w kieszeni, to nie przykróść!— zawołał Zygmunt i odprowadził Galewicza aż do drzwi.

Potem wrócił. Chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie uścisnęli się, bo mieli w sercach uczucie zadowolenia i tryumfu. A gdy przy ulicy Smolnej zadzwonili do mieszkania starego inżyniera, otworzył im drzwi Matelski.

— Jakto, pan tu? — zdziwił się Zygmunt.

— A tak, razem się pocieszamy.

Ale Krępic począł go potrząsać za rękę bardzo energicznie i mówił wesoło:

— Prawdziwe pocieszenie dopiero my przynosimy !

Zaraz też w przedpokoju opowiedział mu szczegóły odwiedzin Galewicza, a gdy się zjawił Rańkowski, zaczął je powtarzać od początku i z równą przyjemnością. Wprowadzono ich do pokoju, który był, zdaje się, jadalnym, a stary inżynier, posadziwszy ich na małej kanapce, sam chodził przed nimi, zacierał ręce i mówił:

— To się spisali!... Anim przypuszczał... Ta Winia ma zawsze rację.

Potem nagle podszedł do drzwi przeciwnych i zaczął wołać:

— Winiu, pójźno do nas, dziecko!

— W tej chwili, ojczulku! ..... odpowiedział głos, który wydał się Krępicowi nieobcym.

I zaraz też weszła do pokoju młoda, wysoka osobka, z ciemnymi włosami, zaczesanymi gładko i z podłużnymi oczami indjanki.

Gdy się podnieśli, Rańkowski rzekł:

— Nie przedstawiam panów, bo już się znacie z wieczoru u państwa Łamkowskich.

A panna Winia podała rękę jednemu i drugiemu i uśmiechając się trochę smutno, mówiła:

— Zdaje się, że panowie obadwaj nie wiedzieli, kim jestem. Tylko ja byłam panią położenia.

Poczem usiadła, a gdy jeszcze weszła pani Rańkowska, znowu zaczęto rozmawiać o wypadkach biurowych.

— Gdyśmy się tu zólcili na naszych koleżków, kończył opowiadanie gospodarz — Winia ich broniła i okazało się, że miała rację.

Ale Krępic się zdziwił.

— Pani ich broniła? I na jakiej zasadzie?

— Ależ nie. Ja tylko twierdziłam, że w każdym człowieku musi być coś dobrego i że nie należy nigdy nikogo potępiać stanowczo. Teraz tem bardziej będę wierna mojemu przekonaniu.  
Gdy weszły, i matka i córka zdawały się być bardzo przygnębione, a pani Rańkowska miała nawet powieki jakby napuchnięte od płaczu. Lecz teraz twarze obu rozpromieniły się widocznie, panna Winia zaś wpadła w tak dobry humor, że ucałowała ojca i zawołaawszy: — Muszę ta opowiedzieć dzieciom! — wybiegła.

Matelski przeprowadził ją wzrokiem, a Krępic ten wzrok pochwycił i dojrzał w nim uwielbienie.

— No, a teraz, kiedy już wszystko w porządku, — mówił tymczasem stary inżynier — nie puszczę panów i przegawędzimy sobie cały wieczór. Mamusia niech się dla nas wystara o herbatę.

Poczem zwrócił się do młodych i ciągnął dalej :

— My bo się niebardzo bawimy w gości, ale, jeśli kto łaskaw, bardzo jesteśmy wdzięczni i radzi. Salonów, jak panowie widzicie, nie mamy, bo matka i Winia twierdzą, że lepiej mieć wygodny kącik dla siebie, niż salon, który się używa raz na miesiąc i próżno miejsce zajmuje. Może i mają rację.

— Wielką! — poparł gospodarza Matelski. Lecz panna Winia wróciła, a gdy usiadła, rozmowa przybrała inny kierunek.

— Czy prawda, — zapytała — że firma Rottego będzie miała reprezentację w Odesie?

— Prawda — rzekł Rańkowski — i nawet w fabryce już szeptali o domniemanym reprezentancie.

Spojrzał na Znamienieckiego, a Krępic to spostrzegł i zapytał zdziwiony:

— Czy pan mówi o Zyguncie?

— Tak, wszyscy przypuszczają, że Rotte nie odmówi panu Znamienieckiemu, co, nawiasem mówiąc, nie byłoby złym wyborem.

Ale Zygmunt wzruszył ramionami.

— Nie mam zamiaru stawiać kandydatury i nie przyjąłbym reprezentacji, nawet gdyby pan Rotte ofiarował mi ją własnoręcznie, czy też własnoustnie. Przyzwyczaiłem się do Warszawy.

Rańkowski przyglądał mu się z zajęciem.

— No, — rzekł wolno — pan Rotte jeszcze nigdy nic i nikomu nie ofiarowywał ; sam zanadto lubi być proszonym, ale ostatecznie taka reprezentacja warta trudu. Ze swojemi zdolnościami i towarzyskiemi zaletami, nietylko rozwinąłbyś pan interes, ale sam zrobiłbyś majątek w przeciągu lat kilku.

Krępic popatrzał na przyjaciela.

— On nie bardzo potrzebuje robić majątku, bo o tem myśli jego ojciec, a prosić nie umie.

Rańkowski na to pokręcił głową.

— No, jeśli panowie obydwaj trzymacie się tej zasady, to nie daleko zajedziecie.

— Dlaczego? W każdym interesie cenią zdolność i pracę. nam podnieśli na Nowy Rok pensje, choć nie prosiliśmy.

— A wiem, wiem i dziwię się, bo u nas tego dotąd nie bywało.

Stary pomocnik inżyniera patrzył na Kręcica z życzliwym uśmiechem, a panna Winia zapytała:

— Któż wobec tego dostanie reprezentację?

— Prawdopodobnie Galewicz. Jest próżniak i lekkoduch, ale zdolny, umie chodzić koło swoich interesów i z pewnością teraz pochodzi. Nie wiadomo tylko, jak na tem wyjdzie firma.

— A pan postawisz kandydaturę? — zapytał nagle Kręcic.

— Nie.

— Dlaczego?

— A dlaczego pan nie stawiasz swojej ?

— Ja? Dlaczegoż ja mam stawiać? Jestem dopiero pół roku w fabryce, nie mam protekcji, więc i szans żadnych, a prócz tego...

— Nie umiem prosić i także przyzwyczałem się do Warszawy — dodał za niego Rańkowski. — Czy pan naprawdę przypuszczasz, że prócz ciebie i pana Znamienieckiego, nikt więcej nie posiada pewnych właściwości charakteru i — pewnych uprzedzeń?

Skrzywił usta tem właściwem mu skrzywieniem, które nadawało jego twarzy wyraz równocześnie szyderski i smutny.

— ja siedzę w fabryce dwadzieścia lat i mam siedmdziesiąt rubli miesięcznie. Orzeł ze mnie nie jest, to prawda, całe życie się kuło, ale pracę się dawało, jak się mogło. A no, w zeszłym roku Stelski et Com. chcieli mię wysłać także, lecz zawiązałem los i sobie i dzieciom, bom głupi.

Kręcic nie spuszczał z niego oczu.

— I czemu, czemu pan nie przyjąłeś? — zapytał szybko, prawie gorączkowo.

— Czemu ? A no, ja chciałem, bo już mam po grdykę biedy i swojej i pędraków, tylko u nas, na nieszczęście, baby rządzą. Moja żona — tu ruchem głowy wskazała na panią Rańkowską, która z pomocą podlotka w mundurku nakrywała stół do herbaty — otóż kobieta na nos utyka od roboty, bo to ma jeszcze czterech chłopaków, ale jak przyszło co do czego, stanęła jak mur.—

Małe dzieci — powiada— to niby wosk, albo glina, wszystko się na nich odcisnie i do nich przylgnie, niechaj się więc odciska i przylega to, co w kamień stwardnieć powinno. A ta gęś — tu wskazał ręką na pannę Winię, która już nie słuchała, co jej mówił Matelski, i miała mgłę na oczach — dawaj w płacz, w prośby i w przyrzeczenia, że sama na wpisy chłopaków zarobi. Cóż mógł na to poradzić taki stary niedołęga, jak ja?... Tak, tak, drodzy panowie, zaszlibyśmy nieraz daleko, dalej niż myślimy, tylko, na gorszą biedę, kobiety mamy uparte jak ten perz na ugorze. Depcz po tem, orz pługiem i bronami włócz, a to precz zielone pióra puszcza i tak puszczać będzie, da Bóg, zawsze. Zatrzymał wzrok na ciemnej głowie córki, a było w tym wzroku tyle dumy i prawie pychy, ile zazwyczaj mieściło się w nim gołębiej poczciwości. Lecz pani Rańkowska poprosiła na herbatę, ukazało się też czterech chłopców w



szkolnych bluzach, z których najstarszy mógł mieć lat piętnaście, a najmłodszy z dziesięć, i wszyscy zasiedli przy stole.

Krępic miał miejsce przy pannie Wini, był czegoś ogromnie rozradowany i co chwila zamieniał błyszczące spojrzenia z Zygmuntem, który w tym jasnym, lecz skromnym pokoju, obok chłopaków z rozwichrzonymi czuprynami, Rańkowskiego i nazbyt wybujałej postaci kolegi biurowego wyglądał, jak królewicz z bajki.

Panna Winia to zauważyła.

— Nasłuchiwałam się wiele o urodzie pana Znamienieckiego, — rzekła do Kręcica — na balu

wydał mi się trochę szablonowym, ale teraz widzę, że to jest rzeczywiście twarz niezwykła i wprost przepiękna.

— Miał taką piękną matkę — odparł Krępic, poczem jeszcze zapytał: — Czy pani to wszystko słyszała od panny Sławskiej?

— Tak.

I uśmiechnęła się.

Panie się często widują? Skąd ta znajomość?

— Niezupełnie w naszym tu stylu, prawda?

— Nie wiem, jak mnie pani zrozumiała, ale jeśli dobrze, to prawda.

— I owszem, zrozumiałam, tylko pan się trochę myli. To bardzo dobre dziecko, to materiał, z którego odpowiednie warunki mogłyby zrobić coś pocziwego. Już od paru lat daję jej lekcje muzyki, a teraz, wiesz pan czego ?

Patrzył na nią pytającym wzrokiem, więc zaraz dodała:

— Historji i nauk społecznych.

— Skądże taki kaprys?

— Otóż właśnie pan się myli, bo nie kaprys. Niezawsze rozumie pana Znamienieckiego i przyszła do przekonania, że za pomocą tych kluczy zrozumie go lepiej.

Krępic się zamyślił i po chwili rzekł:

— Więc to aż tak serjo? Szkoda!

— Czemu szkoda? — spytała panna Winia. — Ona ma ze dwakroć posagu po ojcu, a będzie miała jeszcze ze dwa razy tyle, bo pan Łankowski zapisze jej wszystko. I matka i ojczym ubóstwiają to dziecko.

— Zdążyłem to zauważyć, ale nie przypuszczałem, żeby pani była taką materjalistką.

Powiedział to żartem, lecz ona się zarumieniła i poczęła tłumaczyć, a on na to rzekł poważnie :

— Wyraziłem się: szkoda, bo mam wątpliwość co do Zygmunta. Jest pod tym względem szczególnie egzaltowany.

Doznawał w życiu niewiele serca, własnych uczuć nie rozpraszał i twierdzi, że żona musi mu to wszystko wynagrodzić. Nie ożeni się bez gwałtownej skłonności, na którą czeka, aż przyjdzie sama, i do której, przypuszczam, będzie zdolny.

Teraz zamyśliła się panna Winia, popatrzyła na pana Znamienieckiego i rzekła:

— Szkoda!

Ten wieczór przeleciał wszystkim, jak na skrzydłach i wszystkim, zdaje się, pozostawił miłe wrażenia.

— jeżeli kiedy czas się będzie dłużył, prosimy bardzo — rzekła przy pożegnaniu Rańkowska.

Jej mąż zaś dodał:

— No, już drogę panowie znacie... ale może was trzeba rewi zytować, bo to wy na te formy zwracacie uwagę.

Lecz Znamieniecki potrząsnął głową.

— Nie zwracamy i nie będziemy zwracali, tylko byłoby nam bardzo przyjemnie mieć pana u siebie.

— O tak, bardzo! poparł przyjaciela Krępic — A my tu będziemy zaglądali, jak do źródła, z którego się czerpie wiarę i odwagę.

Na co panna Winia się uśmiechnęła i podając mu rękę, rzekła pół serjo, pół żartem:

— Proszę przychodzić, ile razy będzie panu smutno.

— O, w takim razie gotów jestem pragnąć częstych smutków!

— Nie, tego pan nie pragnij, — odparła — tego jest aż nadto, wszędzie, gdzie spojrzeć.

Zdaje się, że tylko inżynier Matelski nie był zupełnie zadowolony.

Odszedł do domu ze spuszczoną głową, kiedy obaj przyjaciele wracali w bardzo dobrych humorach. Zygmunt pogwizdywał i co chwila mówił:

— Porządny człowiek! Takich trochę mniej, niż kamieni przy drodze! Trzeba się będzie bliżej z nim porozumieć.

, A Krępic milczał, lecz po głowie latały mu myśli tak jasne, jak te białe płatki, które majowy wiatr otrząsa z kwitnących wisien.

— Sam! Czemu on bał się tej myśli, kiedy są tacy, którzy się jej nie boją? Każda z takich myszy polnych zrobi swoje, choć nic nie wie o innych. Jest ich pewno więcej, może bardzo dużo, ale poznają w sobie braci dopiero wtedy, gdy się zamieniają w miliony! A teraz przed siebie, niechaj w ciemnościach, byle z myślą o słońcu! Szczęśliwy Rańkowski! Co można porównać z tem uczuciem, z jakim on dzisiaj patrzył na swoją córkę? W takim nigdy nie umrze to, co żyć powinno. Los go może prowadzić przez cmentarze, między trupy i szkielety — on od tego widoku

nie zlodowacieje, bo w domu czekają na niego serca, które go ogrzeją i przypomną, że jeszcze nie zbrakło tych, którzy mają odwagę żyć i wierzyć! To pancerz taka gałązka bluszczowa, wyrosła w mroku i chłodzie, przytłoczona gładem, a jednak wieczyście zielona.

Matelski nie głupi... wiedział, gdzie trafić... Jak mu podniosą pensję, pewno się zaraz ożeni i będzie mu dobrze na świecie. Wodzi za nią oczami, jak za światłem; tylko miłość to kwiat, z którego małżeństwo zrobi to, co mu się podoba... Główna rzecz dzieci. Rańkowski odradza się przez nie, a taki Bodzewicz... pracuje jak kamieniarz, z temi swemi obwisłymi wąsami jest podobny do czapli, żerującej na łąkach, lecz gdy wróci wieczorem i weźmie na kolana

Janka albo Marysię, Krępic mógłby przysiąc, że tej zapracowanej godziny ten człowiekby nie oddał za zbawienie świata. Olbrzymia siła! Bodziewicz obrócił ją całą na poruszenie tylko jednego kółka, jednej maszyny — rodziny, ale to nie wina siły, że ją w ten sposób zużytkowano. Powinno się przerwucić transmisję na inne kółka i on, Krępic, nie mógłby żyć, gdyby tego nie był w stanie zrobić. Kto wie, może i Bodziewicz byłby inny człowiek, gdyby jego koło potoczyło się po gładszej drodze? Przecież jest przy nim ona!

— Matelski wygląda na konkurenta, prawda? — zapytał głośno,

— A tak, ma dobry gust.

— Co, podobała ci się? Oczy ładne, ale troszkę jakby skośne.

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Co ty się znasz! To właśnie ich cały urok. Gdyby Mamusia Sławska je miała przy tym swoim wschodnim nosku, Warszawa szalałaby za nią.

— A jaby myślał, że panna Sławska ma ładniejsze oczy, bo większe.

— Jak u kozy... Dzieciak! A to kobieta! Pójdziemy tam znowu, wołę to, niż rozmazanego Bodziewicza, który jest zły przy gościach, bo przecie ma żonę i dzieci dla siebie, nie dla kogo.

Krępic zaś odparł:

— Pójdziemy, ale i do Bodziewiczów trzeba zaglądać. Ona takie biedactwo, nigdzie nie bywa, bo „Jaś nie lubi i jest tak zapracowany!” odmawia sobie książek, bo czytelnia kosztuje pół rubla, „a on taki zapracowany”. Dziwna rzecz, jak niektóre kobiety umieją się wyrzec siebie... i taka panna Sławska... kto wie, czyby nie była podobna...

Zygmunt parsknął śmiechem.

— Przeholowałeś w optymizmie, bo co do tej, upewniam cię, że wszystkich poświęci dla swego: chcę.

— Nieprawda, miłość przetwarza kobiety, tylko ty nie umiesz patrzeć... Jaby ci radził, żebyś się z nią ożenił, zamiast jej głowę zawracać.

Zygmunt aż stanął.

— Człowieku o znanej logice, gdzie się podziało światło twego mózgu? Moja żona, matka moich dzieci, ta koza — motyl! Nie, jesteś dziś w usposobieniu krotochwilnem!

Zadzwoił do bramy, a gdy się znaleźli u siebie i zapalili światło, dostrzegli na biurku list.

— Od Kuby! — zawołał Krępic i rozerwawszy kopertę, czytał:

„Przezacny Katonie i boski Romantyku! Wyobraźcie sobie, że maluczko, a będę się musiał „wylać” z budy. Wątroba mnie boli od tej myśli, albowiem umiłowalem tę nikczemną dziurę, jak żaden Chryzostom nie miłował okrutnej Marceli, Niewiasty pod psem, ale pal je sześć, kiedy są ludzie! Wypchajcie tam jaki zacny siennik uczciwą słomą, uprzątńjcie kąp pod piecem i gotujcie flotę na trzech. Ja do waszej spółki mogę się przyłożyć tylko suchotami wszystkich kieszeni. A może tam w której budzie jest szpara, to mnie wepchnijcie. Nafta w Paryżu, chodzi i zbiera

liście dębowe, słyszeliście ? Poleciał za jakimś palcowym akrobatą, akrobatę na koncercie złapała jakaś choroba. Nafta po przyjaźni dawaj go wyręczać! jak mu klawisze zaczęły jęczeć, płakać, całować i skowronkować, Francuzki poszalały. Podobno był zgiełek, mdłości, rzucanie kwiatów, noszenie na rękach i wszystko, co się politycznie nazywa entuzjazmem. Nie wiem, co on tam z tym swoim jowiszowym nosem zrobił, boć to ci Panamczycy za Izraelem się nie rozpadają, ale może już teraz tak gra, że mu i nos maleje.

A Wakowicza razem z nadziejami i karierą wysypali z Dąbrowskiej. Na jakiś czas wstrzymał się z matką głupich, która mu „furt” obiecywała, że go zrobi naczelnikiem komunikacji i tymczasem pojechał do jakiegoś „serce wujaszka”, który

słabuje i „nie słyszy polepszenia”. Daj mu losie lekką śmierć i natchnienie do zanego testamentu! Wakowicz dobry chłop, tylko głupi bezecnie, a Nafcie pewno już się zdaje, że jest Kantem w kwadracie i Szopenem w sześcianie! Dajcie pysków i pamiętajcie o sienniku. Wątroba mnie boli okrutnie!

Wasz Kuba.

Zygmunt i Krępic trochę się zaniepokoiili i zmartwili, a byli też i radzi.

— Lepiej, że będzie z nami — zgodzili się obydwaj, Znamieniecki zaś dodał:

— Pewno mu potrzebny zimny prysznic i Warszawa mu go da. Lepiej!

I czekali go codzien, lecz długo napróżno. A tymczasem po dżdżystej Wielkiejnocy, powietrzem zaczęły iść fale, pachnące wiosną. Zawiał wiatr południowy, rozegnał chmury, potem do ciepłej ziemi przypadł i młodemi żdźbłami ruszał, jakby się radując, że słońce na świat spojrzalo i śmieje się. '

Była wtedy niedziela. Zygmunta zabrali Łamkowscy na obiad, Krępic siedział w domu sam i patrzył, jak na gzemisie okna trzepotały się dwa wróble. Ciepły wiatr poruszał firanką, na stole drgała jasna plama słońca i zdawała się szeptać — wiosna! Młody inżynier zawsze w takich chwilach czuł w sobie i radość i smutek. Wracały fale wspomnień bardzo dawnych i bardzo kochanych i grały mu na duszy jak pieszczota. Wtedy odczuwał ciepło słońca, innego niż teraz, widział

fale rzeki, srebrne na pomarszczonych grzbietach, i widział jeszcze bosc chłopię, uwijające się po łąkach na żrebacku — depczące złotogłowia z kaczeńca, ze skowronkiem nad głową i pieśnią w duszy... Hej! jakie to stare dzieje!

W takim dniu samotność cięży jak ołów. Krępic porwał za kapelus i wmieszał się w tłumy, które się ulicą toczyły stubarwną tęczą i miały na twarzach wiosnę.

— Jeżeli natura dała sercom ludzkim aż tyle przeczucia szczęścia, to tego szczęścia musi być dużo na świecie, tylko trzeba umieć szukać i znaleźć ! — myślał i szedł tak prędko, jakby istotnie coś gonił. A potem nagle stanął. Nie, ten tłum nic go nie obchodzi, on musi iść do ludzi, którzy mu są bliżsi, do takich, którzy go kochają. A więc dokąd? Do Rańkowskich, czy do Bodziewiczów ?

Bodziewiczowie, to równoznacznik rodzinnego ciepła i miłości, jemu teraz potrzeba choć popatrzeć na takie ciepło: pójdzie do nich.

I poszedł, a po chwili wszedł w bramę domu przy ulicy Złotej i w poprzecznej oficynie na trzecim piętrze zadzwonił. Bodziewicz, który miał posadę na kolei i najem powozów, cały tydzień pracował, jak murzyn, a w niedzielę spał. I teraz tak było. Za to pani Marychna siedziała w saloniku, u jej nóg na dywanie bawiły się dzieci, obok niej panna Emilcia opowiadała coś bardzo żywo. Obie powitały Kręcica serdecznie, a pani Bodziewiczowa rzekła:

— Bardzo pan dobry, że pan przyszedł. Na to Kręcic odparł:

— To nie skutkiem dobroci, tylko egoizmu. Mam taką naturę średniowieczną, że czasami tęsknię do widoku ludzi, którzy mają kogo kochać, i dlatego przyszedłem.

— Powinieneś się pan ożenić — uśmiechnęła się pani Marychna, a panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Ze też te mężatki chciałyby wszystkich żenić i wydawać za mąż...

— A pani temu zawsze przeciwna?

— O! nic pan nie wie! Ona teraz gwałtem się wybiera namedycynę i cóż tu wobec tego mówić o mężu?

— Serjo?

Ale panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Skądżeż! To jeszcze bardzo dalekie. Przedewszystkiem wyrób mi u rodziców, żebym mogła po wakacjach wrócić do Warszawy — zwróciła się do siostry.

— Przedewszystkiem wrócisz z patentem do domu i będziesz się leczyła. Wygląda jak cień, prawda, panie Kręcic? Istotnie bardzo wyrosła i przypominała roślinę, hodowaną bez słońca i zanadto wybujałą. Twarzyczka jej się wyciągnęła, a przy papierowej cerze i lnianych włosach, oczy niemal raziły wielkością i ciemnym blaskiem.

— Tak, pani rzeczywiście potrzebuje wypoczynku — zgodził się Kręcic, przyczem pomyślał, że te jej oczy są chyba ładne, ładniejsze od oczu panny Maniusi i Wini, bo bardzo duże.

— Szkoda, że taka blada, biedactwo! — myślał dalej, a głośno rzekł:

— Czemu panie dziś nie wyszły na spacer? Śliczny dzień i pannie Emilji słońce zrobiłoby dobrze.

Lecz panienka wzruszyła ramionami.

— Także pan wpadł na pomysł! Przecież Jaś nie mógłby spać, gdyby nie wiedział, że tu są wszyscy i że z utęsknieniem wyglądają jego przebudzenia.

— Gdybyś miała męża — uśmiechnęła się na to pani Bodziewiczowa — i gdyby ten mąż pracował na ciebie od rana do nocy, nawet nie zwróciłabyś uwagi na taki kaprys. Niedziela, to jego jedyny dzień odpoczynku, zatem powinna być taka, jaką on ją chce mieć.

— O! on ma wszystkie dni w tygodniu takie, jakie chce mieć! Ożeń się pan, panie Kręcic!

— I owszem, niech mnie panie wyswatają. Ale pani Marychna pogroziła siostrze palcem, poczem zwróciła się do gościa i rzekła:

— Nie mów pan o tych rzeczach tak lekko. Małżeństwo, a zwłaszcza dobre, niełatwo skojarzyć. Młodym się zdaje, że byle przybić do tego portu, już dobrze, a tymczasem to dopiero początek. Dopiero po ślubie wypływają na tę gładką wodę maleńkie różnice upodobań, temperamentów, przyzwyczajzeń, jednym słowem — drobnostki, które tych dwoje związanych na życie, albo złączą jeszcze silniej, albo powoli wzniosą między nimi tamę.

— Która bardzo często pęka z ogromnym

hukiem plotek — roześmiała się panna Emilcia.

— Właśnie. Kobiety wkładają obrączki jak rękawiczki, a potem kuleją po drodze, bo nie mają w sobie tego ciepła, które pozwala zapomnieć o małych nierównościach gruntu i wybojach. Tylko z ciepłem w duszy powinno się zawijać do tego portu i, żeby nierówności i wyboje stały się kitem, nie tamą, to ciepło powinno być prawdziwe i jedyne.

— Więc pani wierzy, że prawdziwe uczucie przychodzi tylko raz w życiu?

— A naturalnie. Inaczej nie byłoby tyle pomyłek i tyle nieszczęśliwych małżeństw.

— W takim razie ci, którzy się pomylili, powinni odzyskiwać wolność! — zawołał żywo Krępic.

Lecz panna Emilja się zerwała.

— Rany boskie! To już dajcie pokój, bo usnę, tak jak dzieci.

I wskazała ręką na Janka i Marysię, śpiących na dywanie, a równocześnie we drzwiach pokazał się Bodziewicz.

Miał zmięte ubranie, potargane włosy, oczy podpuchłe i wąsy jeszcze bardziej obwisłe, niż zwykle.

— A dla niej on jest najpiękniejszy — pomyślał Krępic i podniósł się na spotkanie gospodarza domu.

Uścisnęli się za ręce, poczem Bodziewicz podszedł szybko do dzieci i klękając na dywanie, rzekł z wyrzutem:

— Jak możesz, Marychno, znieść taką poniewierkę na gołych deskach?

I uniósłszy Janka w górę, ostrożnie, jakby dotykał wyrobu ze szkła weneckiego, złożył go na otomanie.

Lecz pani Marychna odparła spokojnie:

— Nic im nie będzie, niech przywykają do wszystkiego.

Panna Emilcia zaś z błyszczącymi oczami i wesołym uśmiechem przyglądała się szwagrowi.

Przeniósł Marysię, złożył oboje, podsunął im pod głowy poduszkę, a robiąc to wyglądał, jak kokosz, drepcząca koło gniazda. Potem stanął i patrzył na uśpione twarzyczki z takim wyrazem, jakby je chciał jeść i połykać.

Teraz panna Emilcia klasnęła w ręce.

— No, nie mamże ja racji? — wołała. — Za kilkadziesiąt lat kobiety będą pracowały w biurach, a mężowie będą niańczyli dzieci. Przecież takie zdolności nie mogą się zmarnować. Ożeń się pan, panie Krępic! Umrę ze śmiechu, jak zobaczę pana w roli niańki!

— A ja się będę śmiał, jak ciebie w tej roli zobaczę — rzekł Bodziewicz i siadłszy przy żonie, całował jej ręce.

Ale panna Emilcia tak silnie potrząsnęła głową, że aż chmurka jasnych włosów uniosła się jej nad czołem i znowu opadła.

— Pierwej mnie odwiozą do Tworek! — rzekła z przekonaniem.

A Krępic jej się przyglądał i mówił sobie, że to rzeczywiście zabawna dziewczyna. Stanowczo

inna, niż wszystkie i nawet nie brzydka. Gdyby miała choć trochę kolorów i nie była taka wybujała, byłaby z pewnością ładną. Istotnie to byłoby śmieszne, gdyby takie się zakochało, ale jeszcze za młode — a potem się zmieni. O dziesiątej pożegnał się i wyszedł, przez drogę zaś znowu trochę myślał o pannie Emilji, trochę o Bodziewiczach. Zauważył dzisiaj, że pani Marychna umie być stanowczą. Gdy Janek i Marysia rozgrymasili się przy herbacie, przemówiła do nich tak energicznie, że aż się zdziwił. W wychowaniu dzieci będzie umiała mieć swoją wolę. Jak bo też onby je wychował? Ot, co dały czasy trzeźwości i praktycznej myśli! Wyrzeczenie się sentymentalizmu zrodziło ojcówhisteryków, albo takich idealistów, jak on, Krępic i jemu podobni. Bo i co tu obwijać w bawełnę! Głośno wszyscy są trzeźwi, ale po cichu połowa wprost usycha z głodu serca. Nikt nie odbierze ludzkości ideałów, jeśli je ośmieszają, ona je ukryje głęboko w sercach i zużyje, bodaj na obcieranie nosków własnym dzieciom! Ta mała ma trochę racji... wyrodziło się plemię rycerskie...

Otworzył zatrząsk swego mieszkania, a gdy wszedł, stanął zdziwiony.

Przy stole siedział Kubacki, pił herbatę i jadł suche bułki.

— Kuba! Przecie... myśleliśmy, że cię ziemia pochłonęła... piszemy i piszemy, a ty jak mur!

— Jak mur — nie, ale jak obsaczony... nie było czasu i głowy.

— Oj, prawda! Tyle masz z lisa, co ja z kaczką. No, daj jeszcze raz gęby i gadaj. Usiedli, ale Kubacki rzekł:

— Nie będę gadał aż się najem, bo mi żołądek przyrósł do krzyża.

— Czekaj, suche bułki jesz? — zerwał się tamten. — Zaraz poślę po co, tylko zejdę do szwajcara.

Lecz go Kubacki powstrzymał.

— Nie potrzeba, to bardzo dobre, sam sobie zadysponowałem i to na twój rachunek. Ten mały obywatel, co to u was rządzi, sprytny chłopak. Bawił mnie tu z godzinę. Gdzież Zygmunt?

' U swego wuja, Łankowskiego, a ja byłem u Bodziewiczów, też kuzynów Zygmunta.

— Aha! Więc bywasz u szlachty, a niewiasty tam są?

— A jakże,

— w jakim też tak guście, feministki, flirtówki, czy gęsi?

Krępic się roześmiał.

— Będziesz musiał się zdobyć na nową kategorię, bo te, u których ja bywam, są inne.

— Nieprawda; niema innych. Siennik dla mnie jest?

— O, masz! Możesz spać tu na otomanie, albo z Zygmuntem na moim łóżku.

— Wolę tu, po co cię mam wygryzać z nory. A szparę w jakiej budzie dla mnie macie?

— Stałej nie, musisz się starać, ale u Rotte'go roboty dużo i Zygmunt pewno cię tam

wkręci. Przez jakie pół roku będziesz miał zajęcie.

Kubacki odetchnął i oczy mu zajaśniały.

— To dobrze, — rzekł — byle się zaczepić i was nie objadać.

A gdy Krępic spojrział na niego z wymówką, dodał:

— No, no! Wiem, żeście chłopcy zacne, nie płacz! Ale co ten Zygmunt wysiaduje tam jak kura?

Tymczasem klucz się w zamku obrócił i Znamieniecki stanął we drzwiach. Był chmurny, czy zły, lecz na widok Kubackiego twarz mu pojaśniała odrazu.

— Nareszcie, nareszcie! — wołał, widocznie ucieszony. — Nas tu już strach za łydki łapał, na wszystkie strony gadają, plotek moc, a ty jak ryba! Myśleliśmy, żeś utonął, albo się powiesił, Wakowicz pisał, że już mszę za ciebie zakupił, no, daj jeszcze raz gęby!

Zacierał ręce i rozjaśnionymi oczami patrzył w twarz przybyłego, ten zaś odparł ze zwykłą flegmą:

— Wakowicz stale zanadto się śpieszy, albo spóźnia, zwyczajna rzecz.

Tu ziewnął szeroko i zaczął się skarżyć na zmęczenie, więc obadwaj przyjaciele ułożyli go spać, siedli przy nim i gadali do świtu, a właściwie mówił Kubacki, tamci zaś słuchali, Zygmunt ciekawie, Krępic ze ściągniętymi brwiami.

Gdy umilkł, zakończywszy:

— Ergo, musiałem zwinąć lary i penaty i dzi

wując się całości własnego ja, przyzaglować do waszego portu. Ale złotaczka mię zre, bo tam byli ludzie i tam jest grunt!

Krępic się zerwał, długo chodził po pokoju w milczeniu, wreszcie stanął i rzekł:

— Chwała Bogu, grunt jest wszędzie, ale ja dochodzę do przekonania, że wyzyskiwać go i uprawiać pod ananasy, gdy niema dość chleba i powietrza, to dla nas nie interes, że my mamy przed sobą dwa mury, nie jeden, jak ci, za którymi chcemy podążać, i że marnować takie siły i taki zapał, jak twój, na tej drodze, to zbrodnia!

— Co? — wrzasnął Kubacki i zerwawszy się na łóżku, począł machać rękami. — Coś ty powiedział, Kato, ty, Kato ?!

— Tak, ja. Uczę się, badam przeszłość, patrzę w terażniejszość, poznaję życie i ludzi i dziś powiadam ci prawie napewno, że na twojej drodze niema zbawienia.

Kubacki opadł na poduszki.

— Ha, ha, ha! oszalał, jak Boga kocham, oszalał! Więc gdzież zbawienie, gdzie? Amerykę odkrył, Klondyke szczerozłote i nie wykupuje patentu, ha, ha, ha! oszalał!

— Nie — odparł niezmiessany Krępic. — Zbawienie jest w innej pracy, nie w nienawiści, nie w podjudzaniu instynktów i nie w walce obryzganej naszą krwią, którą twoi ludzie zbiorą we własny kubek i na cudzym targu, za pieniądz wycofany z obiegu, sprzedadzą!

Kubacki tkwił oczami w rozgrzanej twarzy Kręcica i mrucał.



— Przenicowany, jak Boga kocham! Oszalał, albo on, albo ja! I nic nie rozumiem!  
— Zrozumiesz — odparł na to Krępic. — Poznasz innych ludzi, porównasz z twoimi i wierzę, że zrozumiesz. A teraz spać. Dobra noc!

V.

Kubacki wymyślał kolegom od filistrów i „burżujów”, ale że w fabryce Rotte'go robót było mniej i on znowu objął posadę „kontrolera liści spadających”, nie wiedząc, co z czasem robić, chodził z Kręcicem do Rańkowskich, albo do Bodziewiczów.

Zygmunt towarzyszył im na te wizyty bardzo rzadko. Zaplątał się w nici Amora, państwo Łamkowsy coraz częściej dawali mu do zrozumienia, że uważają go za starającego się

o pannę Maniusię, a on kłął i wszystkie siły mózgu obracał teraz na to, by się z matni wydobyć.

— Daj nura, albo ogól się i ostrzyż przy samej skórze — radził mu Kubacki. — Zobaczysz, panna się odkocha.

— Idź do diabła ! — Odpowiadał Zygmunt

i w pasji darł list wuja senatora, którym co niedziela zapraszano go na obiad.

Ale Krępic radził to samo.

— Niema innej rady — mówił. — Przestań bywać i kwita, albo się żeń. Te wszystkie wasze

flirty psa warte. Niby żarty, a czasem innym łzy wyciskają.

Zygmunt próbował wtedy iść za ich radami, ale pan senator przychodził sam, zabierał go z sobą i położenie bez wyjścia wciąż trwało.

A tamci chodzili w wolnych chwilach albo na Smolną, albo na Złotą.

Bodziewicz witał ich obojętnie, lecz oni nic sobie z tego nie robili. Krępic wiedział, że mąż bywał zazdrosnym nawet o pannę Emilcię i że pani Marychna przywykła do tych kaprysów.

Ody przyszli, zawsze się ucieszyła, dziękowała im, a potem się kłóciła z Kubackim.

— Pan nic nie zbudujesz! — wołała. — Nienawiścią nikt jeszcze nic nie zrobił, a miłością bardzo wiele.

On zaś odpowiadał, że na świecie jest więcej rzeczy do nienawiści, niż do kochania i że to nie jego wina — poczem z niewzruszonym spokojem przyglądał się jej błyszczącym oczom i rumieńcom na twarzy.

Kobiety wogóle nie umieją dysputować spokojnie, Kubacki był zawsze mistrzem w panowaniu nad sobą i panią Marychnę ten jego chłód najwięcej podniecał.

— Właśnie na świecie niema nic do nienawiści, lecz za to bardzo wiele do przebaczenia! — wołała ostatnim razem za nim, gdy już w przedpokoju palto naciągał. — Ale przebaczać jest trudniej, niż nienawidzić, a pan wolisz to, co łatwiejsze.

— Nie to myślisz, Kubasiu, nie! Panna Winia i pani Bodziewiczowa trochę ci podkopały teorię feministkach, flirtówkach i gęsiach, ale ty się nie lubisz przyznawać do omyłek, co jest właściwie konserwatyzmem. Postęp zasadza się na ciągłych poprawkach, i ja też nie jestem uparty. Wierzę, że bez zmian nie obejdzie się żaden postulat.

— Nie potrzebujesz się wysilać, bo już od roku dajesz mi tego dowody; co do twoich niewiast zaś, to panna Rańkowska w poprawnym wydaniu będzie też gęsią, zapatrzoną, jak gapa w gnat, w pierwszego lepszego bawoła, który ją weźmie za żonę. Metempsychoza tworów doskonałych w mniej doskonałe!... Nieprzystępne Joanny d'Arc, zamienione na kapłanki i w dawnych przyłbicach gotujące dla męża zupę rakową!... Wspaniałe typy, tylko trzeba dla nich stworzyć nową kategorię, nad którą pomyślę!

Krępic ciągle się uśmiechał, co widząc, tamten wzruszył ramionami i mruknął:

— Jesteś zawsze idjotycznym optymistą

i w tem jednym katonizmie ci dopisuje. A pocziwe życie tak się zawsze głupim układa, że do tego świętego ognia coraz kapnie kropla oliwy. No! Niechaj ci jej starczy do końca żywota. Czy myślisz, że już zastaniemy Zygmunta?

— Wątpię. Zwykle wraca późno.

— I zły, jak ocet siedmiu złodziei — dodał Kubacki, dzwoniąc na stróża.

Lecz Zygmunt był. Gdy weszli do gabinetu,

służącemu już od roku za sypialnię Kubackiemu, zastali go przy stole, wspartego na łokciach.

— Madonna ukrzyżowana! Romantyk w hamletowskiej pozie! Zygmunt, zenisz się, czy co? — huknął mu nad uchem Kubacki.

A gdy Zygmunt na to się zerwał i zaczął po pokoju rozbijać krzesła, tamten mówił znowu:

— Chyba Rotte zrobił go dyrektorem...

I urwał, Znamieniecki bowiem stanął teraz przed nimi i wybuchnął drewnianym śmiechem.

— Otóż zgadłeś, zgadłeś! Żenię się i niech mnie wszyscy djabli porwą!

Patrzyli na niego zdumieni, a Krępic się zbliżył i wziął go za rękę.

— Jakto, serjo?... Już postanowione?

— Tam jeszcze nie, ale tu, we mnie — już! Mam dosyć i przymówek i grymasów i płaczu, chcę spokoju za jakąkolwiek cenę i jutro się oświadczę.

Siadł, patrzył na kolegów przez chwilę, a potem znowu mówił:

— I cóż tak lepszego mogę zrobić? Dom otworzę, żonę będę stroił, na bale ją prowadzał, węzeł już wziął w monopol wuj senator... no, może założę jaki klub racjonalnego palenia tytoniu i jakoś to będzie!

Tu się roześmiał, zerwał i znowu począł roztrzącać krzesła mrucząc:

— Żebym się był zapadł, żeby mi język skręciło i sparaliżowało nogi, nimem tam poszedł zawracać oczy do tej pliszki...

A potem nagle stanął.

— Albo sobie w łeb palnę, albo umknę, gdzie pieprz rośnie, i nie znajdziecie mnie, choćby wam się całe podeszwy zmieniły w jeden nagniotek!

Na co Kubacki rzekł spokojnie:

— Wspaniała myśl, romantyku! Dembosz i Wakowicz utorowali ci drogę, choć zdaje mi się, że tam, gdzie oni są, pieprz nie rośnie, ale pewno ci na tem nie zależy wyjątkowo. Galewicz właśnie porobił fuszerki i skompromitował przezacną firmę, złota posada wakuje i wszystko się tak składa, jak w bajce. Jedź, dziecko szczęścia, ale pozwól, że przedtem, jako dobry kolega, ulżę twemu sumieniu. Nasze nagniotki niech ci nigdy nie będą cieniem Bańka, albowiem ani ciebie, ani pieprzu dobrowolnie szukać nie będziemy.

Zygmunt go nie słyszał. Krępic siedział zamyślony, więc Kubacki chwilę na nich patrzył z uwagą, a potem parsknął śmiechem.

— A to wam ta dzierlatka paździor za kołnierze nasypała! Słuchaj, romantyku, ja ci doradzę po przyjacielsku. Zgól głowę, wąsy obetnij i zaprowadź sobie w nosie mosiężną obrączkę z piórkiem. I to jest elegancja, tylko egzotyczna, a dla warszawianki pewno będzie lekarstwem na miłość. Spróbuj, mój drogi, i idź jutro do senatorów.

Lecz Zygmunt stanął teraz przed Krępicem i rzekł, nie zważając na tamtego:

— Słuchaj, Kato, ty masz jakąś swoją jedną

drogę, która ma cię nigdy nie zawieść. Co zrobiłbyś na moim miejscu? Krępic wstał.

— Ależ ty się nie możesz stosować do tego, co jabym zrobił, masz inne usposobienie, inny charakter...

— Mniejsza o to. Cobyś zrobił?

— A więc — zaczął tamten wahająco — ja, gdybym czuł, że to dziecko jest naprawdę nieszczęśliwe, że to się stało przez moją lekkomyślność... widzisz, być kochanym, to także coś znaczy, później przychodzą dzieci... Ale ty się musisz liczyć z twoim charakterem... Możesz unieszczęśliwić siebie i jej nie dać szczęścia... W takim razie, powinienes zerwać wszystko i natychmiast. To ci radziłem oddawna...

— Bardzo pięknie, to dziecko jest rzeczywiście unieszczęśliwione i trochę z mojej winy. Jak będzie potem, nie wiem. Cobyś zrobił?

Krępic milczał. Zygmunt patrzył mu w oczy, przecierał czoło, w końcu machnął ręką.

— Już trudno. Ożenię się, zaręcę się, wszystko co chcę, byle się raz skończyło i byłem odetchnął.

I poszedł spać.

Ale na drugi dzień, na karcie życia, którą Zygmunt śmiałą ręką odwrócił, ręka przeznaczenia starła postanowienie ludzkie i wypisała własne.

Gdy dwaj przyjaciele wrócili z fabryki, Kubacki, wyciągnięty na otomanie, wskazał

dwoma palcami w kierunku Zygmuntoowego biurka i rzekł:

— Masz dwa listy. Ten z pachnącym herbem przyniósł obywatel w liberji, ten drugi, zwyczajny pan z poczty, a le który cię więcej udelektuje, to już musisz przekonać się sam. Mnie nie objaśniły ani liberja, ani dziury w butach listonosza. Zygmunt rzucił wzrokiem na biurko i poznał, że jeden list jest od pani Łamkowskiej, a drugi z Karolówki.

Pani Łamkowska donosiła, że Manusia jest słaba i w gorących słowach prosiła Zygmunta, żeby ją przyszedł trochę rozerwać.

— Wpadnę i raz skończę! — pomyślał, poczem otworzył list ojca.

"Kochany Zygmunco! — pisał pan Znamieniecki. — Powinienem ci zrobić wymówkę, że tak rzadko i niewiele o sobie donosisz, ale być może, że to wina twojego zajęcia i czasu, którego teraz nie musisz mieć do zbytku. Chociaż niewiele widuję się z ludźmi, doniesiono mi wszakże o tem, o czem ty widocznie jeszcze nie miałeś czasu mi donieść, a mianowicie, że często bywasz u Łamkowskich.

„Nie mówiłem z tobą nigdy o kwestji małżeństwa, bo mam to przekonanie, że w takich sprawach nigdy i nikomu nie powinno się narzucać swojego zdania, ale jeśli rzeczywiście masz jakie zamiary względem panny Sławskiej, to wiedz, że dla mnie ta wiadomość będzie miłą niespodzianką.

„Moja parcelacja idzie licho, bo chłopci nie mają pieniędzy. Interes jest dobry, ale przytem potrzebna jest gotówka. Stobicki zażądał reszty należnego mu kapitału, że jednakże w obecnych warunkach o kapitał trudno, musiałem mu zabezpieczyć sumę nietylko na Leszczynach, lecz i na Karolówce. Nie wątpię, że ci ta wiadomość będzie trochę przykrą, ja jednakże jestem człowiek trzeźwy i nie uważam, aby pozłacanie pigulek było koniecznością w stosunkach między ludźmi zdrowymi. Nabrałem też nadziei, że i ty zacząłeś patrzeć na rzeczy trzeźwo, czego ci wiesz, bo im prędzej, tem lepiej.

„Proszę cię, donieś mi, ile jest prawdy w tem, co ludzie mówią o twoich stosunkach z Łamkowskimi i jaki jest majątek panny Sławskiej. Pewność w tej kwestji jest teraz dla mnie konieczną.

Kochający cię ojciec  
Znamieniecki”.

Zygmunt przeczytał ten list dwa razy. Gdy czytał pierwszy raz, twarz pałała mu jak pieczone jabłko, ale za drugim razem czytanie trwało dłużej i starło rumieniec.

Odsunął się od stołu, oparł o poręcz krzesła i ze wzrokiem, utkwionym w liście, z zaciśniętymi ustami siedział. Po chwili wstał. Na czole miał pionową zmarszczkę, a w oczach, zamiast rozmarzenia, jakiś taki niezwykły wyraz, że koledzy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

A on tymczasem sięgnął po kapelusz i rękawiczki i stając przed nimi, rzekł chłodno:

— Kubacki zgadł po raz drugi. Już się nie żenię i idę do Rotte'go postawić moją kandydaturę na reprezentację odeską. Krępic zbladł, patrzył na niego długą chwilę, poczem rzekł szorstko:

— Nie, takie żarty są stanowczo za głupie! A Zygmunt próbował się roześmiać, lecz tylko wykrzywił usta.

— Postaraj się zrozumieć, że to jest prawda — odparł, widocznie siląc się na spokój. — Mogę wiele zrobić, ale sprzedać się pannie Sławskiej za posag, który ma mi uratować Karolówkę, nie potrafię.

Nie spuszczał powiek pod ich wzrokiem i Krępic pierwszy raz spostrzegł, że te marzące oczy matki umiały także świecić zimno, jak stal i tak patrzeć, jak patrzył stary Znamieniecki.

— To już nieodwołalne, — mówił dalej — bo ja muszę uratować Karolówkę. Może wy nie rozumiecie, co to jest przywiązanie do kawałka ziemi, który od setek lat przechodzi z ojca na syna, może wam się to zdaje przesadą, ale ja wam powiadam, że co innego mówić, a co innego czuć. Właściwe moje pole do pracy tylko tam i moich dzieci także tam! Wydobędę środki choćby z pod ziemi, ale je wydobędę własnymi rękami, nie cudzemi! Wyprę się przekonać, ale dla przekonać innych, widać silniejszych, kiedy przeważą. Sprzedawać się nie umiem, to trudno!

Zdania suche i krótkie wylatywały mu teraz z ust, jakby go parzyły. Ręką widocznie drżącą wziął list ojca i podając go kolegom, rzekł spokojniej:

— Nie myślcie, żebym lekceważył wasz sąd

o mojem postanowieniu. Przeczytajcie i obmyślcie inny sposób wyjścia; ja zaczekam.

Siadł, a po chwili Krępic oddał list Kubackiemu, popatrzał w oczy przyjacielowi i rzekł z wahaniem:

— Czy nie mógłbyś wrócić do ojca i wpływać na zmianę systemu jego gospodarstwa?

Zygmunt wzruszył ramionami.

Zupełnie jakbyś nie znał ojca! Czy ja mam prawo odsunąć go od interesów, któremi żyje, jak morfinista morfiną? Czy onby zresztą na to pozwolił? Zdaje się, że z nas dwóch on ma silniejszą wolę i wpływom nie podlega.

Ale Krępic jeszcze próbował.

— Skądże masz pewność, że Karolówka jest zagrożona? Cóż znaczy ta marna suma Stobickiego na takich majątkach, jak ten

i Leszczyzny?

— Nic, zapewne. Ale ojciec miał trzy folwarki, zrobił z nich sześć; potem gdy ziemia spadała, a on ciągle handlował, z tych sześciu zrobiły się dwa. Były bez towarzystwa, czyste jak lza, teraz jest już towarzystwo i dług Stobickiego. Skąd mogę wiedzieć, co będzie dalej? Czy mi zaręczysz, że mu nie przyjdzie do głowy jaka nowa spekulacja, jaki nowy tani nabytek,

który zje resztę? Nie, nie odetchnę, aż kupię Karolówkę. Będę robił pieniądze, będę zapychał hipotekę i nie wrócę, aż folwarki ojca i matki staną się moją własnością! Tak, nie wrócę, ani tu zajrzę, choćby mnie nawet wzywał! Niech się przyjrzy własnemu dziełu i niech je zgłębi!

Oczy mu pociemniały i szły z nich błyski takiej zaciętości, że się wydała Krępicowi prawie nienawiścią.

A Kubacki wstał i rzekł:

— I po co sobie psujesz gębę? Chcieć, to znaczy musieć chcieć, więc i ty pewno musisz. Chodź, odprowadzimy cię do fabryki.

— Po co? — zdziwił się Zygmunt. — Rotte może mnie zatrzymać z godzinę, albo i więcej.

Szyderstwo wykrzywiło mu usta.

— Będzie rad, że zadowoli pana Znamienieckiego z Karolówki i że, proszony, wyświadczy łaskę. Czekaście na mnie tu.

— Nie, idziemy z tobą — upierał się Kubacki.

A Zygmuntowi dopiero teraz przyszło na myśl, że jeśli Rotte przyjmie jego kandydaturę, to Galewicza usunie natychmiast i że oni, pomimo wszystko, co myśleli o jego postanowieniu, nie chcieli się z nim rozstawać, by być dłużej razem.

Popatrzył im w oczy, wyciągnęli do siebie dłonie, a potem wyszli wszyscy trzej i szli pogrążeni w myślach.

Gdy w godzinę później Zygmunt opuścił

wille pana Rotte'go, koledzy, przechadzający się przed bramą fabryczną, dostrzegli go zdaleka. Szedł wolno i zdawał się przygnębionym, ale to przygnębienie każdy z nich zrozumiał inaczej.

— Bez rezultatu — mruknął Kubacki i oczy mu pojaśniały.

— Jedzie — pomyślał Krępic, przycem proste brwi zeszyły mu się nad oczami i utworzyły jedną linię.

— I cóż? — zapytali równocześnie, gdy się zbliżył.

— I cóż ma być? Jadę. Wprowadziłem go w taki dobry humor, że Rańkowski pewno pójdzie na moje miejsce, a Kubacki na miejsce Rańkowskiego, tylko prawdopodobnie z mniejszą pensją. Powiedział mi, że żadna firma nie będzie miała za reprezentanta takiego salonowca i takiego nazwiska, słyszycie?

Ale oni nie rzekli nic, tylko poczęli iść bardzo prędko. Zygmunt zaś, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

— Jadę za trzy dni. Dziś mamy poniedziałek, wyjadę we czwartek na noc. Chciał jeszcze prędszej, ale odmówiłem.

Pilno im. Galewicz robił oszczędności na materjale, fuszer! Musiał ich ubrać. A piszcie, żeby był ciągły łącznik. Za jakie ośm lat wrócę. Muszę tam być całą duszą, jeśli mam coś robić, ale tu zostanę sercem. Pamiętajcie, żebym się nie poczuł wyrwanym z korzeniami.

Mówił urywanemi zdaniami i tak je z siebie wyrzucał, jakby go dławili.

Potem, przez całe trzy dni następne, wszyscy żyli gorączką pośpiechu. Zygmunt, przez wzgląd na Łamkowskich, był rad, że ma krótki czas przed sobą, ale chcąc pozalać wszystkie interesy i pooddawać konieczne wizyty, musiał być w ruchu od rana do nocy. Koledzy mu pomagali, a właściwie wszystko za niego robili. Krępic pakował rzeczy, Kubacki załatwiał konieczne sprawunki i interesy, a on latał z pożegnalnymi wizytami, śpieszył się, jakgdyby go coś popędzało, lub czekało na niego, co chwila uciuwał formalny strach, że o czymś zapomniał i nie zdąży, i w rezultacie nic nie robił.

U Łamkowskich był zaraz nazajutrz i zabawił kwadrans. Gdy powiedział o wyjeździe, panna Sławska otworzyła oczy szeroko i zapatrzona w niego, siedziała bez ruchu. Nie patrzył na nią, a jednak widział, że jej drżą usta i że ona je zaciska, by się nie rozplakać. Lecz się nie rozplakała.

Miał ją taką ciągle przed oczami i tego widoku nie mógł się pozbyć, ale gdy wybiegł, doznał wrażenia, że połknął lekarstwo, którego powtórna doza już mu nie groziła.

— Chwała Bogu! — myślał. — Poszło lepiej, niż przypuszczałem. Dziewczyna ma jednak charakter i ambicję i, kto wie, może zapomni niedługo?

Pragnął tego i równocześnie był z siebie nierad, bo czuł, że gdyby to zapomnienie nastąpiło bardzo prędko, jego radość byłaby zaprawiona gorczycznym ziarnkiem zawodu.

W przeddzień wyjazdu napisał krótki list do ojca. Doniósł mu, że się nie żeni, lecz że wyjeżdża do Odessy, skąd nie wróci, aż spłaci wszystkie długi Karolówki i Leszczyn. Więcej nie pisał nic.

Ten list Krępic zaniósł na pocztę, a gdy wracał, po raz pierwszy przyszyła mu jasna świadomość, że gdy Zygmunt odjedzie, jemu będzie go brakowało ogromnie. Poczucie tego braku chwyciło go nagle i tak dojmująco, że począł się bać osamotnienia, jak dziecko, które straszą ciemnym pokojem.

Nie miał poza nim nikogo serdeczniejszego na świecie. Od tylu lat prawie się nie rozstawali. Jeden przed drugim nie miał skrytej myśli. Kubacki... tak, zapewne. Dobrze, że choć on zostaje, ale to już nie to. Były rzeczy, które mówił Zygmuntovi, ale których nigdy nie byłby powiedział Kubackiemu. Liczyć na niego można, więcej, niż na kogobądź,

może nawet więcej, niż na romantyka, ale to już nie to. Ten odjazd, to zupełnie jakby mu coś wyjmowali z serca. Będzie w tym miejscu pustka, która już teraz go boli...

Gdy tak pogrążony w myślach dochodził do domu, minęła go na chodniku ciemna postać kobiety, która, idąc nawprost niego, postępowwała bardzo wolno i przyglądała mu się badawczo.

Było już ciemno i on był zamyślony, ale pomimo to zauważył ją i zastanowił się. Już gdzieś widział tę twarz i ruchy jakby mu były

znane... Mimowoli zwolnił kroku, przed bramą się zatrzymał, a w tej samej chwili usłyszał za sobą wołanie:

— Czy pan Krępic? Odwrócił się szybko.

— Panna Sławska?

— Tak, ja! Przepraszam bardzo... chciałam z panem pomówić. Pan jest przyjacielem pana Zygmunta... i dlatego... i dlatego... proszę mi wybaczyć, ja nie mogłam inaczej.

Widocznym było, że cała drży i że tylko siłą woli albo nerwów głos z siebie wydobywa. Krępic patrzył na nią z większym współczuciem, niż zdziwieniem i widząc, że ledwie się trzyma na nogach, podał jej ramię.

— Proszę, niech się pani niczego nie obawia — przemówił najłagodniej, jak umiał. — Odprowadzę panią do domu i w drodze wysłucham, bo się domyślam, że to jakieś zlecenie do Zygmunta. Ja mu powtórzę wszystko dokładnie, tylko proszę się uspokoić.

Uchwyciła się jego ramienia bez namysłu, odetchnęła głęboko, ale idąc, znów zaczęła mówić szybko i tak, jakby ją jej własna mowa dusiła.

— Powiedz pan panu Zygmuntowi, żeby nie wyjeżdżał, bo ja tego nie mogę przenieść, bo to jest straszne. Wiem, jak on myśli, wiem, jak kocha... Warszawę, a teraz, przezemnie... Powiedz pan, że ja go nie chcę widywać, że zapomnę o... wszystkim, że będę spokojna... co tylko zechce, ale niech tam nie jedzie i niech

nie myśli, że to przezemnie, bo ja z tem nie mogłabym żyć.

Schwyciła ustami powietrze i znów mówiła:

— Jak on zostanie, to ja wyjadę... niedługo... mogę zaraz i będę zdrowa, bo jestem ogromnie silna, tylko mama mnie nie zna. Ja wszystko przetrwam i o wszystkim zapomnę, ale niech pan Zygmunt nie wyjeżdża.

Głos jej zaczął drżeć, ostatnich wyrazów domówiła prawie cicho, a Krępic uczył, że jej ramię także drżało i że nią wstrząsa powstrzymywane łkanie.

— Pani sobie robisz niepotrzebne wyrzuty,— rzekł spokojnie — a Zygmunt zawinił, jeśli nie powiedział, dlaczego wyjeżdża.

— Powiedział, że go zmuszają interesa, ale ja wiem, że to nieprawda, wiem! We mnie nikt nic innego nie wmówi!

— I mylisz się pani. Ja ci daję słowo, że Zygmunt miał zupełnie inne zamiary i że tylko smutne okoliczności zmusiły go do wyjazdu. Niech mu pani wierzy i niech pani wierzy w lepszą przyszłość.



Zadrżała silniej, zatrzymała się i oczami zawisła mu na ustach. Te rozszerzone oczy, drżące rączki i łyzy na rzęsach robiły ją podobną do dziecka. Krępicowi zrobiło się żal dziecka.

— Takie biedactwo — myślał — a tyle w tem zaparcia się siebie, że niemal bohaterstwa.

I wzięła go ogromna pokusa wlać w to biedne serce choć trochę nadziei, ale równo

cześnie przeląkł się odpowiedzialności i nie rzekł nic.

Ona zaś, widząc to, puściła nagle jego ramię i obejrzała się wokoło siebie jakby z trwogą.

— Zostaw mnie pan — rzekła cicho — pójdę sama. Tak to na mnie spadło, że straciłam głowę. W domu są pewno niespokojni, ale niech pan nie ma o mnie złego pojęcia... ja myślałam, że co naprawię... niech pan nic nie mówi panu Zygmuntowi.

Z oczu puściły jej się teraz dwa strumienie łez. Szybko odwróciła głowę i zaczęła iść przed siebie. Krępic poskoczył.

— Nie mogę pani zostawić samej, ludzie się przyglądają, ja muszę panią odprowadzić.

Spojrzała poza siebie, przystanęła, potem posłusznie podała mu rękę i szła teraz biernie, jak automat.

Milczeli oboje, ale jemu to było nieprzyjemne. Zdawało mu się, że mówić było jego obowiązkiem, myślał ciągle, coby jej powiedzieć i nie mówił nic. Był zły na siebie, choć jej widocznie nic już nie obchodziło, może nawet nie zdawała sobie sprawy, że ktoś przy niej idzie. Szła raz prędzej, raz wolniej, stosownie do tego, czy on szedł prędzej, czy wolniej i mogła tak była iść póty, póki fizyczne zmęczenie nie byłoby jej oprzytomniło.

Jemu teraz przyszło na myśl, że śmiały krok dziewczyny musiał się w jej umyśle przedstawić, niby jakiś zamach stanu. Odważyła się

nań pod wpływem naprężenia nerwowego, chciała zrobić z siebie ofiarę, ale w jakimś zakątku jej mózgu musiało tkwić bezwiedne przekonanie, że ta ofiara zmieni coś na jej korzyść. To była jakaś nić, której się uchwyciła, jak tonący. Nić pękła, a jej pozostał zawód, który ją zubożył.

Tak doszli do ulicy Mazowieckiej. Krępic wtedy zatrzymał się i rzekł:

— Jesteśmy na miejscu, żegnam panią. Podniosła głowę, popatrzyła na niego i nagle spytała:

— Czy pan Zygmunt będzie miał w Odesie korzystniejszą posadę, niż tu?

— Wiele korzystniejszą — odparł trochę zdziwiony.

— On nie jest taki bogaty, jak wszyscy myślą i jemu są potrzebne pieniądze — prawda?

— Nie wiem, prawdopodobnie, pocóżby jechał? Zresztą, to są jego osobiste sprawy.

Zmieszła się po tej odpowiedzi, ale nie wchodziła w bramę. Krępic powtórzył:

— Żegnam panią.

— Żegnam pana, dziękuję i jestem bardzo wdzięczna, ale jeszcze chciałabym... chciałabym...

Zawahała się, poczem, jakby zrobiwszy nagłe postanowienie, zapytała:

— Czy ludziom bardzo szlachetnym nierówność majątkowa może być przeszkodą do małżeństwa ?  
Wypowiedziała to jednym tchem, zacięła się

przy ostatnim wyrazie i odwróciła głowę. Krępic przyglądał jej się i dziwił.

— Skąd jej to przyszło? — myślał i był w kłopotcie, co zrobić. Odebrać jej złudzenia, z których, widocznie na poczekaniu, wystawiła sobie nową budowę, czy też ją utrwalić w domysłach, które chociaż się obracały koło prawdy, były od niej równocześnie bardzo dalekie? Niepewny, milczał, a ona, to milczenie biorąc za potwierdzenie, westchnęła ciężko.

— Tacy mężczyźni czasami robią dobrze, ale czasami źle, bardzo źle.

I znikła w bramie.

Gdy się znaleźli w mieszkaniu, Kubacki rzucił się na otomanę i rzekł:

— Wyobraź sobie, żeście mnie zdążyli ogłupić. Gdy pociąg ruszył i Zygmunt wychylił się przez okno — niewieścią ma on nietylko gębę, bo widziałem, że miał ochotę beknąć — otóż nie mogłem sobie wtenczas wyobrazić, że jeszcze go kiedy zobaczę. Może być, że mnie djabli wezmą, ale zawsze to idjotyzm. Ja i przeczucia?!

Zrzucił nogami wałek z otomany, a Krępic tymczasem chodził po obu pokojach, porządkował i zbierał śmieci. Przyszło mu też do głowy, że przy wszelakiego rodzaju rozstaniach zawsze jest lepiej tym, co jadą, niż tym, co wracają do pustych kątów i że takie kąty trochę przypominają mieszkanie, z którego wyniesiono rumnę. Poczem myślał, czy tego rodzaju ludzie, co Kubacki, mogą mieć przeczucia, czy wogóle

prieczucia mają rację bytu i kiedy też Zygmunt do nich napisze.

A w dwa tygodnie potem Kubacki przeniósł się na Wilczą. Do tej pory mieszkał ciągle u kolegów, ale jak tylko dostał posadę u Rotte'go, ani sobie dał mówić o wspólnie.

— Dla ciebie lepiej, jak ja będę dalej — rzekł i wyniósł się razem ze swoją lampą i swojemi stosami bibuły, której najmniejsze świstki pozbierał z nadzwyczajną skrzętnością.

Pomimo to widywali się codziennie w biurze i poza biurem, razem jadali obiady, kłócili się często, a w niedzielę Krępic szedł rano na Wilczą i zabierał kolegę do Łazienek.

W czerwcu Warszawa stała się niezdolną. Rozpalone mury, bruki, chodniki i niebo paliły mózgi i podeszwy, przygniatały myśli, pozbawiały energii i woli.

Krępic się dusił w tem powietrzu, złożonem z pyłu, ognia, oraz woni asfaltu, węgla kamiennego i wapna. Jak tylko mógł, wyciągał Kubackiego za miasto.

— Wiesz — mówił jednej niedzieli — uważam, że idjocieję.

— Toś się za późno spostrzegł — odparł tamten. — Idjotyzm zawsze idzie w parze z filisterstwem.

Ale Krępic na to tylko wzruszył ramionami. Rozglądał się po parku, wciągał powietrze i wzdychał.

— A! Tak odetchnąć pełną piersią, upić się wilgocią łąki, zobaczyć zamiast tego szmatu

nieba, całe morze szafiru, od wschodu aż do zachodu!

— Maluczko, a będziesz rymował — pokiwał głową Kubacki i widząc, że Krępic dziś ciężki do rozmowy, rzekł:

— Myślałem, że mi powiesz coś nowego o samopomocy, jedności i uczuciach chrześcijańskich, że mnie w końcu przekonasz, a ty wzdychasz, jak turkawka. No, gadaj co!

— Nie warto, nie przekonamy się, więc po co? Ty uprawiasz tylko specjalną literaturę, nie znasz dobrze historii i nie liczysz się z duchem ludzi. Nie porozumiemy się na tym punkcie, a już sam ten fakt nieporozumienia jest dowodem, że ja mam rację, nie ty. W społeczeństwie, w którym, gdzie jest dwóch, tam są trzy zdania, trzeba dążyć do celu jedną drogą, nie dwiema. Tylko idjoci mogą sobie urywać łby o podział przyszłych mieszkań, gdy nie mają nawet dachu nad głową.

— Zdaje mi się, że to porównanie już kiedyś przetoczyłeś — wtrącił Kubacki. — Czy nie mógłbyś wymyślić innego?

— Nie, nie wymyślę, bo to jest dobre, bo o dachu powinniśmy myśleć przedewszystkiem, w dzień i w nocy. O reszcie niech myślą ci, którym nie cieknie za kołnierz, a my na ich modłę przerobimy dom, gdy dom mieć będziemy. Wiary w siebie i tylko w siebie, więcej w nikogo, światła i miłości — oto czego nam trzeba!

Krępic zapalił się, zapomniał o wilgoci łąk

j o wzdychaniu i już był gotowy do długiej dysputy, gdy nagle Kubacki zawołał:

— Patrz, zdaje mi się, że to pani Bodziewiczowa. Będziesz miał silną pomoc.

— A prawda! Chodźmy.

Był i Bodziewicz z dziećmi i panna Emilja i wszyscy siedzieli przed Łazienkowskim pałacem nad stawem.

Panna Emilja już przed rokiem opuściła Warszawę i tak się przez ten czas zmieniła, że aż Krępic nie mógł ukryć zdziwienia i objawił je głośno.

A ona na to odparła:

— Cóż pan chcesz? Świeże powietrze, letarg myśli i drzemka sumienia, tuczą.

Rzeczywiście trochę utyla i już teraz nie raziała wybujałym wzrostem. Krępic sobie przypomniał, że ją koleżanki nazywały konopiami i przyglądał się jej ciekawie. Przytem pomyślał, że tego rodzaju panien nie spotyka się w Warszawie. Miała w sobie coś z Wenecjanki, coś z Angielki i coś z Polki. W ciemnobłękitnej sukni w białe paski, w żółtym skórzanym pasku, w takichże bucikach i okrągłym, bardzo prostym kapeluszu, przypominała turystki, które się wybierają na wycieczkę w góry. Pomimo swobody i śmiałości spojrzenia, które bez śladu zakłopotania wytrzymało badawczy wzrok Kręcica, było na jej czole i w cerze twarzy coś czystego i świeżego. Pomimo upału, wyglądała jakby skwar nie działał na nią tak, jak na innych ludzi.

— Przywiozła z sobą świeżość białego bzu i swojego jeziora — pomyślał.

A ona wyczytała w jego oczach komplement dla siebie, lekko ściągnęła brwi i rzekła:

— Cóż, czy wyrosłam na odpowiednią kandydatkę do stanu małżeńskiego? Czy mogę mieć nadzieję, że mi się kto trafi? Mama jest w rozpacz, bo do tej pory — nic, ale jeśli taki warszawiak, jak pan, osądzi inaczej, pocieszę ją za powrotem.

Mówiła zupełnie serjo, a pani Bodziewiczowa zarumieniła się lekko i spojrzała na nią z wymówką.

— Jesteś jeszcze wielkie dziecko i nie rozumiesz matek — zauważyła.

— I, co smutniejsze, nigdy ich nie zrozumieję, siostrzyczko!

A Kubacki także jej się przyglądał z uwagą i przy ostatnich słowach, zdjęwszy kapelusz, rzekł :

— Ponieważ mój kolega cały się zagłębił w dociekaniu, o ile pani kandydatka do stanu małżeńskiego ma szanse powodzenia, więc ja pragnąc gorąco mieć także prawo głosu, muszę się przedstawić sam. Jestem Kubacki.

Szybko się odwróciła i ciemnymi oczami patrzyła na niego, jakby badając. Poczem rzekła bez uśmiechu:

— Bardzo proszę. Zobaczymy, do jakiej mnie pan kategorii zaliczysz, do feministek, do flirtówek, czy do gęsi? Jeśli do tych ostatnich, nowa kandydatka nie będzie miała powodu

rozpaczać i wróci na wieś pokrzepiona na duchu.

Kubacki się śmiał.

— Widzę, że pani siostra ubrała mnie w jej oczach — zauważył bez cienia zakłopotania i usiadł przy niej.

— Nie tyle, ile pan ubrałeś kobiety.

— Alboż pani jest tak wielką zwolenniczką kobiet? To rzadki wypadek między niewiastami, które wogóle nie odznaczają się solidarnością.

— Tak pan sądzisz? Zadziwiająca rzecz, jakimi znakomitymi psychologami kobiet są mężczyźni! Przypuszczam, że z równym powodzeniem może lis pisać psychologię kur i gęsi.

Kubacki wpał w wyborny humor.

— Jakby pani chętnie pobrała lisy na łańcuszek, a kurom i gęsiom poprzyczepiała skrzydła orłów i sokołów, prawda? Czy to poetyczna natura wsi tak wpływa na złośliwość młodych pańienek?

— Jeśli prawda jest złośliwością, to widocznie tak — odparła chłodno i zacisnęła usta, których zgrubienie tak kiedyś niepokoiło panią Olchowiczową, ale które pomimo to wydały się Kubackiemu bardzo ponętne, bo mówiły o temperamentach.

— I cóż pani robisz na wsi takiego, co tak służy rozwojowi tego zacnego przymiotu i uczy poznawać prawdę?

— Co? Alboż pan nie wiesz, co robią panny dobrze wychowane? Przyrzędam rano i wieczór

kawę i herbatę, smażę konfitury, które, zdaniem grzecznych mężczyzn, tylko skutkiem tego są słodkie, na Wielkanoc lukruję baby i mazurki i... czekam na męża.

Kubacki parsknął śmiechem.

— Jednym słowem, na lisa — rzekł. — I tam nic więcej panny robić nie mogą?

— I owszem, mogą... iść za męża, jeśli...

— Jeśli chcą?

— Nie, jeśli je kto zechce. Panny mają prawo głosu i wyboru tylko w mazurze.

Kubacki był zachwycony. Nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać takiej czupurności u dziewczyny, która wyglądała na lat szesnaście, miała zupełnie dziecinny wyraz oczu i nie umiała ich jeszcze spuszczać pod wzrokiem mężczyzny.

— A jeśli je kto zechce, to idzie każda? — pytał dalej.

— Naturalnie. Albożeś pan spotkał kiedy wyjątek od tej reguły? Mój szwagier twierdzi, że to mu się jeszcze w życiu nie zdarzyło.

— Co ten bęben ma znów do mnie za pretensję? — odezwał się na to Bodziewicz, który, mając z jednej strony Marysię i Janka, z drugiej ogromny pęk chabru, rumianów i przeróżnych traw, siedział nad stawem i rzucał łabędziom kawałki bułki.

— Nie mam żadnej, — odpowiedziała żartobliwie panna Emilcia — tylko wolałabym, abyś twoje oryginalne wyrażenia zachował dla własnej córki, bo do niej lepiejby pasowały.

— Przepraszam cię, siostrzyczko. To tylko

przez zapomnienie o twoich siedemnastu jesieniach i z radości, żeś przyjechała.

Był naprawdę zadowolony, nie wiadomo, czy z odbytej przechadzki za miasto, czy z tego, że siedział z dziećmi na trawie, czy rzeczywiście z przyjazdu szwagierki, do której, zdaniem Kręcica, trudno było żywić niechęć. Taka była świeża!

A panna Emilcia wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego dość łaskawie. Po rocznym niewidzeniu, była widocznie usposobiona względem szwagra pokojowo.

— Czy pani sama przyjechała? — zwrócił się teraz do niej Kręcic.

— Sama?! Podniosła w górę ramiona i ręce z komicznym wyrazem przestachu i roześmiała się wesoło.

— Alboż pan wraca z Tahiti? Panienska dobrze wychowana „pod żadnym pozorem” nie jeździ sama, tak, jak nie pija czarnej kawy. Przeczytaj pan: savoir vivre, albo „wypada i niewypada” i nie sięj zgorzienia! Przyjechałam z wujem Znamienieckim, który wprawdzie jest za mało blizkim wujem, ale za to dostatecznie starym.

— To pan Znamieniecki jest w Warszawie?

— Jest i ma ochotę zabrać pana na wypoczynek do Karolówki, z czego ja się cieszę, bo chcę z panem o wielu rzeczach pomówić. Będzie pan miał jego wizytę dziś, albo jutro.

— Zrobi mi tem wielką przyjemność, ale pomimo dobrych słów pani, nie będę mógł sko

rzystać z zaproszenia. Mamy w biurze tyle roboty, że nikt w tym roku nie bierze urlopu.

Pani Bodziewiczowa spojrzała na niego z żalem.

— Jaka szkoda! — rzekła. — Tak się cieszyliśmy z Emilcią, że pan będziesz nas często odwiedzał w Kamionce i teraz z tego nic! To oburzające! Dwa lata pan pracujesz w fabryce i jeszcze nie wyjeżdżałeś ani razu.

— Tak zwykle bywa w biurach technicznych— odparł i zwrócił się do panny Emilji z zapytaniem: — Na jak długo pani przyjechała?

— O, tylko na parę dni. Marychna ma mię uczynić podobną do modnych kobiet, a potem uciekamy razem na wieś. Na to rzekł Bodziewicz:

— Myślałby kto, że ona nic nie dba o to, czy komu zawróci głowę kapeluszem.

Uzbrojony w swój bukiet, zbliżył się właśnie do ławki, na której siedziało całe towarzystwo i ciągnął dalej. — Każda panna uważa, że przyzwoitość nakazuje jej wypierać się męża, ale niechno się trafi amator, bodaj szczotka do zamiatania, ubrana w tużurek i w krawat... No, zobaczymy naszą Emilcię! Dam sobie rękę uciąć, że będzie z niej jeszcze uprzejmiejsza żonka, niż Howartówna, czy jak ją tam, z „Emancypantek”.

— Wobec tego, powinieneś wziąć rozwód z Marychną i uszczęśliwić się moją osobą — zażartowała panna Emilcia, ale bez gniewu.

A Bodziewicz parsknął śmiechem.

— Brawo, szwagierko! Jak Marychna trochę podstarzeje, a ty więcej utyjesz, pomyślę o tem. Tymczasem wracajmy, bo już pora obiadowa.

Podniósł Marysię i jedną ręką przytrzymując córkę i bukiet, drugą prowadząc Janka, ruszył naprzód.

— Czy ty myślisz iść tak Alejami i Nowym Światem? — zapytała go żona ze śmiechem.

— A naturalnie! Czy co masz przeciwko temu?

— Nie, nic. Jeśli ci to robi przyjemność...

— Nieopisaną, bo Marysię bolą nogi.

I poszli, a panna Emilcia patrzyła długo na poprzedzającego ją szwagra, poczem zwróciła się do Kręcica, który szedł przy niej.

— Dochodzę do przekonania, że to jest jedyny zupełnie szczęśliwy człowiek, jakiego znam — rzekła.

— A pani siostra?

— Marychna? Ona jest także szczęśliwa, ale za wiele się martwi, że on musi tak bardzo pracować, czego znów ja nie rozumiem.

— Pani tego nie rozumie?

— Nie, bo takim jest najlepiej. Kto pracuje od rana do nocy, zaspokaja swoje potrzeby materialne, z konieczności uważa je za cel życia

i nie ma czasu na cierpienia moralne. Ja się nigdy nie lituję nad przepracowanymi i chowam współczucie dla przepóźnowanych.

Kręcic nieznacznie się uśmiechnął, przyczem pomyślał, że panna Emilcia stanowczo

nie musi być zachwycona swoją rolą panny na wydaniu.

— Przeprożnowani mogą łatwiej znaleźć zajęcie, niż przepracowani odpoczynek — zauważył.

— O, zapewne, tylko taka chwila odpoczynku nie da się porównać z żadną rozkoszą, a zajęcie, wymyślone dla zabicia czasu, jeszcze bardziej przypomina przeprożnowanemu jego nędzę.

— To niech zajęcie będzie celowe. Ludzie przepracowani muszą z konieczności patrzeć blisko, choć czasami chcieliby patrzeć dalej, i dlatego ja się nie zgodzę, aby woły robocze wzbudzały zazdrość, a ci, którzy mogą żyć dla celów wybranych, zasługiwali na współzucie.

— Bo mnie pan nie rozumie! — zawołała panna Emilcia. — Gdyby panu nie wskazano żadnych wyższych celów, a te, które sam znalazłeś, wyśmiano, gdybyś musiał, jak w kieracie, obracać się w kółko między małostkami, zazdrościłbyś kamieniarzowi, tak, jak ja zazdrozczę chłopkom, które chodzą z sierpem i którym nikt nie mówi, że się wdzierają w prawa mężczyzn. Wiek dziewiętnasty powinien się wstydzić, że tyle mówi o poszanowaniu wolności osobistej, a tyle robi hałasu, jeśli się znajdzie panna, która powie, że także chce być kółkiem w maszynie, zwanej społeczeństwem.

— Z czasem będzie inaczej — uśmiechnął się Krępic. — Panny będą mogły być kółkami, jeśli zechcą, tylko nie będzie ich wiele. Ale najważniejsza, matki będą mogły bez przeszkody

wychowywać swoje dzieci i to dopiero będzie emancypacja.

Panna Emilja patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami.

— A to śliczna emancypacja! — roześmiała się ironicznie. — Myślałam, że pan jesteś postępowy. I gdzież są te matki, które nie mogą wychowywać swoich dzieci?

— Każda robotnica, która zostawia dom i idzie do fabryki — odrzekł Krępic i patrzył na nią spokojnie.

Twarzyczka jej przybladła od oburzenia, ciemne oczy jeszcze pociemniały i wyglądały dziwnie przy włosach jak len.

— Gdyby była chłopakiem — myślał — i gdyby ją pokierowano odpowiednio, mogłaby coś zrobić, bo ma zapał i umie czuć niesprawiedliwość. Ciekawość, jak też prędko jej przytrą rogi i co też z niej będzie?

Obserwował, jak po jego ostatnich słowach zamysliła się, widział po jej oczach, że jej umysł pracuje i próbował ją sobie wyobrazić na tle Kamionki, obok grubego pana Olchowicza powtarzającego: Dałbym ja jej! — i pani Olchowiczej, z namiętnością przerabiającej stare krawaty dla męża i zięcia i oburzonej na przewrócone głowy dzisiejszych dziewcząt.

— Więc pan przypuszczasz, że kobiety nigdy nie będą się kształciły wyżej? — zaczęła panna Emilja.

— I owszem, wierzę święcie, że tak będzie.

— Zatem nic nie rozumiem i...

Ale tu panna Emilcia urwała i z okrzykiem radości: Ciocia Winia! — podbiegła do panny Rańkowskiej, która się ukazała na rogu ulicy Wiejskiej.

Obie uściśniły się, bez względu na liczną publiczność, a potem usunęły się na bok i panna Emilcia poczęła mówić bardzo prędko i bez odetchnięcia:

— Wczoraj przyjechałam, ale dziś wpadnę do pani i jutro także, pójdziemy razem na pensję, dobrze? Moja najdroższa ciocia Winia! Mam mnóstwo rzeczy do opowiedzenia! Pierotka wyszła za mąż, wie pani? A Helka jest podobno narzeczoną. Płakałam cały dzień, jak mi o tem doniosła Krasulewicz; na pensji uchodziły za takie porządne dziewczyny i co to z nich świat zrobił!...

— Pani musi bardzo kochać pannę Rańkowską, prawda? — mówił później Krępic, gdy panna Winia pożegnała całe towarzystwo i skręciła na Smolną ulicę.

— Naturalnie, wszystkie ją tak kochamy. To przecież ukochana ciocia Winia całej pensji! Pisuje do mnie i do moich koleżanek, bo naszą klasę najwięcej lubiła. Jak ją widzę, zaraz mi jaśniej na świecie!

— I dzisiaj pójdzie pani zaczerpnąć tego światła więcej?

— I dziś, i jutro, i codzień, póki nie odjadę. Była rozpromieniona i śmiały jej się oczy.

— Jak ja się nagałam i jak ja się nasłucham! — mówiła dalej. — Mnie nikt tak nie ro

zumie, jak ona. Pana lubi bardzo, co już dowodzi wiele, bo ona nie dba o mężczyzn, tak, jak i my wszystkie. Ja tylko dlatego jestem z panem taka otwarta.

— Czy wolno wiedzieć, na czym pani opiera twierdzenie, dotyczące mojej osoby? — zapytał Krępic, ukrywając uśmiech i z powagą przyglądając się dziewczynie, która z życiowej maikontentki nagle się przemieniła w rozradowane dziecko.

— Na czym? Ależ ona do mnie pisuje. Dziwiła się, że pan Zygmunt wyjechał z Warszawy i powiedziała, że pan nigdyby tego nie zrobił. Jak na nią, to już jest wielka pochwała. Prawda, że ona umie ślicznie mówić?

— Tak, jest bardzo sympatyczna, ale najczęściej mówi niewiele.

Panna Emilcia machnęła ręką z lekceważeniem.

— To tylko przy mężczyznach — rzekła. — Z nami zupełnie co innego, ale bo też my ją rozumiemy! Mam zawsze wrażenie, że wszystkie myśli, które miałam w głowie, ale o których sama nie wiedziałam, że są, ona mi wyciąga i stawia przed oczami, jak żywe.

Zamyśliła się, a potem rzekła smutnie:

— Jak ona się zmartwi, gdy się dowie, w co się obróciły moje wszystkie projekty i marzenia!

— Jeżeli jedne marzenia się rozwiły, to może ciocia Winia pomoże do wysnucia innych? — zauważył Krępic i starał się spojrzeć jej w oczy.

— O, ja też tylko na nią liczę.



— Więc zamiar występowania na scenie upadł stanowczo?

Panna Emilcia zarumieniła się aż po białka oczu.

— To było dzieciństwo — szepnęła.

— A medycyna?,

Spuściła główkę i ciężko westchnęła.

— Ciocia Winia mówiła mi odrazu, że z tego nic nie będzie, bo mi rodzice nie pozwolą, a chcąc iść o własnych siłach, trzeba mieć ogromnie mocną wolę, wytrzymałość i zdrowie. Ona mię zna lepiej, niż ja sama i dlatego teraz będę tak robiła, jak ona mi poradzi.

Na to Kubacki się przysunął i rzekł:

— Więc to tam na Smolnej będzie dzisiaj walna narada? Może mnie i Krępicowi będzie wolno wziąć w niej udział? Zaczerwieniła się ogromnie, a Krępic zauważył, że było jej ładnie z tem, jak potem ten rumieniec ustępował powoli z czoła, z szyjki, jak zdawał się zbiegać w jeden punkt, aż znikł i tylko na policzkach pozostawił jakby odbłask zorzy. Patrzyła na nich z trwogą, poczem rzekła z prośbą w głosie:

— O, nie psujcie mi panowie dnia! Pójdziecie tam, jak już mnie nie będzie, możecie nawet chodzić codzień, byle nie teraz, jak ja jestem.

— Nie jesteś uprzejmą, Milciu — uśmiechnęła się pani Bodziewiczowa.

Ale ona wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Uprzejmość dla panów nie leży w obowiązkach pańien ; wogóle zwolniono je od wszel

kich obowiązków, więc powinny korzystać przynajmniej z tego.

Kubacki przyglądał się jej z pod oka.

— Czy pani klasa, ciesząca się uznaniem panny Wini, poprzysięgła sobie pod jej egidą celibat?

A gdy pani Bodziewiczowa zaczęła się dziwić, skąd wpadł na podobne przypuszczenie, dodał:

— Przecież słyszałem najwyraźniej, że panna Emilja płakała cały dzień nad losem Pierrotki, która padła ofiarą instytucji małżeńskiej. Kto jest owa Pierrotka, panno Emiljo?

Spojrzała na niego z bezgranicznem oburzeniem i wzdorliwie wyduła usta, poczem przyśpieszyła kroku i szła milcząca aż do domu.

— Pycha dziewczyna! — mówił później Kubacki, gdy się znalazł sam z Krępicem. — Pierwsza feministka, jaką znam, która się jeszcze umie czerwienić i w której możnaby się zakochać po uszy, byle nie na sakrament. Wiesz co? Tak Bodziewiczza w nią ubrać, to byłaby piramidalnie figowa para!

— Skądżeż wiesz, że byłaby gorszą żoną, gdyby kochała? — mruknął Krępic.

— Zwarjowałeś? — Ona miałaby być taką, jak pani Bodziewiczowa? Chybaby ziemia stanęła, a słońce się kręciło!

Krępic nic na to nie odrzekł, bo mu się przypomniał rumieniec, który uciekał z czoła i z szyi dziewczyny i pozostawił ślad zorzy na policzkach. Potem zaczął myśleć, że jeszcze takiej

nie widział, że gdyby ją nauczyć rozumieć życie, o onaby je pojęła, i że ten ktoś, kogo ona pokocha, może być bardzo szczęśliwy.

— Co też z niej zrobią ludzie i życie? — myślał jeszcze i dziwił się, dlaczego to pytanie tak się go uczepiło.

## VI.

Stary pan Znamieniecki odwiedził kolegę syna i był dla niego tak uprzejmy, że prawie serdeczny.

Mówił, że ludzie, urodzeni na wsi, nigdy nie mogą tak się zżyć z miastem, żeby od czasu do czasu nie zapragnęli odetchnąć ciszą wiejską, że Karolówka odpowiada wymaganiom takich spragnionych odpoczynku, bo w niczem nie krępuje swoich gości i jest może aż zanadto cicha, i że on zawsze z przyjemnością powita u siebie przyjaciela syna, jeśli ten przyjaciel zechce go odwiedzić.

Krępic dziękował i tłumaczył się, że w tym roku stanowczo nie może jeszcze myśleć o braniu urlopu, ale że z rozkoszą popatrzałby na Karolowieckie jezioro i że jeśli będzie mógł, to może kiedy skorzysta z ofiarowanej mu gościnności.

Pan Znamieniecki nie musiał odbierać od syna częstych i obszernych listów, gdyż wypytywał się o niego drobiazgowo i widać było, że z jego obecnego życia nie znał żadnych szczegółów.

Krępicowi się wydało, że dostrzegł w tych

zimnych oczach coś, jakby zazdrość o syna, który nie miał tajemnic przed obcym, a dla ojca był jak zamknięta szkatułka, do której on nie umiał dobrać klucza. Skutkiem tego, choć udzielał szczegółowych wiadomości o Odesie, napomknął, że wie to przeważnie od fabrycznego korespondenta, bo Zygmunt jest tak pochłonięty przez interesa, że do niego rzadko pisuje.

— Nie wiesz pan, jakie on może mieć dochody? — zapytał wtedy Znamieniecki, a w jego oczach nie było już teraz nic, prócz ciekawości aferzysty.

Na to Krępic odparł — że w tej kwestji jeszcze nic nie można powiedzieć, że przez miniony rok Matelski miał podobno do dziewięciu tysięcy rubli, ale wskutek niesystematyczności w robocie i oszczędności na materiałach, zepsuł fabryce markę i Zygmunt ma teraz podwójnie ciężkie zadanie, bo musi walczyć przeciw opinii.

— My jednakże mamy nadzieję — dodał wkońcu, — że to się naprawi niedługo, bo Zygmunt jest jakby stworzony na reprezentanta, wyrobił sobie mnóstwo stosunków, dużo bywa w Odesie i w okolicy i prócz tego zna robotę. Jak dobrze pójdzie, może mieć i do dwudziestu tysięcy rubli rocznie.

Znamieniecki rozjaśnił się przy ostatnich słowach, przyczem mrużył oczy i wyglądał, jakby coś obliczał.

— Rotte nie przepowiada sobie takiego rozwinięcia interesu — zauważył po chwili.

— Może być, chociaż fabrykant z zasady powi

nien obliczać raczej za mało, niż za dużo, i Rotte zawsze tak liczy.

— I dobrze robi — rzekł Znamieniecki. — Zawsze lepiej stoi ten rolnik, który liczy na nieurodzaj i według tego reguluje przyszłe rachunki.

Mówili jeszcze potem o Łankowskich, ale tu Krępic był bardzo wstrzeźliwy w objaśnieniach i pomimo widocznej w gościu chęci zbadania go, przeważnie milczał. Rozstanie było równie serdeczne, jak powitanie. Pan Znamieniecki ponowił zaproszenie i prośbę, by Krępic uważał jego dom za dom Zygmunta, oświadczył, że zawsze ma dla niego dużo szacunku, i z tem odszedł.

A dni Kręcica i Kubackiego zaczęły teraz zapadać w przeszłość bardzo szybko, choć jednostajnie. Mieli dużo pracy w biurze i poza biurem, a ta pozabiurowa objęła teraz szersze koło. Ale pomimo iż mieli mało wolnego czasu, nie zaniebdywali dawnych wizyt na Złotej i Smolnej. Z domem Rańkowskich łączyły ich wspólne interesa i dążenia. Było to środowisko stanowczo odpowiedniejsze dla nich, aniżeli salonik pani Marychny. Lepiej ich tam rozumiano i zajmowano się kwestjami, które były dla nich najżywotniejszemi, lecz dom Bodziewiczów miał znów inny urok.

Wskutek dziwnej sprzeczności, często leżącej w charakterze ludzkim, wprost uczuwali chwilami potrzebę oderwania się od tego, co było osią ich życia i szli na Złotą patrzeć na ludzi, którzy żyli tylko sobą i byli tak bardzo szczęśliwi.

Chodzili przynajmniej raz w tydzień i zwykle projekt rzucał Kubacki, pomimo, iż wracając, bywał najczęściej w złym humorze i twierdził — że na psa te wizyty się nie zdały.

— Z jakiej racji — mówił też raz do Kręcica — taki Bodziewicz wziął sobie najlepszą część z tego, co się nazywa ozdobą życia i używa jej bez wyrzutów sumienia? Ona tak wygląda, że mnie czasami napadają głupie myśli, skąd taka kobieta przysłała do dzieci? Zdaje mi się, że jestem przy niej, jak brudna ścierka przy welonie panny młodej, a ten idjota, pewno nie lepszy odemnie, patrzy na nią, jak na rzecz, która mu się słusznie należy. To jest przecie coś bajecznie komicznego!

— Nie, tamto jest naturalne, — odparł na to Krępic — a bajecznie komiczne jest to, co ty mówisz. Że też zawsze musisz żyć ostatecznościami! Uważam, że chwilami miewasz ochotę wyrzucić Bodziewicz za drzwi, i wtedy drzę, żeby nie przyszła chwila, w której Bodziewicz ciebie wyrzuci.

Powiedział to pół serjo, pół żartem, myśląc więcej o fotografii panny Emilci, którą dziś dostał od pani Marychny, niż o przyjacielu. Pilno mu też było do domu, bo chciał się lepiej przyjrzeć jasnej główce dziewczyny, patrzącej z obrazka czarnymi oczami jak żywa.

— Ładna! — mówił sobie i szedł prędko, a Kubacki podążał za nim i mruczał.

— Mnie tam nic do nich, kiedy jej z tem dobrze! Poszłaby za nim i za dziećmi na bieżun.

Ale za mną niktby nie poszedł i dlatego czasami porywa mię na niego złość! Najłatwiej zmarnować prawo i zdolność do szczęścia. W zysku można sobie oddać przynajmniej tę sprawiedliwość, że się czuje własną nędzę. A taki idjota wierzy, że to białe stworzenie powinno na jego każde zawołanie zarzucać mu ręce na szyję i jeszcze czuć dla niego wdzięczność! Taki nic nie przemarnował, bo nic nie miał do przemarnowania. Ot!

Stanął i podniósł oczy ku gwiazdom, poczem podał rękę Krępicowi i rzekł prędko:

— Dobranoc! Ogarnął mię „spleen”, a jutro może mię weźmie jaka choroba. Ot głupstwo, ale mam czarno w duszy. Dobranoc!

I poszedł, a Krępicowi dopiero nazajutrz przypomniały się jasno jego słowa. Nie przyszedł do biura i to było dziwne, bo się wyróżniał punktualnością. Na obiedzie także się nie pokazał i to zaniepokoiło Kręcica. Postanowił do niego zajrzeć, ale gdy przedtem wpadł na chwilę do siebie, zastał trzech filozofów ze szkoły, która wyznaje zasadę — „chcesz poznać człowieka poznaj dobrze jego mieszkanie”. Szczęściem załatwił się z nimi dość prędko, a potem wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Kubackiego. W bramie spotkał stróża, który go znał i zaraz machnął ręką.

— Choroba wzięła. W szpitalu, gdzie słabują ponoj na serce!

— Kiedy?

— Wczoraj. Nad ranem pojechał.

— Za mną niktby nie poszedł... — przypomniał sobie Krępic i wyszedł prędko, bo mu oczy zaszyły mgłą. Poczem pojechał na Smolną.

Rańkowski poszedł z dziećmi na spacer, pani Rańkowska szła mundurek dla młodszej córki, a panna Winia siedziała nad stosem kajetów.

Krępic siadł przy niej i rzekł:

— Wie pani, Kubackiego niema... Zerwała się i patrzyła na niego, nic nie mówiąc, a on ciągnął dalej.

— To było do przewidzenia.. i on sam przeczuwał...

— Już pan się z nim widział? — zapytała teraz.

— Nie, ale chciałbym jaknajczęściej i przyszedłem się od pani dowiedzieć...

— Pani Rotte panu ułatwi, pobiegnę do niej, ona ma stosunki... Będziesz pan mógł chodzić często.  
Tu się zatrzymała i po chwili rzekła:  
— Postaram się ją zainteresować... on pewnie nie ma żadnych środków..  
Lecz Krępic jej przerwał:  
— Dziękuję pani, to już rzecz kolegów.  
I znowu dni zaczęły zapadać w przeszłość, tylko dla Kręcica były samotniejsze niż dawniej.  
Co tydzień odwiedzał Kubackiego, ale ten był rozdrażniony i nawet w początkach nie chciał z nim gadać.  
— Trzeba być idjotą! — wołał. — Patrzcie, jaki miłosierny. Siebie pilnuj i okładów z zimnej wody nie żałuj!...

Krępic pomimo to chodził, jak tylko mógł, ale w pół roku i to się urwało. Chorego udało się przenieść do Tworek. Porozumiał się z kolegami, bo teraz koszta przeniosły jego możność, ale nie zawiódł go żaden. Naftal zaś i Znamieniecki okazali się aż nadto hojnymi.  
A dla Kręcica były teraz jedyną pociechą wiadomości od Zygmunta, choć zazwyczaj pisał krótko i pośpiesznie. Tylko raz jeden przysłał mu list obszerniejszy i to jeszcze w zimie, po kontraktach kijowskich, które nazywał swoim żniwem.  
„Nie masz pojęcia, — pisał — jaki tu zupełnie inny duch ożywia ludzi. Interes, pieniądz, oto jedyne motory, które tutejszy świat poruszają! My nie mamy pojęcia o podobnej przedsiębiorczości. Człowiek, który dziś stracił posiadłość, tylko się śmieje, tak wierzy, że jutro dostanie lepszą. Tu nikt nie słyszy o umowach piśmiennych między pracującymi i pracodawcami. Po co, kiedy to krępuje? Właściciele fabryk częściej zmieniają dyrektorów, niż nieraz u nas robotników, a dyrektorzy i urzędnicy bez żadnej ceremonii rzucają pracodawców, jeżeli tylko dojrzą dla siebie lepsze widoki. A widoków nie brak, bo horyzonty, które obejmuje wzrok tutejszych ludzi, są obszerne, sięgają nietylko Kaukazu, Uralu i Turkiestanu, ale zapadają jeszcze dalej, aż nad brzegami Amuru, rzeki Żółtej i Niebieskiej i może nie oparłyby się chyba aż o nieskończoność, gdyby nie ocean, u stóp którego kładą się żądze

i ludzka chciwość! Mogłem być dostać posiadłość nad Amurem i nawet wahałem się, co lepiej, czy tam posiedzieć cztery, pięć lat, czy tu ośm, dziesięć, ale w końcu postanowiłem zostać.  
„Widziałem też na kontraktach Dembosza. Dostał posiadłość pomocnika dyrektora w przędzalni w IwanowoWozniesieńsku. Protegował go jeden z tamtejszych dyrektorów, Bierzowski. Tak mi się ucieszył, że aż mię wzruszył. To zawsze dobry chłopak i niezupełnie jego w tem wina, że nie mógł wyżyć za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Z Wakowiczem często pisują. Wakowicz siedzi zagrzebany na jakiejś małej stacji, na linii kursko-charkowskiej. Do nas się nie odzywali, bo przypuszczali, że my nie uwzględnimy siły faktów i okoliczności, niezależnych od woli ludzkiej. Posyłam ci ich adresy. Mówiliśmy też o Kubackim i Demboszu się rozbeczał, jak baba. Może zrozumiał, jaka przestrzeń dzieli nas od niego...

„Czy wiesz, Kato? Choć się nie łudzę co do wpływu klimatów i pamiętam o antydotach, gdy patrzę na tutejszych ludzi, jest mi zimno. Pisuj do mnie i o tamtych nie zapominaj. I nie licz się z listami, bo ja stale choruję na gorączkę pośpiechu. Pamiętaj!”

— Chyba pojedę do niego — pomyślał Krępic.

Było mu ciężko, coraz ciężiej na sercu, a gdy jeszcze przyszła wiosna, nie mógł sobie dać rady. Z ciepłym wiatrem wróciły tęsknoty i smutki, pomieszane z nieokreślonymi pragnieniami szczęścia.

— Trzeba mieć choć jedno ciepłe, ludzkie serce... — przypominały mu się słowa Zygmunta i pożałował tego serca, jak pragnący kropli wody.

A potem w nocy zaczęły go nawiedzać sny dziwaczne. Raz mu się marzyło, że wrócił do domu i że mu otworzyła drzwi młoda kobieta, która go poprowadziła do stołu, nalewała mu herbatę i była jego żoną.

Gdy się zbudził, żałował, że jej nie pocałował i nie przekonał się, jakie też robi wrażenie pocałunek żony, a potem tyle o tem myślał, że w jakiś czas sen wrócił i dał mu to, czego pragnął.

Jakaś mglista, jasna postać nachyliła się nad nim i całowała go w usta.

— Znowu sen — powiedział sobie, ale równocześnie chciał ten sen przytrzymać i zbudził się. Prawie czuł pocałunek, prawie widział twarz jakgdyby z mgły i światła, więc przymknął oczy i próbował, czy marzenie nie wróci. Ale nie wróciło, a on zaczął myśleć o panie Emilci.

— Ma czyste czoło Madonny i spojrzenie dziecka, a jednak jest kobietą, nie aniołem, a każda kobieta, gdy pokocha, staje się taką, jak wszystkie. Może to szkoda, że tak jest, a jednak... co to za potęga miłości i co za zwycięstwo, jeśli takie, jak ona i Bodziewiczowa, dobrowolnie zarzucą ramiona na szyję mężczyzny!

Krępic już nieraz sprzeniewierzył się dawnej zasadzie: „czego wymagamy od kobiety, to powinniśmy jej dawać”, ale to tylko jego samego

obniżyło w jego oczach. Kobieta stała na dawnym piedestale.

Teraz zerwał się z łóżka, zapalił świecę i wyjął z biurka fotografię panny Emilji.

Jest wiele ładniejszych, dla niektórych ona może nawet nie jest wcale ładna, ale takiej samej chyba drugiej nie widział. Gdyby mu okazała choć trochę serca, toby ją pokochał, bo czuje w sobie szaloną ochotę do kochania. Może nie był jej wart, ale gdzież są inni? Widywał gorszych, nawet wstrętnych, ale lepszych od siebie nie spotkał. Pod tym względem są niżsi od kobiet. Kobiety stanowczo dalej odskoczyły od typu zwierzęcia, a czy mężczyźni dorównają im kiedy, to jeszcze kwestja. Trzebaby zupełnie zmienić dawny system wychowania i dawne moralne kodeksy. Jak też ona wyobraża sobie życie mężczyzn? Wyspowiadałby się jej ze wszystkiego, kobiety wierzą, że żal maże grzechy, a potem nosiłby ją na ręku całe życie... Czyżby już na niego przyszła chwila? Gdy przed rokiem wyjechała z Warszawy, długo o niej myślał. Potem mu trochę zbladła, ale gdy pani Bodziewiczowa, lub panna Winia odebrały od niej list, zawsze je

prosił o udzielenie nowin i wtedy miał ją przed oczami, jak żywą, a świeżą, jak kwiat bzu. Było jej podobno w domu smutno, bo jej nikt nie rozumiał, rwała się do innego życia i czuła się nieszczęśliwą. Szkoda, że nie jest chłopcem — powiedział sobie przed rokiem — ale teraz nie miał o to do natury żalu. Tego rodzaju kobiety powinny

przecie istnieć, bo któżby rozumiał takich ludzi, jak na przykład on? Gdyby go pokochała, roztoczyłby przed nią widoki jeszcze szersze i jaśniejsze, niż ona je sobie wyobraża. Nie wątpił, że byłaby zdolną objąć je wzrokiem, a wtedy, serce przy sercu, szliby razem — w słońce.

Wziął w rękę fotografię i umieścił ją tak, że światło świecy padło wprost na jasną główkę. Czoło i owal twarzy były dziewiczo czyste, ale pełne usta i ciemne oczy mówiły, że umiałyby całować i patrzeć z miłością.

Sam nie wiedząc jak i kiedy, przybliżył portret do twarzy, przycisnął do niego usta i doznał takiego samego wstrząśnienia jak we śnie.

— Gdybyś mię pokochała, dziewczyno! — zawołał głośno i zerwał się, zdziwiony swoim szaleństwem.

Co mu się stało? Wiosna zawsze go rozmarzała, ale tak jak dziś, nigdy. Nigdy jeszcze nie czuł takiego namiętnego pragnienia, by go kochano i nigdy nie zużył tyle woli na zwalczanie siebie.

Szaleństwo! — myślał potem. — Nie danoby mu jej. Gdyby miał jedną literę więcej w nazwisku, mógłby próbować rozkoszy drapania się na kryształową górę, na której siedzi królowa, jasnowłosa, jak Loreley. Ją może dostać każdy głupi szlachcic, ale chłop, nawet taki jak on — nie!

Wrzucił fotografię do biurka, zamknął szufladę, przyrzekł sobie nie poddawać się nigdy

głupim myślom i postanowił, jeśli dostanie urlop, jechać do Odesy.

Ale w czerwcu przyszedł list z Karolówki i dowiedział, jak są kruche postanowienia ludzkie, gdy w grę wchodzi serce.

— Jeśli pan możesz się uwolnić w tym roku, — pisał ojciec Zygmunta — to proszę nie zapomnij o Karolówce.

Myślałem, że i Zygmunt przyjedzie, ale podobno nie może. Trochę to smutne, gdy młodzi nie rozumieją, że rodzice na starość chcieliby ich widywać częściej, a gdy nie można, przynajmniej wiedzieć o nich wszystko."

— Nemezys serca — pomyślał Krępic. — Odsunął od siebie syna, a teraz pragnie widoku obcego człowieka dlatego, że ten człowiek kocha jego dziecko i będzie mu o niem mówił.

Zrobiło mu się żal Zygmunutowego ojca, który może teraz siedział samotnie w zimnym gabinecie, albo się przechadzał po wielkich pokojach pustego domu w towarzystwie ciężkich myśli.

— Pojadę — rzekł w duchu, a w tejże samej chwili uczył wielką radość i Karolówka zaczęła mu w oczach błękitnieć, aż się rozplynęła za starym ogrodem i śpiczastym dachem Kamionki.

Jak żywą zobaczył pannę Emilcię i zrozumiał, skąd radość.

— Pojadę! — zawołał teraz prawie głośno z uporem. — Fakt, że to mię męczy, więc

lepiej zwrócić w same oczy temu czemuś, co może ostatecznie jest tylko złudzeniem. To mię uspokoi, albo... mniejsza o to! Jeśli to miłość, niechże i ja ją poznam zblizka!

Siadł i napisał list do Znamienieckiego, a gdy zamierzał wyjść, by go odnieść na pocztę, wszedł do pokoju Matelski.

Uścisnęli się za ręce i gdy siedli, gość wydał się Krępicowi jakiś zmieszany.

Poruszał się niespokojnie, patrzył mu w oczy, zaczynał mówić o rzeczach obojętnych i nie kończył, wreszcie rzekł odrazu :

— ja mam do pana prośbę.

— Proszę, cóż takiego ?

Znowu się zmieszał, ale jednak po chwili zaczął:

— Widzi pan, razem bywamy u państwa Rańkowskich i nawet ja wprawdzie zacząłem bywać. Ale posadę miałem lichą.

Teraz dostałem się do Łodzi, mam sto rubli miesięcznie i nadzieję na podwyżkę. Mógłbym już pomyśleć

o własnej rodzinie... pan wie o kim myślę... ale nie jestem pewny... Znam wartość swoją

i pańską, wybór łatwo zgadnąć i... i nie chciałbym narażać jej i siebie na przykrość odmowy.

Krępic się podniósł i wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję panu i ręczę słowem, że panna Rańkowska nigdy i niczem mi nie okazała żywszej sympatji. Byliśmy tylko przyjaciółmi, masz pan wszelkie szanse powodzenia i ja go panu życzę

całym sercem. Oboje nie mogliście państwo zrobić lepszego wyboru.

Twarz Matelskiego rozjaśniła się tak, jakby na nią padł cały snop promieni, a gdy się rozstali, Krępic ponosił swój list na pocztę i myślał ze smutkiem:

— Ot, i ci będą szczęśliwi!

A potem zabrał się gorączkowo do pracy i codziennie liczył dni, które go jeszcze dzieliły od dnia wyjazdu z Warszawy.

Upały i duszność stawały mu się tak nieznośnymi, że teraz wcale nie mógł pojąć, jakim sposobem wytrzymał trzy lata i jak wytrwają ci, którzy zostaną.

W przeddzień wyjazdu poszedł pożegnać Bodziewiczza i zapytać, czy nie ma jakiego zlecenia do żony, która już od paru tygodni bawiła w Kamionce.

Bodziewicz był tem widocznie ujęty i bardzo serdecznie uścisnął mu obie ręce.

— Dziękuję — mówił. — Powiedz jej pan, że jestem zdrow i że, jak mogę, radzę sobie, żeby za niemi nie tęsknić! A niech uważa na dzieci i w razie jakiego wypadku da mi znać natychmiast. Co mnie to jezioro kosztuje, to pan nie ma pojęcia! Codziennie mi się śni, że wyciągają siecią albo Janka, albo Marysię. Niech jej pan to powie. Jutro przyjdę na pociąg i przyniosę dla nich paczkę, niewielką. Czy można?

— Ale i największą! — rzekł Krępic i pożegnawszy go, poszedł na Smolną.

Nie był tam już trzy tygodnie, nic nie wie



dział, jak się powiodło Matelskiemu, ale że się u niego nie pokazał, więc pewno dobrze. W szczęściu zapomina się o innych i dziś może wypadnie złożyć życzenia pannie Wini? Lecz panna Winia wyjechała z partją dzieci na kolonie letnie, najstarszy z synów przyjął korepetycje i także wyjechał na wieś, a pani Rańkowska wzdychała, że mąż nie może sobie pozwolić na odpoczynek i że najmłodsze dzieci nawet nie znają wsi. O sobie nic nie mówiła, choć przy wielkiej tuszy może najtrudniej było jej znosić upały.

Krępic był tak zdziwiony wyjazdem panny Wini, że to otwarcie objawił.

A pani Rańkowska domyśliwszy się, co miał właściwie na myśli, rzekła smutnie:

— Tak. To bardzo porządny człowiek, lecz dzisiejsze dziewczęta są naprawdę trochę inne, niż dawniejsze. Niezupełnie dowierzałam Wini, a jednakże teraz mię przekonała, że naprawdę nie myśli iść za mąż. Matki, jak to matki, chciałyby mieć wnuków i w tem widzą szczęście, ale jeżeli jej tak lepiej, to i chwała Bogu!

Krępic, nie wiedzieć czemu, wyszedł stamtąd z przykrem wrażeniem. Raz zazdrościł Matelskiemu, teraz znów było mu go żal, lecz zaczął się zbierać do podróży i wrażenie minęło.

A nazajutrz, już zastał na dworcu Bodziewicza. Przyszedł obładowany paczkami, jak wielbłąd i z trochę dzieciennym uśmiechem po kolei je wręczał Krępicowi.

— To dla Marychny, to dla Janka, a to dla Marysi — mówił i był przytem rozpromieniony na podobieństwo księżyca w pełni.

— Na każdej paczce są napisy, żeby się pan nie pomylił — ciągnął dalej, uśmiechając się i ruszając obwisłemi wąsami, co było u niego objawem wzruszenia.

Wkońcu podał jeszcze jedną paczkę, bardzo dużą.

— To dla Marysi na imieniny. Niech matka schowa i nie pokaże dzieciom, aż w sam dzień piętnastego sierpnia. I wiesz pan, co to jest?

A gdy Krępic poruszył głową na znak bezwzględnej nieświadomości, Bodziewicz dodał tajemniczo:

— To wóz drabiniasty. Marzyli o takim, bo oni sobie rwą trawę i układają w stogi, ale wtenczas był dla mnie za drogi.

W lipcu zawsze wszystko tańsze.

Już pociąg ruszył, a on jeszcze objaśniał, biegł obok wagonu, machał kapeluszem i wołał:

— Uściskaj pan dzieci, nie zapomnij i powiedz, że to od tatusia. Matka niech im codzień mówi o mnie i niech pisze dwa razy na tydzień. Ja tak samo będę pisała, a jeśli nie odbierze listu, niech się nie martwi, bo z pewnością zginął na pocście...

Pociąg pędził, Warszawa przepadła, a myśli Kręcica leciały, jak ptaki.

Było mu lekko na sercu, w oknie stał, oddychał nareszcie i rozkoszował się widokiem obszarów, mozaikowanych żytem, pszenicą, ciemną

zielenią jarzyn, fioletem ugorów i śniegiem kwitnących kartofli.

Na stacji, jak niegdyś, czekał na niego węgierski wózek, czwórka szpaków i Pipczyński.

— Jak się macie!

— Dziękuję, dobrze, proszę jaśnie... proszę wielmo... proszę pana.

— Pan zdrów?

— A zdrów jasny pon, tylko na głowie dycht zbieloł.

W pół godziny potem wjechali na wzgórze i Krępic znowu ujrzał jar, który mu się teraz wydał podobny do wielkiej, podłużnej czary o brzegach, miejscami rzeźbionych w skarpy i żółte gliniaste wyrwy, miejscami oddychających falami zboża i przystrojonych dwoma wielkimi bukietami, Kamionką i Karolówką. Czara była nalana jeziorem, jak światłem. Po łąkach chodziła cisza i drzemały szare kopy.

Gdy przejeżdżali tuż przy parkanie ogrodu Kamionki, Krępic wzięła chęć wstąpić, ale się przezwyciężył.

— Jutro uprzedzę pana Znamienieckiego i odwiozę paczki — pomyślał i jechał dalej.

Na ganku Karolowieckiego dworu czekał na niego sam gospodarz.

Rzeczywiście osiwiął i ogromnie się pochylił od czasu, jak go ostatni raz widział Krępic Powitał gościa bardzo serdecznie, sam objaśniał służącego, by zaniósł rzeczy do pokoju pana Zygmunta, i był jakiś gorączkowo ruchliwy.

— Pewno go opadły wspomnienia o Zyg

muncie — pomyślał Krępic i gdy się znaleźli w gabinecie, umyślnie zaczął mówić o interesach. Poczem wyjął z bocznej kieszeni paczkę, wręczył ją gospodarzowi i rzekł:

— Zygmunt dał mi upoważnienie do podnoszenia swoich kapitałów i do umieszczania ich na Karolówce. Tu jest siedm tysięcy rubli, a na przyszły rok, mamy nadzieję, będzie dwa razy tyle.

Twarz gospodarza odrazu przybrała swój zwykły wyraz. Rozmawiali jeszcze chwilę o interesach odeskiej filji, a potem przeszli na obiad.

Przy czarnej kawie Znamieniecki rzekł, że miał dzisiaj list od Bodziewiczowej, która zapytuje, czy pan Krępic już jest, i widocznie pragnie mieć wiadomości o mężu.

— Pan pewno będziesz często zaglądał z nudów do Kamionki — dodał — konie i łódka są zawsze gotowe. Proszę się niczem nie krępować i rozporządzać wszystkiem, nie jak u ojca Zygmunta, lecz jak u niego samego.

Po obiedzie Krępic przede wszystkim odszukał Bonię, która czekała na niego, już naprzód splakana i ucałowała go tak, jakgdyby był Zygmuntem. Ale z nią rozmowa była teraz trudna. Po trochu zdziecinniała, po trochu zestarzała się i spadła z sił i bezustannie powtarzała jedno:

— Już ja stara jestem i tego biedaka nie doczekam i już go nie ujrzą moje oczy, a jak Emilcia spyta o niego, tylko ręce rozłożę, bo nic nie wiem, nici Takam nieszczęśliwa!

Wyszedł od niej trochę rozdrażniony, prze

szedł się po ogrodzie, wreszcie postanowił jeszcze dziś jechać do Kamionki.

A gdy już ten zamiar powziął, ogarnęła go pusta wesołość. Gwizdząc wpadł do przedsiionka, powiedział służącemu, że na herbatę nie wróci, potem zabrał wszystkie paczki Bodzewicza i puścił się łodzią na jezioro.

Nareszcie miał przestrzeń bez końca, widział, jak horyzont obejmuje ziemię od wschodu na zachód, oddychał światłem, myślał szafirami jeziora i nieba.

Ale łódź uderzyła o brzeg przeciwny i zbudziła go ze snu.

W altanie nie było nikogo, że jednakże z ogrodu dolatywał śmiech dzieci, zabrał paczki i poszedł w stronę, skąd dochodziły głosy. Na końcu szpaleru Janek i Marysia sypali kopiec z piasku, który nosili rączkami. Na jego widok, chłopak pierwszy krzyknął: Pan Kłepic! — za nim Marysia powtórzyła to samo, poczem oboje puścili się do niego co siłą, raz po raz wybuchając śmiechem.

— Gdzie mamusia? — zapytał malców i ucałował opalone buziaki.

— Mamusia w domu — rzekł Janek i wsunawszy rączkę w jego rękę, począł go prowadzić.

A przez drogę gość dowiedział się jeszcze, że babcia jest zła, bo ciocia Emilcia nie usmażyła malin, nie przyszyła dziadziusiowi guzika do kamizelki, zapomniała o podwieczorku i poszła do lasu.

— Do lasu — potwierdziła Marysia, poczem

wszystko troje weszli przez werendę do salonu, gdzie dzieci zostawiły go samego.

Lecz po chwili wróciły, prowadząc w tryumfie matkę i oboje państwa Olchowiczów. Nastąpiły powitania, rozwiązywanie paczek, okrzyki radości dzieci, pytania i odpowiedzi, wreszcie zabrano Kręcica na podwieczorek.

— A gdzie Emilcia? — zapytał nagle Olchowicz i rozejrzał się po jadalnym pokoju.

— Nie wiem. Teraz dzieci nie opowiadają się rodzicom, co robią i dokąd chodzą.

Pani Olchowiczowa powiedziała to trochę cierpko, a Kręcic zauważył, że córka spojrzała na nią z wymówką i że jej leciuchno drżały usta, gdy mówiła:

— Poszła do lasu, ojczulku, bo ją dziś bolała głowa. Ja sama ją namówiłam, żeby się przeszła.

— No tak, zapewne, ale mogłaby wrócić na podwieczorek i matkę wyręczyć — mruknął gospodarz. Pewno mleka dla mnie niema.

— Jest, ojczulku.

— Ale pewno bez lodu.

— I owszem, z lodem.

Olchowicz się rozpogodził, rozpiął płócienną, kurtkę i siadając przed wielkim dzbankiem mleka, mówił:

— Powiadam panu, że niema w lecie, jak mleko z lodem. Niech się schowają wasze wszystkie miejskie delicje!

Ale na werendzie, a potem w salonie dały się teraz słyszeć lekkie, bardzo szybkie kroki.

Krępic uczył, że mu krew nabiegła do twarzy, a do pokoju wbiegła panna Emilcia.

Trzymała w ręku kapelusz, włosy miała rozwiane, na twarzy mocne rumieńce i oddychała ciężko.

— Przepraszam mamusię — zaczęła zaraz ode drzwi i wysilona oparła się o ścianę, — myślałam, że zdążę. Już wracałam z lasu, gdy spotkałam starą Celmerkę. Powiedziała mi, że Zośka, jej wnuczka, wie mamusia, ta co służyła we dworze do Nowego Roku, umiera i że ona musi ją samą zostawić i iść do Leszczyn, bo tam jedna baba się zna na takich chorobach. Chałupa tuż pod lasem, więc powiedziałam, że ja przez ten czas posiedzę przy Zośce, a ona...

— Czego ty mi się włóczysz po chłopach?— wrzasnął nagle Olchowicz takim głosem, że szyby zadrżały, a dzieci wybuchnęły płaczem.

Był czerwony, jak sukno. Panna Emilcia mimowoli się cofnęła, a pani Bodziewiczowa spojrzała na niego ze zdziwieniem, poczem zbliżyła się do siostry i rzekła spokojnie:

— Nie mogłaś inaczej zrobić. Co jest Zośce?

— Dziecko ma — szepnęła dziewczyna i patrzyła na nią z wdzięcznością. — Ledwie oddycha, taka blada, ale jak dałam małej rumianku, to się uśmiechnęła... Takie malutkie dziecko... a tatuś jeszcze na mnie...

Teraz pani Marychna się trochę zmieszala i spojrzała na matkę, pani Olchowiczowa zaś patrzyła na Krępicę i szeptała ze zgrozą :

— Jezus Marja! do położnic chodzi — taka młoda dziewczyna... koniec świata!

Panna Emilcia nie spostrzegła dotąd gościa, bo go zasłaniały barczyste plecy ojca, ale teraz poszła za wzrokiem matki i... cała stanęła w pąsach. A Krępic się zbliżył, ujął jej rękę i sam nie wiedząc, co robi, podniósł ją do ust, jak relikwiarz.

W pokoju zrobiła się cisza. Pan Olchowicz nalał sobie mleka i pił je duszkiem, pani Olchowiczowa osłupiała i dopiero pani Marychna pierwsza przerwała niemile milczenie. Spojrzała na Krępicę z wdzięcznością, pogładziła siostrę po twarzy i prowadząc ją do stołu, rzekła:

— Pójdź, napij się mleka, to się ochłodzisz, siostrzyczko.

Ale pomimo to, nie było już swobody przy tym dużym stole, mówiono mało i wszyscy odetchnęli, gdy nareszcie gospodarz się podniósł i przeprosił Krępicę, — że to ten... tego... żniwa i robota — wyszedł.

Panna Emilcia chciała także wysunąć się niepostrzeżenie, ale matka zatrzymała ją pytaniem:

— Dokąd idziesz, Emilciu?

— Jeszcze nie usmażyłam malin i nie skończyłam... — zaczęła.

— No, no, ja za ciebie zrobię, a ty idź z Marychną do ogrodu i odpocznij.

W oczach córki, skierowanych na twarz matki, odbiło się takie zdziwienie, że pani Olchowiczowa się zmieszala i dodała, jakby się tłumacząc:

— Marychna już usmażyła syrop, więc tylko wrzucę maliny, możesz iść.

A Krępic, którego wzrok prawie nie schodził z twarzy dziewczyny, dostrzegł teraz na jej ustach trochę szyderski uśmiech. Wyszli we troje do ogrodu, dzieci pobiegły przodem, pani Bodziewiczowa zaś zwróciła się wtedy do siostry i rzekła łagodnie :

— Nie powinnaś była, Emilciu, opowiadać rodzicom, że byłaś u Zośki. Przecie znasz mamę, po co jej robić przykrość? Dziewczyna skrzywiła usta ironicznie.

— Masz rację, Marychno. Nie powinnam była tam chodzić, choćby nawet od tego zależało ludzkie życie. Ale wy musicie się z tem pogodzić, że jestem dziwadło, jak mówi mama, że nie umiem się wstydzić rzeczy, których się nie wstydzi natura, i że pewno jeszcze nieraz popełnię nieprzyzwoitość. Tak, nawet mi wszystko jedno, że pan Krępic był przy tem.

Ostatnie wyrazy wymówiła głośniejsz i energiczniejsz, ale równocześnie rumieniec począł jej zabierać policzki, czoło, uszy i spłynął aż na szyję.

Nie było jej wszystko jedno, ale tak, czy owak, wydała się teraz Krępicowi biedną, niezrozumianą i w dodatku tak ładną, że miał ochotę całować bodaj ślad jej nóżek, albo sukienkę.

A pani Bodziewiczowa otoczyła ją ramieniem i rzekła spokojnie:

— Nie rozumiałaś mnie, Emilciu. Jabym tak samo postąpiła, jak ty i nawet tam trzeba będzie

iść się dowiedzieć, ale mama nie może tego zrozumieć, mama jest inaczej wychowana i ty się musisz z tem liczyć.

Dziewczyna nie słuchała końca. Schwyciła rękę siostry i nim się ta spostrzegła, poniosła do ust.

— Przepraszam cię, Marychno, jesteś lepsza odemnie, sto razy lepsza! Widzisz, ja obiecałam, że jutro znowu przyjdę... dziękuję ci!

Pani Marychna się śmiała.

— No, patrz pan tylko! Nagadała mi, co się zmieści, a teraz niema lepszej odemnie. Czyś pan kiedy widział taką zapałkę?

Krępic odparł z głębokim przekonaniem, że nie widział nigdy, poczem zaczęli rozmawiać weselej, tylko panna Emilja była ciągle jakby nieswoja, a on tylko z wysiłkiem odwracał od niej oczy.

A gdy odjeżdżał wieczorem, był jakby pijany. Na środku jeziora położył wiosło, wyciągnął się w łodzi i podłożywszy ręce pod głowę, patrzył. Miał pieśń w duszy, a od tej pieśni rozkołysała się łódź i jezioro, powtarzały ją sobie szuwary na brzegu i opary na łące, tą pieśnią drgało niebo i cały świat, a każdy jej ton rodził się w jego sercu i konał aż gdzieś ponad gwiazdami.

Krępic powiedział sobie wtedy, że to już chyba jest kochanie, owo jedno jedyne, że będzie teraz o nie walczył z nią i ze wszystkimi przesadami świata i że albo zwycięży, albo... albo...

Lecz tu jego myśli gasły, jak pochodnie za

nurzone w wodzie. Tej nocy nie spał dobrze, budził się co chwila, nie mógł się doczekać dnia, wreszcie wstał i wyrzwał przez okno.

Na prawo, za lasem dębowym, jak race tryskały strumienie wschodzącego słońca, miały wszystkie kolory tęczy i koronkowe czuby drzew napoiły krwią. Niebo było w tym miejscu złote, nad łąkami białawe, a dalej, ku zachodowi płynął błękit, szafiry i wszystkie kolory fioletu. A na północy wałęsało się stado chmur i niesło w łonie śnieg i spóźnione róże, jezioro było bez barwy, bo spało w tumanach, przestrzeń między niebem i jeziorem wypełniał wilgotny, białawy, a przecie przejrzysty płyn, powietrze letniego poranka.

Że jednakże była niedziela, te wszystkie czary i uroki zdawały się oddychać spokojem innym, niż zwykle, odświeżonym, niedzielnym.

Krępic uczył się rozrzewnionym.

— Świat jest dobry. Ona i ten wschód słońca, to jedno. Może są lepsze, może są piękniejsze, ale on taką woli. Musiał ją kochać już bardzo dawno, tylko nie wiedział. Może ją kochał nawet nie znając? Teraz tak mu się zdawało. Na świat z tem przyszedł, to w sobie nosił, póty, aż dojrzało samo i bez jego woli i wiedzy skryształizowało się w niej, takiej, jaką wczoraj widział. Zresztą, co mu z tego przyjdzie, jak się to stało i co się z tem stanie później? Oto jest mu dobrze wsłuchiwać się w pierwsze drgania serca, przy takim niedzielnym wschodzie słońca. Nie myśli, tylko czuje, te wszystkie rosy, to płynne powie

trze, tę całą świeżość ranka ma w sobie, jest tem wszystkim.

Ubrał się, zeszedł cicho na dół, minął ogród skąpany w rosie i rozśpiewany ptactwem, wsiadł w łódkę i puścił się ku zachodowi, między mgły i tumany. Wyglądał na tej mlecznej przestrzeni, jak nieznaczny punkt, jak kawałek kory, rzucony bezmyślną ręką, jak nic! A jednak czuł się królem i panem. Piękno, które go otaczało, istniało i będzie istnieć, choć jego nie stanie, ale teraz on je miał w sobie i czuł, a piękno nic nie czuje. On tu jest królem, nie natura!

Gdy dotarł do przeciwnego brzegu jeziora i zawrócił z powrotem, powietrze już było czyste, jak kryształ, resztki poszarpanej mgły kryły się między trzciny i sitowia nadbrzeżne, a łąka pod lasem była przetykana rosą, jak opalami. Posuwał się teraz wzdłuż szeregu chat Kamionki, patrzących na niego z góry. Poniżej był wązki gaj olchowy, bramowany od strony jeziora gęstym lasem trzciny, a w gaju kwitły dziwne kwiaty. Były niebieskie, z główkami białymi, różowe z żółtymi, żółte z zielonemi, szare, zupełnie ciemne. Stały bez ruchu, albo się przesuwały, jak cienie, rosły pojedynczo albo grupami, jak bukiety i wprowadziły Krępicę w podziw. Zwrócił łódź w kierunku brzegu i także cichy, jak cień, podsunął się pod sam las trzcinowy. Teraz doleciał go jakiś szmer, podobny do szmeru wody. Ostrożnie weisnął się między trzciny, a gdy łódź się zatrzymała i ustał chrzęst łamanych łądyg, doleciał go wyraźny, czysty głos panny Emilci.

Czytała „Pana Tadeusza”.

Krępic wypuścił z rąk wiosła. Z zapartym oddechem siedział w swojej łodzi, a głos dziewczyny dochodził do niego coraz wyraźniejszy i czystszy. Gdy ucichł i ucichł gwar, który jeszcze długo potem panował, z olszynki poczęły się wysuwać barwne i szare kwiaty: trochę mężczyzn i kobiet i dużo dzieci.

Krępic widział, jak to wszystko dążyło do wsi stromą ścieżką pod górę i dojrzał jeszcze dwie łodzie, z których jedna mieściła w sobie kilkoro wyrostków i sunęła prosto do Karolówki, a druga płynęła brzegiem, w kierunku altany w Kamionce.

Ta druga prawie się otarła o trzciny, za którymi był ukryty, potem wypłynęła na pełne jezioro i uniosła z sobą dziewczynę w jasnej sukience i w dużym kapeluszu.

Krępic uczył wyraźnie, że w tej łodzi mieści się coś bardzo dla niego drogiego. Chwycił za wiosła i począł ten swój skarb gonić, ale i panna Emilcia wiosłowała doskonale. Na nieszczęście, czy też szczęście, zapatrzona przed siebie, utknęła z łodzią na piaszczystej ławie, których było pełno od strony Kamionki, a wtedy Krępic wyteżył siły i po chwili zbliżył się tyle, że wstał i zawołał głośno:

— Dzień dobry pani! Proszę się nie męczyć, ja zaraz pomogę.

Dziewczyna odwróciła się szybko, a na jej twarzy ukazało się wielkie zdziwienie.

— Co pan tu robisz tak rano? — zapytała bez uśmiechu.

— Zaraz to wytłumaczę, tylko niech się pani nie męczy.

Jeszcze kilka razy uderzył silnie wiosłami i już był przy niej. Położył wiosła, ujął linkę swojej łodzi, potem, wychyliwszy się, schwycił za brzeg łodzi panny Emilci i zdjął kapelusz.

— Mam zamiar wypowiadać się z wielkiego grzechu — zaczął — ale przedewszystkiem muszę stąd panią wydobyć. Czy można?

Była w jego wzroku prośba, radość i jeszcze coś takiego, czego panna Emilcia nigdy przedtem nie widziała w tych poważnych oczach.

Przyglądała mu się ciekawie i po chwili rzekła :

— I owszem, jeśli pan masz ochotę. Zazwyczaj sama sobie daję radę, a najczęściej nie zdarza mi się nic podobnego.

Dziś płynęłam za blisko brzegu.

Więc on wskoczył do jej łodzi, przywiązał do niej swoją, a potem oparł się wiosłem o podwodny piasek i w jednej chwili oba czoła zakolysały się na głębinie.

— Jesteśmy w porządku — rzekł i siadł naprzeciw niej na ławeczce.

— Dziękuję. Ale co pan tu robi tak rano? — powtórzyła.

— Obecnie już nie jest rano, bo dochodzi ósma, ale ja tu jestem od wschodu słońca. Pierwszy raz przejechałem całe jezioro wzdłuż, a gdy wracałem, zastanowiła mnie olszynka, więc podpłynąłem, ukryłem się w trzinie i — także korzystałem z odczytu.

Zmieszała się.

— I dużo pan skorzystałeś?

— Bardzo wiele. Znowu się dowiedziałem, że jeszcze nie należy wątpić. Czy pani codziennie wyklada z tej poetycznej katedry?

— Codziennie?! — wzruszyła ramionami. — Nie, tylko raz w tydzień, bo moje audytorjum w inne dni pasie gęsi i krowy.

— Ale w zimie może codzień ?

— W zimie na dworze jest za chłodno, a w domu... Widzi pan, ja się chciałam choć o to w życiu zaczepić, ale mama nigdy nie może dostać na wsi gęsiarki i twierdzi, że chłop nie umie być wdzięcznym, więc nie warto się dla niego poświęcać. A ojciec powiedział, że to są faramuszki niebezpieczne i skutkiem tego, jak byłam, tak pozostałam liściem, który może sobie zwiędnąć bez szkody dla drzewa. Trzeba się z tem pogodzić — trudno!

Podniosła główkę w górę i utkwiała oczy w niebo, a Krępic zobaczył, że zrobiła to dlatego, aby powstrzymać łzy.

Zdjęła go wtedy ochota wziąć ją w ramiona

i wołać:

— Pójdź ze mną najdroższa! Będziemy razem nieśli nadzieję, wiarę i miłość i światło, tylko pójdź!

Ale nie powiedział nic, wiosłował zawzięcie, a ona po chwili roześmiała się trochę nienaturalnie, zrzuciła z głowy kapelusz i zanurzywszy ręczki w wodzie, rzekła:

— Ponieważ pan, zgodnie z obecnym ustro

jem, podjąłeś za mnie wszystkie trudy, więc ja, jak przystało panience, będę się bawiła w dziecko, któremu gorąco. Przyglądała się swoim cienkim palcom, w wodzie zupełnie różowym, a on patrzył na nie także, mówił sobie w duszy, że są prześliczne, głośno zaś rzekł, aby coś powiedzieć:

— Pani pewno często jeździ po jeziorze ?

— Nie, bo nie wypada. Jeżeli jestem kiedy bardzo zła i już nie wiem, co z sobą zrobić, wtedy mniej na to zwracam uwagi, idę do lasu tam i z powrotem pieszo, albo zabieram największą łódź i puszczam się jaknajdalej. Zawsze potem śpię doskonale i przez parę dni jestem lepsza.

— Czy wolno zapytać, co pani rozumie przez to „lepsza" ?

— To, że się zaczynam ucierać, jak mówi mama, i godzić z mojem przeznaczeniem.

Krępic się uśmiechnął.

— Alboż pani wie, jakie jest jej przeznaczenie?

— Naturalnie, że wiem. Albo będę starą panną, będę wiecznie zaszywała ojcu rękawiczki i wyręczała mamę, albo wyjdę za mąż za jednego z panów Stobickich. To ostatnie jest pewniejsze.

Krępic uczył w sobie coś, czego nie byłby w stanie określić. Wypuścił z ręki wiosło, potem nachylił się po nie i nie patrząc na dziewczynę, zapytał:

— Kto to są panowie Stobiccy?

— Nasi sąsiedzi. Jest ich aż czterech, więc jest i nadzieja, że się który we mnie zakocha.



Bardzo sympatyczni młodzi ludzie, tylko sztuki bawienia dam uczą się z Ollendorfa.

Umilkła na chwilę i przyglądała się swoim palcom, mokrym od wody, a Krępic zapomniał o wiosłowaniu i otoczyła ich na jeziorze zupełna cisza, która wszakże nie zakłopotwała panny Emilji.

Uśmiechnęła się do własnych myśli, poczem rzekła :

— Raz zauważyłam głośno, że pan Edward Stobicki ładnie tańczy oberka, a na to pan Józef tak mi odpowiedział: Mój brat lepiej tańczy, ale ja się lepiej od niego ubieram.

Wybuchnęła pustym śmiechem, Krępic zaś popatrzył na nią poważnie i rzekł prawie surowo:

— Pani poszłabyś za takiego człowieka?

— Czy poszłabym, to jedna rzecz, a czy pójdę, to druga. Jeżeli czasami mam ochotę kaszlać, a każą mi kichać, to wtedy nasuwa mi się myśl, że panu Stobickiemu przynajmniej takie rzeczy byłyby obojętne i że swobody zawszebym trochę zyskała. Swobodę tylko ten ceni, kto jej nie ma. Widzi pan, ja siebie analizuję od rana do nocy, bo cerowanie, przyszywanie guzików inne podobne społeczne prace ogromnie usposabiają do takiej analizy, i widzę, że jeśli się dam utrzcęć, to pójdę za pana Stobickiego z dobrej woli, a jeśli się nie utręć, to po pierwszej lepszej burzy, których nie brak w mojej rogatej duszy, pójdę za niego z desperacji.

Utkwiła w twarzy Kręcica oczy, w których już nie było śmiechu i mówiła dalej :

— Ja będę z panem zupełnie otwartą, bo wiem, że pan mnie zrozumie. Nie jestem dzieckiem, mam pojęcie, co to jest małżeństwo, uważam je za poniżenie kobiety i gdybym miała prawo wyboru, wybrałabym sobie inny zawód. Ale tego prawa nie mam, a poza tem wszystko mi jedno, ten czy ów. Jeśli wyjdę za pana Stobickiego, będę mieszkała na wsi i zrobię wiele dobrego. Moja godność będzie ofiarą, złożoną na tym ołtarzu, na którym inni składają życie...

W głowie Kręcica zawirowało. Nachylił się, schwycił ją za rączki i zaczął mówić jak nieprzytomny:

— Nie rób tego, panno Emiljo, przez litość... nigdy! Pani nie rozumiesz, co to jest małżeństwo, pani sobie wyrobiłaś zupełnie fałszywe pojęcia, a jeśli chcesz iść bez żadnego przekonania, tylko dlatego, żeby mieć więcej swobody, to... to weź przynajmniej człowieka, który myśli i wierzy, jak ty, który cię kocha i który połowę życia poświęci na to, żeby zdobyć twoje serce i zrobić cię szczęśliwą! Dziecko biedne, ja jestem tylko synem chłopca, a ciebie pewno wychowano w przesądach, ale ten chłop lepiej cię zrozumie, niż pan Stobicki... nasze dusze są bliższe, będziesz szczęśliwsza ze mną...

Głos mu przycichł i przeszedł w gorący szept, w którym była trwoga, błaganie i moc uczucia.

A panna Emilcia skamieniała. Zbladła i tak drżała, że Krępic słyszał wyraźnie, jak jej dzwoniły ząbki.

To go oprzytomniło. Puścił ją, odsunął się,

a widząc, że ma w oczach niewysłowiony przestrah, czuł ochotę bić się, albo szczypać i gotów był zrobić wiele, by cofnąć to, co powiedział. Jak warjat, postawił wszystko na karcie, a teraz co? Oto ona siedziała ogłuszona jego wybuchem, a on powoli zbierał myśli i napróżno wysiłał mózg, jakby źle naprawić...

— Panno Emiljo, — zaczął wreszcie smutno — wiem, że postąpiłem, jak szaleniec i nigdy sobie tego nie daruję. Ale ty sobie nic nie wyrzucaj, bo to nie twoja wina, to się we mnie samo zrodziło już dawno, bardzo dawno ! Pani nie możesz się wiązać z człowiekiem, którego nie kochasz, bo choć ci się to wydawało tak łatwym, teraz twoja natura się na to wzdryga. Zapomnij o tym dniu, ale... ale gdybyś mnie kiedy lepiej poznała... gdyby twoje serce za mną przemówiło, licz na mnie zawsze... ja będę czekał... całe życie... Panno Emiljo, niech pani co powie, bo ja na to nie mogę patrzeć! Poruszyła ustami, ale te usta ciągle jeszcze drżały i nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Więc on teraz zaczął prosić, żeby wzięła ręką trochę wody i napiła się parę kropel.

Usłuchała go, potem odetchnęła głęboko i nie patrząc na niego, rzekła cicho:

— Ja dzisiaj nic panu nie powiem; nie wiedziałam, że to robi wrażenie i nic nie wiem, bo nie mogę myśleć. Niech mnie pan odwiezie do domu.

Krępic nic się już nie odezwał, tylko skierował łódź w kierunku altany. Rozmawiając, a włą

ściwie słuchając jej rozmowy, umyślnie podpłynął na środek jeziora, by dłużej na nią patrzeć, i teraz trzeba było zawrócić.

Gdy się znaleźli przy brzegu, dziewczyna wyskoczyła i jak uwolniony ptak, chwilę szła wolno, a potem pędem pobiegła w szpaler. Z chaosu, który miała w myślach, poczęły się teraz odczepiać pojedyncze wyrazy Krępic i leciały razem z nią.

— Weź człowieka, który myśli, jak ty i który cię kocha!... Kocha!

Przystanęła i przycisnęła ręce do twarzy, która pałała, a w okolicy serca uczuła jakby leciuchne drżenie, które szło wolno aż do gardła i nie było przykre. Przymknęła oczy.

— Kocha ją już oddawna i ona nic nie wiedziała! Ciągle się czyta i słyszy ten wyraz, ale to nie to. Gdyby tylko chciała, od razu weszłaby w inny świat. Jedno słowo, jeden krok, oto zawrócić i krzyknąć za nim : dobrze!

Ale zamiast zawrócić, zaczęła znów biec przed siebie i myślała dalej:

Czy też byłby szczęśliwy i jakby też wyglądał? Ciocia Winia bardzo go ceni... Jest prawdziwym człowiekiem, wykształconym i nie filistrem... To jednak dziwne, że i tacy myślą o dzieciństwach!... I dlaczego on kocha właśnie ją, która nic nie umie i jest niczem, a nie kocha cioci Wini, którą przecie zna także i do tego lepiej?...

Uczuła, że w niej zbiera ogromna duma.

— Jest inny, niż ojciec, Jaś i wszyscy Sto

biccy. Poświęci połowę życia, żeby zdobyć jej serce — połowę, nie całe — on oprócz niej ma jeszcze co innego do kochania — jest przedewszystkiem człowiekiem... Czy też cierpiałby, gdyby się nie mogła w nim zakochać i czy teżby ją długo pamiętał?

— Weź tego, który cię kocha! — wróciło echo i znowu zadrzało w niej serce.

Ale teraz nie przyknęła oczu, tylko biegła wciąż przed siebie, bo równocześnie przypomniało jej się śniadanie. Codzień ojciec przychodził na nie o siódmej i ona musiała być także, bo nie lubił siedzieć sam przy stole, ale w niedzielę robił wypłaty i dopiero o dziewiątej wszyscy pili herbatę razem. Nie wzięła zegarka i nie miała pojęcia o godzinie.

Zadyszana wpadła na werandę i do salonu, którego drzwi już były otwarte. W całym domu cisza, tylko z gabinetu ojca dochodziły głosy.

Zdążyła.

Cicho weszła do jadalnego pokoju i spojrzała na zegar. Brakowało kwadransa do dziewiątej, więc kazała podawać samowar, zaparzyła herbatę, posłała po mleko i masło, a resztę zostawiła na później.

Czuła, że jest czerwona i miała włosy rozwiane.

— Trzeba się umyć i przyczesać, jeszcze zdąży — myślała i na palcach wbiegłszy do sieni, poczęła się skradać na schody. — Mama zwykle przychodzi w niedzielę na gawędkę do Marychny

i pewno teraz jest także, ale to nic, ona się załatwi cicho i prędko.

Weszła ostrożnie i zaraz spojrzała na drzwi, prowadzące z jej pokoju do pokoju Marychny. Były tylko przyknięte i siostra właśnie mówiła:

— Jest bardzo porządny człowiek, mamusiu, i gdyby się tylko pokochali, mogliby być szczęśliwi. Teraz ludzie mało zwracają uwagi na parantele.

— To się tylko tak mówi, moje dziecko. Zawsze co rodzina, to rodzina. I owszem, niech sobie często bywa — dla panny zawsze lepiej, gdy ma więcej konkurentów. Może to zachęci Stobickiego.

— Ależ, mamusiu, czyż to mąż dla Emilci? Nie mówię już o tem, że ojciec Stobickiej był karczmarzem, co jest gorsze, niż gdyby był uczciwym chłopem, ale Emilcia musi w swoim mężu widzieć człowieka, ona jest za inteligientna, żeby mogła pokochać takiego pana Józefa.

W głosie pani Marychny było czuć hamowane rozdrażnienie, ale matka odparła spokojnie :

— To są wszystko gadania przed ślubem. Po ślubie go pokocha, jak zwykle wszystkie panny. Nie mówię, żeby Krępic miał porządną posadę, możnaby na resztę zamknąć oczy, ale jeśli powiadasz, że sto rubli miesięcznie, to zastanówże się, kobieto! Emilka nic nie umie, jest niepraktyczna, nie będzie z niej gospodyni i w życiu nie dałaby sobie rady, choć jej się zdaje, że wszystkie rozumy pojadła. Zawsze tym lepiej na świecie, co mają czem lży ocierać.

Pani Marychna musiała się zerwać, bo odsunęła krzesło.

— Nie, mamusiu, nie! — wołała. — Ja nie mam czem łez ocierać, ale też i ocierać nie potrzebuję, bo ich nie znam. Zresztą Emilcia jest inna, niż ja. Ona jeszcze nie powinna wychodzić za męża, bo jest za wielkie dziecko, pomimo swoich lat i swojej inteligencji, a już co bez miłości, to nie powinna iść wcale. Ja właśnie chciałam prosić mamusię, żebyście mi ją dali do Warszawy. Niech się czego nauczy, niech popróbuje swoich sił i niech się rozejrzy po świecie i ludziach. Może wtedy lepiej zrozumie mamusię, więcej wniknie w siebie i w niektóre rzeczy, które ją teraz oburzają.

— Co ty pleciesz, Marychno! — zawołała na to pani Olchowiczowa. — Panna ma ośmnaście lat i ma się uczyć? Czy wyście wszystkie powarjowały? I po co ona ma na siebie zarabiać, kiedy ma wszystko u rodziców? I coby na to okolica powiedziała? Oto, że tu męża nie może dostać, więc pojechała po niego do Warszawy. I ty, matka dzieciom, takie mi rzeczy mówisz?... Ja miałam szesnaście lat, jak wyszłam za męża i umiałam — i dom poprowadzić i was wychować. Małżeństwo, to najlepszy uniwersytet dla kobiety.

Panna Emilcia stała na środku pokoju i słuchała z zapartym oddechem, a tymczasem matka mówiła jeszcze, że zawsze dla niej marzyła o Zygmuncie Znamienieckim, że to ładna rodzina, że zamożny, wykształcony i przystojny, ale że ani

myśleć tak długo czekać, bo nim wróci, Emilka się zestarzeje, albo on tam się ożeni.

— Takiego wszędzie złapią — kończyła i nagle urwała, bo doleciało ją z dołu:

— Cóż u wszystkich djabłów!... Dziewiąta godzina, psa z kulawą nogą nie widać... Emilka! Emilka!

— Jest! znów Emilki niema. Że też na tę dziewczynę nigdy się nie można spuścić... — jęknęła pani Olchowiczowa i podniosła się, a za nią córka.

Lecz gdy zeszły na dół, panna Emilcia już się uwijała koło stołu i zamiast masła, chleba, bułek i cukru, wyjmowała z szafy i na stół niosła — musztardę, postument z octem i oliwą, blat od tortu i karafki z wódką. Działo się to przy akompaniamencie krzyku pana Olchowicza, który w płóciennym szlafroku latał po pokoju i po prostu grzmiał.

Gdy we drzwiach zobaczył żonę i starszą córkę, na chwilę urwał i odsapnął, ale tylko na chwilę. Do żony się zwrócił i wołał:

— Jak ty ją wychowałeś? Co z niej będzie, z takiego próżniaka? W książkach tylko siedzi, albo się włóczy! — Podrę, popalę co do jednej i do igły! Do gospodarstwa! Pracę się uczyć, prasować! Jaja liczyć, nie gwiazdy!

Grzmiał coraz głośniejsze, a tymczasem pani Bodziewiczowa jednym rzutem oka objęła całą sytuację, zastawiła stół, nalała herbatę i odważnie ujęła ojca za rękę.

— Ojczulku, już wszystko jest, niech ojczulek

siada i napije się mleka z lodem. Dla niego taki gniew nie jest dobry, a Emilcia też jest nerwowa.

— Dam ja jej nerwy! Ona i mnie i matką do grobu kiedy wtrąci — mrucał dalej, ale już ciszej, bo głos pani Bodziewiczowej miał dziwny dar uspokajania.

Przytem do pokoju wbiegły dzieci i zaczęły dziadusia ciągnąć za poły od szlafroka. Więc je pogłaskał po główkach, a po chwili wpadł nawet w bardzo dobry humor, bo już miał taką naturę. Jeżeli tylko wykrzyczał się w domu, albo na podwórzu, zawsze się potem rozrzewniał i wtenczas można z nim było robić, co kto chciał. Pani Olchowiczowa twierdziła nawet, że ile razy fornał Guziej pragnął uzyskać coś, co mu się nie należało, najpierw wywoływał gniew dziedzica, bodaj nawet czynny, a potem dopiero prosił i zawsze dostawał.

Ale panna Emilcia nie posiadała dyplomatycznych zdolności Guzieja, przyczem już przywykła do ojcowskich wybuchów i więcej się obawiała zimnych uwag matki. Wszakże te już jej dziś nie groziły, bo pani Olchowiczowa posiadała znów ten dziwny rys charakteru, że ile razy wybuchał na córkę ojciec, tyle razy ona albo stawała w jej obronie, albo się zachowywała neutralnie. Dzisiaj wybrała to ostatnie, może dlatego, żeby nie rozdrażniać więcej męża i z uwagą przyglądała się córce, która wyglądała jakoś inaczej, niż zwykle.

Szedł od niej cichy smutek, a oczy miały taki wyraz, jakby tu blisko nic nie widziały.

I rzeczywiście nic nie widziały, bo za myślą biegły aż do Karolówki, aż do tego człowieka z poważnymi oczami i dobrym uśmiechem, który jej powiedział, że ją kocha.

Chociaż zapomniała o tem nieszczęsnem śniadaniu i była troszkę winna, on pewno nie pozwoliłby tak na nią krzyżeć, a przynajmniej byłoby mu żal, bo przecież ją kocha!

Panna Emilcia uczuła pierwszy raz, że to jest dobrze mieć kogoś, ktoby nigdy nie był przeciwko nam. Pomyślała, że jedno jej słowo, a będzie miała takiego kogoś i zrobiło jej się w duszy ciepłej.

## VII.

Krępic bywał w Kamionce raz, potem dwa, wreszcie trzy razy na tydzień, ale dla niego i to było za mało.

Jasna dziewczyna, która jako cudaczne dziecko tylko go zajmowała, a potem spotkana przed pałacem Łazienkowskim w ów rano wiosenny, sama do ranka podobna, jak na płycie fotograficznej pozostawiła w jego sercu odbicie swej twarzy, teraz stała się światłem jego oczu, oddechem jego płuc, wprost potrzebą życia.

Nie rozbierał swoich uczuć, nie przyglądał się im, ani mierzył ich rozmiarów i nie pytał, dokąd go zaprowadzą, tylko kochał i był szczęśliwym, że pod boki Kamionki nie może żyć bez widoku najbielszego i najświeższego z jej kwiatów.

Panna Emilcia, bez woli i bez wiedzy, rzuciła na niego urok, zahipnotyzowała mu zmysły i myśli, ale on sobie z tego sprawy nie zdawał. Żył wspomnieniami o chwili, w której był przy niej, i marzeniem o tej, w której przy niej będzie; czas na te chwile mierzył i było mu z tem dobrze.

Takie zapamiętanie się we własnych uczuciach i bezwzględne zapomnienie o wszystkim, co nie jest chwilą obecną, jest niezaprzeczoną własnością tylko serc bardzo młodych, albo niezezsutych.

Krępic już teraz nie myślał, że jest chłopem i że może nigdy nie dosięgnie swojej jasnej Loreley, nie zastanawiał się także nad wrażeniem, jakie na niej zrobił pierwszy wybuch jego uczucia; jeden uśmiech dziewczyny, przypadkowe dotknięcie jej rączki, lub bodaj sukienki, prowadziły go na sam szczyt zachwytu i były narkotykiem, który go odurzał. Dla takich ludzi niema przeszłości i przyszłości, jest tylko wiosna, jest tylko maj — terażniejszość. Wydziedziczeni są ci, którzy w życiu takiego maja nie mieli.

Po pamiętnej rozmowie w łodzi na jeziorze, pierwsze spotkanie było dla obojga młodych trochę przykre.

Pannie Emilci serce uderzyło w piersi, jak młotkiem, Krępic wszakże był taki poważny, taki spokojny, że dziewczyna na jedno mgnienie oka zwątpiła, czy rzeczywiście owa rozmowa miała kiedy miejsce?

Ale równocześnie, na fali wspomnienia wróciły do niej słowa:

— Weź tego, który cię kocha...

I wątpliwość znikła.

Te słowa przez długi czas robiły na niej dziwne wrażenie. Panna Emilcia umyślnie wybiegała do ogrodu, kryła się w największą gęstwinię

i z przymkniętymi oczami, z ręką na sercu powtarzała głośno:

— Weź tego, który cię kocha.

Widziała wtedy oczy Kręcica, błyszczące i czegoś dziwne, widziała, jak mu drżą usta, słyszała jego szept, który jej palił twarz jak ogniem, i czuła, że jej znowu drży serce i że to drzenie obemuje ją całą.

Potem wybiegała z cienia na słońce, zawstydzona, z rumieńcami na twarzy, zła na siebie i na niego, ale gdy wspomnienie słów Kręcica poczęło blednąć, gdy wywołane, coraz mniej ją wzruszało i wreszcie wzruszać przestało, znowu uczuła żal, tylko teraz nie wiedziała, do kogo.

Państwo Olchowiczowie przyjmowali młodego gościa z Karolówki bardzo serdecznie; pan Olchowicz dlatego, że w dzień nie potrzebował się nim krępować, a wieczorem miał przed kim żalić się na serwituty i ceny; pani Olchowiczowa, że przecie zjawił się konkurent, a konkurentów nigdy żadna panna nie może mieć za wiele.

Ale najserdeczniej przyjmowała go pani Marychna. Młoda kobieta ze wzrastającym niepokojem patrzyła na stosunek matki i córki, na ich częste nieporozumienia, na tę istotną przepaść, którą między nimi prawie każdy dzień pogłębiał. Pani Olchowiczowa nie miała pojęcia o prądach, które porwały młode pokolenie dziewcząt, żyła zasadami, w których ją wychowano, wszelkie naruszenie tych zasad uważała za zbrodnię. Każdem, nawet najniewinniejszym słowem raziła córkę, tak jak córka raziła matkę.

Pani Marychna, nie otrzymawszy pozwolenia zabrania z sobą siostry i obserwując ją teraz z uwagą, doszła do przekonania, że ta jej nierozważna, ukochana Emilcia, w chwili gwałtowniejszego rozdrażnienia będzie w stanie popełnić głupstwo, które jej zburzy całe życie.

Otóż, jeśli już ma je popełnić koniecznie, niechże w tę niebezpieczną grę, zamiast Stobickiego, wejdzie taki człowiek, jak Krępic. Przynajmniej ją kocha. Od chwili, w której, nie panując nad sobą, wobec wszystkich pocałował dziewczynę w rękę, pani Marychna wiedziała, że pokocha. Teraz to było widoczne. Przecie dość spojrzeć na niego! Prócz tego, Emilcia nie ma do niego antypatji, przeciwnie nie tai się, że go bardzo lubi, a z czasem... I dlaczegoż zresztą nie miałaby pokochać tego chłopaka, jak topola, który umie się bawić z dziećmi, jak trzecie dziecko? Mężczyzna, lubiący i rozumiejący dzieci, napewno będzie dobrym mężem i ojcem.

W taki mniej więcej sposób usypiała pani Marychna sumienie, które ją odrobinę niepokoiło, i zręcznie, niepostrzeżenie, delikatnym swoim paluszkciem popychała tych dwoje do siebie.

A dziwny był ten jej sposób postępowania.

Nigdy pierwsza nie rozpoczynała rozmowy o Krępicu i nigdy go nie chwaliła. Przeciwnie, ile razy była o nim przypadkowo mowa między siostrami, pani Marychna zawsze postarała się rzucić jakie słówko, które choć nie było naganą, nie było także i pochwałą młodego inżyniera.

A panna Emilcia, którą wszelka niesprawiedliwość oburzała i wyprowadzała z równowagi, nie dostrzegając powstrzymanego uśmiechu siostry, zawsze się wtedy unosiła i wołała z gniewem:

— Nieprawda!... Sama wiesz, że on jest najszlachetniejszy z ludzi, jakich znasz!... On nigdy nie powiedziałby na ciebie nic złego, nigdy!... Na nikogo!... On jest lepszy nawet od ciebie!

Tak, panna Emilcia czuła w głębi duszy, że Krępic jest rzeczywiście dobry, szlachetny i daleko więcej wart, niż ona i niż wszyscy mężczyźni, których naprawdę niewielu w życiu poznała. Gdy go nie było, a ją opadły smutne myśli, wątpliwości, niejasne pragnienia i tęsknota do swobody, niczem nie krępowanej, chyba własną wolą, coraz częściej wtedy sobie mówiła, że z nim jej życie byłoby nie tylko wolniejsze, ale także szersze i w treść bogatsze. On wie, czego chce, wie, dokąd idzie i w co wierzy. Jego droga jest już dawno wytknięta, jest jasna i prosta. Przypominała sobie jego słowa, zawsze pewne i stanowcze, jak gdyby naprzód wiedział, że ich nigdy nie cofnie i nigdy im się nie sprzeniewierzy, i wtenczas myślała jeszcze, że może on przelałby w nią swoją wiarę w życie i że to pewno jest

przyjemnie mieć zawsze kogoś, ktoby umiał odpowiedzieć na każdą wątpliwość. Ale gdy był, przyglądała mu się z pod oka i myślała znów, że rodzice są jednak dla niej mniej obcy, niż on i że to jest śmieszne, aby kobieta rzuciła

wszystkich i szła za takim obcym, mieszkała razem z nim i kupowała sobie suknie za jego pieniądze. I ostatecznie, coby w jego domu robiła? Wydawałaby na obiad i tak samo, jak ojcu, przyszywałaby guziki. Marychna przyszywa Jasiowi także...

To ostatnie przypuszczenie nawet ją obraziło.

— Jeżeli on się tego spodziewa, to dziękuję! — myślała z gniewem, ale gdy się spotkała z jego wzrokiem, znów nie mogła sobie wystawić, aby on zażądał od niej przyszycia guzika, nietylko do koszuli, ale nawet do kamizelki.

Był zupełnie inny, niż Bodzewicz i niż ojciec.

Ciekawość, jeżeli mu się rozpruje żakiet, kto mu też zeszywa?

Pewno krawiec... od czegoż zresztą są krawcy?... Na wsi do krawca daleko, ale Bodzewicz mógłby... tylko — to znów kosztuje. Oni wszyscy pracują, kobiety nic nie robią, powinny przynajmniej oszczędzać ich pieniędzy. Zapewne... ale najlepiej nie zaciągać żadnych długów wdzięczności i nie być zmuszoną oszczędzać w ten sposób. Ach! Gdyby ona mogła sama na siebie pracować i sama wydawać! Pocziwa Marychna wzięłaby ją do Warszawy, ale czy to dadzą? Mogłaby nie wyjść za mąż, a pani Stobicka i wszystkie kumoszki z sąsiedztwa dziwiłyby się od rana do nocy.

Wzięła ją złość na kumoszki, na matkę, na

Krępicą, nawet na Marychnę za jej złoty projekt i na cały świat, nie wyłączając siebie.

Po złości znów przychodziło zniechęcenie i wtenczas panna Emilcia mówiła sobie, że pan Krępic zrobiłby najlepiej, gdyby odjechał, a ją zostawił swojemu losowi. Trochęby się jeszcze pomęczyła z sobą, a potem poszłaby za głupiego Stobickiego i byłoby dwoje głupich. Onaby wydawała jego pieniądze, a on by zacierał dziadka karczmarza kuzynostwem ze Znamienieckimi i Łamkowskimi i byłby zupełnie zadowolony. Pana Krępicę nic nie obchodziły rody i tytuły, więc tyłkoby na tym handlu stracił.

Czasami spowiadała się z tych myśli Marychnie, z tą wszakże różnicą, że prócz Stobickiego, żadnych innych nazwisk nie wymieniała. A wtenczas Marychna patrzyła na nią z trwogą i jeszcze gorliwiej myślała, jakimby sposobem zwrócić jej myśli ku osobie Krępicę.

Tygodnie mijały. Panna Emilcia zmizerniała i stała się nadzwyczajnie drażliwą. Każda uwaga pani Olchowiczowej wytrącała ją zupełnie z równowagi. Wybuchwała wtedy albo łzami, albo gniewem, poczem uciekała do lasu, bo jeziora się teraz bała.

Wskutek prawie ciągłego przebywania na świeżem powietrzu, cera jej się zmieniła i z różowej stała się złotawą. Krępic nie uważał, żeby ją to szpeciło, może w jego oczach nic nie byłoby w stanie tego dokazać, ale pani Olchowiczowa była innego zdania. Porównała raz twarz i ręce młodszej córki



z twarzą i rękami starszej i zawołała z prawdziwą zgrozą:

— Jezus Marja, jak ta się spaliła! I co teraz za panny, nawet o własną twarz nie dbają!

— Tak, mamusiu, doszły do przekonania, że słońce nie zna różnic płci i stanu i że ma prawo opalać wszystkie skóry jednakowo.

Panna Emilcia, mówiąc to, śmiała się, ale matka zmarszczyła brwi i rzekła sucho :

— Możesz te dowcipy schować dla siebie, a tymczasem bardzo cię proszę, żebyś mi po słońcu nie chodziła i codzień myła się boraksem.

Teraz panna Emilja zmarszczyła brwi, zupełnie tak samo jak matka, i odparła z hamowanym oburzeniem:

— Mogłaby mamusia choć tyle mieć dla mnie względu, żeby mię uważać za człowieka, nie za towar do harem.

Pani Olchowiczowa zaczerwieniła się.

— To znaczy, że twoja matka i siostra były towarem do harem. Dziękuję ci. Jesteś bardzo dobrą córką i siostrą, ale pomimo to, prosiłabym, żebyś twój sąd o nas zachowała dla siebie i nie zapominała się tak często.

— Nie zapomniałabym się nigdy, gdyby mi nie przypominano co chwila, że jestem wystawiona na sprzedaż. Mama wie, że mię to najwięcej boli... mama naumyślnie.

Panna Emilcia wybuchnęła płaczem, zerwała się i wybiegła, a w tejże chwili przed domem zaturkotało.

— Pani Stobicka z panem Józefem — zawołała Bodziewiczowa , wyjrzawszy przez okno.

— Co? Stobicka? Moja droga, biegnijno po Emilcię i przychodźcie obie, tylko ją trochę ogarnij. Dopiero czwarta godzina, ciekawa jestem, po co ona o tej porze przyjechała ? Idźno ogarnij Emilkę, moje dziecko!

Pani Olchowiczowa zapomniała o nieporozumieniu i o skargach, które zwykle wylewała przed starszą córką, poprawiła na głowie czarną koronkę, wyprostowała się i z miną prawdziwej matrony weszła do salonu, do którego w tejże samej chwili wchodziła drugimi drzwiami pani Stobicka z synem.

Powitały się wzajemnym pocałowaniem w ramię, przyczem pani Stobicka dygała coraz, coraz niżej, zupełnie jakgdyby miała ochotę kucnąć na ziemi. A pan Józef najpierw schylił głowę, potem zgiął łokieć i podniósł go w górę, o ile się dało, wreszcie ująwszy rękę gospodyni domu, złożył na niej pocałunek. Następnie obie panie usiadły na kanapie i pani Stobicka, otarłszy chustką pot z twarzy, tak zaczęła:

— Szanowni państwo zawsze o nas pamiętają, ale panna Emilja nie bardzo lubi tańczyć, więc byłam w obawie, czy czasem co nie przeszkodzi i umyślnie przyjechałam się dowiedzieć. Czy możemy mieć nadzieję, że na dwudziestego lipca państwo będą na nas łaskawi?

Gospodyni uśmiechnęła się uprzejmie i zapewniła, że o świętej Marcie nikt w okolicy nie

ośmieliłby się zapomnieć, a pani Stobicka spojrzała wtedy na syna i mówiła znowu :

— Bo to, widzi szanowna pani, ja nawet nie mam wiele czasu; zabawa pojutrze, szynki trzeba gotować, baby piec, w pokojach porządku — szanowna pani rozumie, co to tartasu przed takim zjazdem. Ale Józiek mi nie dawał spokoju, tylko : niech mama jedzie i niech mama jedzie! Młodzieży będzie huk, więc jakżeżby mogło być, żeby najładniejszej panny brakowało?

— Pani zanadto łaskawa — rzekła na to gospodyni — moja Emilcia nie ma wcale pretensji do najpiękniejszej i wiem...

— Co tam pani wie ! Najpiękniejsza jest i najrozumniejsza, a jeżeli tam kiedy kto co powie, to niech szanowna pani nic sobie z tego nie robi, bo to z zazdrości. Pewno taka z matek, co ma córki gęsi! Ja mam samych synów, to się tych plotek nasłucham, bo co liszka, to swój ogon chwali, a cudzy gani. Tak.

Odetchnęła pani Stobicka, znowu twarz z potu otarła i zaczęła się oglądać na drzwi. A pan Józef się nie odzywał, bo jak siedział, to mu ręce zawadzały i nie umiał wtenczas mówić, ale na drzwi także się oglądał.

Gospodyni to spostrzegła i już zaczynała brwi marszczyć, gdy naraz weszły obie oczekiwane, pani Bodziewiczowa z uśmiechem, panna Emilja bez uśmiechu.

Nastąpiły nowe powitania, przyczem panna Emilja zauważyła w duszy, że matka i syn wyglądają, jak andrutry karlsbadzkie, albo jak księ

życe w pełni, co zresztą na jedno wychodzi, i usiadłszy, postanowiła nic nie mówić.

Powtórzono zaproszenie, pan Józef wstał i zrobił uwagę, że panna Emilja nie jest łaskawą na okolicznych tancerzy, ale może zachęci się tem, że będzie młodzież z Warszawy, na co panna Emilja odrzekła, że to jest jej wszystko jedno i że tańczyć w lecie mogą tylko wyjątkowi amatorzy, poczem nie odzywała się już przez cały ciąg wizyty, pomimo że pan Józef wciąż stał, co było dowodem, że może i ma ochotę mówić.

Gdy odjechali, pani Olchowiczowa zaczęła zasięgać rady starszej córki, czem przybrać suknię Emilki, ale panna Emilka się podniosła i stanąwszy we drzwiach, jakby w pogotowiu do ucieczki, rzekła:

— ja, proszę mamusi, nie pojedę na bal.

— Jest, znowu coś nowego! Już jej nic nie przypominałam, sama odświeżyłam suknię i teraz mam nagrodę — grymasy! Czy przynajmniej wolno matce spytać wielkiej córki o przyczynę takiego postanowienia?

Pani Olchowiczowa aż zbladła ze wzburzenia, przygryzała usta w obawie, by nie wybuchnąć, bo to mogło utwierdzić córkę w uporze, ale w tonie jej mowy było szyderstwo, które rozdrażniło pannę Emilcię.

— Dlatego, że ja się nie umiem bawić na balach i mamusia wie o tem. Bale wyglądają, jak targi, na których matki prezentują gołe plecy swoich córek, a ja się uważam za człowieka, nie

za towar i ani za pana Stobickiego, ani za nikogo nie pójdę.

Wypowiedziała to jednym tchem, poczem zniknęła za drzwiami. A pani Olchowiczowa długa stała ogłuszona, z oczami jakby przygożdżonymi do owych drzwi, wreszcie ręce do głowy podniosła, upadła na krzesło i rozplakała się. — Boże! za co mię tak karzesz mojem własnem dzieckiem? — jęczała.

Pani Bodziewiczowa uspokajała matkę, jak mogła; dowodziła, że Emilcia musi być chora, że się jeszcze namyśli, że ona sama będzie namawiała, ale że teraz trzeba ją koniecznie zostawić w spokoju.

Tymczasem z góry już widać było powiedziane, że ten dzień będzie dla panny Emilci pamiętny.

Ojciec spotkał ją w ogrodzie zapłakaną, a gdy się tłumaczyła bólem głowy, zabrał ją z sobą do domu i wystąpił do żony z kazaniem, — że się nią raz porządnie nie zajmie, do roboty nie zasadzi, że na czytanie pozwala i że książki przyprawią ją wkońcu o prawdziwą chorobę.

Wziął z rąk córki szary tomik i rzucił go pogardliwie na sofkę, przyczem okładka się odwinęła i na pierwszej stronie zdaleka zaczęły wielkie litery tytułu: — Darwin i jego teorja.

Wtedy Olchowicz oczy zmrużył, zbliżył się do sofki, wziął książkę i tu — zahuczał, jak grzmot.

— Toś ty taka córka matki zacnej i religijnej?... To ty się takich rzeczy uczysz?... To ty...

Zakrztusił się z wielkiego krzyku, przerażona dziewczyna cofnęła się do drzwi, a pani Olchowiczowa i Marychna ujęły go za ręce i próbowały uspokoić. Napróżno! Otwartą książką trząsał przed oczami żony i poprostu ryczał.

— Patrz! Przyjrzyj się, Darwina czyta!... Twoja córka czyta Darwina!... Kobieto!

Przed oczami pani Olchowiczowej bal u państwa Stobickich walił się w gruzy, ale ona czepiała się jeszcze resztek nadziei.

Ujęła męża za rękę i rzekła najłagodniej, jak mogła :

— Mój Emilku, ona tego nie rozumie, daj jej pokój!

— Co? Ona nie rozumie, że człowiek pochodzi od małpy, że człowiek jest bydlę, że po śmierci tak samo zgnije, jak szkapa?... Co ty mi tu będziesz gadała... Takaś matka?!

Znowu się zakrztusił, czerwony jak purpura siadł, sapał, i wysapawszy się, kiwnął po chwili palcem na córkę.

Zbliżyła się i o kilka kroków stanęła, a on ustroił twarz w powagę, utkwil oczy w dziewczynę i uroczyście tak mówił:

— Wiedz, że kobieta bez religji, to potwór. Mężczyzna bezwyznaniowy ma jeszcze honor, a kobieta co ma?... Nic!

Rozumiesz... nic!

Lecz tu panna Emilja głowę podniosła i śmiało spojrzała ojcu w oczy.

— To nie prawda, proszę ojca! Kobieta ma także honor, czasami nawet lepszy od honoru mężczyzn, a brak religji, jeśli nie jest nieszczę

ściem, tylko zbrodnią, to jest też i zbrodnią u mężczyzny. Przynajmniej przed Bogiem niema już ustępstw na rzecz silniejszych i ja w to tak wierzę, jak wierzę w Boga!

Olchowicz patrzył na nią swemi wypukłemi oczyma, które teraz miały wyraz oczu karpia, wyrzuconego na piasek, otworzył usta i mrugał, a wkońcu machnął ręką z lekceważeniem i idąc z nieszczęsnym Darwinem do swojej kancelarji, mówił :

— Ty sobie miej swój honor, kiedyś taka mądra, a ja tymczasem pozamykam wszystkie książki i basta! Dostyc tego dobrego!

Gdy wrócił, panny Emilci już nie było. Przebiegła salon i werendę, wpadła w szpaler, z rączkami zatopionemi we włosach biegła prosto do jeziora i łkając upadła na darniową ławeczkę w altanie.

Nie widziała i nie słyszała nic, zanosiła się od płaczu i tak ją tu zastał Krępic.

Zdziwiony i wystraszony, stał nad nią i miał w piersiach burzę.

— Co zrobili temu dziecku ? — myślał z żalem. — Co ono komu winne? Czemu nie wolno mu jej uspokoić tak, jakby pragnął i umiał?

Zdjęła go do tego taka niezwalczona chęć, że ukląkł przy dziewczynie, wziął w dłonie jedną z jej zaciśniętych rączek i począł mówić, jak do dziecka :

— Panno Emilciu, co pani?... Co się stało?... Zaufaj, a będzie ci lżej... Ja cię zrozumieję, dziecino, tylko mi zawierz, tylko mi powiedz wszystko!

Nie przelekła się ani zdziwiła. Spojrzała na niego przez łzy, a potem się podniosła i siedząc patrzyła mu w oczy tak, jakby go o co chciała pytać.

Zrozumiał ją.

— Mów pani wszystko, ja ci odpowiem szczerze na każde pytanie, tylko mów!

A gdy nie odbierała mu ręki, wziął jeszcze drugą i ogarniał dziewczynę wzrokiem, w którym była jego cała dusza. Ona zaś westchnęła ciężko kilka razy, poczem zaczęła mówić głosem, przerywanym przez płacz i zmęczenie:

— Czy... czy panby mi nigdy... nigdy... nie zabraniał czytać?

Krępic zadrżał, zerwał się i usiadł przy niej. — Nigdy! — wyrzucił z siebie i cały się zamienił we wzrok, w słuch i w oczekiwanie.

— I czy... czy panby nigdy... nigdy nie kazał mi tak, jak niektórzy mężowie... jeździć na bale i... nosić wycięte suknie? Na usta Kręcica miał ochotę wybieć uśmiech, ale chłopak zatrzymał go w połowie drogi.

— Nigdy! — rzekł głosem bardzo pewnym.

— I panu byłoby wszystko jedno, czy ja się opalę, czy nie?... I pan zawszeby mię uważał za człowieka, nie za lalkę od pokazywania?..

— Za człowieka najdroższego ze wszystkich ludzi na świecie! — wybuchnął i przypadł ustami do jej rączek.

A ona wtedy poczęła mu się przyglądać trochę ciekawie, a trochę ze wzruszeniem i rzekła:

— To będę pańską żoną.

Spodziewał się tego słowa, czuł je wokoło siebie, a jednak, gdy już padło, ciężar szczęścia go przygniótł. Odjął jej obie rączki od swoich ust i jak człowiek oślepiiony zanadto silnym światłem, zakrył sobie niemi oczy.

Długo siedzieli milcząc, jedno szczęśliwe, drugie zdziwione szczęściem tamtego, poczem on zaczął mówić, a mówił cicho, jakby się bał, że jego słowa coś spłoszą:

— Powiedz, najdroższa — pytał — dlaczego płakałaś? Ja teraz mam do tego prawo, bo mi je dałaś sama. My teraz nie możemy mieć tajemnic przed sobą. Ty mi powiesz wszystko i ja tobie będę mówił wszystko, co mnie dotyczy.

Więc ona zaczęła mu opowiadać o swoich wielkich zmartwieniach i przykrościach, przyczem, sama nie wiedząc, jak i kiedy, oparła mu zmęczoną główkę na ramieniu.

Miał ochotę otoczyć ją ręką i przygarnąć do siebie, ale siłą woli się powstrzymał. Nie powinien był płoszyć jej pierwszego zaufania.

A gdy skończyła i umilkła, nachylił się nad jasną główką, dotknął ustami lnianych włosów, przysięgł sobie, że już odtąd nikt i nigdy nie zrobi jej przykrości i począł przed nią roztaczać obraz życia, które na nich czekało.

Było w niem dużo obowiązków, poświęceń, kto wie? może ofiar, ale było przytem tyle uczucia, obejmującego i małe i duże horyzonty, że szary obraz zajaśniał przed wzrokiem dziewczyny, jak tęcza.

Uczuła, że wszystkie burze, niepokoje i wąt

pliwości kładą się w niej, jak do snu i słuchała z przymkniętymi oczami, coraz spokojniejsza i coraz cichsza.

Nagle tęcza prysła.

— Emilciu! — zabrzmiał głos pani Bodziewiczowej.

Zerwali się. Ona zaczęła biec naprzód, a on szedł za nią i mówił sobie:

— To moje.

A po chwili szli już we troje: Krępic z głową, podniesioną wyżej, niż zwykle, jak tryumfator, panna Emilcia zamyślona, pani Bodziewiczowa zdziwiona spokojem siostry.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych, lecz rozmowa się nie kleiła, bo młodym słowa z ust niechętnie wychodziły, a prócz tego pannę Emilcię nagle opanowała myśl, co będzie, gdy rodzice i siostra dowiedzą się o jej postanowieniu?

Trochę jej było wstyd Marychny, a rodziców się bała. On, taki otwarty i szczerzy, pewno się przyzna odrazu do wszystkiego i z głową podniesioną do góry, spokojnie oświadczy: oto moja narzeczona!

A jeżeli wtenczas ojciec zacznie krzyczeć, a matka powie, że za chłopca córki nie wyda i spojrzy na niego tak zimno, jak to ona umie? Jej mogą to wszystko powiedzieć, ale jemu nie, nie! za nic w świecie! Czowała, że gdyby w jej obecności zrobiono mu podobną przykrość, ona miałaby wrażenie, że jej gorący ocet leją na otwartą ranę, uniosłaby się i nie wiadomo, coby wtenczas powiedziała albo zrobiła. Nie można

do tego dopuścić, musi się wpierw z nim porozumieć, a może najlepiej powiedzieć odrazu Marychnie?

Najlepiej... ale kiedy jej wstyd... Trzeba wpierw oswoić się z tą myślą, poczekać chociaż parę dni, a teraz nie pozwolić na żadne wyjaśnienie.

Nie odstępowała Krępicą, gotowa powstrzymać go wzrokiem, gdyby chciał mówić, ale ciągle była pod wrażeniem strachu i tu w ogrodzie, i później w pokoju, i przy kolacji. Od czasu do czasu spoglądała na niego z trwogą, on jej wtedy odpowiadał spojrzeniem, z którego było widać, że jest szczęśliwy, ale jak postanowił działać, nic tym wzrokiem nie mówił.

Gdy wstali od kolacji, schwyciło ją nagłe przecucie, że pewno teraz, gdy przejdą do salonu, a ona będzie sprzątała ze stołu, wszystko się odkryje. Złękła się tak, że aż nogi się pod nią ugięły i nagle — przyszła jej do głowy myśl, która jeszcze mogła wszystkiemu zapobiec. On właśnie się do niej zbliżał, żeby jej uścisnąć rękę po kolacji, więc szybko cofnęła się aż do kredensu, w sam róg pokoju i stawiając na półkę puszkę z herbatą, szepnęła gorączkowo:

— Zaczekaj pan dziś na mnie w altanie koniecznie!

Spojrzał na nią zdziwiony i wolno odszedł, a ona odetchnęła, jakby z niej zdjęto stufuntowy ciężar.

— Tak, to będzie najlepiej. Pomyśli spokojnie co zrobić i powie mi. Potem naradzi się jeszcze z Marychną — tylko nie dziś, może jutro...

Posprzątała ze stołu, zamknęła kredens i już zupełnie spokojna, przeszła do saloniku. Ojciec właśnie opowiadał o drylu, który świeżo nabył, a on słuchał, ale tak wyglądał, jakby nie słyszał nic. Co chwila zwracał na nią oczy, w których był teraz niepokój i jakby pytanie.

Wcześniej niż zwykle, Krępicę pożegnał się dzisiaj i poszedł przez ogród do swojej łodzi, a wtedy Olchowicz ziewnął, rzekł, że to jest bardzo przyjemny chłopak, że takie bezceremonialne wizyty są najprzyjemniejsze, bo można się ugadać i iść spać o swojej godzinie; poczem zaczęto się rozchodzić.

Obie siostry poszły na górę, ale panna Emilja, zamiast się rozbierać, chodziła, sprzątała i była jakaś taka dziwna, że aż pani Marychna, zaczęła jej się przyglądać i wypytywać, co jej jest?

Panna Emilcia zaczerwieniła się pod jej wzrokiem, uparcie powtarzała, że jej nic nie jest i potem, nie patrząc na nią, rzekła, że jeszcze musi iść do ogrodu, bo zostawiła w altanie chustkę do nosa i kapelusz.

Wstydziła się, że kłamie, nie śmiała jej spojrzeć w oczy i przyrzekła sobie, że gdy wróci, powie wszystko. Już była we drzwiach, gdy nagle, jakby chcąc zupełnie uspokoić sumienie, odwróciła się i rzekła:

— Połóż się, Marychno, ale nie śpij, bo jak wrócę, powiem ci coś bardzo ważnego.

I wybiegła.

A w ogrodzie zdjął ją strach. Noc była gwiaz

dzista, lecz bezksiężycowa. Drzewa i krzewy miały kolor czarny, wyglądały jakby kryły w sobie jakąś tajemnicę i patrzyły na nią nieufnie. Przytem było tak cicho, jakby wszystko czekało na coś nadzwyczajnego i wstrzymało oddech, by lepiej słyszeć.

— Czy też on jest jeszcze, czy też nie mógł się doczekać i odjechał? Jeśli jest, co też sobie myśli?... Chyba nic złego, bo przecież ją zna...

Biegła szybko, serce tłukło jej się w piersiach, a myśli ciągle się zmieniały i niepokoiły ją.

— Sama — będzie z nim sama w nocy... Dawniej nie byłaby się bała, ale teraz... Podobno wszyscy mężczyźni są w niektórych razach jednakowi... każdy korzysta ze sposobności... Może będzie ją chciał pocałować? Ale nie! On jest inny, niż wszyscy. Gdyby nawet tacy poważni ludzie myśleli o głupstwach, to już byłoby źle... Ciekawość, co też może być nadzwyczajnego w takim pocałunku?... Marychna raz się śmiała i powiedziała, że nie wierzy, aby narzeczem się nie pocałowali, jeśli się bardzo kochają, że to przychodzi samo z siebie i że niepodobna się ustrzec. Mama znów utrzymuje, że to dowodzi złego wychowania, bo jak się małżeństwo zerwie, to potem nikt pannie nie odejmie obcałowania. Kto wie, czy pomimo braku logiki, niema w tem ostatniem trochę prawdy... ale co się też wtenczas czuje?... Gdy ją pocałował w rękę pierwszego dnia przy wszystkich, to nic nie czuła, ale wtedy w altanie było jej jakoś dziwnie. Widocz

nie, pocałunki są różne i gdyby on teraz chciał... ale nie, i on nie będzie, i ona nie będzie chciała. To jest zanadto głupie, oni będą inni, niż wszyscy.

Zadyszana, wbiegła do altany. Krępic był i czekał i zaraz począł ją wypytywać, co ma mu do powiedzenia.

Głos mu trochę drżał, bo przez tę godzinę, spędzoną samotnie i w oczekiwaniu, przesunęło się przez jego głowę Bóg wie co. Najprawdopodobnijszem to mu się wydawało, że ona się rozmyśliła i że mu chce o tem powiedzieć jaknajprędzej, żeby się nie ludził. Cierpiał tak w tej niepewności, że już zaczął wkońcu pragnąć najgorszego, byle prędzej.

A ona tymczasem, zobaczywszy go, dopiero teraz sobie przypomniała, po co przyszła, i zaraz zaczęła opowiadać, jak się bała, że on jeszcze dziś powie wszystkim rodzicom, i jak go chciała prosić, aby się wpierw naradził z Marychną, bo rodzice są czasami trochę dziwni, ogromnie zwracają uwagę na różne formy i mogliby mu bezwiednie zrobić przykrość.

Wtedy jego ogarnęła szalona radość. Nie odpowiedział nic, tylko począł ją całować po rękach i śmiał się ze szczęścia, tak, że aż ona zaczęła się śmiać razem z nim i nic się nie bała.

— Z czego pan taki zadowolony? — pytała, odbierając mu ręce, które on miał widocznie ochotę pozjadać — czy z tego, że ja przez cały wieczór użyłam tyle strachu? Myślałam, że pan lepszy!

— Ależ nie, nie! — wołał wesoło. — Ja się śmieję z siebie, bo mnie tu Bóg wie co chodziło po głowie. Pani ani przypuszcza co, a ja też nie powiem, żeby nie wymówić w złą godzinę.

Pociągnął ją na ławeczkę, na którą po mimowolnem zawahaniu się usiadła, i począł teraz mówić, że on jaknajdłużej chowałby swoje szczęście w tajemnicy przed całym światem, ale za parę dni kończy mu się urlop, że musi wyjechać i że dlatego postanowił prosić pana Znamienieckiego, aby zechciał pomówić o nim z jej rodzicami. Wie, że oni nie bardzo chętnie się na to zgodzą, bo przecie takiego skarbu nie mogą oddać pierwszemu lepszemu, a jego nie bardzo znają; ale ufa, że uwierzą w jego wielką miłość i że może za wpływem pana Znamienieckiego nie będą się długo opierali.

Błask od jeziora padał na jasną główkę i sukienkę dziewczyny i na czarną głowę mężczyzny, zapatrzonemu w nią, jak w szczęście.

Mówili jeszcze o pani Marychnie i o tern, że trzeba jej koniecznie wszystko powiedzieć jeszcze dzisiaj, a potem panna Emilcia się podniosła i powiedziała, że już musi wracać.

Ale Krępic nie chciał jej puścić.

— Nie, nie, jeszcze chwileczkę — powtarzał — co pani szkodzi, że ja przez pięć minut dłużej popatrzę na mój raj? I zaraz począł na nią tak patrzeć, że, choć było ciemno, uczuła w sobie niepokój i zerwała się.

— Nie można, już późno; jutro pan znowu zobaczy swój raj, czy maj, czy może wiosnę; a teraz dobranoc.

Żartowała, by pokryć niepokój i nie podając mu ręki, zwróciła się ku domowi. — Jakto, nawet mi pani nie poda rączki — zawołał na nią — czyż teraz mam posiadać mniej praw, niż dawniej?

Dosłyszała w jego głosie wymówkę i smutek. Więc stanęła i wyciągnęła rękę; ale gdy zaraz potem chciała mu ją wyrwać i uciekać, on ją przytrzymał i począł okrywać pocałunkami, delikatnymi jak dotknięcie kwiatu.

Wtedy uczuła znowu, że jej serce zadrzało, że to drzenie ogarnia ją całą i nie uciekała, bo ją nagle zdjęła szalona ciekawość. Była na siebie zła, ale stała, a on wtenczas sięgnął po drugą rękę, całował obie, coraz, coraz mocniej, aż wkońcu pociągnął dziewczynę ku sobie i objął ramieniem.

Dojrzała wtenczas, że mu oczy dziwnie błyszcząły, uczuła jego oddech na swoim czole i nagle, jakby odepchnięta niewidzialną ręką strachu, wyrwała się i uciekła.

Gdy mu znikła, Krępic się zatoczył jak pijany, wsiadł w swoją łódkę, pół nocy spędził na jeziorze, a nazajutrz rano udał się do gabinetu pana Znamienieckiego i trochę nieśmiało przedłożył mu swoją prośbę.

Lecz pan Znamieniecki nie okazał wielkiego zdziwienia. Przeciwnie, nawet się przyznał, że oddawna tego się spodziewał; powiedział, że jeśli

panna Emilja jest podobna do Bodziewiczowej, to mu tylko można powinszować i przyrzekł, że jeszcze dziś pojedzie do Kamionki i pomówi z Olchowiczami.



— Dobrze pan zrobiliś — kończył — żeś mnie tę misję powierzył, nie dlatego, żeby to miało wpłynąć na sam rezultat, ale że to ich lepiej usposobi, bo Olchowicze są trochę zacofani i bardzo przywiązani do dawnych tradycji. Jestem pewny — dodał z uśmiechem — że pan bardzo urośniesz w ich oczach, właśnie dlatego, iż posiadasz znajomość starych form i zwyczajów.

Mówił miarowym głosem, jak zwykle i nawet nie położył pióra, które trzymał w ręku ; ale gdy Krępic począł mu dziękować, popatrzył na niego uważniej i wstał.

— Widzę, żeś pan bardzo zaatakowany — rzekł — i że młodość zawsze będzie żyła wiarami i złudzeniami. Niech panu los da tyle szczęścia, ile pan go jesteś wart. Życzę z duszy.

Uściskał mu rękę silnie, a potem zaczął chodzić po pokoju zamyślony.

— Wolałby, żeby Zygmunt tak przyszedł do niego — pomyślał Krępic i aby sobie skrócić czas, poszedł do biblioteki czytać.

A w Kamionce nie oczekiwano dzisiaj żadnych nadzwyczajnych wypadków, pomimo że pani Marychna była jakaś zamyślona, a nawet niespokojna, i często coś szeptała z siostrą.

Pani Olchowiczowa domyślała się, że to mowa o balu u państwa Stobickich, nie przeszka

działa córkom, z kawałków starej materji fabrykowała nowe krawaty dla męża i zięcia i trochę niespokojnie oczekiwała rezultatu tych szeptów. Pan Olchowicz, jak zwykle, po obiedzie położył się na drzemkę i chrapał na tony nader urozmaicone i tak ich zastał Znamieniecki.

Pomimo dalekiego pokrewieństwa i blizkiego sąsiedztwa, właściciel Karolówki bywał w Kamionce rzadko, bowiem wogóle bywał mało i skutkiem tego jego wizyty były cenione. Aby w niektórych okolicach na wsi uzyskać patent na arystokrację i być pożądanym, trzeba tylko niezbyt często odwiedzać sąsiadów.

Pani Olchowiczowa, dowiedziawszy się o przyjeździe kuzyna, podniosła gwałt. Wysłała obie córki aż do przedpokoju, kazała obudzić męża, a sama, zrzuciwszy szlafroczek, włożyła świeżo uprasowaną suknię i nową koronkę.

W pokoju bawialnym zastała już wszystkich zebranych i zdziwiła się, że córki ledwie ją zobaczyły, podniosły się i wyszły. Ale zdziwienie jej wzrosło, gdy dostrzegła, że Znamieniecki jest ubrany jak na pierwszą wizytę, wreszcie doszło do kulminacyjnego punktu, gdy pocałowałwszy jej rękę, odrazu zapowiedział, że przyjechał w misji bardzo poważnej.

Usiadła trochę zatrwożona, ale więcej ciekawa i utkwiała oczy w twarzy gościa, Olchowicz uczynił to samo, poprzednio nos utarłszy, a gość rzucił wzrokiem na swoje paznogie i bez uśmiechu, oraz wstępu, rzekł:

— Kolega i przyjaciel mojego syna, pan

Andrzej Krępic, za mojem pośrednictwem prosi was, szanowni kuzyni, o rękę waszej córki, panny Emilji.

Milczenie. Pani Olchowiczowa zaczerwieniła się, uniosła trochę na kanapce i znów siadła, pan Olchowicz szerzej, niż zwykle, otworzył oczy i usta i patrzył na żonę, to na gościa i zrobiło się w pokoju tak cicho, że niemal można było słyszeć bicie serc dwóch sióstr, przytulonych do siebie na kanapce w sąsiednim pokoju.

Wtedy pan Znamieniecki powiódł oczami po twarzach gospodarzy i rzekł miarowo :

— W moim dzisiejszym obowiązku nie leży udzielanie rad, jednakże, życząc państwu dobrze, muszę powiedzieć, że, gdybym posiadał córkę i gdyby ona powzięła sympatię dla takiego człowieka jak pan Krępic, to miałbym o niej wysokie wyobrażenie i oddałbym mu ją bez wahania.

— Racja, święta racja! — zahuczał na to gospodarz i wyciągnął do gościa rękę. — Niema jak fach w garści, i jeżeli tylko Emilcia się zgodzi... Emilka!

Ale tu pani Olchowiczowa mu przerwała.

— Czekaj! — rzekła porywczo, poczem zwróciła się do Znamienieckiego. — Opinia szanownego kuzyna i jego pośrednictwo w tej sprawie mówią wiele na korzyść pana Kręcica, ale pomimo to, ani rodzina tego pana, ani jego majątkowa pozycja, nie są wcale nadzwyczajne. Emilcia ma dopiero ośmnaście lat i choć rzeczywiście przez te dwa lata jak bawi w domu, nie miała dużo partji, to nie dowód, by potrzebowała chwy

tać taką, jaka się zdarza. Nie jest przyzwyczajona do mierności, a pan Krępic nie może jej ofiarować nic więcej.

Gospodarz popatrzył na żonę wytrzeszczonymi oczami, potem zwrócił wzrok na gościa i jakby stamtąd zaczerpnąwszy natchnienia, zahuczał znowu :

— Rodzina głupstwo! Jak postęp, to postęp! Ja nawet wolę porządnego chłopca, niż takiego karczmarza szachraja, jak ojciec Stobickiej. A pozycja?... A cóż to, czy to on nie może zostać dyrektorem, administratorem, albo reprezentantem ? Czy to Zygmuntovi źle ? Ile on ma teraz ten twój Krępic, kuzynie?

Znamieniecki przyglądał się obojgu państwu Olchowiczom z pewnego rodzaju skrzywieniem ust, które tak dobrze mogło oznaczać szyderstwo lak i znudzenie lub niesmak, i na zapytanie gospodarza odparł, że nawet dobrze nie wie, jaką Krępic ma pensję, ale że prawdopodobnie musi mieć na utrzymanie żony, jeśli się chce żenić, i że jemu, to jest Znamienieckiemu, zdaje się, że tu może należałoby się przedewszystkiem zapytać o zdanie panny Emilji.

— Racja! — zgodził się natychmiast Olchowicz, któremu najwidoczniej było pilno i nie czekając krzyknął: — Emilka! Znamieniecki aż drgnął i z podziwem spojrzął na pierś gospodarza, która umiała się na taki głos zdobyć, a wtem weszła panna Emilja z panią Marychną i nie puszczając ręki siostry, do ojca się zbliżyła i stanęła.

— Kuzyn Znamieniecki — zaczął wtedy Olchowicz tonem uroczystym — prosi nas o twoją rękę dla pana Kręcica. Cóż, chcesz tego pana czy nie chcesz ? Gadaj, a szczerze!

— Tak, ojczulku, chcę. Pan Krępic wie o tem i w przeciwnym razie nie prosiłby was o mnie.

Dziewczyna powiedziała to wyraźnie i choć miała wielką ochotę albo uciec, albo przynajmniej opuścić rzesy, wytrzymała wzrok rodziców i Znamienieckiego do końca.

A Olchowiczowi teraz stanęły łzy w oczach. Schwycił głowę córki w obie ręce, całował ją i mówił:  
— To ci panie zuch dziewczyna, ani się zająknęła! Ten tego — za mąż nie pójdę, aż tu i jest zięć i do tego fachowiec.  
No, ruszaj do matki!  
Popchnął ją w kierunku kanapy, gdzie pani Olchowiczowa oszołomiona, z pełną głową porwanych myśli — sto rubli miesięcznie, syn chłopca, wnuk karczmarza, fachowiec, Znamieniecki dałby córkę — nachyliła się i pocałowała pannę Emilję w głowę.  
Ceremonia została skończona, ku wielkiej, zdaje się uldze swata i narzeczonej. Zdecydowano jeszcze, że Krępic może przyjechać podziękować, ale że o ślubie, a stało się na wyraźne żądanie pani Olchowiczowej, wtedy dopiero będzie mowa, gdy narzeczony dostanie odpowiednią posadę — i pan Znamieniecki odjechał.  
Na ganku Krępic na niego czekał, ale z twarzy Zygmunta ojca zawsze trudno było coś

wyczytać, a dziś mniej niż zwykle, tak się przynajmniej wydało młodemu.  
Przeszli do gabinetu, Znamieniecki spokojny i chłodny, Krępic wzruszony i milczący i dopiero wtedy pierwszy zapytał:  
— Jaką pan masz właściwie pensję, panie Andrzeju?  
Zapytany spojrział na niego ze zdziwieniem.  
— Sto rubli miesięcznie, ale na Nowy Rok mam nadzieję, że mi podniosą — odparł i zmarszczył brwi. — Panna Emilja nie jest wymagająca — mówił dalej — wiem, że się nie lubi bawić i stroić i prócz tego, chyba mnie najwięcej obchodzi to, by mojej żonie niczego nie brakło.  
— Nie ulega kwestji, ale rodziców także obchodzi, czy ich dziecko będzie miało to, do czego przywykło. Temu się trudno dziwić.  
— Więc? — zapytał Krępic i przygryzł usta.  
— Więc możesz pan jechać podziękować, rodzicom, a o ślubie niema być mowy, aż pan dostaniesz odpowiednią posadę.  
Oczy Kręcica zajaśniały przy pierwszych słowach, pociemniały przy ostatnich. Wyciągnął do Znamienieckiego rękę podaną sobie, uściskał gorąco, ale rzekł chłodno:  
— Czy można się dowiedzieć, od jakiej sumy zaczyna się pensja, odpowiadająca wymaganiom państwa Olchowiczów?  
— Tego nie wiem, ale czyż pan nie wspominałeś, że Aromacki wychodzi od Rotte'go i że po nim zawakuje posada szefa biura?  
— I owszem, wychodzi od października.

— Któż przypuszczalnie wejdzie na jego miejsce?  
— Skąd to można wiedzieć? Biorąc pod uwagę lata służby, powinien iść inżynier Rańkowski.

— A biorąc pod uwagę oddane usługi ? Zdaje mi się, że pan zrobiłeś im jakieś przeróbki, czy poprawki i oszczędziłeś fabryce sporo wydatków.

Krępic milczał z głową spuszczoną, wreszcie rzekł:

— Na to nie można liczyć. Tu wszystko znaczy szczęście i kaprys pana Rotte'go, a ja za sto dwadzieścia rubli, a nawet za sto, mogę utrzymać siebie i żonę. Sam, nie wydawałem całej pensji.

Znamieniecki podniósł głowę.

— Nie wydawałeś pan? — powtórzył. — Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale znam pana tak dawno i tak dobrze, że sobie na nią pozwalam — czy mogę wiedzieć, ile pan zdołałeś zaoszczędzić ?

— I owszem. Zaraz w pierwszym roku trochę odłożyłem, ale nie wiele, w drugim schowałem dwieście rubli, w trzecim tyleż, a w tym może oszczędzę czterysta albo i więcej. Zawsze miałem zamiar stworzyć rodzinę, dlatego nie wydawałem wszystkiego i gdyby nie nadzwyczajne wydatki, odemnie niezależne, miałbym jeszcze o paręset rubli więcej. Państwo Olchowiczowie mogą być zupełnie spokojni o swoje dziecko.

— Masz pan zupełną rację, rzeczywiście mogą być spokojni, ale zawsze będzie lepiej, gdy pan

zostaniesz szefem biura. Trzy tysiące rubli, to niezła pensja na nasze stosunki.

— Bezwarunkowo, ale ja nie lubię budować zamków na lodzie. Państwo Olchowiczowie muszą mi dać córkę, chociaż szefem nie będę.

Zostawił Znamienieckiego, wyszedł cały wzburzony i przebiegając ogród, układał w głowie plany kampanji, mającej zwalczyć wygórowaną pieczołowitość rodzicielską. Ale wszystkie zawiodły. W Kamionce przyjęto go grzecznie, pan Olchowicz nawet go pocałował w głowę, ale

o ślubie nie chciano nawet słuchać, ani mówić, a właściwie nie chciała mówić pani Olchowiczowa.

— Jak pan będziesz miał przynajmniej dwa tysiące rubli rocznie, to dobrze — mówiła — teraz niema o czem mówić. Jesteście młodzi, możecie czekać, my jesteśmy starzy, musimy za was rachować.

Młodzi byli — to prawda, ale właśnie dlatego on najchętniej byłby ją zabrał ze sobą zaraz. On na myśl, że odjedzie i zostawi ją samą, nawet bez pani Marychny, niemal drętwiał.

A ona? — Panna Emilcia spodziewała się większego oporu ze strony rodziców, oczekiwała walki, chciała być bohaterką, która przecież coś robi, a gdy wszystko poszło gładziej, niż myślała i żadnych trudności do łamania nie było, uczuła się zawiedziona i nawet trochę niezadowolona. Wprawdzie mogła walczyć i teraz, ale siostra jej wytłumaczyła, że lepiej się mamie nie sprzeciwiać, że panu Krępicowi mogą niedługo podnieść —

i ona zresztą sama czuła, że robić kwestję tylko o przyśpieszenie ślubu, nie o sam ślub, nie warto i nawet nie bardzo przyjemnie.

Nie wiedziała, że zgoda matki nie była zupełną, że w jej umyśle tkwiła jeszcze nadzieja lepszej partji dla córki, nie wiedziała tego i zgodziła się na wszystko.

Krępic odjechał, a dziewczyna długo nie mogła zapomnieć wzroku, jakim ją żegnał i smutku widocznego na twarzy narzeczonego i długo sobie wyrzucała, że sama ani połowy tego wszystkiego nie czuła.

## VIII.

W biurze technicznem Rotte et C. pod pokrywką jednostajnego trybu życia, gotowało się. Pan Aromacki przechodził na dyrektora konkurencyjnej firmy Stelskiego, posada szefa miała zaważować, wszyscy się interesowali, kto wejdzie na jego miejsce i wielu miało nadzieję.

Przy dwóch sąsiadujących ze sobą biurkach Krępic i Rańkowskiego najmniej zajmowano się tą sprawą. Krępic pomizerniał i stał się nadzwyczajnie w sobie zamkniętym. Rańkowski zwykle mówił nie wiele, ale teraz miał smutek w domu, więc milczał jeszcze chętniej niż zwykle, cały pogrążony we własnych myślach.

Panna Winia była chora. Wróciła z letnich kolonji zdrowa i wesoła i nagle, ni stąd, ni zowąd, zasłała. Rańkowski doskonale pamiętał ten dzień, bo choć się z tem nie zdradzał, najstarsza córka była jego dumą i najwięcej zajmowała miejsca w jego sercu. Siedzieli przy wieczornej herbacie. Panna Winia opowiadała szczegóły ze

swego pobytu na wsi, potem on zaczął opowiadać o nowinach biurowych i właśnie mówił

o Krępicu, że się żeni z Emilką Olchowiczówną, gdy dziewczyna zbieła mu w oczach i pogięła się na krzesło.

Ciągle ją taką widział, a choć panna Winia po dwóch dniach silnej migreny przyszła do siebie i teraz znowu na lekcje biega, on widzi, że jest mizerniejsza niż zwykle, że mniej mówi i że jeszcze coś jest. Czasami w nocy zdejmuje go taki niepokój o to zdrowie, że wstaje z łóżka idzie do pokoju córek i z trwogą przygląda się wyciągniętej twarzyczce starszej.

Krępic wie o jego smutku, sam przyznaje, że panna Winia nie wygląda zdrowo, Rańkowski wie o kłopotach Krępic i dlatego, choć do siebie nie mówią, najlepiej im razem.

Wrzesień miał się ku końcowi. Aromacki niewiele zajmował się biurem, które lada dzień miał opuścić, główne czynności spadły na Krępicę, jako najlepiej obeznanego z robotami, ale o tem, kto będzie szefem, nikt nic jeszcze nie wiedział

i wszyscy żyli nadziejami.

Pani Bodziewiczowa wróciła ze wsi w połowie września. Pozostawiła pannę Emilcię zdrową i wiele spokojniejszą i miewała teraz od niej częste listy, których Krępic wyglądał, jak kania dżdzu.

Listy były z początku swobodne i niekiedy nawet wesołe, ale przy końcu miesiąca przyszedł jeden, który zabrał narzeczonemu resztę spokoju.

— Mama — pisała panna Emilcia — była zaraz po twoim wyjeździe u państwa Stobickich, i musiała tam uknuć nowe jakieś plany, bo ni stąd ni zowąd pan Józef był dwa razy w Kamionce, a ja mam przyjemność coraz częściej słyszeć nawiasowe uwagi o niepewnym chlebie inżynierów, którzy są dziś tu, jutro tam, i o spokojnym życiu ludzi zamożnych na wsi. To wszystko byłoby mniejsza, gdyby nie wzrastający chłód mamy, która takie robi na mnie wrażenie, że mi się zdaje, jakbym od rana do nocy popełniała zbrodnie. Na dworze coraz zimniej, w domu także, ty i pan Andrzej popsuliście mnie przez wakacje i teraz mi smutno, bo nawet nie mam do kogo powiedzieć: „Tomkowi zimno”. „Wogóle dochodzę do przekonania, że nie umiem uszczęśliwiać ludzi, że nie wiadomo po co żyję, i że jestem do niczego. Zdaje się, że pan Andrzej robi lichy interes”.

Pani Bodziewiczowa nie chciała tego listu pokazać przyszłemu szwagrowi, ale wkońcu, zniewolona jego prośbami, pokazała. Pan Andrzej zaś przeczytawszy go, całą noc nie spał, tylko latał po pokoju, a na drugi dzień poszedł do fabryki i wyglądał jak Hamlet.

Tego dnia pan Aromacki opuścił biuro, a żegnając się z kolegami, na samym końcu podszedł do Krępic i usunąwszy się z nim pod okno, zaczął mówić — że u Rotte'go nikt się niczego nie doczeka, że na szefa ma podobno przyjść kuzyn pani Rotte, pracujący obecnie w jednej z fabryk łódzkich, że Stelski potrzebuje

teraz zdolnego inżyniera, któremu dałby odrazu sto dwadzieścia rubli miesięcznie, na Nowy rok sto pięćdziesiąt, a za jakie dwa lata najdalej, powierzyłby mu kierownictwo i że on, Krępic, powinien z takiej sposobności skorzystać i rzucić tutejszą fabrykę.

— Od kiedy? — zapytał Krępic.

— Jakto od kiedy? Właśnie zaraz; choćby od dziś. Oni tam mają jakiegoś niedołęgę szefa, którego na razie nie mogą usunąć, jednego ze zdolniejszych inżynierów muszą wysłać do Odessy, a wtenczas nie będą mieli w biurze nikogo, ktoby im dobrze poprowadził roboty.

Krępic się zamyślił.

— Szkoda, żeś mi pan nie powiedział wcześniej, chociaż — i tak byłoby za późno. Niech poczekają do Nowego roku, niech mi dadzą sto pięćdziesiąt rubli i pewność, że za jakie pół roku będę miał dwa tysiące, to pójdę.

— Nic łatwiejszego, ale pan musisz przejść zaraz, najpóźniej do połowy października.

— Niepodobieństwo. Pan chyba rozumiesz, ileby na tem straciła firma Rotte'go. Tak się nie robi.

Aromacki spojrział na niego z politowaniem.

— Właśnie tak robi każdy, kto dba o swój interes. To jest najważniejsza zasada etyki klas przemysłowych. Fabrykanci nie liczą się z interesami swoich urzędników, zatem i urzędnicy nie mają względem nich podobnych obowiązków, ale ponieważ zawsze im doliczają do aktywów figiel, zrobiony firmie współzawodniczącej, więc dbałość

o własne aktywa nie może być poczytana pracującemu za nieuczciwość. Będziesz pan miał dobrą markę u Stelskiego. — Wątpię, bo w takim razie mógłbym i jemu zrobić coś podobnego w przyszłości. Jeżeli na Nowy rok, to zgoda — uprzedzę Rotte'go.

Aromacki się skrzywił.

— Nie wiem, pomówię ze Stelskim, ale pan się jeszcze namyśl. We dwóch postawilibyśmy ich na nogach, trochę pewniejszych, niż Rotte'go.

Rozstali się. Krępic wrócił do swojego biurka, pochylił się nad papierami, a myślą poleciał do Kamionki, gdzie nawet nie było komu powiedzieć: »Tomkowi zimno«.

Jak on chętnie rozgrzałby tę swoją białą dziecinę, ale na to trzeba mieć dwa tysiące rubli, a chcąc mieć dwa tysiące rubli, trzeba popełnić podłość.

Nawet się nie zastanawiał, czy propozycja Aromackiego rzeczywiście była aż podłą. Wiedział, że choćby nawet chciał, było w nim coś, coby się oparło i nie dało mu skrzywdzić firmy Rotte'go, więc po cóż tę kwestję rozbierać?

A tymczasem szefa nie naznaczono, roboty zaś przybywało z każdym dniem. W sali technicznej przesiadywano teraz do siódmej, a czasami nawet do ósmej wieczorem. Krępic kierował robotami, pracował za trzech i co miesiąc odbierał swoje sto rubli. Zaczęto szemrać. I ci, którzy współzawodniczyli do kierownictwa biurem, i ci, którzy nie mieli żadnych nadziei, oburzali się na Rotte'go i na wyzysk, ale to nie zmieniało położenia.

W pierwszych dniach grudnia Rotte odwiedził salę techniczną i zatrzymał się w niej dłużej, niż zwykle. Krępic udzielał mu wskazówek i objaśnień i choć był teraz mało spostrzegawczym, pomimo to zauważył, że Rotte przygląda mu się badawczo.

Po skończonej wizycie, fabrykant pożegnał urzędników, ale Krępic zabrał ze sobą i wyszedłszy razem z nim z sali, rzekł:

— Cóż, i Aromackiego niema, i jakoś sobie radę dajemy?

— Dajemy — odparł Krępic — ale jest ciężko, bo roboty dużo.

— Hm... zapewne. Trzeba będzie pomyśleć o szefie i jeszcze ze dwóch inżynierów przybrać. Ten młody Znamieniecki to djabeł, nie człowiek. Odebrał robotę Stelskiemu i teraz znowu zawałił nas obstalunkami.

Fabrykant uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Podobno Stelski proponował panu miejsce u siebie ? — zagadnął nagle.

— Tak, ale za późno. Nie chciał czekać do Nowego roku.

— A na Nowy rok byłbyś pan poszedł?

— Byłbym poszedł.

— Hm... czemu nie?... Żenisz się pan... pisał mi stary Znamieniecki... o tym szefie trzebaby pomyśleć... Jak panu się zdaje, kto byłby najodpowiedniejszy z biura?

Przyglądał się młodemu inżynierowi z pod oka, a Krępic przygryzł wąsy białymi zębami i siląc się na ton mowy spokojny, odparł:

— Moje osobiste interesa nie mają nic wspólnego z interesami fabryki, a co do posady szefa, to zważywszy na lata pracy, posada ta należy się inżynierowi Rańkowskiemu.

— Hm... zapewne... lata pracy... Czasem zdolności więcej znaczą... Zdaniem pana, na czym fabryka więcej zyskała, na pracy Rańkowskiego, czy też... hm...

Krępic spojrział na swego pryncypała niemal z pogardą. Ten człowiek wiedział, że w jego własnym interesie leżało oddać kierownictwo biurem jemu — Krępicowi, ale nie miał poprostu siły odmówić sobie przyjemności, jaką mu robiły prośby, zanoszone przed jego potężne oblicze, ani też wyrzec się roli łaskawego dobroczyńcy nie z własnej kieszeni.

— W zakresie pracy inżynierskiej nie leży wydawanie sądu o zasługach i zdolnościach pracowników fabryki, to rzecz właściciela — odrzekł sucho i skłoniwszy się, wrócił do sali technicznej.

Posada szefa znowu została w zawieszeniu i dopiero przy końcu grudnia Krępic otrzymał papier, w którym go mianowano kierownikiem biura technicznego firmy Rotte et C., z pensją dwóch tysięcy pięciuset rubli rocznie. Fabrykant musiał się zadowolić prośbą starego pana Znamienieckiego, który listownie polecił mu przyjaciela syna, ale zaoszczędził na tem czterysta pięćdziesiąt rubli do Nowego roku i pięćset rubli rocznie do czasu, w którym podniesienie pensji nowego szefa stanie się przykrą, ale nieuniknioną koniecznością.

Lecz Krępic nie zastanawiał się nad kwestją, czy i jaki interes zrobiła na nim »przezacna«, jak ją zwał Kubacki, firma. Zamiast na obiad, polecił wprost z biura na Złotą i podzielił się swoim szczęściem z panią Bodziewiczową. U niej napisał zaraz list do państwa Olchowiczów, doniósł im, że już może ofiarować ich dziecku pensję, jakiej od niego żądali, że, jeśli mu pozwolą, to on na Boże Narodzenie wpadnie na parę dni do Kamionki i zapomniawszy o całym chłódzie, z jakim go traktowała matka narzeczonej, w gorących słowach prosił o naznaczenie dnia ślubu.

Miał teraz skrzydła u ramion, co chwila całował dzieci, albo ręce pani Marychny i twierdził, że na świecie niema nic lepszego nad życie ludzkie.

A w parę dni potem słońce wydało mu się jeszcze jaśniejszem. Pan Olchowicz odpisał, że się bardzo cieszy z takiego obrotu rzeczy, że nigdy nie wątpił, aby człowiek z fachem w ręku nie dał sobie rady, że na Boże Narodzenie powitają go z radością i że wtenczas postanowią wszyscy razem o dniu ślubu.

Pojechał więc i trzy dni, spędzone w cichej Kamionce, wtulonej teraz w śniegi i szrony, przeszły mu, jak sen.

Pan Olchowicz mówił głośniejsz, niż zwykle, dzieląc się opłatkiem, długo szeptał coś do ucha córki i potem, nie widząc, że pobladała i ma łzy w oczach, śmiał się, aż mu się trząsał brzuch i z oczu łzy płynęły; pani Olchowiczowa była



dla niego tak dobra i serdeczna, że i dla rodzzonego syna chyba nie byłaby serdeczniejsza, a panna Emilcia chodziła trochę zamyślona i smutna, ale on umiał nie tylko rozpraszać smutek, lecz nawet wywoływać pusty śmiech na usta narzeczonej.

Pomimo, że nie miał czasu za wiele, wpadł na parę godzin do Karolówki. Zima nie dawała mu się uczuć w Kamionce, przeciwnie lubił nawet stawać z narzeczoną w oszklonych drzwiach saloniku i patrzeć na ogród, biały od śniegu i błyszczący od słońca. W duszy miał blaski, od których szrony zapalały się i zamieniały w brylanty i opale; ale w Karolówce zima była w parku, zima przechadzała się po pustych pokojach i szerokich wschodach, patrzyła nie tylko ze stalowych oczu gospodarza, ale nawet z wyblakłych i zaczerwienionych oczu Boni i zdawała się mówić: — jam jest śmierć, nie tylko dla kwiatów i ziemi, ja pochłaniam i nadzieje, gaszę młodość i szczęście i warzę serca ludzkie. Chłodno było i mroczno w Karolówce i Krępic, który miał w sobie nieprzebraną ilość ciepła i światła, pożałował z głębi duszy Zygmunтового ojca.

— Że też są ludzie — myślał — którzy sobie taki chłód stwarzają sami i którym jest w tym chłodzie dobrze! Onby nie wyżył tak, nie rozumiał, jak mogli żyć inni i chętnie obdarowałby własnym ciepłem tych wszystkich, którzy mówią: »Tomkowi zimno«.

Ale pan Znamieniecki nic nie wspominał,

żeby mu było zimno. Przeciwnie, dowiedziawszy się o świetnych interesach, jakie Zygmunt robi w Odesie, wpadł w tak dobry humor, w jakim go Krępic nigdy nie widział. Żartował z niego, że mógłby od przyjaciela wziąć parę lekcji, że Rotte zyskał na nowym szefie pięćset rubli na czysto, że milionerem pewno nigdy nie będzie, ale że za to los da mu dobrą i ładną żonę, co także dużo warte.

Potem mówili o ślubie, na który Krępic miał nadzieję, że może ściągnie kolegów. Na Zygmunta liczył na pewno, Znamieniecki wszakże zrobił uwagę, że dwudziesty siódmy luty wypada w same kontrakty kijowskie, kontrakty zaś są tem dla Zygmunta, czem żniwa dla gospodarza.

Krępic wiedział o tem, ale nie wątpił, że pomimo to, przyjaciel oderwie się na jakie cztery, pięć dni i poprowadzi mu narzeczoną do ołtarza. Nim jeszcze ślub został oznaczony, pisał do niego i Zygmunt przyrzekł mu to uroczyście.

— Przyjedzie, inaczej nie byłbym zupełnie szczęśliwy — myślał sobie teraz, ale z tą myślą nie zwierzył się Znamienieckiemu. — Wszystko się tak składało, jak marzył, dlaczegóż to miałyby go zawieść?

Po świętach z innym już wrażeniem, niż w sierpniu, opuszczał Kamionkę. Przecież jechał przygotowywać gniazdko dla swego jasnopiórego ptaka, a gdy jeszcze raz tu powróci, nie wyjedzie już sam! Ona będzie z nim i od tej chwili nie opuści go, aż do śmierci.

Pani Bodziewiczowa dopomagała mu w przy

gotowaniach z iście kobiecą namiętnością. Razem wyszukali mieszkanie, składające się aż z pięciu pokoi i położone przy ulicy Smolnej z widokiem na ogrody, razem kupowali meble, wybierali obicia i sprzecali się o kolory, w których pannie Emilji najlepiej, razem pilnowali tapicera, by im nie wykrzywił genialnych pomysłów, a Bodzewicz był teraz tak życzliwie usposobiony dla panny Emilci, że tylko raz dał uczuć żonie, o ile on i dzieci są nieszczęśliwymi i opuszczonymi istotami.

Wreszcie gniazdko zostało usłane i Krępic cieszył się teraz swoim dziełem, jak dziecko. Największy zachwyt budził w nim gabinecik przyszłej pani Krępicowej, podarek od Zygmunta. Były w nim obicia bursztynowego koloru, ujęte w rzeźbiony, srebrny gzems, były niziutkie kanapki i foteliki, kryte błękitnym pluszem, haftowane w pstre kolibry, podłogę zaścierał wielki dywan, na czarnym biurczku srebrny kałamarz, pióro i teka z papierem listowym oczekiwały na swoją przyszłą właścicielkę, z rzeźbionej szafki wyglądały książki, dobrane troskliwie przez przyszłego męża i pana, a z sufitu zwieszała się lampa, o kształcie staroświeckiej latarni.

Pani Marychna kiwała główką i mówiła, że to zbytek, ale Krępic nie wierzył. Gdyby mógł, pozdejmowałby gwiazdy z nieba i rozrzucił po dywanie, aby ona mogła je deptać. To wszakże przechodziło jego siły, więc tylko kupował jeszcze kwiaty i ustawiał je, gdzie się dało.

Za to jego gabinet odznaczał się prostotą

i było w nim tylko to, co się niegdyś znajdowało w mieszkaniu na Marszałkowskiej, zajmowanym przez obu przyjaciół. Nawet otomany nie dał pokryć świeżo, bo stary dywan przypominał mu Zygmunta i Kubackiego.

Zygmunt będzie, zobaczy go, ale tamten? Uczuł do siebie żal, że bez względu na wszystko i wszystkich, jest aż tak szczęśliwy, ale ten żal nie mógł teraz trwać długo. Szedł do bursztynowego gabineczku, a tam umiał tylko wyobrazić sobie przyszłe życie we dwoje, raj przyszły i więcej nic.

— jakby to jednak było dobrze — myślał niekiedy — żeby ten Zygmunt mógł przyjechać trochę prędzej! Jest szczęśliwy i właśnie dlatego ma mu mnóstwo do powiedzenia. Małżeństwo, to taka ważna chwila w życiu ludzkim, a od pierwszych chwil, kto wie, czy często nie zależy cała przyszłość?!

Krępic nie był zepsutym, miał pojęcia zupełnie odmienne od pojęć ogółu mężczyzn, prawie nie znał kobiet, prócz tego kochał i bał się tych pierwszych chwil nie tylko dla niej, ale i dla siebie.

Chciałby pomówić z kimś szczerze i otwarcie, ale dla niego tym kimś był tylko Zygmunt. Tylko przed nim byłby w stanie otworzyć duszę aż do dna. Czy też przyjedzie? Był tego pewnym, ale teraz, gdy chwila się zbliżała, opadły go wątpliwości. Pisał do niego, do Wakowicza, do Dembosza i do Naftala i od żadnego nie odebrał odpowiedzi.

Czyżby umowy, robione na ławie koleżeńskiej, były wiatrem na wodzie pisane? Podróż była daleka, to prawda, — jeden Naftal miał blisko, bo był teraz w Berlinie — ale tamci już tak dawno nie byli w kraju, że chyba będą radzi z takiej dobrej sposobności...

— Nie piszą, więc chyba przyjadą — pocieszał się i wyjeżdżając z Warszawy, pozostawił u siebie na biurku listy do wszystkich. W wilgę i w sam dzień ślubu konie miały na nich czekać na stacji.

A w Kamionce zastał ruch ogromny. Pani Bodziewiczowa z dziećmi już tam była i od rana do nocy na nogach, pomagała matce.

Ślub miał być zupełnie cichy. Prócz kolegów Kręcica, Znamienieckiego, Łamkowskich i dwóch dżetek, panny Sławskiej i panny Wini, nie proszono nikogo więcej, bo panna Emilcia nie chciała. Pomimo to przygotowania były wielkie. Pan Olchowicz zapowiedział, że wszystko musi być tak samo, jak na ślubie Marychny, ciągle się wtrącał, przeszkadzał, wbijał gwoździe, które się ruszały i które się nie ruszały, tak w ścianach, jak i w podłogach, a robił to zawsze, ile razy spodziewał się więcej gości i przytem bezustannie krzyczał, tylko tym razem nie na pannę Emilcię. Ją zwolniono już od wszystkiego, matka nie pozwalała jej się wtrącać do niczego i pozostawiła ją własnym myślom, które nie musiały być wesołe, bo jej wyciągnęły twarzyczkę i podkrawczyły oczy.

Przez dwa miesiące, które upłynęły od chwili

oznaczenia ślubu, aż do dnia uroczystości, panna Emilcia przeszła przez różne stany duszy.

Miewała chwile spokoju i nawet zadowolenia, a te chwile przychodziły wtedy, gdy przed oczami stawał jej Kręcic, jako człowiek, jako jej towarzysz na drodze do życia, które teraz będzie miało cel, bo będzie połączone z jego życiem.

Jaki ona miała wziąć udział w dążeniu do tego celu, dobrze nie wiedziała, bo jako narzeczeni za krótko byli z sobą i za mało o tem mówili. Przytem od czasu jak mu dała słowo, on najchętniej mówił o czem innym i sam był innym, niż dawniej. Ufała mu i wierzyła, że jej nie zawiedzie jako człowiek, ale jako mężczyzna, całujący jej ręce i szukający czegoś w jej oczach, przestraszał ją. Skutkiem wrodzonej inteligencji i pozadomowego wychowania, pewne strony życia, starannie ukrywane przed dawniejszemi dziewczętami, były jej znane. Więc z początku próbowała ułożyć jakiegoś modus vivendi między przyjętem wśród koleżanek twierdzeniem, że małżeństwo poniża kobietę, a swoim późniejszym postanowieniem, sprzecznem z wyznawaną zasadą, i pocieszała się, że nie wszyscy mężczyźni są jednakowi, a Kręcic jest stanowczo niepodobny do wszystkich. Lecz wprędce musiała przyznać, że oszukuje samą siebie. Małżeństwo, póki będzie istniało, zawsze pozostanie małżeństwem. Ona pójdzie za nim i odtąd on musi jej być bliższym od najbliższych.

Ogarniała ją rozpacz, w takich chwilach pogardała sama sobą i chętnie byłaby wszystko

zerwała, albo też uciekła na koniec świata. Lecz przypominała jej się Marychna, taka skromna, taka jakaś czysta i dobra, a jednak tak bardzo kochająca Bodziewiczą. Ona nie wyglądała na poniżoną i tak prosto wszystkim w oczy patrzyła... Inne znowu kobiety, o których słyszała, albo czytała, dla miłości rzucały rodziny, okrywały się pogardą świata. Coś jednak było w tej miłości, ale co?

Próbowała wtedy spojrzeć głębiej w życie, które się przed nią otwierało. Dawniej zdawało jej się, że wie wszystko, teraz czuła, że stoi wobec tajemnicy, że nie wie nic.

A czasami zdejmowała ją ciekawość i wtedy mówiła sobie: trudno, tak było i tak będzie... nie jestem wyjątkiem... zresztą, już się stało. Ale im bardziej się zbliżał dzień ślubu, ciekawość się zmniejszała, w to miejsce zaś przychodził strach i mieszał jej wszystkie myśli.

Gdy przyjechał Krępic, miała w głowie istny chaos i chwilami była zupełnie nieprzytomna. On to widział, serce mu się ścisnęło na widok pobladłej twarzyczki i zapadłych oczu narzeczonej, ale ją rozumiał i robił co mógł, by do tej wzburzonej duszy wlać trochę spokoju i ufności.

Nie przeszkadzano im, bo wszyscy byli zajęci, a pani Olchowiczowa nie uważała już za potrzebne dotrzymywania towarzystwa narzeczonemu.

Ale ani słowa Kręcica, ani jego spojrzenia, pełne hamowanego uczucia, nie wpływały kojąco na rozdrażnione nerwy narzeczonej. Była ciągle

podniecona, co chwila miała albo oczy pełne łez, albo śmiała się z lada drobnostki, albo wpadała w zamyślenie i nie słyszała go wcale.

Miał jej tyle do powiedzenia, umyślnie przyjechał wcześniej, pragnął, by się oswoiła z nim i z myślą, że odtąd już ciągle będą razem, marzył, że zbudzi w niej ufność, że ona powie mu wszystko, co ma w duszy, i jego ośmieli do szczerości, i zawiódł się. Nigdy nie wydała mu się bardziej daleką, jak dzisiaj, w wilję ślubu.

A gdy do cichego salonu zajrzał mrok i powoli wypierając światło, począł się skradać po kątach i cicho wypełzać z pod milczących sprzętów, narzeczeni siedzieli obok siebie na kanapie i nie mówili nic. Ona patrzyła bezmyślnym wzrokiem w okno, a on schował twarz w dłonie i rozmyślał tak głęboko, że gdy przed domem dał się słyszeć turkot powozu, nawet nie drgnął.

— Ktoś przyjechał ze stacji, może Jaś, a może który z pana kolegów — rzekła panna Emilcia.

Nie usłyszał jej, więc spojrzał na niego uważniej i żal jej ścisnął gardło.

— Oto ją kochał, był dla niej tak dobry, jak nikt, pragnął ją uspokoić, a ona nie umiała nawet zapanować nad sobą i nie okazała mu ani trochę wdzięczności. Teraz siedzi jak po pogrzebie i może myśli, że napróżno zmarnował tyle uczucia, że może źle je umieścił, bo ona nie jest w stanie go zrozumieć, ani też dać mu choć połowę tego przywiązania, jakie on jej co chwila

rzuca pod nogi. Jest inną od wszystkich kobiet na świecie i nawet takiego człowieka, jak on, nie umie ocenić! Dziwadło!— mówiła zawsze mama i miała rację!

Nachyliła się i dotknęła jego ręki.

— Panie Andrzeju, ktoś przyjechał, może to pana koledzy — rzekła cicho.

Podniósł głowę i spojrzął na nią zamglonym wzrokiem, a potem wstał i skierował się do drzwi.

Wtedy ona się zerwała, pobiegła i stając przed nim ze spuszczonej oczami, rzekła:

— Niech mi pan wybaczy, ja później będę inna — lepsza, tylko teraz nie mogę, naprawdę nie mogę! Niech pan będzie weselszy!

Przyciągnął ją do siebie i patrząc jej w oczy, rzekł cicho:

— Ja ci nie mam nic do przebaczenia, panno Emilciu, ja cię rozumiem i dałbym wiele, byś mogła mieć więcej wiary we mnie.

Potem puścił jej ręce i szybko wyszedł. W przedpokoju był jakiś ruch niezwykły. Łamkowskich i panny Wini spodziewano się dopiero jutro, dzisiaj miał przyjechać tylko Bodziewicz, a tam było słycać jakieś szuranie nogami i głos Olchowicza cichszy, niż zazwyczaj.

Przyspieszył kroku i we drzwiach wpadł na przyszłego szwagra, który uściśnął go w przelocie i rzuciwszy: — Masz tam pan całą furę kolegów — popędził dalej.

— Zygmunt jest?

Nie otrzymał odpowiedzi, więc szarpnął drzwi

i zaraz wpadł w otwarte ramiona Wakowicza. Za nim stał Dembosz, Naftal i Olchowicz, a w kącie pod oknem ktoś nachylny zdejmował kalosze.

— Zygmunt jest? — powtórzył Krępic i ściskając kolegów, rozglądał się po przedpokoju.

— Nie, ale będzie. Romantyk podkłada lont pod minę, która ma wysadzić Stelskiego & Cie. Za to masz mnie.

Na dźwięk tego flegmatycznego głosu, Krępic stanął jak wryty, a ciemna postać z pod okna wysunęła się na środek i Kubacki wyciągnął do niego obie ręce.

Padli sobie w objęcia, przyczem Krępic, jakby chcąc sprawdzić, że się nie myli, pociągnął go ku oknu i wpił się oczami w twarz kolegi pełną, jakby nabrzmiałą, o cerze, mającej odcień błękitny.

— Kiedy?... jak?... co?... zupełnie?... — wołał, całując go po każdym wyrazie.

— O, ba! Zaraz chciałeś cudów — śmiał się Kubacki. — Mam urlop czterodniowy, a potem— gdzie pieprz rośnie, a raczej kosodrzewina. Dostałem posadę, wspaniałą, bo zaraz będę się mógł leczyć zimnemi okładami.

— Któż ci powiedział o moim ślubie?

— Panna Winia, a któżby? Myślałem, że nie będę mógł przyjechać, ale ona zaraz pobiegła do pani Rotte i w dwanaście godzin miałem urlop. Nawet nie wiedziałam o uniwersalności pani Rotte.

— Nie wiedziałeś? — zdziwił się Krępic. —

To bardzo porządna kobieta — w sekrecie przed mężem. No, chodźcie!

Weszli wszyscy, nastąpiły przedstawienia i powitania. Pani Marychna rozplakała się, gdy ją witał Kubacki, a panna Emilcia, poprowadzona przez narzeczonego, czerwieniła się, bo ją obścibali wszyscy młodzi i potem każdy z kolei całował jej rękę.

Zrobiło się w cichej Kamionce bardzo głośno. Młodzi bez żadnej ceremonji mówili na wyścigi, a Kubacki był w świetnym humorze.

Gdy już Dembosz opowiedział, że widział się na kontraktach z Zygmuntem, że firmy Rotte'go i Stelskiego współzawodniczą o budowę warsztatów i mostów kolejowych na nowobudującej się linii na Podolu i że ostateczna umowa ma być zawarta w tych dniach, — że on także mógłby być utknąć dłużej w Kijowie, gdyby mu się było nie udało załatwić wcześniej interesów swojej fabryki ; gdy Wakowicz, którego tutejsze powietrze rozmarzyło, patrząc na narzeczonych i wzdychając, zdołał już wlać w Naftala przekonanie, że wilkby się urwał, a on siedzi, bo musi, bo już jego taka psia dola, — młodzi inżynierowie wpadli na temat wspomnień uniwersyteckich i wesołym opowiadaniem nie było końca.

Olchowicz tak się śmiał, że, jak zwykle, aż mu łzy z oczu płynęły, a panna Emilcia zupełnie zapomniała, że to jutro ślub i z błyszczącymi oczami, cała zarumieniona, śmiała się także.

Potem Kubacki zasadził Naftala do fortepianu, a gdy z pod palców liloczofaartysty zaczęły

się sypać perły i łzy, któremi genialny twórca pieśni tęsknoty wypłakał cały smutek swojej ziemi, Kubacki siadł przy narzeczonych i począł tłumaczyć pannie Emilci, — że jej się dostaje w ręce najczystszy z brylantów, z tych klejnotów, które niegdyś świeciły na horyzoncie instytutu, które miały w przyszłości przyświecać ziemi, jak gwiazdy, a z których lwią część życie oprawiło w drzewo i użyło do przykrawania szybek...

Było późno, gdy Olchowicz, wzruszony nokturnami, zapomniawszy o antagonizmie szlacheckim, tak skutecznie podsycanym przez ludzi dobrej wiary, uściśnął obie ręce Naftala, wycałował go w oba policzki i wszystkich spać wypędził.

Ale nie wszyscy spali.

W największym pokoju na górze, przeznaczonym dla panów inżynierów, jeszcze długo było słyhać przyciszoną rozmowę i głośne śmiechy.

Kubacki sprawdził, że Dembosz prawdopodobnie już wpadł na ślad skarbu po Francuzach, bo ma jedwabne skarpetki. Wyciągnął mu z kieszeni fotografię jakiejś przystojnej brunetki, ale gdy napróżno, choć w imieniu praw koleżeńskich, dopominał się o imię i nazwisko przyszłej hrabiny Majtaszkowej, darował mu życie i zwróciwszy się do Nafty, zaczął go badać, ile już zafarbował łokci perkalu i ilu ludzi nazarywał.

Na to Naftal odparł ze zwykłą słodyczą, — że pomimo rozpaczy Naftala dziadzi, Naftala taty i jego własnej, postanowił, bliżej samego siebie

zbadawszy, poświęcić się sztuce i już tego postanowienia nie zmieni. Lecz gdy kolega zapytał go w dalszym ciągu — czy myśli jeździć z wędrownymi koncertami i w ten sposób uprzystępniać piękno — oburzony artysta wpadł w zapał, siadł na łóżku i począł wołać, — że przeznaczeniem sztuki nie jest poniewierka po salach koncertowych, do których ludzie się schodzą usłyszeć w sonacie duszę artysty, tak samo, jak się schodzą zjeść porcję polędwicy, lub szparagów, i że posłannictwo piękna jest zanadto wielkiem, by tacy profani, jak Kubacki i jemu podobni mogli mieć o niem pojęcie. A potem żaglami sztuki wypłynął na pełne morze filozofji, od której krok tylko do kwestji innych — bliższych, żywotniejszych. Ale tego kroku, jakby za zobopólną umową, nie uczynił żaden z przyjaciół, więc Naftal bez przeszkody machał rękami i wołał dalej :

— Tylko odczucie piękna i filozofja, polegająca nie na analizie, lecz na przekonaniach, płynących z uczucia, uszczęśliwi ludzkość! Światło jest w sercu, tak samo, jak w sercu leży zrozumienie sztuki. Przenieście je do rozsądku, a zgasną i pogrążą was w ciemnej pustce, która nie da ani nadziei lepszego świata, ani rozkoszy, płynącej z harmonji... Świt zajrzał do pokoju, napełnił go barwą szaro błękitną i uczynił płomień lampy brudnożółtym. Wakowicz i Dembosz dawno spali, Krępic utkwiał wzrok w jeden z kafli pieca, leżał bez ru

chu i myślał, może o filozofji Naftala, może

o czem innem, a Kubacki wtrącał od czasu do czasu krótkie uwagi, wreszcie ziewnął i rzek ł:

— Nie przeszkadzam ci, Nafto, bo mi dałeś złudzenie, że jestem „pod Planetą”, ale teraz ci powiem, że mi to wszystko jedno, czy ty studjujesz Spinozę, czy też, zgłębiwszy Schleiermachera, przetrawiasz go za pomocą swoich preludji i sonat. Dla mnie, możesz nawet zostać Jacobim w trzeciej potędze. Co najwyżej, jako dobry kolega, mogę ci poradzić, żebyś się dla większej konsekwencji kazał ochrzcić; poza tem zawsze będę miał przekonanie, że kura, codzień babie znosząca jajko, więcej zdziała, niż twoja filozofja. Dobranoc!

— Dobranoc! — odparł Naftal bez urazy i obaj odwrócili się do ściany.

Tylko Krępic leżał ciągle z otwartemi oczyma, myślał o narzeczonej, która może także czuwała, i usnął dopiero wtedy, gdy do pokoju wpadł pierwszy promień słońca. Ale panna Emilcia spała tej nocy lepiej, niż zwykle. Odurzył ją gwar, ruch i muzyka Naftala, nie miała ochoty rozmawiać z panią Marychną, która usiadła przy niej, całowała ją serdeczniej, niż zawsze i widocznie chciała o coś pytać; zmęczona, przymknęła oczy i nim siostra odeszła, zasnęła.

A nazajutrz była zupełnie spokojna i na przygotowania patrzyła z takim wrazeniem, jakgdyby ten ślub nie był jej ślubem. Nawet jej nie obeszło, że państwo Łamkowscy i Manusia przyjechali bez cioci Wini, która już w ostatniej chwili

dała znać, że dla różnych, poważnych powodów jechać z nimi nie może. Z obojętnością, która ją samą dziwiła, przyglądała się, jak na nią wkładano białą, szeleszczącą suknię i jak jej upinano przeźroczysty welon. Chwilami zdawało jej się, że to nie ona, bo ona tylko patrzy, ale roli żadnej nie odgrywa. Matka mówiła coś o ważności chwili i o wielkości przysięgi, od której kobiety nic nie zwalnia, chyba jedna śmierć; ale i te słowa nie musiały być do niej mówione, bo inaczej zrobiłyby na niej wrażenie. A gdy wreszcie przyszła Marychna, przycisnęła ją do swego różowego stanika, bez żadnego względu na kwiaty i liście, i z oczami, pełnymi łez, rzekła: — Pójdź Milciu! — podniosła się i nawet nie spojrzawszy w zwierciadło, bez żadnego szczególniejszego uczucia, zupełnie jak gdyby szła witać panią Stobicką, podała rękę Manusi Sławskiej i weszła z nią do salonu. Nawprost drzwi, w czarnych frakach, z białymi kokardkami i mirtem, uroczyści, stali koledzy Krępic i on. Przewyższał ich wzrostem, a na czole i w głębokich oczach miał to coś, co go zawsze wyróżniało od wszystkich. Wzrok panny Emilci padł najpierw na niego Przez chwilę uczuła w sobie jakby jaśniejszą świadomość tego, co się wkoło niej działo, lekko się zarumieniła, a potem znowu pobladła i bezmyślnym wzrokiem patrzyła na żółtą suknię pani Łamkowskiej, na szafirową matki, na długie wąsy Bodziewicza, prowadzącego jedną ręką Janka, drugą Marysię, i na sztywną

w swoim fraku i białym gorsie postać ojca Zygmunta.

— Pan Zygmunt nie przyjechał, panu Andrzejowi pewno jest przykro, i Manusia Sławska dlatego płakała — przeleciało jej przez głowę i znikło, nie pozostawiawszy w zubożeniu, które nią owładnęło, ani śladu.

A Naftal patrzył na nią, gdy tak szła pod błyszczącym od światła żyrandolem, okiem artysty podziwiał jasną główkę, owiniętą w biały obłok dziewiczego welonu, i całą postać dziewczyny — uosobienie białości i niepokalania, i szepnął do Kubackiego, stojącego obok :

— Patrz! Istne preludjum Adur Szopena!

W tej chwili Krępic zbliżył się do narzeczonej i podawszy jej rękę, poprowadził ją do państwa Olchowiczów.

— Czy razem też wyglądają jak preludjum? — zapytał Kubacki, bardzo bladym.

— Razem?

Naftal przymrużył swoje brązowe oczy, jakby w ten sposób było mu łatwiej pochwycić harmonję, która szła od tych dwojga i w jego duszy krystalizowała się w tony, a gdy młodzi pochylili głowy przed rodzicami, odetchnął i rzekł:

— Razem, to Andante z »Appassionaty« Beethovena, ale ty tego nie jesteś w stanie zrozumieć, bo nie rozumiesz, że wszelkie piękno ma tylko jedno źródło.

Kubacki milczał i nie odrywał oczu od młodej pary, a tymczasem pan Olchowicz zaczął mówić długo i szeroko o zgodzie rodzinnej i o wza

jemnej pobłażliwości, poczem zalecił córce, by była sercem w domu, zięciowi powierzył funkcję głowy i oboje ucałował.



Panna Emilcia słyszała każde słowo ojca, niezupełnie dobrze rozumiała, dlaczego to wszystko było mówione i do kogo, ale pomimo to dźwięki wpadały jej w uszy wyraźnie i brzmiały tak długo, aż ujrzała przed sobą twarz proboszcza Karolówki i usłyszała dźwięki nowe.

...Emiljo! Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę...

Jak automat powtarzała podpowiadane sobie wyrazy, ze zdziwieniem patrzyła na wielki ołtarz, tonący we wszystkich kwiatach Karolowieckiej cieplarni, i słaby błysk świadomości dopiero wtedy rozjaśnił jej przytępiony umysł, gdy z ust księdza padły wyrazy :

...I nie opuszczę cię aż do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż. Amen.

Teraz zadrżała całym ciałem, utkwiała oczy w twarzy księdza i z rozchyłonymi ustami czekała, co powie dalej. Ale ksiądz nie powiedział nic więcej, tylko zdziwiony, głośniejszym głosem powtórzył ostatnie słowa przysięgi, Krępic ścisnął jej rękę i dziewczyna, wymówiwszy głośno :

...tak mi panie Boże dopomóż. Amen... doznała nagle wrażenia, że ktoś — gdzieś zatrzasnął jakieś drzwi olbrzymie, a pod sklepienie uniosła się przysięga i rozbijając się o mury, wypełniła echem cały kościół.

Veni Creator!

To Naftal grał. — Tak grać nikt inny nie po

trafi, chyba w niebie anieli — pomyślała, a potężna harmonja, zagłuszywszy echo przysięgi, przejęła ją aż do głębi duszy. Podniosła oczy, ale już nie widziała kwiatów z cieplarni Karolowieckiej. Nie widziała nic, z ust wybiegło jej westchnienie — o, Boże! — i zmieszało się z pieśnią Naftala.

A potem oboje wsiedli do karety. Krępic zapomniał o futrze, lecz w ostatniej chwili wrzucił mu je na ramiona Kubacki. Drzwiczki zatrzaśnięto ; byli sami, tylko wokoło białął całun śniegowy, a nad nimi śmiały się gwiazdy.

— Najdroższa moja... moje wszystko... będzie my najszczęśliwsi ze szczęśliwych, musimy być! — mówił stłumionym głosem Krępic i przyciskał do piersi rękę młodej żony.

A ona patrzyła na niego oczami, pełnymi łez, trwogi i jakiejś niemej prośby i nagle, jakby Iprzed nim samym u niego szukając pomocy opieki, pochyliła mu się w ramiona i cicho płacząc, szepnęła : — Boję się...

Podczas kolacji wręczono panu młodemu depezę :

— »Dziś podpisaliśmy umowę i pijemy za zdrowie młodej pary. Zygmunt«

Zresztą wszyscy byli w dobrych humorach, tylko Kubacki tak się spił, że go koledzy jak trupa zanieśli na górę.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Pani Marychna jeszcze nigdy nie była tak niespokojna, jak dzisiaj. Mąż spóźnił się na obiad, a że mu się to zdarzało bardzo rzadko, więc jej się przypomniła zeszłoroczna choroba i nękała ją wspomnieniami, jak zły sen. Bodziewicz cierpiał przed rokiem na zawroty głowy i raz przywieziono go z biura zupełnie nieprzytomnego. Pani Marychna nie może tego zapomnieć, a samo przypuszczenie, że zła chwila mogłaby powrócić, tamuje jej oddech w piersi.

Dziś jest wyjątkowo rozdrażniona. Biega niespokojnie od okna saloniku, wychodzącego na podwórze, do pokoju jadalnego, gdzie jest zegar, zagląda to do kuchni, to do gabinetu męża, gdzie siedzą dzieci, pochylone nad książkami, poprawia nakrycia na stole, a to wszystko robi bezwiednie, cała zmieniona w myśl: Jaś się spóźnił! — Zegar wybił melancholijnie godzinę czwartą, nappełnił poważnym dźwiękiem cichy pokój i odbił się w jej sercu jakby źle wróżącym echem.

Niespokojne wyczekiwanie sprawia czasami,

że głos zegara nabiera dziwnej wymowy i ma wtedy coś z nieugiętości, a raczej z nieubłagania czasu, który bezustannie zapada w przeszłość, ale którego ponurą istotę dopiero wtedy rozumiemy, gdy ten ciągły bieg godzin i minut chcielibyśmy zatrzymać wszystkimi siłami duszy.

Pani Marychna stała zapatrzona w nielitościwie bezmyślną twarz zegara, słuchała jego niewzruszenie jednostajnego szeptu i drżała, a w tej samej chwili rozległ się w przedpokoju ostry dźwięk dzwonka.

Jednym skokiem była przy drzwiach.

— Jaś ma klucz od zatrasku, nigdy nie dzwoni, więc to może być tylko ktoś, co przynosi o nim złe wieści — myślała i z niepokoju nie mogła odsunąć błyszczącego guzika.

Lecz gdy drzwi otworzyła, odetchnęła swobodniej, bo przed nią stała Krępicowa z małym Zygmuśkiem.

Siostry się uściśniły, poczem starsza, zapomniawszy nawet drzwi zamknąć, zaczęła zaraz opowiadać o swoim zmartwieniu i urwała dopiero wtedy, gdy zobaczyła na twarzy pani Emilji wesoły uśmiech.

A pani Emilja nie mogła się od tego powstrzymać, bo we drzwiach już od chwili stał Bodziewicz, trzymał palec na ustach, patrzył na nią porozumiewawczo i z rozpromienioną twarzą słuchał słów żony.

Gdy się zatrzymała, zdziwiona wyrazem twarzy siostry, zasłonił jej oczy rękami, poczem przechylił w tył ciemną główkę i całując włosy

oświadczył, że dopiero pierwszy raz od lat trzynastu przekonał się, jak go żona kocha.

Z zadowolenia ucałował jeszcze obie ręce pani Krępicowej, wywinął kozła z Zygmuśkiem, przy której to manipulacji malcowi spadł z główki beret, a włosy zasypały mu całą twarzączkę, wkońcu obadwaj jednakowo rozpromienieni, poszli do Janka i Marysi.

Pani Marychna odprowadziła ich jasnym wzrokiem i patrząc na malca, który miał włosy, spadające na ramionka w lnianych pierścieniach, oczy ciemne i wyglądające, jak pięcioletni lord, rzekła:

— Coraz bardziej do ciebie podobny, wiesz? A matka, uśmiechając się, szła do jadalnego

pokoju i mówiła:

— Andrzej dowodzi to samo i jest przytem dumny, jak Cezar, kiedy tymczasem jabym wolała, żeby był we wszystkim podobny do niego.

Urwała i już bez uśmiechu, zwracając się do siostry, rzekła:

— Ani wiesz, jakie mamy zmartwienie. Wuj Znamieniecki został sparaliżowany i Andrzej wyjechał wczoraj w nocy do Karolówki.

Z twarzy pani Marychny znikł także uśmiech.

— Bój się Boga — zawołała — i dopiero teraz mi mówisz? A Zygmunt?

— Andrzej już nie miał czasu, ale ja wysłałam do niego depeszę, choć właściwie nic nie wiem, jaki jest stan choroby. Widocznie przytomność i mowa zostały, bo ojciec tele

gratował, że chory chce koniecznie widzieć Andrzeja...

— A syna nie. Co się to teraz robi z rodzinnymi węzłami!

Pani Marychna chodziła po pokoju bardzo prędko i mówiła dalej:

— Jeżeli Zygmunt nie zastanie go przy życiu, będzie miał wieczysty wyrzut. Tyle lat — tyle lat! Za granicę wyjeżdżał, a tu ani zajrzał! Nie jestem w stanie zrozumieć takiej zawziętości przeciwko najbliższym.

— Phii... nie wiadomo, czy to z zawziętości — zauważyła Krępicowa.

— A z czegożby? Jak on dawno wyjechał?

— Nie wiem dokładnie, ale chyba z półtora roku przed naszym ślubem, co znaczy, że siedm lat temu.

Zamyśliły się obie, a po chwili Krępicowa mówiła dalej:

— To jednak dziwny człowiek, przynajmniej ja taki wniosek wyciągnęłam z jego listów do Andrzeja. Czasami widać z nich, że może on i naprawdę nie był stworzony na aferzystę. Z każdego słowa wieje tęsknota do przyjaznego serca, do rodzinnego ciepła i do wszystkiego, co pozostawił za sobą, i czuć żal, tylko nie wiadomo właściwie do kogo, do siebie samego, do losu, czy do ojca. Ja wtenczas myślę tak, jak ty, że on nie przyjeżdża skutkiem zawziętości. Ale znów inne listy są tak przepełnione cyframi i tak po nich znać prawie namiętność do ro

bienia interesów, że trudno w nich się doszukać człowieka, któremu cyfry skrzywiły życie. Nie przyjeżdża, bo — jak sam powiada — tutejsze powietrze mogłoby osłabić energię i odebrać siły do powrotu, a on powrócić chce i — rękę, że jeśli wuj umrze, albo uczuje się trochę zdrowszym, on powróci i będzie w dalszym ciągu robił pieniądze. To jest może smutne, ale, zdaje mi się, prawdziwe i Andrzej go przecenia.

Znowu się zamyśliła i patrząc przed siebie zadumanemi oczyma, dodała:

— Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? On już jutro może być w Warszawie, a właśnie jutro ślub Maniusi Sławskiej. Na to pytanie Marychna aż klasnęła w ręce.

— A prawda! Żeby się była jeszcze chociaż ten jeden rok wstrzymała!

— Alboż ty myślisz, że ona naprawdę czekała na niego? — wzruszyła ramionami Krępicovva. — Wmawiała w siebie tę miłość, bo to wyglądało romantycznie, teraz wychodzi za męża, bo już staropanieństwo nie bardzo daleko, a Porzycki dobra partja. Kobietom od dzieciaka pakują w głowy, że ich świat to serce, a nie nauczą żadnej, że poza mężczyzną i dziećmi, są jeszcze na świecie inne cele i inne rzeczy do kochania. Ograniczone uczucia zamieniły się w sport do zabicia czasu, kobiety zaś w lalki takie same, jak na wystawie u fryzjerów. Nie martw się, Maniusia pójdzie za Porzyckiego, będzie go kochała tak samo, jak poprzednio kochała Zygmunta, będzie się bawiła po ślubie, tak, jak się bawiła

przed ślubem i na serce nie umrze. To się może trafiało dawniej, ale co teraz, to chyba nie.

Ale w tej kwestji pani Marychna nigdy się nie zgadzała z siostrą. Jej zdaniem, miłość mężczyzny i kobiety zawsze była i zawsze będzie ważnym czynnikiem w życiu ludzkim.

Rzeczywiście, bardzo dużo kobiet robi sobie z niej zabawkę do uprzyjemnienia życia, albo używa jako sposobu na złapanie męża, ale te z pewnością mają bardzo mało rozwinięte i serca i umysły i takim z każdym mężczyzną będzie dobrze. Inne umieją kochać, czuć i często cierpieć, a Krępicowa nie może o tem sądzić bezstronnie, bo ma z natury temperament spokojny i prócz tego posiada męża, który zadowolilby każdą kobietę z umysłem trochę wyższym.

— Gdybyś zamiast Andrzeja — mówiła — miała za towarzysza człowieka zamożnego, światowego i takiego, który myślałby tylko, jakby sobie i tobie uprzyjemnić życie, albo gdybyś wyszła za Jasia i musiała się zamknąć w ciasnym kółku kłopotów, kto wie, czy umiałabyś pierwszego przez miłość podnieść do siebie, lub dla drugiego zapomnieć o własnym ja i — czuć się szczęśliwą.

— Andrzej — kończyła — nie dość, że cię ubóstwia, ale prócz tego uważa cię za sobie równą, czego ogół mężczyzn nie robi. Wtajemnicza cię w swoje wszystkie zamiary i w każdą myśl, pozwala żyć nietylko domem, ale własnym życiem, które jest właśnie takim, o jakim marzyłaś, i jeśli oboje czujecie się szczęśliwymi,

to, wierzaj mi, zasługa leży w nim i w jego miłości, nie w tobie.

Na to Krępicowa zaczęła wołać:

— Wiem, wiem! Nie potrzebujesz mi tego tak często powtarzać. Ja posiadam tylko tę jedną zaletę, że umiem oddać sprawiedliwość sobie i jemu. Z twoim Jasiem po roku zastrzeliłabym się, a Andrzeja kocham, bo nie mogę w nim dopatrzeć ani wady, ani śmieszności.

— Właśnie też w tem jego zasługa — odparła pani Marychna — bo on cię kocha z twojemi wszystkimi wadami i tem samem daje ci dowód, że miłość jest wielką i często ślepą potęgą. Ale co zrobisz ze ślubem Maniusi?

— Już napisałam, że nie będę i nawet odebrałam suknię z magazynu. Szkoda kilku rubli.

— A jeśli Andrzej jutro wróci?

— Bardzo wątpię, będzie czekał na przyjazd Zygmunta, a przytem i w takim razie nie poszlibyśmy, bo jest tym wypadkiem ogromnie smartwiony. Tego Zygmunta tak kocha, że inna na mojem miejscu byłaby zazdrosna.

Tu klasnęła w dłonie.

— Patrz! Wynałazałam w sobie jeszcze jedną zaletę : nie jestem zazdrosna!  
A pani Marychna pogładziła ją pieszczotliwie po jasnej główce i rzekła:  
— To niewielka zasługa, siostrzyczko, gdy się ma takiego męża. Ale ja żartowałam, mówiąc, że nie przyczyniasz się niczem do waszego szczęścia, bo rozumieć się wzajemnie, to już jest bar

dzo wiele. Dobrze zrobiłaś, że uprzedziłaś Łamkowskich.

Teraz Krępicowa popatrzyła na nią uważnie i nagle parsknęła śmiechem.

— Nie! Ty i Andrzej jesteście wyborni w przypisywaniu mi różnych subtelności uczuć! — wołała. — Ależ przypomnij sobie, że ja nigdy nie lubiłam się bawić, bo mnie zawsze oburzały wystawy z nagiego ciała, a towarzystwa, zbierającego się u Łamkowskich, wyjątkowo nie znoszę. Mam z tamtymi kobietami tyle wspólnego, co Andrzej ze wszystkimi hrabiami i baronami, jacy tam kiedykolwiek byli i będą. Gdy napisałam dzisiaj list do Manusi, najwyraźniej uczułam, że mi spadły kajdany, więc nawet tu nie mam żadnej zasługi, siostrzyczko — naprawdę nie mam !

Zerwała się i ucałowawszy siostrę, poczęła przed lustrem nakładać kapelusz, a potem utkwiła oczy w szybę, na której mróz poczynął rysować fantazyjne arabeski i dodała z widocznym niepokojem :

— Tak go prosiłam, żeby wziął futro — i uparł się. Miałam przecucie, że będzie mróz, choć to dopiero połowa listopada i chyba napiszę do ojca, żeby mu pożyczył swojego.

Teraz obie przeszły do gabinetu, gdzie siedział Bodziewicz z Jankiem i Marysią na kolanach, a Zygmuś na zgarbionych plecach. Janek był już w bluzce szkolnej, Marysia w pensjonarskim mundurku, ale oboje z dawnym zapalem darli za wąsy ojca, który ich za to cało

wał po rękach, kiedy Zygmuś, z nóżkami na głowach tamtych, ciągnął go za włosy i zarumieniony z uciechy, wołał:  
Wio !

— Wspaniały i widać najnowszy system pedagogiczny, bo jeszcze o nim nie słyszałam — rzekła Krępicowa i z wyraźnym niezadowoleniem zdjęła syna z ramion szwagra, poczem ubrawszy go, wyszła.

— Cud Boży, że te dzieci mają przynajmniej szacunek dla matki, boją się jej i dobrze się uczą — myślała, idąc do domu. — Marychna jest rzeczywiście uosobioną cierpliwością, miłością i taktem. Ona na jej miejscu, alboby się urwała, albo miałaby w domu piekło. Tak, w dzień i w nocy powinna dziękować Bogu, że Andrzej jest taki, jaki jest. Żeby się tylko nie zaziębił — musi koniecznie o tem futrze napisać do ojca.

Silniej ścisnęła rączkę dziecka i przyśpieszyła kroku.

— Ciepło ci? — pytała teraz syna co chwila.

— Ciepło! — odpowiadał malec, podskakując i przyciskając jej rękę do zarumienionej buzi.

A ktokolwiek ich mijał, jeszcze raz odwracał głowę, by spojrzeć na jasnowłosą kobietę, podobną do giętkiej brzozy i na jej dziecko z twarzą cherubina. Ale oni tego nie widzieli i tylko co chwila uśmiechali się do siebie tak, jakgdyby z nich dwojga nietylko Zygmus był szczęśliwym dzieckiem.

— Czy nie było depeszy ? — zapytała

w chwilę potem młoda kobieta, gdy służąca, otworzywszy drzwi, poczęła z niej zdejmować okrycie.

— Jest — i panna Sławska jest. Czeka w salonie.

— To dobrze. Sama rozbioreę Zygmusia, a ty mi przynieś depeszę.

Służąca wybiegła i po chwili wróciła z zapieczętowanym papierem, mówiąc:

— Był tu jeszcze jakiś pan. Pytał się o państwa i powiedział, że jeszcze raz przyjdzie.

A tymczasem Krępicowa dowiedziała się z depeszy, że Znamieniecki ma sparaliżowany prawy bok, że mowa została tylko trochę dotknięta, że chwilami ma zupełną przytomność i że jest nadzieja utrzymania go przy życiu, tylko to życie może być teraz bardzo smutne.

Wolno złożyła papier i zwróciła się do drzwi, lecz gdy ujęła za klamkę, przypomniała sobie słowa służącej i zatrzymała się.

— Co to był za pan? — zapytała.

— Nie wiem, nie był tu nigdy.

— Więc trzeba ci było powiedzieć, że niema w domu nikogo.

— Powiedziałam, ale on się zaraz spytał, dokąd pan wyjechał, czy na wieś? i zapowiedział, że jeszcze raz przyjdzie, bo musi się zobaczyć z panią.

Krępicowa się zamyśliła.

— Któżby to mógł być? — dumiała i weszła do saloniku, gdzie uściskawszy pannę Sławską,

zaraz zaczęła jej opowiadać o wypadku i o nieobecności męża.

— Andrzej wyjechał bardzo zmartwiony — kończyła. — Łączy go ze Znamienieckim nie tyle moje dalekie powinowactwo, ile przyjaźń dla pana Zygmunta, a wobec tego ja nie mogę myśleć o wzięciu udziału w jutrzejszej uroczystości, Maniusiu! Byłoby to dla niego zanadto przykre; musisz mi wybaczyć!

Panna Sławska słuchała ze spuszczoną głową, a po ostatnich słowach podniosła oczy i zapytała :

— Kiedy się spodziewasz pana Zygmunta?

— Wcale się go nie spodziewam — odparła na to Krępicowa i miała na twarzy zdziwienie.— Jeżeli nie odebrał innej depeszy prócz mojej, to dopiero jutro może być w Warszawie, ale nie przypuszczam, żeby się miał zatrzymywać.

Pojedzie wprost do Karolówki.

Pani Sławska westchnęła.

— Taki smutny zbieg okoliczności, że aż mnie to zdenerwowało. Gdybym mogła, odłożyłabym ślub, chociaż o parę dni.

— W takim razie może powinnaś go odłożyć...

Krępicowa patrzyła na nią z taką uwagą, że aż pod tym wzrokiem tamta się zarumieniła i zawołała żywo :

— Nie rozumiałaś mnie, Milciu! Odłożyłabym ślub tylko dlatego, że jestem przesądna i że ten cały wypadek wygląda na jakiś zły omen. Rozumiem wszakże, że to jest dzieciństwo. Już

wszystko przygotowane, nawet paszporty na wyjazd za granicę, zaproszenia rozesłane i nie może być mowy o zwłoce, która nawet mogłaby dać powód do niczem nie usprawiedliwionych gawęd.

— Jeżeli tylko dlatego i jeżeli cię gawędy obchodzą, to może masz rację — zaczęła znów pierwsza i urwała, bo w przedpokoju rozległ się głos dzwonka, po chwili zaś służąca oznajmiła wizytę pana, o którym już opowiadała.

A gdy wyszła, we drzwiach stanął Zygmunt Znamieniecki. Nosił brodę krótko przystrzyżoną, rozrósł się trochę i zmężniał i dawnego Zygmunta przypominały tylko oczy, oraz rysy zawsze delikatne, jak rzeźba. Ten poetycznie piękny i niedbale wytworny mężczyzna teraz wyrazem twarzy prawie więcej przypominał ojca, niż matkę.

Krępicowa, może dlatego, że się go nie spodziewała, nie domyśliła się, kogo ma przed sobą, ale panna Sławska go poznała.

Z mimowolnym okrzykiem podniosła się szybko, poczem zmieszana, jeszcze prędszej siadła z powrotem.

A on obrzucił wzrokiem obie kobiety, skłonił się i ze spokojem, właściwym ludziom bardzo obytym, zwrócił się do Krępicowej:

— Tylko się domyślam, że stoję przed dawną panną Emilją. Jestem Zygmunt Znamieniecki.

Poczem, gdy podbiegła do niego, uściskał jej rękę i ciągnął dalej:

— Z powodu niedogodnego rozkładu pociągów, musiałem zatrzymać się w Warszawie parę godzin i przypuszczając, że od pani dowiem się czegoś pewniejszego o ojcu, przychodzę tu już po raz drugi. Czy pani nie miała jeszcze wiadomości od Andrzeja?

— I owszem, miałam przed chwilą. Ojcu pana już nie grozi niebezpieczeństwo życia, ma przytomność, nawet mówi...

— Tylko go czeka kalectwo — rzekł, widząc, że się zawahała i patrzył na nią badawczo.

Krępicowa uczuła pod wzrokiem, że jej się serce ściska. Nigdy nie przypuszczała, że oczy człowieka mogły wyrazić aż tyle smutku.

— Nie myślałam o tem i nie przypuszczam ani na chwilę — rzekła szybko, a równocześnie wyrzucała sobie, że go sądziła niesprawiedliwie, bo pomimo wszelkich pozorów, ten nieczuły syn musi jednak kochać ojca. To widoczne. Gdy ją poprosił o pokazanie depeszy, zmieszała się.

— Może Andrzej dobrze nie wie?... Może lekarze się mylą?... Przecież tyle ludzi wychodzi z paraliżu... Po co go naprzód martwić? — myślała, ciągle jeszcze pod wrażeniem jego oczu.

Ale on powtórzył prośbę.

— Niech się pani nie obawia — mówił — nie przywykłem chodzić po kwiatkach i nerwy mam stalowe, choć może na to nie wyglądam.

Poczem przeczytał podaną depeszę, położył

ją na stoliku i ze spokojną swobodą zwrócił się do panny Sławskiej.

— Przepraszam, że dopiero teraz przypominam się pani pamięci. Witamy się w smutniejszych okolicznościach, niż się żegnaliśmy, przynajmniej ja, i to mnie tłumaczy.

Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę, ale już nie miała na twarzy zmieszania, tylko współczucie, takie samo, jakie wyglądało z oczu Krępicowej.

„Ostatni z romantyków” nie zatracił swego daru zjednywania sobie ludzkich sympatji i ludzkich serc.

Rozmawiali potem o rzeczach potocznych, starannie unikając wzmianki o długiej nieobecności Zygmunta w kraju, przyczem obie kobiety były trochę jakby skrępowane. Lecz po nim nie było znać żadnego przymusu. Bawił je rozmową tak, jakgdyby po nic innego tu nie przyszedł, wszakże, gdy Krępicowa mimowoli wspomniała o jutrzejszym ślubie panny Sławskiej, zdawało się, że ta wiadomość na krótką chwilę wytrąciła go z równowagi.

Zwrócił oczy na twarz dziewczyny, patrzył na nią z wyrazem, który był mieszaniną zdziwienia, żalu, ciekawości i smutku, a potem, złożywszy jej trochę szablonowe życzenia szczęścia, rzekł jakby z przymusem:

— Tutejsza atmosfera jest widocznie cieplejszą, kiedy jeszcze ludzie posiadają zdolności do szukania tego rodzaju osobistego szczęścia. Ja nawet zapomniałem, że na świecie istnieje takie

uczucie, jak miłość i taka instytucja, jak małżeństwo.

— Jakto? zdziwiła się Krępicowa. — Alboż w tamtych stronach ludzie się nie żenią?

— I owszem. Tam się robią najróżnorodniejsze transakcje. Nasz wspólny kolega Dembosz zrobił także interes w tym guście.

A gdy patrzyła na niego pytającym wzrokiem, dodał z dziwnym uśmiechem:

— Ożenił się przed rokiem z córką swego dyrektora i zaraz potem zrobiono go także dyrektorem. Na mnie takie małżeństwa nie robią wrażenia właściwych małżeństw i muszą być w takim stosunku do szczęścia, w jakim jest blask djamentu do promienia słonecznego. O reszcie już nie mówię, bo to kwestja tylko przekonań.

Umilkł, ciągle miał na ustach swój dziwny uśmiech, młode kobiety zadumały się smutnie, i po chwili panna Sławska, pożegnawszy się, wyszła.

Znamieniecki chciał uczynić to samo, ale Krępicowa zrobiła uwagę, że kurjer wychodzi dopiero o jedenastej wieczorem, że teraz siódma i że jej byłoby bardzo miło, gdyby przyjaciel Andrzeja zechciał pierwszą herbatę wypić w jego domu.

Przyznał się wtedy, że rzeczywiście nie ma co robić z czasem i z wdzięcznością, podziękowawszy jej za uprzejme zaproszenie, został.



Ten ciepły i kwiatami napełniony salonik, otwarte pianino, jasny gabinecik, rozjaśniony

staroświecką lampą i widzialny przez drzwi otwarte, szebiot dziecka, dolatujący od czasu do czasu z dalszych pokoi i ta jasnowłosa kobieta w czarnej sukni — żona Katona, robiły na nim wrażenie trochę podobne do tego, jakiego kiedyś doznał Krępic, podczas swej pierwszej bytności w Kamionce.

Atmosfera była nawskróś przesiąknięta spokojem i zadowoleniem, on ją w siebie wchłaniał z nieopisaną przyjemnością i czuł to, co czuje człowiek, który, skostniawszy do szpiku na mrozie i wietrze, naraz znajdzie się przed kominkiem, pełnym jasnych płomieni.

— Niech mi pani pokaże swego syna — poprosił nagle wśród rozmowy.

A gdy ona się podniosła i szła do drzwi, prowadził za nią wzrokiem i dziwił się, jakim sposobem z tej wiecznie nabrzęklej i nachmurzonej Emilki wyrosła taka wdzięczna kobieta. Był w niej jakiś nieokreślony urok. Z temi spadzistemi ramionami i wątlą kibicią, przypominała giętkością trzcinę i miała czoło tak dziwnie czyste, jakgdyby jeszcze nigdy nie rumienił go nietylko wstyd namiętności, ale bodaj silniejszego wzruszenia. A teraz, gdy oto idzie i prowadzi za rączkę dziecko — przypomina mu znów... kogo mu ona przypomina?...

Zmrużył oczy i równocześnie przesunął mu się przed oczami obraz Palmy Starszego, widziany w galerji wiedeńskiej. Odetchnął, jakby pewnością, do kogo jest podobna żona Kręcica, zrobiła mu ulgę.

— Violanta! tylko jej rozrzucić włosy i ująć w taką samą opaskę! — pomyślał.

A tymczasem ona, nie zmieszana jego wzrokiem, zwróconym nie na dziecko, lecz na nią, rzekła:

— Przez pamięć na pana nazwaliśmy go Zygmuntem.

— Wiem o tem — odparł i miał w głosie słodycz iście kobiecą.

Poczem wziął dziecko na kolana i przesuwał przez swoje cienkie palce pierścienie jego jasnych włosów, patrzył rozmarzonymi oczami w białą twarzyczkę.

— Zadziwiające podobieństwo z panią... Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknego dziecka — wyrwało mu się bezwiednie.

A gdy Kręcicowa się uśmiechnęła i zauważyła żartobliwie, że jeśli to ma być komplement, to musi się zmarnować, bo ona nie jest do takich rzeczy przyzwyczajona i nie umie za nie dziękować — trochę się zmieszał i rzekł krótko:

— Przepraszam panią.

Potem rozmawiali o dziecku, trochę o dawnych czasach, najwięcej zaś o terażniejszym życiu Kręciców.

Z mowy pani Emilji, Zygmunt wyciągnął wniosek, że to życie było pracowite, bardzo ciche i niezbyt obfite w plony.

Nie miał na myśli plonów materialnych, bo o nie nigdy nie chodziło Katonowi, a widocznie teraz nie chodzi i jego żonie. Był zawsze szefem biura, brał teraz

trzy tysiące rubli i jeśli trafem nie zostanie dyrektorem, będzie je brał do śmierci. Ale to ich nie wiele obchodziło. — Gdy Zygmunt dorośnie, będzie pracował, bo tylko w pracy można znaleźć skarb — zadowolenie z siebie. Na świecie jest tyle innych rzeczy smutnych. Osobiście można działać tylko na bardzo ograniczonym polu — ludzi dobrej woli jest niewiele, a przytem — nawet w tak szczupłym kółku niema porozumienia. Pani Emilja mówiła tak bardzo długo i może nie bez ukrytego celu, ale ani słówkiem się nie zdradziła, czy i o ile ją zaciekawiają obecne przekonania i zamiary na przyszłość tego wykwinanego człowieka, który jej słuchał z wielką uwagą i który, zdaniem jej męża, miał w piersiach zamiast zwyczajnego serca, perłę czystej wody. Niezupełnie dowierzała tej perle. Zanadto był wykwinany, a choć ta niedbała wykwinność nie zdawała się być wyrobioną, płynęła jakby sama z siebie i cechowała każdy ruch, nawet najprostszy, niemniej był podobny do tych ludzi, którzy zamiast serca mają nie perłę, lecz kawałek różowej waty, skropionej różanymi kroplami. A on trzymał na kolanach jej syna, wyglądał jakgdyby zstąpił z obrazu Reni'ego i od czasu do czasu rzucając pytanie, słuchał i równocześnie myślał, że z cudacznym dziewcząt czasami wyrastają niezwykle kobiety. Miała usta, jakby stworzone do całowania

i do słów pieściwych, a mówiła niemi o rzeczach, o których kobiety z jej sfery zazwyczaj nie mają pojęcia. Była wiotką, jak łądoga kwiatu, która się gnie pod ciężarem własnej korony, a bez zmrużenia powiek i ze spokojem dotykała kwestji, przed którymi ze drżeniem cofnie się męczyzna małego serca. — Złożyłaby na ołtarzu siebie, męża i — kto wie — może nawet dziecko — myślał, ale co do tego ostatniego miał wątpliwość. Gdy mówiła, że dzisiejsi ludzie muszą być przygotowani na każdą ostateczność, jej wzrok padł na główkę syna, spoczywał na niej niezwykle długo, poczem — Zygmunt to dostrzegł wyraźnie — przeszedł po niej jakby dreszcz i twarz jej trochę zbielała. Mówili jeszcze o Kubackim i o Demboszu, a gdy przeszli do jadalnego pokoju, gdy Zygmunt zasiadł przy stole, pod wielką, jasną lampą, nawprost młodej żony Katona, z jego dzieckiem obok siebie, miał takie wrażenie, jakby na nim tajał pancerz z lodu, o którym nie wiedział, że jest. To go rozmarzało, jak ciepło rozmarza ludzi zziębniętych. Sam nie wiedząc dlaczego, poprostu ulegając potrzebie serca, zaczął teraz mówić o sobie: — Pojechał robić pieniądze, ta myśl pochłaniała go całego przez wszystkie lata tam przeżyte, ale z początku tęsknił bardzo. Nikt nie ma pojęcia, czym jest taka tęsknota, kto jej nie doznał. Dusza albo się zwija, jak deptany robak,

albo spi tym snem, podczas którego zmora siada na piersiach i odbiera im powietrze. Był wielkim marzycielem i to mu długo utrudniało pracę. Z pod nieba szarego, jak dola tych, którzy w przygniatających mgłach upornie szukają gwiazdy i wierzą w jej istnienie, za dużo wywozi się iskier.

— Za dużo ? — zdziwiła się Krępicowa. On się uśmiechnął smutno.

— Tak, ale w warunkach, w jakich ja żyłem, to ma tylko jedną złą stronę — bardzo się wtedy cierpi. Poza tem ognia nigdy za wiele. Gdyby nie listy Katona, które poruszały we mnie popioły, kto wie, czy nie wróciłbym z pustką w duszy ? Widziałem tylu umarłych... zresztą, nie żałuję lat pracy. Poznałem własne siły, nauczyłem się ciągnąć z nich korzyści i trzeźwiej teraz patrzę na życie. Nie staję się bezkarnie pod stopami piramidy. Jej wielkość zblizka przeraża, potem zmusza do głębszego wejrzenia w siebie i do porównania własnej mocy z mocą olbrzyma.

Krępicowa patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i szepnęła jakby z żalem :

— To szkoda.

A on pomyślał: — Cudowne ma oczy! — głośno zaś powtórzył:

— Szkoda ? Ja myślę, że my wszyscy jesteśmy zanadto marzycielami i że nam potrzeba ludzi, umiejących patrzeć trzeźwo i — pracować. Taka praca jest użyteczniejsza.

— Praca, w którą się nie wierzy?

— Jakto? Pani mnie nie zrozumiała... Zmieszał się na chwilę pod jej wzrokiem, po czym westchnął i po chwili znowu mówił:

— Złudzenia dają dużo szczęścia, ale mnie szczęście nie przeznaczone. Zawsze było mi w życiu zimno, może dlatego, że za wiele pragnąłem ciepła, a teraz tylko zadowolenie ze spełnionego obowiązku pobudza mnie do dalszej pracy. Gdy wrócę na stałe, postaram się być użytecznym i wierzę, że mi się to uda. Wtedy, kto wie, może nawet będę szczęśliwy...

— Więc pan jeszcze tam wraca?

— Chciałbym, bo zawsze chcę zrobić to, co postanowiłem. Jestem uparty. Przed siedmiu laty powiedziałem sobie, że sam własnymi siłami kupię Karolówkę ojca i Leszczyny matki. Niedługo mam nadzieję zamknąć rachunki, a potem powiem : dość trudu dla siebie.

Krępicowa patrzyła teraz na niego jakoś cieplej i myślała, że ten delikatny człowiek jest rzeczywiście wykuty ze stali i ma w piersi nie perłę, lecz krzemień, z którego umiejętna ręka, albo sprzyjające okoliczności byłyby w stanie wykrzesać iskry i od nich zapalić może niejedną pochodnię. I myślała jeszcze, że byłoby lepiej, aby już nie wracał i że Andrzej pewno go do tego nakłoni.

Tymczasem zegar wydzwonił godzinę dziesiątą. Znamieniecki wstał i zaczął się żegnać. Poczem, opatrzony przez Krępicową w futro dla męża, wyszedł z takim wrazeniem, jakgdyby opuścił dom najbliższej rodziny. A w godzinę

potem siedział samotnie w wagonie i myślał, że owa prosta, jedyna droga Katona nie jest najtrudniejszą z dróg życiowych.

Oto sobie stworzył ognisko domowe, jakie tylko można w snach wymarzyć, i ogrzewa się przy niem, ilekroć serce mu zziębnie.

Choćby go cały świat nie rozumiał, nie poczuje się samotnym, bo tu go rozumieją; — choćby go wszystko zawiodło, żona przyjaciel doda mu odwagi do nowych wysiłków i nie opuści go w żadnym razie. A z taką można iść wszędzie! Że też oni pomimo wszystko mają jeszcze złudzenia — ale czemu nie mają ich mieć, kiedy im z niemi tak dobrze! Czasami jest niezłe mieć bielmo na oczach!

I taki Kato pewno wierzy, że nigdy nie umrze. Węzłem, zadzierzgniętym o przyszłość, jest mu jego dziecko, które w takich rękach stanie się człowiekiem i jego śladami będzie znowu szło naprzód, a zawsze prostą drogą.

On — Zygmunt — przez ten czas zgromadził pieniądze i teraz ma prawo powiedzieć: uratowałem ziemię po praojcach. Ale czy nie mógł jej ratować w inny sposób? Czy nie byłoby lepiej, gdyby był zrzucił z siebie pychę, przemówił do serca ojca, tak, jak mu radził Krępic, osiadł przy nim i stworzywszy sobie taką rodzinę, jaką ma Kato, pracował dłużej i mozolniej, ale pod kawałkiem własnego nieba, ale z bielmem na oczach ?

Gdyby się był ożenił z Maniusią, miałby

także ciepłe, własne ognisko. Przecież go kochała i starała się zrozumieć! Uczyniłby z niej taką samą kobietę, która teraz stoi u boku Katona. Ona wiedziałaby, że ją wziął nie dla jej posagu. Zdanie ojca i całego świata nie powinno go było obchodzić. Kato zawsze się liczył tylko z własnym sumieniem i jest szczęśliwy, jego zaślepią nie duma, lecz pycha — żona z posagiem, to przecie nie zbrodnia... I oto jest teraz sam, jak samotna sosna, pozostała po wyciętym lesie, na piaszczystym wzgórzu.

Przyjaźń Katona... zapewne, ale czy ona będzie teraz taką, jak dawniej? Ma przecie bliższych i droższych, a w ich domu teraz, on — Zygmunt — będzie może mile widzianym — ale zawsze tylko obcym — intruzem.

Ojciec... prawda, zapomniał o ojcu, który może w tej chwili umiera. Do niego przyjechał, a od chwili, gdy się znalazł w jasnym domu przyjaciela, żadna z jego myśli nie poszła do Karolówki i nie zatrzymała się przy łóżku ojca. Był mu przecie najbliższym. W jego paru listach było wyraźnie czuć tęsknotę do syna; potem pisywał rzadziej, a od czasu, gdy ten syn wyjechał na Zachód i do kraju nie wstąpił, nie wspomniał ani razu, że pragnie jego widoku. Ale pragnął go. Zygmunt wiedział o tem od przyjaciela i teraz zdjęło go nie rozrzewnienie, lecz jakby wdzięczność. Pomimo wszystko, ten człowiek był mu najbliższym i pewno najzyczliwszym na świecie. Mogli się nie rozumieć, ale jedna

krw w nich płynęła, a tych węzłów nic, nigdy nie przetnie zupełnie. Kto wie zresztą, czy w tych nieporozumieniach nie było trochę winy jego — Zygmunta? Zawziął się, miał żal za ten wieczny chłód i brak serca, ale naprawdę nigdy nie próbował się dowiedzieć, co jest pod tą powłoką z lodu. Nie widzieli się przeszło siedm lat. Może teraz się łatwiej zrozumieją, może u progu śmierci, czy niemocy, powiedzą sobie więcej, niż powiedzieli przez całe życie? A potem, on go wydrze chorobie i nie pozwoli mu odczuwać kalectwa, jeśli kalectwo nie da się usunąć. Chce mieć chociaż ojca.

Teraz czuje, że może będzie umiał być lepszym synem.

Świtało, gdy w marmurowym przedsionku obaj przyjaciele uścisnęli się długo i w milczeniu.

— Jest lepiej szepnął zaraz Krępic.

Poczem jeszcze raz zamienili uścisk, Zygmunt zaś popatrzył z uwagą na twarz przyjaciela i rzekł:

— Dwie noce już nie śpisz, prawda? A Krępic odparł:

— Gdy chorowałem w instytucie, ty przy mnie nie spałeś cały tydzień. Kiedy wyjechałeś z Odesy?

— W godzinę po odebraniu depeszy z Karolówki. Wiadomość od twojej żony już mnie nie zastała w domu. Ale pójdźmy do ojca.

Weszli do gabinetu, gdzie paliła się lampa i gdzie drzemali, Bonia w fotelu, służący na krześle pod piecem, a potem przeszli do są

siedniego pokoju, w którym na łóżku, wysuniętym na środek, leżał chory. Miał oczy zamknięte i w słabym świetle lampy, przysłoniętej zieloną zasłoną, wyglądał tak, jakby już nie żył.

Zygmunt uczył ze zdziwieniem, że serce wezbrało mu łzami i że te łzy go duszą. Szybko zbliżył się i wziął w dłoń trupa rękę ojca. Była to ręka bezwładna i zupełnie sztywna, chory nie czuł dotknięcia, ale może dosłyszał szmer, bo ciężko podniósł powieki i utkwiał wzrok w twarzy Krépica, opartego o poręcz łóżka.

Wtedy Zygmunt nachylił się nad ojcem i oczy ich się spotkały.

— Zygmunt... — wyszło niewyraźnie z ust chorego, poczem jego lewa ręka podniosła się i otoczyła szyję syna.

Nie pamiętał, żeby ojciec kiedykolwiek tak go witał. Nowa fala łez popłynęła mu od serca do zaciskającego się gardła, znowu coś w nim poczęło tajać, wreszcie zalało mu oczy, a on ukrył głowę na piersi chorego.

Krępic na palcach wyszedł z pokoju i gdy w pół godziny potem wrócił odmierzyć lekarstwo, Znamieniecki trzymał rękę syna i miał twarz bardzo jasną, Zygmunt zaś siedział na krześle tuż przy łóżku i mówił zmienionym głosem:

— Jeśli, ojczu, tak bardzo pragniesz tego, pozostanę z tobą na zawsze.

A gdy po wzięciu mikstury chory usnął, młodzi się usunęli w róg pokoju i Krępic zaczął opo

wiadać, że doktorzy już rączą za życie i że należy mieć nadzieję, iż z czasem nawet władza w rękę i w nodze może powrócić.

— Jak tylko będzie silniejszy — dodał — musisz z nim przyjechać do Warszawy i leczyć go u specjalistów. Ani przypuszczam, żeby tu nauka i wiedza nic nie znaczyły. Tyle jest wypadków zupełnego wyleczenia.

Opowiedział mu jeszcze szczegóły zaślubnienia, które, jak zwykle, przyszło nagle i niespodziewanie, a potem, widząc, że Zygmunt jest już spokojniejszy, zaczął go wypytywać o niego samego.

Słońce już dawno zajrzało przez okno i jasnymi plamami posunęło się ku kanapce, na której siedzieli obok siebie, chory spał cicho, z gabinetu dolatywał ciężki oddech Boni, a oni wciąż rozmawiali półgłosem i ani myśleli o spoczynku.

— A o Wakowiczu wiesz? — pytał Zygmunt.

Gdy zaś tamten odparł, że od dwóch lat nie miał od niego żadnej wiadomości, tak dalej mówił:

— Gdy był na waszym ślubie, zgodził sobie w Kamionce jakąś kobietę do gospodarstwa i zabrał ją ze sobą.

— Wiem — wtrącił Krępic — nawet z tego powodu Kubacki mu nie dawał spokoju, bo to była dosyć młoda dziewczyna, wnuczka starej Celmerki, niańki mojej żony.

— Otóż to. Dwa lata temu ożenił się z nią

i siedzi zagrzebany na swojej stacji. W tym roku został inżynierem dystansowym, ma już czworo dzieci i podobno jest zadowolony i z siebie i z losu.

— Życie to rzeźbiarz, Kubacki miał rację — szepnął Krępic i przesunął ręką po oczach. — Z Dembosza zdawało się, że będzie człowiek; Wakowicz był zawsze ciężki, ale na właściwej roli byłby z niego dobry i użyteczny pracownik, miał serce, jak kryształ; Naftal poprostu zidjociał ze swoją sztuką, włóczy się za artystami po całej Europie i z żadnym jej kątem nic go nie łączy, a Kubacki... Pamiętasz ostatni wieczór "pod Planetą" ?... Przepowiadali sobie przyszłość, ale gdyby jaka cudowna siła była im wtedy odsłoniła bodaj rąbek niewiadomej, iluż z nich byłoby się cofnęło przed nią, jak przed upiorem!

— Nie Kubacki — rzekł na to Zygmunt — na jego miejscu mnie postaw.

— Ciebie? Ależ ty jeszcze możesz wszystko zrobić, co kiedykolwiek zrobić chciałeś! Nie zawiodłeś ani siebie, ani nikogo, sam zdobyłeś sobie pole do pracy, a teraz, wierzę, że będziesz umiał pracować.

— Będę chciał — odparł tamten — ale straciłem najpiękniejsze lata życia na kopaniu groszy, nie mam pojęcia o szczęściu i tego mi żal.

Położył rękę na ramieniu przyjaciela i mówił dalej:

— Byłem w twoim domu, widziałem twoją żonę i twoje dziecko, tylko raz odetchnąłem

prawdziwie ciepłą atmosferą szczęśliwej rodziny i zrozumiałem, że przemarnowałem życie.

— Co ty mówisz? — oburzył się Krępic. — Ty dopiero zaczniesz żyć! Spotkasz tę, która ci jest przeznaczoną, — ja wierzę w takie przeznaczenie, bo sam nie szukałem żony i znalazłem — a gdy spotkasz, założysz sobie takie ciepłe ognisko i dopiero wtedy zrozumiesz, jakie to niewyczerpane źródło siły, odwagi i — szczęścia.

Na ustach Zygmunta siadł smutny uśmiech.

— Takiej, jak twoja, nie znajdę — rzekł. A Krępicowi błysnęły oczy.

— Takiej, jak Mila?

— Tak, byłem u was cały wieczór i rozmawialiśmy z sobą tak samo, jak teraz rozmawiam z tobą. Ona jest dla ciebie nie tylko żoną. Ja, przyznam ci się, słuchając jej, byłem chwilami zazdrosny, bo przychodziło mi na myśl, że już jestem niczem w twoim życiu. Masz przyjaciela i powiernika w żonie.

— To co innego, i to co innego — odparł Krępic serdecznie. — Ty będziesz dla mnie zawsze tem, czem byłeś, miłość dla żony nie usuwa miłości dla brata, przytem, to są dwa zupełnie różne uczucia.

A potem zapytał:

— Czy poznaliście się?

— Nie, ona mię nie poznała zupełnie, a ja tylko się domyśliłem. Wyrosła na bardzo ładną kobietę.

— Tak — zgodził się mąż — przytem, może być, że tylko w moich oczach, ale ona prawie

z każdym dniem ładnieje i, co jest najzabawniejsze, nie znosi, gdy jej o tem mówić. Mnie to zostało surowo wzbronione intercyzą przedślubną. Mógłby na ten temat mówić teraz bez końca, ale przyjechali doktorzy, więc wyszedł do nich. Chory tymczasem się zbudził i głosem znacznie już wyraźniejszym zawołał:

— Zyguncie!

A gdy syn się zbliżył i ucałował jego rękę, przytrzymał go, patrzył nań z wyraźną radością i z trudem wymawiając wyraz po wyrazie, rzekł:

— Nie masz — pojęcia — jaki — jestem — rad. — Nie masz — pojęcia.

Doktorzy uznali, że dziś choremu o wiele lepiej..

## II.

— Trochę mi to wygląda na słomiany ogień...

Krępicowa, która zwykle spędzała szare godziny na rozmowie z mężem w jego gabinecie, powiedziała te słowa raczej do siebie, niż do niego. Krępic zaś przestał całować swego malca, siedzącego mu na kolanach, i zapytał:

— O kim mówisz, Milciu?

A ona wtedy spojrzała na niego z takim wyrazem, z jakim zwykle patrzą ludzie wyrwani raptownie z zamyślenia. Poczem potrząsnęła głową i rzekła:

— Widocznie myślałam głośno i myślałam o Zyguncie. Zabrał się do roboty z takim ferworem i tak prędko, że mimowoli przyszedł mi na myśl słomiany ogień. Niema więcej nad dwa tygodnie, jak wuj wstał z łóżka, a on już nie tylko ma mnóstwo planów w głowie, lecz nawet niektóre wprowadza w życie.

— A ja znów uważam, że ty mu zawsze nie dowierzasz i że on stanowczo nie ma u ciebie łaski — zauważył Krępic.

— Nie, to nie, tylko mię zastanawia jako typ

i jako charakter. Nie mogę o nim powiedzieć nic stanowczego, bo naturalnie znam go za mało i oprócz tego musi mieć naturę dość złożoną, ale właśnie to mię zajmuje. Zazwyczaj ludzie, których poznaję, wywierają na mnie od razu albo dodatnie, albo ujemne wrażenie i to już pozostaje. On mi się wydał raz taki, raz taki, to marzyciel, to zanadto trzeźwy i właśnie tem mię niecierpliwi.

Krępic popatrzył na żonę, która w zapadającym zmroku, w swym białym flanelowym szlafrocisku i z zamyśleniem w oczach, wyglądała zupełnie dziewiczo, a przytem ponętnie. Przesunął dłonią po jej jasnych włosach, poczem wziął jej rękę i parę razy pocałował.

Wyraz jego oczu zupełnie nie licował z tą pieszczotą po trochu braterską, ale ona dawniej bała się jego uczuciowych wybuchów, później im się poddawała, lecz biernie, a nawet czasami z widoczną przykrością i jakby z upokorzeniem, więc on próbował nagiąć swoją naturę do jej spokojnego usposobienia i często, gdy miał ochotę wprost ją pożerać pocałunkami, hamował się i poprzestawał na takim wylewie uczuć, jak dzisiaj.

Sądził, że jego obowiązkiem było szanować indywidualność żony, czasami bywał rad ze swego zwycięstwa nad sobą, czasami myślał, że może właśnie dlatego kocha ją tak bardzo, że jest inna od tych kobiet, które znał, a było ich nie wiele, i od tych, o których słyszał, tych zaś było daleko więcej, ale niekiedy, zwłaszcza w tych chwili

lach, w których walka z sobą była trudniejsza, czuł, że chociaż od czasu do czasu wołałby ją widzieć mniej dostępną, mniej białą, a więcej zbliżoną do tych zwyczajnych niewieścich istot, o których zawsze myślał z pewnem lekceważeniem, ilekroć przyszło mu je porównać z własną żoną.

Teraz z westchnieniem przytrzymał jej rękę w swoich dłoniach i w odpowiedzi na wypowiedziane przez nią słowa, rzekł:

— Przedewszystkiem Zygmunt ma naturę zupełnie prostą. Był zawsze człowiekiem z sercem, a teraz jest i z głową i poza tem miał jedną poważną wadę, która mu prawdopodobnie pozostała, o której i moja pani mogłaby coś powiedzieć. Oto lubił sądzić ludzi z pierwszego wejrzenia, mówił od razu — porządny człowiek, albo — idjota, jeśli nie szubrawiec — i był zły, ilekroć musiał zmienić zdanie. Tak! Zresztą zawsze był po trochu zapalczywy i tylko tem się różnił od przeciętnych entuzjastów, że jeśli coś postanowił pod wrażeniem, lubił tego postanowienia dotrzymać nawet wtedy, gdy ochłódł. Teraz postanowił sobie być użytecznym w swojej okolicy i przypuszczam, że im większe napotka trudności, tem zjadleń będzie je łamał. Nie potrafi siedzieć bezczynnie.

— Zdaje się, że mu tych trudności nie zbraknie — zauważyła pani Emilja. — Jeśli się pracuje wpośród ciemnoty, z góry trzeba sobie powiedzieć, że rezultaty nieprędko się osiągnie. Wtedy niema wyczekiwania, niema rozczarowań,



pracuje się dla zasady, z wiarą, że w naturze żadna energia nie powinna zginąć, i natychmiastową nagrodę ma się tylko w spokoju sumienia. Łatwo wybaczyć ślepotę tym, którzy nigdzie nie widzieli światła, lecz ludzie, mający pretensje do czegoś, a będący rzeczywiście niczem, są w stanie zniechęcić nawet silny charakter. Jeśli twój Zygmunt myśli poruszyć swoich sąsiadów, zęby na nich połamie. Zjadą się do niego, nawet mogą się zjeżdżać co tydzień, jeśli im postawi dużo stolików do kart; nie pożałują mu uznania i obiecują, co zechce, ale na długi termin nie dotrzymają nic. Ściśle prowadzona statystyka zabitych kuropatw i zajęcy będzie jedynym trwałym objawem ich umysłowego wysiłku. Tak. Składkowy obiad w mieście powiatowem, pokaże mu, że umieją być solidarni, ale innego porozumienia niech się nie spodziewa. Do chłopów zbliżą się także, czemu nie? Przecież to polega na stoickim wkładaniu łopaty w głowę Maćkową, że Maciek był chamem i chamem będzie i tylko wtenczas nie ukradnie, kiedy nie będzie mógł. Mówiła z takim ożywieniem, że nie usłyszała dzwonka w przedpokoju, ani też zobaczyła Zygmunta, który we drzwiach stanął i słuchał.

Jej mąż go zobaczył, ale że gość położył teraz palec na ustach, tylko z uśmiechem kiwnęli sobie głowami i obadwaj czekali, aż pani Emilja skończy. Poczem Krępic się zerwał i zawołał:

— No, jeśli nie znałeś twoich sąsiadów, to

ci ich moja żona odfotografowała. Chodź, niech cię uściskam.

I wycalaował go z wielką serdecznością, a Zygmunt potem zbliżył się do pani Emilji i witając ją, rzekł:

— Jest w tem trochę racji, ale chyba jest i trochę przesady. Zobacz pani!

Krępic tymczasem zapalił lampę, a gdy światło padło na oتمانę i na siedzącą na niej jego żonę, Znamieniecki zobaczył, że miała na twarzy widoczne zmieszanie, że teraz ustępowało z niej zarumienienie i że z tem wszystkim była bardzo ładna.

— Ten Krępic jest szczęśliwy, jak król! — przeleciało mu przez głowę, a gdy ona zwróciła się do drzwi, jakby chciała wyjść, zawołał:

— Czy pani już nam nic więcej nie powie? Ja właśnie przyjechałem z nadzieją, że tę kwestję szeroko omówimy.

— Naturalnie, że omówimy! Zaczekaj, Milciu, jeszcze czas na herbatę! — rzekł Krępic.

Lecz pani Emilja zaczęła się tłumaczyć, że była dziś niezdrowa i że się skutkiem tego nie ubrała, że pan Zygmunt zszedł ich niespodzianie i że, chociaż ona sama nie wszystkim formom przyznaje rację bytu, jednakże tak swobodne ubranie może być tolerowane tylko w obecności samego męża.

Stała przy drzwiach i trzymała ręce złożone na piersiach, jakby chcąc przycisnąć suknię, która była zupełnie luźna, spływała w długich fałdach od ramion aż do ziemi i miała u piersi Oszyście z grubej koronki.

Te luźne fałdy i ta koronka, ułożona jak dziecinne kryzy, przyczyniały się do tego, że stojąc tak, młoda kobieta wydawała się wyższą, niż zwykle, ale miała w sobie coś z dziecka. Znamieniecki chciał mówić i powstrzymał się, bo Krępic podbiegł do żony, ujął jej ręce i łagodną przemocą pociągnął na sofę.

— Mężczyźni nie znają się na takich rzeczach — wołał — a my mniej, niż reszta mężczyzn na świecie. Jesteś cała przykryta od stóp aż do brody, zatem przyzwoitość nie ma prawa się obrażać, a w dodatku w tej sukni jest ci najładniej. Ja chcę, żeby Zygmunt ocenił całą wartość mojej żony, nie pozwalam ci się przebierać i... niech raz będę panem mojego domu i mojej woli!

Silił się na ton mowy stanowczy, a równocześnie całował jej ręce i było widać, że jest z powodu tej swojej Emilki nietylko dumny, lecz przytem i szczęśliwy. A Zygmunt, który przez ten czas wziął na kolana swego małego imiennika i witał się z nim, chciał żartem zwrócić uwagę przyjacielowi, żeby jego zazdrości, która i tak jest już kolosalną, nie doprowadzał do ostatecznych granic, ale sam nie wiedząc dlaczego, powstrzymał się i nie rzekł nic. Pani Emilja zaś, trochę zawstydzona, wysunęła ręce z dłoni męża i poczęła wypytywać o Zygmuntoowego ojca i o nowiny z Kamionki. W Kamionce było wszystko po staremu, a pan Znamieniecki był prawie zdrow, o ile może być zdrowym człowiekiem, pozbawiony władzy

w rękę i w nodze. Kalectwo skazało go na zupełną bezczynność i Zygmunt nie mógł na to patrzeć bez smutku, chociaż on sam nie zdawał się tem martwić i twierdził, że już widocznie przyszedł na niego czas odpoczynku. Zdał na Zygmunta wszystkie interesa, przyczem się okazało, że wcale nie były w złym stanie. Posiadał złożone w banku na imię syna dość znaczne kapitały, osiągnięte powoli z parcelacji owych dwóch folwarków, które niegdyś zagroziły Karolówce i spowodowały wyjazd Zygmunta. Karolówka i Leszczyny były także przepisane na imię syna. Sobie nie pozostawił nic, zdał się na łaskę i niełaskę i rozmowa o tem robi mu widoczną przyjemność. Nie wypytywał Zygmunta o żadne plany i zamiary na przyszłość, a jeśli ten zwierzał mu się z własnej ochoty, patrzył na niego jakby z wdzięcznością. Wyglądało to tak, jak gdyby działalność byłego reprezentanta firmy Rotte & C. imponowała mu. Czuł się małym wobec syna i Zygmuntoowi to było przykro. Przywykł myśleć o ojcu, jako o człowieku dumnym, zawsze pewnym siebie, zawsze przekonanym o swej wyższości i zawsze chłodnym. Dzisiaj miał przed sobą starca kalekę, który patrzył na niego z jakimś pokornym podziwem i był w swem niedołęstwie dziwnie złamanym i cichym. Każda siła, zła czy dobra, gdy jest zdruzgotana, robi takie wrażenie, jak powalony dąb, którego potężny wierzchołek leży w piasku i zamiast patrzeć z wyżyn, służy za schronienie plectwu i zającom.

Przed trzema tygodniami podniesiono go z łóżka, ubrano i posadzono w fotelu na kółkach. Po całych dniach siedzi w nim i czyta, a gdy Zygmunt wchodzi, uśmiecha się z zadowoleniem. Jego jedynym życzeniem osobistym jest, żeby się syn ożenił. Mówi, że dom jest pusty i że będzie zupełnie inaczej wyglądał, gdy po pokojach zaczną biegać dzieci. Chciałby, żeby to nastąpiło jaknajprędzej, bo jest już stary i chory, i Zygmunt go rozumie, ale wątpi, czy to nastąpi tak prędko, jak ojciec sobie życzy. Przedewszystkiem należy mu się dobrze rozejrzeć w interesach, poznać grunt, na którym ma pracować i ludzi, z którymi będzie żył. Już miał sposobność rozmawiać z niektórymi poważniej. Ostatecznie, czemuż nie próbować, czy się czego nie da zrobić, zwłaszcza też, gdy niema nic lepszego do roboty? Liczy trochę na nazwisko, które jeszcze na wsiach imponuje. Prawie nic nie czytają, ale może przy pomocy kobiet uda się przełamać tę zawziętość przeciwko drukowi. Zdążył zauważyć, że na prowincji kobiety są daleko mniej zarzewiałe niż mężczyźni.

Krępic słuchał z uwagą i nie przerywał przyjacielowi, ale jego żona rzekła teraz — że już mówiła o nim z Winią Rańkowską, że wszystko, czego sobie życzył, zostało załatwione i że prócz tego przyszło im na myśl, czy w Karólówce, albo w Leszczynach nie możnaby urządzić letniej kolonji ? Na to Zygmunt odparł, że z góry zgadza się na jej każde życzenie i że chętnie odda

się pod jej kierunek, poczem zapytał, co myślą robić ze świętami?

Boże Narodzenie przypadają za cztery dni i Krępicowa oświadczyła, że zwykle je spędzają u siebie w domu, w towarzystwie Bodziewiczów.

Wtedy Zygmunt zaczął mówić, że ma ochotę zanieść do nich wielką prośbę, że właściwie tylko po to przyjechał, ale że przedewszystkiem ustępuje prawa głosu ojcu.

To mówiąc, wyjął z kieszeni list i podał go Krępicowej. Na wielkim listowym papierze, Znamieniecki napisał krzywo i niewyraźnie, co następuje :

— „Droga kuzynko. Nie odmów staremu i choremu i przyczyn się do tego, żeby mój Zygmunt miał takie święta, jakich pragnie. To jego pierwsza wigilja w domu od lat siedmiu i będzie niewesoła, jeśli ją spędzimy tylko we dwóch.

Prosiłem twoich rodziców i obiecali zjeść wigilijną wieczerzę z nami, a teraz o to samo proszę ciebie i twego męża.

Z wielkiem poważaniem

Znamieniecki”.

Krępicowa patrzyła na drżące i krzywe litery, które biegły od góry ku dołowi, myślała o człowieku jeszcze nie dawno tak silnym, przypomniała sobie chwilę, w której prosił o jej rękę dla Andrzeja, i uczuła, że jej oczy zwilgotniały.

Podąła list mężowi, poczem zwróciła się do Zygmunta i zapytała:

— Czy lewą ręką pisał?

A Zygmunt, który na nią patrzył z niepoko

jem i miał w oczach wymowną prośbę, odparł krótko :

— Tak.

I znowu patrzył na nią wyczekująco.

— Ja i owszem — odparła w odpowiedzi na milczące pytanie. — Z radością zobaczyłabym rodziców, ojca pana, zimę na wsi, której już nie widziałam sześć lat, i nawet Karolówkę, którą znam tylko z kościoła.

Wtedy Krępic rzucił list na biurko, zerwał się i ująwszy w obie ręce głowę żony, całował jej oczy.

— Otóż to najlepsza i najdomyślniejsza z żon! — wołał. — Ugadamy się za wszystkie czasy i będziemy mieli kapitalne święta!

A ona zaczęła się śmiać, że chociaż najlepszą z żon nie jest, zawsze jest lepszą od niektórych mężów, którzy nigdy nie chcieli jechać na święta do Kamionki, bo na trzy dni nie warto, a do Karolówki jadą, bo tam będą z przyjacielem gadali od rana do nocy i w rezultacie nic sobie nie powiedzą. Zygmunt zaś, któremu teraz oczy błyszcząły, ucałował jej ręce i rzekł:

— Umowa zawarta, już nie dam jej zerwać i teraz brakuje nam tylko słodkiej pani Marychny i Bodziewicza! Jutro do nich pójde!

Tu wszakże pani Emilja zauważyła, że Bodziewiczowie pewno się nie zgodzą, bo on nie uznaje takich nagłych i nadzwyczajnych projektów, które znów, jej zdaniem, głównie dlatego są przyjemne, że nie były pół roku naprzód omawiane. Ale szwagier lubi wszystko robić

z rozwągi i namaszczeniem, prócz tego może wyjechać tylko na dwa dni i boi się dla dzieci podróży w zimie. A Zygmunt, który go nie bardzo lubił i zapraszając, czynił zadość tylko prostej formie grzeczności, nie zmartwił się przypuszczeniem pani Emilji, lecz pomimo to oświadczył, że będzie jutro próbował.

I próbował istotnie, choć napróżno. Wprawdzie pani Marychna aż się zarumieniła, taką widocznie miała ochotę jechać także, ale Bodziewicz odmówił, nawet się nie tłumacząc dlaczego i tylko bardzo serdecznie podziękował za zaproszenie. Zygmunt zaś powrócił do Karolówki, uradowany, jak student, i zaraz zaczął robić wielkie przygotowania na przyjęcie gości.

Cała Karolowiecka cieplarnia została przetrzebiona. Pokój bawialny, jadalny, pokoje przeznaczone dla Krępiców, przedsionek i nawet schody literalnie tonęły w zieleni i w kwiatach.

Sam tego doglądał, ustawiał i poprawiał, Bonia dreptała za nim, a gdy on z zadowolenia to pogwizdywał, to śpiewał półgłosem, ona z rozrzewnienia co chwila obcierała najpierw oczy, potem nos.

Gdy zaś w dniu wigilji już wszystko było gotowe, nawet „niespodzianka” pod postacią olbrzymiej cnoiny, umieszczonej w bibliotece, Zygmunt poszedł do ojca i usunąwszy służącego, począł sam obwozić go w fotelu po wszystkich pokojach i co chwila pytał:

— Prawda, że tak dobrze? — A to się podoba ojczulkowi ?

Znamieniecki kiwał głową, chwalił wszystko, raz po raz powtarzał — że jest bardzo rad i że już dawno nie miał takich przyjemnych świąt, jak będą te — ale gdy się znalazł w bibliotece, która teraz służyła młodemu gospodarzowi za gabinet i zobaczył choinkę całą błyszczącą, westchnął.

— Czy też ja jeszcze doczekam drzewka, przybranego dla twego syna?

A Zygmunt spochmurniał i głosem, w którym nie było wiary we własne słowa, odparł:

— Doczekasz, ojcze.

O czwartej przyjechali rodzice pani Emilji, a w pół godziny potem, wprost z kolei, Krępicowie.

Zygmunt wyszedł na ich spotkanie, zbiegł ze schodów aż do powozu i promieniejący, z odkrytą głową stał na śniegu.

— Niechno pan ucieka do pokoju, bo to dziś nie żarty, tylko czternaście stopni mrozu — odezwała się z okna karety pani Krępicowa.

Lecz on się tylko na to roześmiał. Sam otworzył drzwiczki, porwał na ręce malca, któremu z pod stosu chustek i pledów było tylko widać oczy i zawoławszy, że — radość rozgrzewa! — poleciał.

W przedsionku oddał dziecko Boni, która też wzięła się do rozwijania tego żywego pakunku z taką ostrożnością, jakgdyby była artystąmatorem, a mały Zygmunt conajmniej Praksytelesowym Erosem, on zaś wprowadził panią Krępicową i sam począł z niej zdejmować futro.

Pani Emilja była zaróżowiona od mrozu, mówiła, że na polach jest prześlicznie, że już zapomniała w Warszawie, jak śnieg umie być białym na wsi, i tak wyglądała, jakby rzeczywiście cieszyła się z tej wycieczki. Krępic był także w nastroju wesołym, uściskał najpierw Zygmunta, potem Bonię, której uroczyście przedstawił młodą żonę, a w końcu wszyscy przeszli do gabinetu powitać pana Znamienieckiego i gości z Kamionki.

Pan Znamieniecki siedział w swoim fotelu na kółkach i wydał się Krępicowi bardzo zmienionym. Był to teraz zupełnie starzec i niemal żadnym szczegółem, ani rysem nie przypominał właściciela Karolówki z tych czasów, w których przyjaciele spędzali u niego wakacje. Z dumnie sztywnego mężczyzny pozostała zgarbiona, skulona i wątła ludzka ruina. Nawet wyraz twarzy się zmienił, a był tem, czem dla ruiny jest bluszcz i słoneczny promień. Zamiast dawnego chłodu, z oczu pana Znamienieckiego szło coś, co było zapewne smutkiem, lecz takim smutkiem, jaki w pogodną jesień ciągnie nad poczerniałymi rżyskami nicią babiego lata. Był wyobrażeniem rezygnacji, która mówi: może być gorzej, ale to mnie teraz mało obchodzi, bo już nic nie chcę i jest mi z tem dobrze.

Tymczasem wokoło niego drgało życie. Mały Zygmunt siedział na kolanach dziadka z Kamionki, u którego, jako syn fachowca i człowieka nic od nikogo nie potrzebującego, miał większe łaski, niż reszta wnuków. Opowiadał nowiny o „Jantu

i Malisi" i co chwila śmiał się, jak dzwonek. Olchowicz zaś wtórował mu basem.

Pani Olchowiczowa miała także słabość do dziecka, które przypominało nietylko matkę, lecz podobno i babkę, siedziała tuż obok męża i od czasu do czasu próbowała mu odebrać chłopaka. Ale to się kończyło tylko na tem, że przechyliwszy ku sobie jego główkę, całowała go we włosy, albo w oczy. Dziadek zawsze przewidywał zamach, w porę przytrzymał wnuka, mówił, że stanowczo dziecko woli jego, niż babkę, poczem puszczał w ruch kolano i sapiąc, wołał do taktu:

— Tak pan jedzie — po obiedzie...

A Krępicowa patrzyła na rodziców i na syna, śmiała się razem z nimi i było w pokoju tak głośno i wesoło, że aż Zygmunt i Krępic pytali parę razy chorego, czy go to nie drażni. Lecz jego to nie drażniło. Mówił, że Karolówka już dość długo była grobem, że dla Zygmunta pragnie dużo ruchu i z widocznym zadowoleniem przysłuchiwał się gwarowi zmieszanych słów i śmiechu. Potem, zniżywszy głos, powiedział o niespodziance, przygotowanej w bibliotece i wydawał się naprawdę zainteresowanym, czy chłopak niczego się nie domyśla i czy się zadziwi? Lecz teraz zadziwiła się przede wszystkim pani Emilja. Spojrzała na Zygmunta z wdzięcznością, wyciągnęła do niego rękę z podziękowaniem, poczem zawoławszy: muszę to zobaczyć! — zerwała się.

Zygmunt i Krępic podnieśli się także i poprowadzili ją do biblioteki, która teraz wyglądała inaczej, niż dawniej. Przede wszystkim było w niej czuć, że tu nie tylko zaglądają ludzie, ale nawet lubią w niej przesiadywać. Na owalnym stole leżały porzucone gazety i otwarte książki, między oknami stało biurko, zarzucone papierami, przed nim fotel, zachęcający nie tyle do pracy, ile do wypoczynku, nad nim wisiał portret pani Znamienieckiej. Drzewko, błyszczące świecidłami i kolorowymi świeczkami, stało obok dębowego stołu, na kominku palił się ogień i cały pokój, pomimo wielkości i sztywnych, rzeźbionych szaf, robił przyjemne wrażenie. — Uważam, że cała Karolówka wygląda teraz inaczej — rzekł Krępic i rozejrzał się wokoło. A pani Emilja nic nie mówiła, bo jej wzrok padł na portret nad biurkiem i tkwił w nim, przyciągany magnetycznie. — To moja matka — rzekł wtedy Zygmunt i patrzył na nią, jakby wyczekując odpowiedzi. Lecz jej nie otrzymał. Pani Emilja zbliżyła się do biurka, patrzyła na tę twarz tak uduchowioną, że niemal nie było w niej nic ziemskiego i myślała — że może niektóre dusze ludzkie są jak bardzo piękne idee. Życie i świat stają się dla nich tem, czem wcielenie w formę dla genialnej myśli. Andrzej ma rację! Ta kobieta musiała być za nadto poezją, zanadto marzeniem. Nie umiała chodzić zwyczajnymi drogami. Płatek

warszawskiego śniegu, nim doleci do ziemi, już jest zbrudzony oddechem ludzkim — a ona jest tak podobna do białego płatka... jak świat podobny do dusznego miasta... Zbrudzili ją i zdeptali, ale pewno nie mogło być inaczej. Dla takich chyba klasztor i modlitwa — więcej nic!... Czyż naprawdę zawsze będą istniały kobiety, których ani zmienione wychowanie, ani rozszerzone horyzonty myśli i uczuć nie zdołają zamienić w jednostki, zdolne do walki i czynu? A jeśli tak, to jakież cel tych istnień? Minęły czasy, gdy piękność niewieścia była kultem i gdy jej było wolno wszystko. Życie teraz, to przecie szereg czynów; inne jest tylko parodją życia. Stała pogrążona w myślach i w zachwycie dla twarzy aniołdziewczyny. Zygmunt nie przerywał milczenia i dopiero Krępic, zbliżywszy się do nich, rzekł pierwszy: — Dawniej on był zadziwiająco do niej podobny. I wskazał ruchem głowy na przyjaciela, ona zaś odparła półgłosem: — I teraz jest podobieństwo nadzwyczajne, chociaż — to jest twarz tak idealnie święta, że nawet nie mogłaby być modelem do świętej Justyny. Niepodobna uwierzyć, aby mogła kochać ziemską miłością.

A Zygmunt, jakby idąc szlakiem tylko własnych myśli, zapytał:

— Czy pani ją bardzo potępia?

— Nie. Co ją miało obronić? System wychowania kobiet i warunki, w jakich żyją, muszą powodować nieszczęścia — odparła.

— To znaczy, że gdyby się zmieniły system i warunki, nie byłoby takich nieszczęść? Ja się na to nie zgodzę. Są namiętności, które się nie dadzą ująć w karby ani tradycji, ani wychowania, ani nawet wrodzonej sile ducha. Przecie się zdarza, że one obezwładniają nawet ludzi czynu i wielkiego hartu i, mojem zdaniem, systemy wychowawcze mogą się zmieniać, lecz ta właściwość namiętności ostoi się póty, dopóki będą istnieli ludzie.

Tak mówił Krępic, a żona odpowiedziała mu dopiero po chwili, lecz energicznie:

— A ja znów na to nie mogę się zgodzić. Ludzkość albo dąży do doskonałości, albo nie. Rozum nie powinien być narzędziem małych uczuć, tylko przeciwnie, uczucia powinny być narzędziami rozumnych myśli.

Ale Krępic rzekł na to, że w takich warunkach na świecie byłoby jeszcze zimniej, niż teraz, i że uczuciom, tak wielkim jak małym, powinno się wybaczać trochę zła, które powodują, dla wielkiej ilości dobra, które z nich idzie. Zygmunt zaś zapytał, dlaczego przywiązanie kobiety i mężczyzny ma się nazywać małym uczuciem, kiedy czasami bywa istotnie wielkim?

I otrzymał bardzo stanowczą odpowiedź pani Emilji, że jest zawsze małym w porównaniu z uczuciami, obejmującymi wielkie koła, że jest oprócz tego egoistycznym, że ludzkość powinna dążyć do pozbycia się egoizmu i że tylko wielkie ukochania pchają świat naprzód.

Wywiązata się stąd żwawa sprzeczką, bo te

raz Krępic zaczął dowodzić, że rodziny, oparte na wzajemnej miłości, także pchają świat naprzód, a pchałyby jeszcze skuteczniej, gdyby się więcej liczone ze skłonnościami serca i więcej zakładano szczęśliwych rodzin.

Zygmunt stał po jego stronie, lecz młoda kobieta wzruszała ramionami i choć w części przyznała im rację, niemniej rzekła, że to jest warzenie wody, z której woda będzie i że terazniejsze umysły stanowczo za wiele się zajmują solą życia, a za mało jego chlebem.

— Tyle się mówi i pisze o miłości — kończyła — że w rezultacie ci sami ludzie, którzy co prawda nawet nie umieją się zdobyć na wielkie uczucia i w praktyce utożsamili je z flirtem, gotowi uwierzyć, że flirt jest na świecie najważniejszy. Powinno się pracować i żyć obowiązkami, a gdy los da miłość, przyjąc ją, jako kwiat, powiedzieć: „bądź błogosławiona” i nie zatrzymywać się w drodze.

— A jeśli nie można powiedzieć — „bądź błogosławiona”?

Lecz ona już tych słów Zygmunta nie dosłyszała. Poszła do choinki, zaczęła prostować kolorowe świeczki, które on poprzczeptał do gałązek trochę krzywo, i śmiała się z niezręczności mężczyzny wogóle, a Zygmuntowej w szczególności.

Bronił się, wspierany dzielnie przez Kręcica, przyczem wszystko troje wpadli w bardzo dobry humor i poczęli dostrajać drzewko z takim zapalem, że mógłby im go pozazdrościć mały Zygmus.

Ta zabawa omal się nie skończyła wypadkiem.

Pani Emilja zauważyła, że na najwyższej gałęzi brakowało świeczki, a że ją już ogarnął zapal i ogromna pustota, więc nie namyślając się, wskoczyła na stół i próbowała schwycić wierzchołek drzewka. Z podniesionymi w górę ramionami, szła od środka stołu do jego brzegu, lecz gdy się zbliżyła do krawędzi, owalny stół, wsparty tylko na jednej nodze, przeważył się. Byłaby spadła na drzewko, nawet nie zdążywszy krzyknąć, szczęściem jednakże Zygmunt ją zobaczył wcześniej, a znając właściwość dębowego sprzętu, podbiegł i już lecącą pochwycił.

Gdy ją postawił na ziemi, była trochę zestrachana, ale więcej zmieszana. Padając, zawisła mu ramionami na szyi, przyczem czołem musnęła jego wąsy i to ją teraz wstydziło. Czerwieniła się i z przestachu trochę drżała, a Zygmunt pobladł, miał na czole krople potu i w odpowiedzi na pytania Kręcica, którego zaniepokoił łoskot spadających orzechów, tylko wskazał ręką na stół i na panią Emilję.

To ją tak rozśmieszyło, że zapomniała o przykrej stronie wypadku i jęła go opisywać w sposób komiczny, ale Kręcic, wysłuchawszy opowiadania, zmarszczył brwi.

— Jesteś zawsze dziecinna i wkońcu narobisz nieszczęścia, zobaczysz! — rzekł prawie szorstko.

Pani Emilja zarumieniła się; że jednakże mąż zaczął ją teraz wypytywać, czy sobie czego nie zrobiła i z wdzięcznością dziękował Zygmunto

wi, powrócił jej dobry humor i, jak poprzednio z niezręczności, tak teraz się śmiała z tchórzostwa mężczyzn, którzy, jak mówiła, stanowczo się wyradzają.

Ten wesoły nastrój nie opuszczał jej przez cały wieczór i udzielał się wszystkim.

W gładkiej sukni z popielatego jedwabiu, w którą się przebrała do wieczery, z gałązką liljowego hjacyncu we włosach, z pociemniałymi oczami i ożywioną twarzą, uwijała się koło jarzącego drzewka na wyścigi z synem i była jednakowo z nim rozbawiona.

— Patrz — mówił Kręcic do przyjaciela — jak ona nic nie jest podobna do innych kobiet! Czasami zupełnie dziecko.

— Rzeczywiście — rzekł Zygmunt, który także wodził oczami za młodą kobietą. — Nigdy nie przypuszczałem, żeby była tak bardzo żywa i wesoła. Czy to zwykle usposobienie twojej żony?

Na to Kręcic odparł — że nie, że ona tylko czasami miewa takie wybuchy dobrego humoru i że jej się to najczęściej zdarza, gdy jest w Kamionce.

— Nie mówi mi tego — kończył — ale ja się domyślam, że tęskni do wsi i zresztą dobrze to rozumiem, bo i mnie w mieście duszno. Kto się urodził i wychował wśród szerokich przestrzeni, ten ich nie może zapomnieć, a oprócz tego — mnie czasem przychodzi na myśl, że każdy wiek, prędzej czy później, musi swoje przeżyć. Ona była zanadto poważnym dzieckiem



i dlatego, od czasu do czasu, staje się niem teraz. To jest widać potrzebą natury i ja, choć się czasami niecierpliwie, nie pragnę w niej zmiany, bo tylko szczęśliwi ludzie umieją w chwilach wewnętrznego rozradowania stawać się dziećmi. Patrzył na żonę z takim wyrazem, jakby mówił: to szczęście jest mojem dziełem! — a gdy się zbliżyła do nich, schwycił ją za ręce i posadził przy sobie, pytając:

— Czemu mój jasny ptak taki dzisiaj wesoły? Na to jasny ptak wzruszył ramionami i na znak zupełnej nieświadomości, tak żywo potrząsnął głową, że aż z jasnych włosów wypadła gałązka liljowego hjacyncu i odbiwszy się od ramienia kobiety, potoczyła po sukni na posadzkę.

Nie zauważyła tego. Krępicowi można było nawet belkę u nóg położyć i pewnoby jej teraz nie dostrzegł, lecz Zygmunt podniósł kwiat i z twarzą, wspartą na dłoni, ze swoim zwykłym smutkiem w oczach, począł go obracać w palcach i przyglądał mu się z taką uwagą, jak gdyby pierwszy raz widział hjacyncy.

Pani Emilja zaś po chwili się zerwała i odbierając mężowi dłonie, mówiła:

— Wiesz, pójdziemy z mamusią na pasterkę!

— Niepodobieństwo, zaziębisz się! Ale ona tylko potrząsnęła głową.

— Niema obawy! Dawniej co rok jeździłam do Karolówki na pasterkę i na rezurekcję i nikt z tego powodu nie truchłał. Pogódź się, że twoja żona nie jest storczykiem i nie rosła w cie

plarni, na pasterkę pójdzie i zobaczy dużo starych znajomych. Tak!

— Rzekłaś, o pani moja! Ale my pójdziemy także, prawda, Zyguncie?

Krępic jeszcze trzymał dłonie żony i teraz patrzył na nią z takim wyrazem, z jakim murzyn Inidu patrzył niegdyś na swego fetysza, lub sabejczyk na wybraną gwiazdę, a Zygmunt, nie spuszczać wzroku ze swojej liljowej gałązki, rzekł:

— Pójdziemy.

I poszli we czworo, ale przedtem obydwaj panowie Znamienieccy stoczyli istną batalję z panią Olchowiczową, gdyż ta ostatnia chciała po nabożeństwie wracać do domu i zapowiedziała, że nazajutrz wszystkich z Karolówki zabierze do siebie.

Pani Emilja zauważyła, że to jest zupełnie naturalne życzenie, mama na to liczyła, bo napięła moc strucli, takie strucle zaś nie mogą się zmarnować. Ale pan Znamieniecki nie mógł jechać, Zygmunt nie mógł go zostawić samego i nie chciał także rozstawać się z Krępicem, Krępic znów nie chciał się rozstawać z żoną i z synem, stąd wynikł spór, który trwał dość długo i który starszy pan Znamieniecki chciał w następujący sposób zażegnać.

— Państwo Krępicowie — mówił — są moimi, a właściwie Zygmontowymi gośćmi na całe święta. Jeżeli dziadkowie chcą się nacieszyć wnukiem, niech zrobią poświęcenie i niech te parę dni posiedzą w Karolówce. Że jednakże zupełne

porozumienie może istnieć tylko przy wzajemnych ustępstwach, przeto zgadzam się dać jutro moim gościom urlop na parę godzin, lecz pod tym warunkiem, że państwo Olchowiczowie dzisiaj do domu nie wrócą i że jutro po obiedzie w Kamionce, znowu wszyscy przyjadą się nudzić przy fotelu chorego. Zygmunt musi także jechać i musi dopilnować, żeby nic w programie nie zmieniono.

— Ale strucle! — zawołała na to pani Emilja i z wesołym uśmiechem patrzyła na matkę. — Przecież strucle nie jedzą się na obiad?

Zygmunt wszakże poparł wnioszek ojca tak gorącymi prośbami i tak proszącym spojrzeniem, że pani Olchowiczowa, choć stara, nie wiedziała jak się opierać. A gdy jeszcze rzucił genialny projekt: — Więc przywieziemy strucle do Karolówki i zjemy do ostatniej okruszyny! — uległa i zwycięstwo, jak zwykle, zostało przy Zygmuncie.

Poczem starzy panowie poszli spać, panie zaś udały się w towarzystwie Kręcica i Zygmunta do kościoła.

Świątynia Karolowiecka była dość duża, jak na kościół wiejski, a w zmroku, słabo rozjaśnionym światłem zapalonego świecznika i świec na ołtarzu, pomimo tłumy pobożnych, wydawała się jeszcze większa, niż zwykle. Prócz tego, był w niej pewien tajemniczy urok, właściwy nabożeństwu nocnym.

Szczyt wielkiego ołtarza ginał w cieniu, gdyż blask świec, tłumiony mgłą i parą oddechów

ludzkich, padał tylko na bliższe szczegóły i na rzeźbioną postać Madonny z Lourdes, której kontury rozplywały się miękko, a ona sama jaśniała w swojej grocie białością szronów i wyglądała, jak zjawisko.

Tłum klęczał. Gdzieniedzie między pochylonemi głowami, jak rozsypane gwiazdy jaśniały świece, w które zaopatrzili się wszyscy modlący się z książek, z ust wychodziły kłęby pary, otaczały rozrzucone płomyki i błyszczący świecznik, jakby promiennym nimbem i wsiąkały w cienie, a w kątach i pod sklepieniem leżały mroki, przepełnione milczeniem i tajemnicą.

Panie siedziały w rzeźbionej ławce kolatorskiej i gdy im podano świece, zagłębiły się w modlitwie. Kręcic i Znamieniecki stanęli nawprost nich przy bocznych drzwiach, a pierwszy, wsparłszy się o ścianę, oczami prowadził po tłumie, myślą zaś cofał się wstecz do czasów, w których, jako mały wyrostek, klęczał w kościele Daszowieckim, dla ciepła na matczynej spódnicy. Zawsze się dopominał, by go brała na pasterkę, więc go brała, a on potem bał się ciemności, które szły do niego z kątów kościelnych, i dla nabrania otuchy, raz po raz spoglądał na jej twarz, która była wtedy jeszcze spokojniejsza i słodsza, niż zwykle.

Już mu zbladło i zszarzało nawet wspomnienie tej kochanej twarzy matczynej, ale jednak nie zatarło się zupełnie i czasami powracało tak, jak dziś.

Pod kawałkiem marmuru, który na Daszo

wieckim cmentarzu mówi ludziom o pamięci syna, leży tylko nieco prochu, ale w nim, Kręcicu, pozostało coś z umarłej, żyje i chyba nigdy nie umrze.

Wodził oczami po ciemnych i pstrych głowach tych, którzy się korzyli w modlitwie, i mówił sobie, że z tego, co mu dała w spuściznie ta prosta kobieta, on nic nie roztrwoił. Wie teraz to, czego ona nie wiedziała i „co ją mordowało całe życie”, a choć nie może zaradzić, ukochania matki przekaże swojemu synowi. Ten od tego kapitału może wypracuje większe odsetki. Ciężka praca, bo owoców nie daje żadnych, albo gorzkie. Ale cóż byłby wart pracownik w "winnicy Pańskiej", jeśli go zniechęcał nieurodzaj ?

I oto ogarnęło go teraz nieokreślone poczucie, że między nim i zmarłą istnieje jakiś łącznik, bo te jego myśli były jakby spowiedzią przed nią. Bez wiedzy i woli tłumaczył się i zdawał sprawę z życia i doznawał wrażenia, że gdzieś w przestrzeni to słyszą. A potem, gdy jego wzrok padł na jasną głowę żony i gdy mu to przypomniało, że owa jedyna prosta droga, zamiast cierni dała mu wszystko, co tylko życie może dać dobrego, uczył, że mu się serce przepęlnia po brzegi wdzięcznością.

Był trzeźwym i człowiekiem pracy, nie chciał i nie miał czasu zgłębiać zagadnień, które niepokoją prawie każdą inteligentną jednostkę z sercem, miał własną etykę, której nie porównywał z żadną inną, bo od niej nie byłby nigdy odstą

pił, reszta mało go obchodziła, ale dziś tak go pochłonęły wspomnienia lat dziecińczych, że, nie zdając sobie sprawy z wrażeń, wprost sprzecznych z jego praktyczną trzeźwością, zwilgotniałe oczy przykrył dłonią, a z głębi duszy wyrwało mu się westchnienie, które mówiło: — Dziękci ci, matko!

„Bóg się rodzi, moc truchleje...” uleciało nagle z piersi tłumu i szło w górę, jakby chciało przebić ciemności i sklepienie, by konać aż na gwiazdach.

Pani Emilja modliła się w skupieniu, ale pomimo to parę razy zwróciła oczy ku drzwiom, gdzie stał mąż i Zygmunt, i czyniła to bezwiednie, jakgdyby zmuszona do tego innym wzrokiem. Istotnie Zygmunt patrzył w ich stronę. Stał obok Kręcica, a światło padając od ołtarza, zapalało złotawe błyski w jego włosach i w bobrowym kołnierzu jego futra. Był niewiele niższy i niewiele szczuplejszy od przyjaciela, a jednak Kręcic wydawał się przy nim jakby zanadto rozrostłym i trochę sztywnym.

Pani Emilja zauważyła to po raz pierwszy,

— Nie ma w twarzy tej świętości, co matka, ale ma tę samą poezję i nawet w jego postawie jest coś poetycznego — pomyślała.

I nagle jej się przypomniało, jak ją dziś uniósł w ramionach. Przez chwilę twarz jej zapalała ogniem, ale to zaraz przeszło.

— Dzieciństwo — pocieszała się — już musiał o tem zapomnieć. Ale był naprawdę przestraszony, bo aż zbladł. Bardzo kocha Andrzeja i jest dobry.

Znowu zaczęła się modlić, a potem śpiewała razem z tłumem i ze złożonemi rękami, z głową trochę podniesioną ku sklepieniu i ustami rozchyłonemi, wydawała się Zygmunutowi jakby oderwanym fragmentem z fresku Luini'ego. I także po raz pierwszy zrodziła się w nim niejasna świadomość, że ta twarz ciągnie jego oczy i że przed nim mający nawet wtedy, gdy jej nie widzi.

— To jest albo głupie, albo...

Ale tego drugiego „albo” nie sformułował, bo nagle krew napłynęła mu z serca do mózgu. Poczł, że mu twarz pała, a potem przeszło go zimno.

Coś się między tymi dwojgiem ludzi nawiązywało, kiełkowała w nich jakaś jeszcze nieuchwytna nić sympatji, ale sprawę z tego poczynano sobie zdawać dopiero jedno.

— To byłoby apoteozą mojego życia — pomyślał teraz Zygmunt i otuliwszy się w futro, wyszedł z kościoła.

Niedługo też poczęła z niego płynąć rzeka ludzi i rozławszy się na cmentarzu, dwoma strumieniami płynęła przez obie bramy w noc śnieżną i gwiazdzistą. Ale przy bocznych drzwiach zebrała się szczupła gromadka, złożona z kilkorga dziewczyn i chłopaków, i stała, wyczekując.

Zygmunt patrzył na to bezmyślnie, poczem się nagle zainteresował, bo go doleciały takie wyrazy: — Nasza panienka... Panienska z Kamionki.

Jakoż istotnie czekano na panienkę z Kamion

ki, bo gdy się Krępicowa ukazała we drzwiach, rzucono się całować jej ręce. Ona zaś na razie się zdziwiła, a potem bardzo uradowana, witała każdego z kolei i co chwila wołała:

— Patrzcie! To Jasiek tak wyrósł?... Józki nie byłabym poznała... A to co?... Kasia z Karolówki?... Już w czepku?... Kiedyżeś ty za mąż poszła?

Byłoby to wszystko trwało nader długo, ale że mróz szczypał policzki, więc Krępic zaproponował, żeby ci, którzy się chcą z „panienką” dłużej widzieć, przyszli jutro do dworu, do Kamionki, sam zaś, chcąc zachęcić żonę do powrotu, podał ramię pani Olchowiczowej i skierował się ku bramie.

Nastąpiła nowa serja całowania rąk pani Emilji, poczem ona podążyła za matką, a Zygmunt szedł obok niej i milczał. Noc była bezksiężycowa, gwiazdy zaś wyspały się licznie, lecz patrzyły na ziemię jakby przez zaslonę z gazy, a kasztany alei, prowadzącej do dworu, prawie się rozplwały w mlecznem powietrzu i mającyły szkieletami nakształt białych widziadeł. Mgła była i w górze i na dole i zapowiadał się na jutro szron obfity.

Przy zbiegu alei i ulicy, prowadzącej do wsi, pani Emilja, która szła dość szybko i była cała pogrążona w myślach, nagle przystanąła i wskazując ręką na dziewczynę, biegnącą naprzeciw nich wprost ku kościołowi, rzekła z nagłym uśmiechem:

— Proszę, zapytaj pan, jak jej na imię!

Zygmunt spojrział na nią zdziwiony, ona zaś, widząc, że dziewczyna jest już blisko i może ich minąć, powtórzyła nagłaco:

— Proszę, zapytaj pan koniecznie... później wytłumaczę.

Więc, choć niechętnie, spełnił jej życzenie i miał przytem tak zabawną minę, że i młoda kobieta i zatrzymana dziewczyna zaczęły się śmiać.

Poczem ta ostatnia zawołała rezolutnie:

— Olo Boga! Zahaczyłam ksiunżki w kościele i pewnikiem zamknu. Ale Emiljo, proszę jaśnie pana... Emiljo się nazywom, niech pon Jezus da gaintu żonę...

I dusząc się od śmiechu, poleciała, przyczem dudniła piętami po zamarzłym śniegu, a Krępicowa patrzyła na Zygmunta i również się śmiała.

— No, jakże ? Przepowiednia brzmi, że pan będziesz miał za żonę moją imienniczkę. Mówią, że to się zawsze sprawdza.

Nie odpowiedział jej, więc popatrzyła mu w twarz uważnie i dostrzegła, że miał brwi ściągnięte.

— Czy pan nie lubi tego imienia? — próbowała żartować dalej, ale już nie tak swobodnie, jak przedtem, bo jej przyszło na myśl, że jego matka nosiła także imię Emilji i że właśnie ten zbieg okoliczności mógł mu być przykrym.

On zaś spojrział na nią bez uśmiechu i nagle zawołał widocznie rozdrażniony:

— Nie rozumiem, jakim sposobem tak poważna rzecz, jak małżeństwo, może być traktowana przez panie w żartobliwy sposób. Może

jestem śmieszny, ale to mnie zawsze oburzało i oburza.

Zdumiona, odwróciła się szybko w jego stronę, przyczem potknęła się na wydeptanym śniegu. A gdy Zygmunt poskoczył i podał jej ramię, przepaszając, że tego wcześniej nie uczynił, złożyła na niem rękę i zapytała:

— Ja znów nie rozumiem, czemu się pan gniewa ? Podanie mówi, że imię pierwszego mężczyzny, czy kobiety, spotkanych w drodze z pasterki, będzie imieniem przyszłego męża, lub przyszłej żony osoby, która o to pytała. Naturalnie jest to tylko żart, ale przecież można się zapatrywać na małżeństwo bardzo poważnie i mieć czasami usposobienie do żartów.

Milczał, trochę zmieszany własnem rozdrażnieniem, a potem rzekł spokojniej:

— Pani ma rację, ja zaś jestem zanadto wrażliwy, tylko... to może nie jest wina jedynie mojego usposobienia.

Znowu zamilkł, ale po krótkiej chwili mówił dalej i w jego głosie była teraz nuta rzewna.

— Andrzej zna moje życie, jak swoje własne, więc ono i pani nie obce. Wiecznie brakowało mi ciepła. Matkę mi zabrali, ojciec był zawsze dla mnie nieprzystępnym, szczególnie w dzieciństwie, nie miałem siostry i może skutkiem tego wyrobiłem sobie trochę przeegzaltowane pojęcie o roli, jaką w mojem życiu miała odegrać własna rodzina. Od najmłodszych lat gotowałem dla oczekiwanej kobiety ołtarz w sercu, gromadziłem na nim wszystkie uczucia, których nie

miałem komu oddać, i tym sposobem owo małżeństwo, które jest dla innych rzeczą zwykłą i naturalną, dla mnie się stało czemś wymarzonem i prawie świętem.

Pani Emilja słuchała, a gdy przestał mówić, rzekła poprostu:

— Proszę mi wybaczyć.

Ł szli dalej ramię przy ramieniu; on patrzył w mgły, przez które błyszczały matowo okna dworu Karolowieckiego, a ona się dziwiła, dlaczego ją słowa jego wzruszyły i myślała, że był z tych ludzi, których miłość może byłaby w stanie naprawdę unieszczęśliwić, a nawet złamać. Pierwszy raz, zamiast się uśmiechnąć lub oburzyć, uczuła w sobie coś w rodzaju współczucia i równocześnie niepokoju.

— Wobec tego musisz pan być bardzo ostrożny w wyborze — rzekła nagle.

— Tak ostrożnym — odparł — że z obawy zawodu, pewno się wcale nie ożenię.

Gdy to mówił, było w jego głosie smutne szyderstwo, ona zaś potrząsnęła głową i zawołała:

— To niepodobna! Z takim marzycielskiem usposobieniem, miałbyś pan życie nietylko puste, ale i bardzo smutne. A przytem na wsi, przy pomocy żony można daleko więcej zrobić, niż samemu. Pan nawet nie masz pojęcia, co to dla kobiety za obszerne pole do pracy — wieś! Jej jest łatwiej wzbudzić do siebie zaufanie niż mężczyźnie. We dwoje można tu zrobić bardzo wiele, właściwie tylko tu można coś zrobić, ale tych dwoje musi się rozumieć.

— Przedewszystkiem kochać — rzekł na to Zygmunt i wprowadził ją do przedsionka, w którym światło lamp ślizgało się po marmurze posadzki i wachlarzom olbrzymich paproci nadawało barwy chryzoprazu, szmaragdu i bronzu.

A gdy Krępicowie znaleźli się na górze, panią Emilję ogarnęło jakieś miękkie uczucie, które jej było dotąd nieznanne. Opowiedziała mężowi swoją rozmowę z Zygmuntem, poczem położyła mu obie dłonie na piersiach i rzekła:

— Wiesz, my jesteśmy szczęśliwsi, niż on, choć ma tę śliczną Karolówkę i tyle pieniędzy. Jest biedny, naprawdę nie ma nikogo blizkiego, za wiele wymaga od życia dla siebie, a gdy się zawiedzie, będzie jeszcze biedniejszy. Mnie go żal, Andruszku.

Podniosła na męża oczy, które były zamglone i zapytała jeszcze:

— A tobie?

Krępic jeszcze nigdy nie słyszał takich dźwięków w mowie żony. Były rzewne. Przytem po raz pierwszy dowiedział się od niej, że jej było przy nim ciepło i dobrze. To go wzruszyło i zrobiło tak szczęśliwym, jak nie był jeszcze nigdy od dnia swego ślubu. Ramionami ją objął i z ustami przy głowie żony, mówił:

— Tak, my jesteśmy szczęśliwsi, ale moja ptaszyna niech się o innych nie martwi, bo i on jeszcze będzie szczęśliwy. Dawniej bałem się dłań sercowego zawodu, gdyż był bardzo uczuciowy. Wierzyłem, że odziedziczył egzaltowaną naturą

matki, ale lata pracy trochę go zmieniły, choć może sam o tem nie wie. Tak, złotko moje, ożeni się, a choć może małżeństwo nie da mu tego, o czem marzy, to mu da wiele rzeczy innych, o których człowiek, nie mający rodziny, nie może mieć pojęcia. Kto wie, czy ono nie kryje w sobie więcej niespodzianek dla mężczyzny, niż dla kobiety. Rozmawiali jeszcze bardzo długo. Krępic zwierzył się żonie, że na razie bardzo go zaboląły pewne, dla obcych może nawet niedostrzegalne, ale pomimo to zaszele zmiany w duszy przyjaciela, ale że teraz mniej go to razi. Wierzy, że zmienione warunki wiele mogą, Zygmunt dowiódł tego raz, dlaczegóż nie miałby dowieść po raz wtóry? Pani Emilja słuchała go z uwagą, a gdy się położyła, myślała długo, że kochająca i kochana kobieta zrobiłaby tu więcej, niż zmienione warunki, że to jest człowiek wprost zagłodzony brakiem serca w życiu i że pomimo wszystko, co mówił Andrzej, musi w nim być dużo natury matki. A potem myślała jeszcze, czy zna kobietę, która umiałaby zrozumieć tę egzaltowaną głowę, przypominała sobie wszystkie, które znała, widziała lub o nich słyszała, i usnęła z tem, że znaleźć odpowiednią będzie bardzo trudno.

### III.

— Panna niby kwiat w maju, a on przy niej, jak nad porcją lodów! — szepnął pasierbicy pan Łamkowski i zatarł ręce. Pani Porzycka błysnęła oczyma w stronę kanapki, na której Zygmunt siedział obok szczupłej, bardzo przystojnej blondynki, i odparła bez przekonania:

— Zdaje się ojczulkowi; pan Zygmunt jest dziś wyjątkowo ożywiony.

W rzeczywistości wierzyła, że ojciec ma słuszość. Młody Znamieniecki był teraz zupełnie inny, niż dawniej i choć nigdy nie opuścił żadnej zabawy, ani proszonego obiadu, wyglądał tak, jakby go wszystko nudziło.

Już od kilku tygodni mieszkał z ojcem w Warszawie, ale w odmęt karnawałowy rzucił się dopiero wtedy, gdy ona z mężem wróciła z zagranicy. Przedtem zajmował się tylko kuracją ojca i nie bywał nigdzie prócz u Krępiców.

Przeniosła wzrok z twarzy Zygmunta na twarz senatora i powtórzyła:

— Zdaje się ojczulkowi! Panna Łaniecka jest

naprawdę bardzo przystojna, na wczorajszej zabawie tylko z nim tańczyła i — pan Znamieniecki doczeka się synowej może nawet prędzej niż przypuszcza.

Lecz pan Łamkowski potrząsnął głową.

— A ja ci powiadam, że nie, i że matka ma rację. Niektórzy mężczyźni są zupełnie jak te dzieci, które dopiero wtedy cenią zabawkę i płaczą za nią, gdy inne dziecko ją zabierze.  
Po tych słowach pani Porzycka odwróciła głowę i westchnęła, senator zaś ciągnął dalej, z początku serjo, później napół żartem :  
— Ja to przecie widzę doskonale i, prawdę mówiąc, wcale mi go nie żal, a matka powiada, że na twojem miejscu zawróciłaby mu głowę jeszcze lepiej. Niech wie, co stracił!  
Znowu zatarł ręce, pani Porzycka podniosła się i przeszła do starszych pań, a Zygmunt tymczasem bawił się albumem i patrząc w oczy swojej sąsiadki, mówił:  
— Mnie się zdaje, że pani nie ma bezwzględnej słuszności. Szalone uczucia często gasną po ślubie, a spokojne przywiązanie, oparte na szacunku, i zbliżone upodobania są najpodatniejszym gruntem dla rośliny, zwanej szczęśliwym małżeństwem.  
Panna Łaniecka popatrzyła na niego uważnie i po chwili, trochę się wahając, odparła :  
— Być może; ja nie znam psychologii mężczyzny, mówię tylko o sobie i — nie wyszłabym za mąż bez przekonania !...  
— Tak ?....

pod jego wzrokiem opuściła rzęsy i poczerwieniała, a on się ożywił.

— Gdyby jednak pani serce przemówiło do człowieka, który dawałby za nie tylko spokojną przyjaźń i przysięgę, że wszystkimi siłami będzie się starał zrobić cię szczęśliwą ? Serce przecież nie wybiera... Czy pani odrzuciłabyś tego człowieka... czy też zaufałaś mu ?

Panna Łaniecka poczerwieniała jeszcze bardziej.

— Mówią, że lepiej kochać, niż być kochaną... więc, gdybym kochała... — zaczęła ciszej.

A on jej nie dopomógł skończyć. Odwrócił głowę i czekając na odpowiedź, otworzył album.

Z białego kartonu spojrzwały na niego ciemne oczy Krępicowej. Zdziwiony, nachylił się nad portretem, potem przeniósł wzrok na pannę Łaniecką, znowu go utkwili w twarzy pani Emilji i zapomniawszy o odpowiedzi, na którą czekał, i o całem towarzystwie, zebranem na przedpołudniowej herbacie pani Porzyckiej, zatonął w myślach.

— Co za porównanie !... ani cienia podobieństwa... ani cienia!... Musiał być wczoraj pijany! Takich ust nie ma żadna... może są ładniejsze, ale dla tych on byłby w stanie oszaleć !...

Zamknął album, podniósł się i rzekł:

— Nie miałem racji. Mężczyzna, który wnosi do małżeństwa tylko przyjaźń i dobre chęci, oszukuje siebie i drugich...  
Pani pozwoli ?

Sięgnął po papierosa i przeszedł do bocznego pokoju, a gdy się goście rozeszli, pani Ma

nusia jeszcze go tu zastała. Siedział zapatrzony w arabski dywanu, trzymał w ręku niezapalony papieros i miał niezupełnie przytomne wejście, gdy stanęła przed nim i spytała:



— Czy już można powinszować?  
— Czego? Wzruszyła ramionami.  
— Jako stara znajoma, zasłużyłam na więcej szczeroci — odparła kapryśnie i siadłszy na kanapie obok niego, ciągnęła dalej i poważnie.  
— Właściwie jestem dla pana więcej, niż znajoma i nie pytałam przez prostą ciekawość... proszę mi wierzyć! Panna Łaniecka jest bardzo przystojna i trochę przypomina Krępicową, prawda ?  
Zygmunt się ożywił.  
— I panią to uderzyło ?  
A gdy ona patrzyła na niego uważnie, dodał:  
— Lecz to złudzenie, właściwie nic nie podobne, nic!  
— Łaniecka przystojniejsza?  
— Skądże ? To jest... nie wiem — rzecz gustu. Pani Manusia nie spuszczała z niego oczu.  
— Więc Miła Krępicowa więcej się panu podoba?  
— Nie! — odparł stanowczo. — Jest jeszcze więcej lodowata i ma za grube usta... Uroda takich jasnych blondynek bywa zawsze zimna.  
— Zatem pośpieszyłam się z powinszowaniem i przepraszam.  
Powiedziała to bardzo miękko, on zaś patrzył na jej rękę, opartą na poręczu kanapki, i odparł obojętnie:

— O! proszę, niema za co.  
Zamilkli teraz oboje, ale to tylko ją kłopotalo. Nerwowym ruchem skubała listki żółtej chryzantemy, przypiętej u piersi, i po chwili, byle coś powiedzieć, spytała:  
— Będzie pan na dzisiejszym balu ?  
— Ja? A i owszem... jeśli pani sobie życzy.  
— Tylko dlatego?  
— Tylko.  
Spojrzał na nią i uśmiechnął się na pół złośliwie, na pół smutno.  
Oto, gdyby chciał, jej miłość miałby zaraz. Prawdopodobnie nie powstrzymałyby go wyrzuty sumienia, nie licząc, że rola Porzyckiego byłaby co najwyżej śmieszna.  
To mu przeleciało przez głowę, poczem znowu zwrócił oczy na jej rękę.  
— Mniej biała, niż tamtej, ale kształt podobny — myślał teraz, a głośno rzekł:  
— Na skinienie takiego arcydzieła natury, można iść nietylko na bal!  
I pochyliwszy się nagle, przycisnął usta do ręki pani Maniusi.  
Była tak zdziwiona, że przez chwilę siedziała bez ruchu i bez słowa, ale potem odsunęła się, wyprostowała i rzekła chłodno:  
— Takie plastyczne komplementy może są tolerowane w Odesie; tu nie!  
Siliła się na oburzenie, ale usta jej lekko drżały, oczy błyszczały mniej, niż zwykle i Zygmunt, patrząc na to, myślał:  
— Gdybym ją kochał, całowałbym teraz nie

jej ręce, lecz usta, i onaby mnie nie odepchnęła... z pewnością nie! Jeszcze kocha, albo przynajmniej pamięta i pokochałaby, gdybym chciał... I czemużby nie? To byłoby może lekarstwem na tamtą głupotę?...

Pochylił się nad nią tak, że uczyła na twarzy jego oddech.

— Alboż pani nie wie, że i w Odessie i na całym świecie istnieją rzeczy, w których formy odgrywają rolę soli, zanurzonej w ukropie?

Nie odpowiedziała mu, odwróciła głowę i oddychała szybko, a gdy on ujął jej dłonie, uczył, że drżały mu w ręku, jak dwa zmęczone ptaki.

Wtedy wstał, poniósł je do ust i rzekł łagodnie:

— Przepraszam panią. Może jestem warjat, ale nie do tego stopnia, jak sam myślałem przed chwilą.

Poczem wyszedł i nie wrócił, pomimo że w salonie dogonił go cichy okrzyk:

— Panie Zygmuncie!

A gdy się znalazł na ulicy, szedł prędko, wciąż przed siebie, sam nie wiedząc dokąd i po co. Właściwie uciekał przed czymś, co było w nim, ale przed tem trudno uciec.

— To byłoby apoteozą mojego życia! — powiedział sobie w Karolówce na pasterce, a teraz wołał:

— Oto apoteoza mojego życia! Właściwie nic nie zawinił. Gdy przyjechał do

Warszawy, bywał u nich prawie codziennie, ale jak tylko spostrzegł, że samo wspomnienie żony

Katona w dzień wytrąca go z równowagi, a w nocy spać mu nie daje, odrazu przestał chodzić na Smolną. Nie dość na tem. Postanowił się ożenić, zaczął bywać, poznał mnóstwo kobiet, robił, co mógł, by mu się która podobała, i oto dziś się przekonał, że podobały mu się tylko te, które ruchem, spojrzeniem, albo kolorem włosów przypominały tamtą. Aa! Gdyby znalazł zupełnie taką samą, byłby w stanie popęlić dla niej bodaj podłość! Poróżniłby setkę małżeństw, tysiącom dzieci odebrałby matkę, tylko zdradzić zaufanie Katona... nie! tego jednego nie może, choćby mu przyszło zwarzować! I tego nie robi. Ma dość siły i odwagi. Wrywa chwast razem z korzeniami i ze szmatami serca i to mu nawet sprawia jakąś potworną rozkosz. Noce spędza na zabawach, w dzień idzie do fabryki i słucha, jak Krępic mówi mu o swoim życiu i o niej. Jest to cierpienie prawdopodobnie zbliżone do tego, jakie uczuwa robak, nasadzony na szpilkę, ale on ma odwagę poddawać się wiwisekcji.

A takiemu Katonowi się zdaje, że jest wielki! Podług niego, uczciwy kamieniarz, świadomy własnego ja i układający bruk z całym oddaniem się pracy, jest właśnie takim bohaterem, jakich nam trzeba. Kato wkłada duszę w plany pana Rotte'go, idzie swoją prostą drogą, ma trochę więcej odwagi, niż inni i nie wie, że z nią przy sercu, on, Znamieniecki, nietylko włożyłby duszę w brukowanie ulic, ale świat wysadziłby z posad! Niezła ta prosta droga Krępicowa! Nóg się na niej nie łamie, a gdyby się połamało,

pewno nie oddałby choroby z nią, za zdrowie bez niej!

Otulił się szczerze futrem i roztrącając przechodniów, biegł dalej.

— Tak! Kato jest bohaterem, a on Znamieniecki, zwykłym filistrem, który zrobił pieniądze i teraz je wydaje...

Ha! Żeby ona była żoną innego... czyjąkolwiek, byle nie jego... Czy też wie, co się z nim robi?

Nigdy nie udało mu się jej zmieszać. Nie zna swojej wartości, stoi ponad namiętnościami, chłodna i poważna, jak ten jej „Kato in spe”, pewno nawet nie przypuszcza, że są rzeczy, dla których warto zboczyć z drogi wytkniętej. Stała mu teraz przed oczami wysoka i smukła, patrzyła na niego żrenicami, dziwnie czarnymi przy płowych włosach i uśmiechała się ustami, za których pocałunek oddałby duszę.

A potem widmo tej jedynej, o której sama myśl mąciła mu rozum, zmieszało się ze wspomnieniami tamtej, którą opuścił przed chwilą i — Zygmunt po raz pierwszy zgłębił swoje bohaterstwo.

Oto, gdyby dłonie tej białej i niedościgłej drżały mu w ręku tak, jak te, które trzymał przed godziną, gdyby ona zechciała mu podać swoje usta, sięgnąłby po nie, nietylko po szczęściu, ale bodaj po trupie Kręcica!

Stanął, obu rękami ścisnął sobie głowę i szeptał:

— Niestety!

A tego samego wieczoru pojechał na bal kostjumowy, nazajutrz zaś, jak zwykle, zjawił się o pierwszej w gabinecie Kręcica.

— Cóż u ciebie nowego ?

— Nic. Ale ty nie tego jakoś wyglądasz — odparł Kręcic z nad rajzbretu i patrzył na niego uważnie.

— Ano! Tańczyłem do trzeciej i jestem chronicznie niewyspany.

Ziewnął i rzucił się na saffjanowy szezlong, stojący pod oknem, tamten zaś mruknął:

— Ogłupiające życie! I jaby tak nie wytrzymał tygodnia.

— Domyślam się, ale zważywszy, że życie wogóle jest ogłupiające... Masz dzisiaj dużo roboty?

— Dostyc, bo muszę skończyć na drugą rysunek mostu dla filji.

Zamilkli. Znamieniecki patrzył w sufit i powtarzał sobie, że życie jest głupsze od najgłupszej komedji, przez najgłupszego autora pisanej, a Kręcic rysował i myślał o nim.

Wróciwszy po świętach z Karolówki, wierzył, że przyjaciel nie zawiedzie nadziei, które on i jego żona w nim pokładali. Miła go nawet przeceniała, bo przecie już wtedy było w nim coś, co raziło. Właściwie stał się mniej wrażliwym, ale to jeszcze dawało się tłumaczyć. Chroniczna rana, obandażowana starannie, może się stać dolegliwością, której się wkońcu nie czuje — ból dokuczy dopiero wtedy, gdy się znajdą ręce, które ją będą jątrzyły.

Tak sądził, a jednak... co tu mówić

o ranach i bólach wobec takiego oto życia? Tylko — jego to nie bawi. Jest ciągle znudzony i rozdrażniony; jeszcze trochę, a będzie miał dosyć baniek mydlanych. Gdybyż choć z tego wszystkiego ożenił się, albo co!

Krępic rzucił cyrkiel i odwrócił się.

— Słuchaj, Zygmuncie, żony przypadkiem nie upatrzyłeś tam sobie?

— Nie.

— To szkoda. A jakże ojciec ?

— Zaczyna chodzić, ale sztywna noga już mu pewno pozostanie. Myślę niedługo wracać na wieś.

— To dobrze zrobisz, bo tu zidjociejesz do reszty.

— Dziękuję ci.

— Niema za co.

Krępic roześmiał się wesoło i sięgnął po cyrkiel, a w tejże chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Krępicowa z dzieckiem.

Gdy czas był ładny, przychodziła niekiedy do fabryki, zabierała męża, poczem szli razem na obiad. Dziś powietrze było mroźne i kryształowe, śnieg skrzypiał pod nogami, pomimo że słońca było w bród, więc gdy młoda kobieta stanęła z dzieckiem we drzwiach gabinetu, twarze obojga były uróżowione chłodem i tak wyglądały, że patrząc na nie, trzeba było myśleć o rzeczach świeżych, jak ranek, lub jak kwiat, zmoczony rosą.

Zygmunt zapomniał o komedji, o autorach, o świecie. Zamiast wstać, siedział, jak przygwoż

dzony, patrzył na nią, jak na zjawisko i mówił sobie — że ona, prawdziwa z krwi i ciała, i ona w jego wyobraźni były w takim do siebie stosunku, jak bukiet pachnących fiołków do złudzeń człowieka, który w imaginacji pragnie sobie przypomnieć ich zapach.

Krępicowa na widok Zygmunta trochę się zmieszała. Właściwie miała do niego żal. Z Karolówki wywiozła dużo miłych wrażeń, cieszyła się, że Znamienieccy obiecali przyjechać do Warszawy i trochę marzyła, że z egzaltowanego pesymisty Zygmunta będzie można uczynić człowieka wiary i czynu.

Mężczyzna, posiadający wszystkie warunki szczęścia i pomimo to uważający się za nieszczęśliwego, zawsze interesuje kobiety, więc, choć pani Emilja wierzyła, że jest mało podobna do innych kobiet, tę właściwość istoty niewieściej posiadała może nieświadomie, ale bezsprzecznie, i Zygmunt ją zajmował.

Widziała, że jej słowa większe na nim robiły wrażenie, niż szczerza mowa Kręcica, wyrobiła sobie przekonanie, że mąż obchodził się z nim za szorstko, bo przeczulone natury zawsze wymagają lżejszego dotknięcia, i wierzyła, że z tego materiału da się wiele zrobić, byle tylko ją do owej roboty dopuszczono.

Spotkał ją zawód.

Z początku Zygmunt rzeczywiście bywał u nich bardzo często i te wieczory, spędzane we troje w gabinecie męża, lub przy stole herbacianym, stały się dla niej najprzyjemniejszą chwilą z ca

tego dnia. Lubiła na niego patrzeć, bo był jakby uosobieniem poezji i wytworności, wszystkiemu, co robił lub mówił, nadawał wdzięk szczególny, swój własny, umiał słuchać, gdy ona mówiła, i daleko więcej liczył się z jej słowami, niż Andrzej. Andrzej był odrobinę zarozumiały i często szorstki, co mu naturalnie wybaczała, bo ją bardzo kochał, ale Zygmunt... jeśli miał inne zdanie, niż ona, wypowiadał je z taką delikatnością i nawet jakby z żalem, że na to nie zdobyłby się nigdy żaden inny mężczyzna.

I oto nagle przestał ich odwiedzać, ale dlaczego — nie mogła pojąć. Wiedziała, że dużo bywał i bawił się, bo wuj Znamieniecki chciał go ożenić, ale wiedziała także, że codzień zaglądał do fabryki i często zabierał jej męża do siebie. Unikał tylko jej, więc chyba go czem obraziła, ale czem? Przypominała sobie każde słowo, które kiedykolwiek do niego powiedziała, stawiała najróżnorodniejsze wnioski, męczyła się tem, była zła na siebie i na niego i w końcu wezwwała do pomocy męża.

— Za nic w świecie nie chciałabym oziębic waszego stosunku! — mówiła. — Tylko kobieta zła albo głupia mogłaby rozrywać taką przyjaźń; ja pragnęłam was zbliżyć jeszcze więcej, tamten nie ma nikogo, coby na niego wpływał tak, jak ty, i oto coś się stało, czego nie mogę pojąć!

Ale Krępic tylko na to wzruszył ramionami i rzekł obojętnie:

— Dzieciństwo, mój ptaku. Nie ma czasu, bo teraz karnawał, oto wszystko.

Poczem popatrzył na nią i widząc, że jest szczerze zmartwiona, dodał:

— Alboż ty naprawdę przypuszczasz, że Zygmunt mógłby się na ciebie pogniewać? Toż on twierdzi, że takiej drugiej nie znajdzie, choćby szukał dzień i noc.

Te słowa ją wtedy zelektryzowały. Była zdziwiona, uradowana, spojrzała mężowi w oczy i cała zarumieniona, spytała:

— Nie żartujesz?

A on kręcił głową, patrzył w twarz żony, rumieniącą się tak właśnie, jak przed siedmiu laty w Łazienkach, gdy pierwszy raz serce mu do niej uderzyło, i mówił:

— Nie!

Zatem nie był obrażony, przestał bywać dla innych powodów i pani Emilja, choć się uspokoiła, niemniej o tych powodach myślała tak często, że aż ją to czasami gniewało.

A gdy go dziś zobaczyła, serce jej zabiło, jakby się czego przelękała. Lecz opanowała zmieszanie, z uśmiechem skinęła mu głową i zwróciła się do męża, Zygmunt zaś dopiero teraz się zerwał i począł ją witać.

— O! już miałam czas zapomnieć, jak wyglądają niegrzeczni przyjaciele mego męża, a i pan najwidoczniej nie poznał mnie odrazu — zaczęła żartobliwie i urwała, bo dostrzegła w nim wielką zmianę.

Bardzo pobałdł, zeszczułał, miał oczy dziwnie zmęczone i był widocznie zmieszany, co mu się nigdy nie zdarzało.

— Coś mu jest — pomyślała i z delikatnością, właściwą naturom bardzo intuicyjnym, nie czekając na odpowiedź, znowu się zwróciła do męża.

Lecz Krępic objaśnił ją, że ma pilną robotę, wskazał na Zygmunta i rzekł:

— Porozmawiajcie sobie, to ja może za pół godziny skończę.

Poczem powrócił do przerwane zajęcia.

A przez ten czas Zygmunt ochłonął. Zwrócił jej uwagę, że powinna zrzucić futro, bo w pokoju jest bardzo gorąco, rozebrał dziecko, lecz gdy wkońcu nachylił się i począł odpinać guziki jej płaszcza, gdy wionęło na niego ciepło od niej, uczył, że mu się w głowie kręci i omal się nie zatoczył.

— Wobec mnie i mojego nieszczęścia, mitologiczny Tantal był szczęśliwym błaznem — oddał sobie sprawiedliwość i siadłszy obok Krępicowej na kanapce, rzekł z głębokim przekonaniem :

— Czas jest mroźny, ale bardzo ładny.

— Tak — zgodziła się i patrząc na niego badawczo, dodała:

— Pan jesteś chory.

Zmieszał się pod tem spojrzeniem, ale równocześnie wzięła go złość.

Oto była świeża, jak rosa, spokojna, jak wieczór letni, zadowolona, jak kamienna nimfa! Nim od rana do nocy targały huragany pragnień i rozpacz, a ona nawet nie wierzyła, że na ziemi takie rzeczy istnieją. Teraz oddałby wiele,

by choć na chwilę zmącić ten marmurowy spokój.

Roześmiał się szydersko.

— Nie, myli się pani, ja tylko jestem tak bardzo szczęśliwy!

Aż się cofnęła przed tym śmiechem i przed słowami, w których dosłyszała coś, co było blizkie rozpacz, a on uczył głuchą radość, bo widocznie zbladła.

— Pani naturalnie nie wierzy w wielkie szczęścia i w wielkie cierpienia — ciągnął dalej. — Prawdą jest obowiązek i spokojne zadowolenie, reszta to urojenia rozpróżnionych!... Szczęśliwi, którzy cierpią na daltonizm i posiadają tylko zmysł półświatła!

Słuchała go z coraz większem zdziwieniem, poczem rzekła:

— Istotnie, ludzie tak egzaltowani, jak pan, nigdy nie rozumieją właściwego życia... zresztą, pan jest naprawdę, jeśli nie chory, to bardzo zdenerwowany, a to samo już dowodzi, kto z nas ma rację.

— Bezwarunkowo pani i Andrzej, tylko... w tych warunkach może i ja zmieniłbym przekonania.

— Takie warunki łatwo sobie stworzyć — odparła spokojnie. — Szalone życie ludzi beczynnych nie jest gruntem, na którym rośnie spokój i zadowolenie.

Zerwał się zniecierpliwiony i znowu siadł.

— Alboż pani nigdy nie rozumie, że nie wszystkie dusze są robione podług jednej modły?

ja nie uznaję spokojnego zadowolenia! Wierzę w istnienie szczęścia, równającego się ciągłemu uniesieniu i gdybym tylko mógł je pochwycić na własność, czuję, że byłbym wtedy zdolny do ciągłego bohaterstwa, albo do jarzma — wszystko jedno!

Patrzyła na niego i miała smutek nietylko w oczach.

— Chciałabym, żebyś pan to szczęście zdobył nareszcie i przekonał się, jak jest nietrwale.

Ale on się znowu roześmiał szydersko.

— Co pani może o tem wiedzieć? Są dusze, niezdolne do wielkich radości i wielkich cierpień, a takie umieją się przystosowywać do każdego warunków i są bezsprzecznie najużyteczniejsze na ziemi. Pani, a może i Andrzej jesteście daltonistami, nie macie pojęcia o prawdziwej teczycy i nie rozumiecie tych, którzy ją przeczuwają.

Ale ona potrząsnęła głową.

— Mylisz się pan, przynajmniej co do mnie. Nim poznałam Andrzeja, marzenia unosiły mnie tak samo daleko, jak teraz unoszą pana. Może było w nich mniej pragnień osobistego szczęścia, bo wychowałam się w innych warunkach, niż pan, miałam siostrę, która mnie rozumiała sercem, ale tak samo nie uznawałam rzeczy połowicznych. Wszystko, albo nic! Zdawało mi się, że, byle mi dano swobodę, zdobędę i zdziałam coś bardzo wielkiego. Ale potem spotkałam Andrzeja i on mnie nauczył, że ta maszyna idzie najregularniej, w której jest najwięcej drobnych

kóleczek. Niech mi pan wierzy, że takim kóleczkom jest znośnie na świecie... I ja nie wierzyłam z początku, sprzecaliśmy się z Andrzejem bardzo często i chwilami aż za żywo, czułam się nieszczęśliwą, a teraz — jestem zadowolona z życia.

Patrzył na nią przenikliwie.

— Czy pani nic, nigdy, nie pragnie poza tem?

— Nie, nigdy... a właściwie... myślę, że ludzi bezwzględnie zadowolonych niema na świecie. Chyba każdy miewa chwile, w których mu się zdaje, że jeszcze nie zużytkował wszystkich sił, że nie dość pracował, nie dość kochał i że gdzieś poza nim, poza światem może, czeka na niego reszta... To jest pewno przecucie, że ze śmiercią nie wszystko się kończy.

Jak ona wyglądała, gdy tak mówiła, zapatrzona przed siebie! Mógłby jej słuchać wieki. Bez przeszkody patrzył wtedy na tę Tycjanowską głowę, wszystkimi zmysłami pił jej głos i ją całą. Przez długie tygodnie walki i tęsknoty był skończonym warjatem! Oto całe wieczory mógł być żyć rozkoszą jej widoku i takiego szczęścia pozbawił się dobrowolnie. Ani Krępicowi, ani nikomu w świecie nie mogło szkodzić, gdyby on na nią tylko patrzył. Jeśli w końcu zwarjuje, cóż komu do tego? Przecież mu wolno rozporządzać własną osobą... tak! Robił, co mógł, wszystko nie zdało się na nic, więc pójdzie na Smolną i będzie chodził póty, póki... Ale czyż jego teraz powinna obchodzić przyszłość? Oto ona siedzi przy nim, spokojna, jak szyba wody

i ani przeczuwa, że on ją w siebie wchłania wzrokiem, słuchem, oddechem, każdym nerwem, atomem! Poza tem niech się świat wali!...

Umilkła, a jemu jeszcze się zdawało, że słyszy śpiew i że ta harmonia rozgrzewa mu serce. Ona zaś spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Pan bo jest naprawdę dziwny — rzekła.

— Dlaczego? — zapytał i silił się zrozumieć jej słowa.

— Dlatego, że pan gwałtem chcesz schwycić jakieś tam nadzwyczajne szczęście, pragniesz od życia Bóg wie czego i to przede wszystkim dla siebie, a czasami tak wyglądasz, jakbyś nie miał nic wspólnego z ziemią. Teraz twarz pana miała zupełnie taki wyraz, jak oczy pańskiej matki na portrecie.

Roześmiała się.

— To mi przypomniało jakiegoś świętego, tylko nie wiem jakiego. Powinieneś pan żyć dla idei. Natchniona twarz, frak i tuberoza w butonierce, to niedobrana trójca.

— Musi być dobrana, jeśli los taką trójcę skojarzył... zresztą, ja się na balach nie modlę.

— Albożeś się pan teraz modlił?

— Tak..., o dobrą tancerkę do dzisiejszego mazura.

— Więc pan znów idzie na bal?

— Naturalnie, może na Przytulisko, albo na Szpitalik — wytańczę sobie żonę.

Oparta ramieniem o poręcz kanapki, pokręciła głową i zawołała:

— Nie! z tego wszystkiego widzę, że ów ołtarz, tyle lat budowany, jeszcze stoi i jeszcze może długo będzie stał pustkami.

Powiedziała bez zastanowienia i zaraz swoich słów pożałowała.

Zygmunt utkwiał wzrok w jej oczach i nic nie mówiąc patrzył, ona zaś uczuła niezwalczoną ochotę, albo się rozplakać, albo go przeprosić, albo uciec. Widziała, że mu zrobiła przykrość— mało przykrość, musiała go zranić. Był niemożliwie egzaltowany w tym względzie, sam jej to kiedyś powiedział, prócz tego miał widocznie rozdrażnione nerwy i ona, pomimo to, dokuczyła mu! Dla takiej artystycznej, przeczulonej natury, jej niedelikatność i szorstkość musiały być jak zgrzyt noża po stali.

Siedziała ze spuszczonej oczami, niezadowolona z siebie, i nagle, nie wiedzieć skąd i kiedy, jak błyskawica przeleciały jej przez głowę słowa męża:

— Takiej, jak ty, nie znajdzie, choćby dzień i noc szukał...

I teraz zrobił się w jej myślach zamęt. Doznała wrażenia, jakby ją mocno uderzono w głowę, chwilę siedziała bez ruchu, potem się podniosła i znowu bez ruchu stała.

— Pani jest słabo, prawda? — zawołał Zygmunt, zaniepokojony jej dziwnym wzrokiem i rumieńcami, którymi się mieniła.

Krępic także się zerwał, a pani Emilja tarła powieki i mówiła:

— Wszystko mi się w oczach kręci... nigdy



tego nie miewałam... widoczny zawrót głowy, ale już mi lepiej.

Spojrzała wokoło siebie przytomniej i widząc niepokój na twarzach obu mężczyzn, uśmiechnęła się.

— Widocznie i ja staję się nerwową i to z przyczyny pana Zygmunta. Świeże powietrze najprędzej mię otrzeźwi; pójdźmy.

— Dobrze, idziemy! Ubierzcie się, a ja złożę robotę. Już skończyłem.

Krępic odwrócił się do biurka, a Zygmunt pomógł się ubrać jego żonie, poczem rzekł:

— Ja może naprawdę powinienem unikać niektórych ludzi — jestem zanadto zdenerwowany, przytem zanadto szczery i — przyrzekam, że już pani nigdy nie rozdrażnię.

Ale pani Emilja potrzęsnęła głową.

— Nie, to ja powinnam przyrzec poprawę. Nim narobiłam strachu moim zawrotem, wyrządziłam panu taką samą przykrość, jak wtedy, gdy wracaliśmy z pasterki. Ale to było przez nieuwagę, proszę mi wierzyć i darować.

Była zdziwiona miękkością własnego głosu, wyciągnęła do niego rękę, a on ją wziął, poniósł do ust i jeszcze w życiu nic go tak nie kosztowało, jak te zupełnie spokojne słowa;

— Ani umyślnie, ani przez nieuwagę żona Andrzeja nie byłaby w stanie zrobić mi przykrości. Niech pani będzie tego pewną — zawsze.

Odprowadził ich do domu, a gdy po obiedzie Krępic wrócił do biura i pani Emilja została

sama, po raz niewiedzieć już który, zadała sobie pytanie: Dlaczego ja go przeprosiłam?

Nigdy nie była zdolną do żadnych, nawet najmniejszych aktów skruchy. Nieraz czuła, że nie miała racji, milczała wtedy, ale przyznać się do omyłki nie była w stanie. Ten upór, czy fałszywa ambicja, zawsze panowały nad wszystkimi właściwościami jej charakteru. Umiała być szorstką, nie zadawała sobie trudu panowania nad słowami i nigdy nie przeproszała. To przecież było jednym z główniejszych powodów dawnych nieporozumień z matką i jest dzisiejszych z mężem. Rzadko się to zdarza, bo choć Andrzej bywa także nieuważny i zanadto szczery, ale ma tę wyższość nad nią, że umie się nagiąć i zawsze ją prosi o przebaczenie tak swoich win, jak i jej własnych. Podziwiała w nim tę łatwość charakteru, ale nigdy jej nie przyszło do głowy, żeby i ona z czasem stała się bardziej giętką. Ten Zygmunt jest rzeczywiście inny, niż wszyscy i podobno zawsze był taki. Chcąc nie chcąc, trzeba pobbłażać jego dziwactwom i lubić go. Znają się dopiero od paru miesięcy i ona go już dwa razy przeproszała! Dziwna rzecz, że jej to nawet nie było przykre, przeciwnie, jeszcze się czuła względem niego dłużną.

Pani Emilja siedziała w swoim gabinecie na kanapie, Zygmunt zasnął z głową na jej kolanach, mrok płynął z pod sprzętów, z pośród liści paproci i filodendronów i w milczeniu gasił barwy dywanu, żaden szmer nie mącił ciszy pokoju, a myśli młodej kobiety zmieniały się ciągle.

— Jakie on miał dziwne spojrzenie... czasami natchnione, jak święty, czasami błyszczące jak szafir, pomimo rzęs niebywale długich i czarnych. Manusia mówiła, że jeszcze dawniej, gdy był mniej bogaty niż dzisiaj, nie było panny, któraby za niego nie poszła. Teraz tembardziej może wybierać... i czemu nie znajduje owej upragnionej? Dziwna rzecz, jaki jest spragniony miłości. Słuchając go, możnaby uwierzyć, że to naprawdę największe szczęście. Ale ona nie jest w stanie zrozumieć uroku całej tęczy... jest daltonistką i — może to i prawda ?

Księżyc wysunął się z za drzew ogrodu, osrebrzył liście paproci i snopem drobnych światełek padł do stóp pani Emilji. Popatrzyła wokoło siebie i uczuła pustkę.

— Może to szkoda przejść przez życie i nie poznać takich drgnień serca, które dają uniesienie i choć na krótko odrywają od ziemi?

Dotąd była dumną, że tych drgnień nie знаła, to była jej wyższość nad mężem, pogardzała namiętnością, która jej zdaniem, utożsamiała ludzi ze zwierzętami, i oto teraz ta sama namiętność wydała jej się jakąś oczyszczoną, inną. Tak ją sobie pewno wyobrażał Zygmunt i — może taka naprawdę istnieje na świecie, może są ludzie, którzy nawet tę najgrubszą prozę zmieniają w poemat ? Jest dana przez naturę, przez naturę jest także dany idealny pierwiastek człowiekowi... Czyż podobna, aby można połączyć ogień z wodą, błękit z kałem, anioła z bydlęciem ?

Oparła głowę o poręcz kanapki i utkwiała oczy w oknie, na którego szybach szrony ułożyły się w delikatne mchy i palmowe liście, a księżyc nasiał srebra i opali.

— Takiej, jak ty, nie znajdzie, choćby dzień i noc szukał!

Znowu wróciła ta sama fala myśli, która tam, w gabinecie męża, skojarzyła się dziś z rozżalonym wzrokiem Zygmunta i odegrała względem niej rolę obucha.

— Jakie to było śmieszne i idjotyczne! I to się jej zdarzyło, jej, takiej trzeźwej, chłodnej i rozsądnej! Spozstrzegła się zaraz, oceniła całą głębię własnej śmieszności, ale nieprędko to sobie daruje. Zygmunt winien! Nigdy nie chodzi po ziemi, własnego zdenerwowania udziela innym, żyje fantazją i ma dar porywania za sobą.

Zresztą... ona nie ma prawa sądzić go za nadto surowo. Jest prawdziwym przyjacielem jej męża i swoim usposobieniem unieszczęśliwia tylko siebie.

A jednakże jemu coś jest i to coś takiego, O czym Andrzej nie wie... Podobno mówią sobie wszystko, to jest, mówili dawniej... przytem Andrzej, gdyby nawet wiedział, zachowałby dla siebie... Nie ma prawa opowiadać jej tajemnic swoich przyjaciół... Zapewne, ale tym razem nie musi wiedzieć. Jest w dobrym humorze, tamten zaś pomizerniał i nawet zeszczipał.

Podniosła się niecierpliwie i rozbiła blaski księżyca, które teraz drżały u jej stóp i na jej sukni, jak wielkie krople ręki.

— I cóż ją to obchodzi ? Co wogóle obchodzi ją tamten? Jego wina, że nie umie żyć normalnie. Andrzej jest zadowolony i ona także; on wypełnia swoje obowiązki, ona wypełnia swoje, przytem mają syna. Musi być w tych rzeczach trzeźwy, jak i oni. Co zrobił Kubacki ?... Co zrobi Zygmunt?... Dwa bieguny, obaj wielkie nic!

Zaczęła szybko chodzić po pokoju i myślała teraz o własnem życiu.

Była drobnem kółeczkiem w wielkiej maszynie i gdyby tylko uwierzyć, że takich kółek będzie coraz więcej, nie pragnęłaby niczego. Ale czy będzie ? Czem są u nas owe stare, święte obowiązki matki i żony? Ścieraniem kurzów i smażeniem kotletów! Dla dzieci istnieją przecież niańki, bony, nauczycielki i szkoły, od spraw innych, ogólniejszych są odrębni ludzie, a jacy... o tem kapłanki domowego ogniska nawet nie powinny wiedzieć!

Zarzuciła ręce nad głową i zdało jej się teraz, że stoi na wyżynie, z której na tłumy patrzy jak na robactwo.

— Ona wychowa sama swojego syna, a oprócz tego niesie światło i ciepło tam, gdzie są ciemności i chłody. Gdyby było więcej kobiet, niż kapłanek, ziemia miałaby więcej słońca, niż cieni!

Co rok, po powrocie z kolonji letnich, panna Rańkowska starała się o bezpłatną naukę dla swoich najbiedniejszych wychowañców, pani Emilja jej w tem dopomagała, a ta pomoc była tem skuteczniejsza, że sama podejmowała się wykła

dać tajemnice elementarza, katechizmu i nawet równych ściegów na perkalu i barchanie, młodemu pokoleniu szewców, praczek i mularzy.

Przed oczami zarysowały jej się teraz jasne i ciemne główki dzieci, które od niej po raz pierwszy usłyszały, że życie to obowiązek i że praca jest szczęściem, nie karą. Serce jej wezbrało dumą.

— Jestem pożytecznem kółkiem i z tej drogi już mię nic nie zepchnie!

Lecz w przedpokoju zabrzmiał dzwonek i na falach ciszy leciał ostrym dźwiękiem aż do niej.

Drgnęła całym ciałem i przez chwilę z zapartym oddechem stała jak posąg. Poczem podniosła obie dłonie do twarzy i szeptała:

— Jestem dziecinna, szalona, chora i już sama nawet nie wiem, co! Ma dziś jakąś herbatę o szóstej, potem bal w ratuszu, a gdyby nawet i nie to... gdyby nawet przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie... to i cóż ?... to i cóż... albo jestem chora... albo — ja się zaczynam bać nerwów tego człowieka!

Opuściła ręce, przycisnęła je do piersi, w której serce kołatało jak młotek, a potem osunęła się na kolana.

— Skarbie mój! — szeptała z ustami we włosach syna — dziecko moje, dla ciebie będę zdrowa i trzeźwa — dla ciebie... Bóg nie da choroby !

— Przyszedł pan Znamieniecki i pyta, czy może panią widzieć — rzekła służąca, stając we drzwiach.

A pani Emilja uniosła głowę z nad jasnych włosów syna i odparła już zupełnie spokojnie:

— Proś, ale wpierv zapal lampę.

#### IV.

Krępic był niezadowolony, że znów będzie musiał spędzić wieczór poza domem.

Sam wpadł na pomysł owej czytelni popularnej dla fabryki, cieszył się, że rozwija się lepiej, niż można było przypuszczać, ale stanowczo to wszystko zabierało mu za wiele czasu.

Zarzucił futro na ramiona i wyszedł prędko z biura.

— Gdybyż przynajmniej Mila była zdrowa — myślał, idąc ku domowi. — Wypiera się, mówi, że jej nic nie jest, ale pomizerniała i jest stanowczo inna, niż dawniej. Właściwie on ją woli taką. Zadziwiająca rzecz, jak się te kobiety zmieniają ! Była jak harfa, której kilka strun nie wydawało głosu, a pod ręką artystyżycia przemówiły i teraz drgały coraz pełniejszymi tonami. Istotnie, sam dziś czuje, że jej dawniej czegoś brakowało. Kochał ją i taką, bo już widać musiał kochać, ale teraz byłby wstanie się do niej modlić. Stała się łagodniejsza, cichsza i jakaś taka słodka, że aż go to niepokoi. I rzeczywiście musi być trochę rozdrażniona — teraz to zde

nerwowanie idzie powietrzem, jak zaraza... Gdy jej wczoraj opowiadał o wypadku w fabryce, miała pełne oczy łez. Maszyna urwała jednemu z robotników prawą rękę. Co prawda, znała go i wiedziała, że tam bieda, ale dawniej byłaby dla nich myślała tylko o pomocy, wczoraj jeszcze się oprócz tego rozplakała. Przypomina coraz więcej Bodziewiczową, a nawet czasami ją przewyższa w słodyczy, w łagodności... nie wiadomo w czym. Przy obiedzie się posprzeczali, a właściwie, on się z nią obszedł, jak Zulus, bo ona mu teraz nigdy nie odpowie tak niecierpliwie jak dawniej. Miał trochę racji, przecież umiała prowadzić dziecko, a teraz ten chłopak na głowie staje i ona wszystko znosi. To także chorobliwe... sama się dawniej oburzała na Bodziewicza i dowodziła, że zbyt przywiązanie do dzieci jest szkodliwe, bo zaślepi rodziców, a teraz... biedactwo ! miała załzawione oczy, ale milczała, zupełnie jak czasami Marychna. Trzeba być gburem, żeby do takiego kochanego stworzenia mówić jak do robotnika, ale mężczyźni są zawsze gburowaci, nawet względem tych, których kochają. Przeprósi ją... przecież wolałby sobie ząb wyrwać, niż jej zrobić przykrość i ona chyba już wie o tem.

Przyśpieszył kroku i przed domem spojrzął w okno.

Świeci się. Widocznie Zygmunt już jest, tylko on się dzisiaj spóźnił. Tak chętnie posiedziałby razem z nimi, z chłopakiem na kolanach, przy niej. Te wieczory teraz przypominają

mu trochę instytut i wspólne życie z Zygmuntem, tylko są o całe niebo cieplejsze i piękniejsze, bo przecież jest — ona i mały. W takim domowym szczęściu stanowczo się trochę filistrzeje, a przynajmniej traci werwę. Z gustem nie spojrzalby dziś na czytelnię i pozostał w domu. Otworzył zatrzask i wszedł do przedpokoju. Był widny i ciepły, w saloniku Zygmunt siedział przy fortepianie i jedną ręką, cichutko, grał urywek jakiejś ukraiński, a Miła miała dziecko na kolanach i mówiła:

— Myślałam o przyjaźni pana z Andrzejem i doszłam do przekonania, że podobnej między kobietami nie znajdzie. Uczucia u mężczyzn są widocznie mniej rozproszone i skutkiem tego silniejsze niż u kobiet.

— Trochę w tem racji, ale dużo nieprawdy! — zawołał na to Krępic z przedpokoju.

Poczem wpadł do saloniku, jak wichur, uściskał Zygmunta, wreszcie siadł przy żonie i pochyliwszy się, przypadł ustami do jej rąk, splecionych na nóżkach dziecka.

— Ptak mój zdrowy? — pytał teraz i nie widział, że twarz Zygmunta zszarzała, jakby ją posypano popiołem.

A pani Emilja skinęła głową z uśmiechem.

— Jak ryba, tylko ty nie jesteś logiczny.

— Dlaczego?

— Bo skądżeż w jednym twierdzeniu może być trochę racji i zarazem dużo nieprawdy?

— A tak, to rzecz zwyczajna, jak medal, który ma zawsze dwie strony.

Znowu pochylił głowę do kolan żony, ale widząc, że go lekko odsuwa, odebrał jej dziecko, wycałował i ciągnął dalej:

— Jest trochę racji w tem, że uczucia mężczyzn są czasami potężne i głębokie, ale też za to z takich głębin wydostają się na zewnątrz tylko w szczególnych okolicznościach. Miłość u takiego mężczyzny, to jak dzieło sztuki u amatora-artysty, który je chowa zazdrośnie, i tylko w wyjątkowych razach wydobywa z ukrycia, a miłość kobiety, to kosztowna lampa ze szkła weneckiego, przyświecająca na codzień prozie i drobiazgom życiowym. Kobieta nią złoci dni swoje i tych, którzy do niej należą, wkłada ją w obiad, z którym czeka na męża, i w kwiat, który mu postawi na biurku, w pierwszy płacz dziecka i w jego uśmiechy. Tak, kobieta, to istota praktyczna, a że my żyjemy w wieku praktyczności, więc ona jest górą, nie mężczyzna, i to jest właśnie ową „nieprawdą” w twoim twierdzeniu.

Patrzył na żonę żartobliwie, bo się głęboko zamyśliła, a Zygmunt przysunął się bliżej i z głową opartą na rękę, rzekł:

— To znaczy, że twoja żona, pani Bodziewiczowa i pani Rańkowska, bo więcej takich kobiet nie znam, tak się obchodzą ze swem sercem, jak Włosi ze sztuką. Artysta-amator nie używa mezza majoliki do codziennego użytku, nie modli się przed madonną Bassany, nie myje rąk w misie delia Robi i nie pozwoli przyrządzić sałaty na półmisku Georgia z Gubbio. Ale Włoch to robi. On nie podziwia swoich kościołów, tyl

ko się w nich modli, a że są precudne, kocha je, trochę mniej, niż swoją kochankę, wszakże na równi z solniczką, o której nie wie, że jest dziełem Cellini'ego, lecz którą przywykł widzieć codzień przed sobą na stole. Tak, Włoch poda rybę na półmisku mistrzów z Urbino i Faenzy, tak samo, jak pani Marychna i — twoja żona... Umilkł... patrzył w przestrzeń i tak teraz wyglądał, jakby tu blisko nic nie widział. Pani Emilja miała oczy utkwione w jego twarzy, a gdy Krępic zawołał: — Niezłe porównanie! Marychna i Mila są marnotrawne, jak Włosi, ale za to my z Bodziewiczem najszcześniejsi z ludzi! — uśmiechnęła się smutnie i rzekła:

— Marychna może — ja nie. Moje uczucia to zwyczajna porcelana, jeżeli nie fajans, a gdybym posiadała mezza majolikę... kto wie... pewno byłabym o nią zazdrosna, jak amatorartysta i może chowałabym głęboko.

Lecz Krępic ujął obie ręce żony.

— Ty ? A ot dwie najpiękniejsze emalje, których przecie nie chowasz dla siebie.

I począł je całować, Zygmunt zaś rzekł niecierpliwie :

— Czy naprawdę przypuszczasz, że w uczuciach mężczyzn i kobiet jest zasadnicza różnica?

— Nie. Myślę, że może różnica istnieje tylko w objawach i formach, te zaś są zależne od środowiska i wielu okoliczności. Zresztą, zgłębiam te rzeczy tylko o tyle, o ile mam czasami ochotę pokłócić się z moją żoną.

Znowu przy końcu przeszedł w ton żartobliwy, poczem podniósł się niechętnie i rzekł:

— Takbym tu z wami został, a nie mogę.

— Co, wychodzisz ? — zdziwiła się pani Emilja i w głosie jej była widoczna przykreść.

— Muszę. Sprawdzamy dziś w czytelnicy rachunki, zakupiliśmy nowe książki i mamy się naradzić, czy nie będzie można jeszcze obniżyć miesięcznej opłaty, albo nawet znieść ją zupełnie. Ale Zygmunt z tobą zostanie...

Tu zwrócił się do Znamienieckiego i położył mu obie ręce na ramionach.

— Jesteś poczciwy, romantyku, żeś przyszedł, bo moja żona stała się teraz grymaśnem dzieckiem, nie lubi być samą i jak mnie niema, sprowadza sobie Marychnę. No, trudno! Bawcie się dobrze, ale z herbatą nie czekajcie, bo się pewno bardzo spóźnię.

Zygmunt stał niepewny. Bywał u nich prawie codziennie, to prawda, ale wieczór z nią, sam na sam, spędził tylko jeden, ten pierwszy po powrocie z Odesy. Prócz tego czuł, że znowu zaczyna tracić grunt pod nogami. Gdy postanowił już jej nie unikać, rzeczywiście miał przez jakiś czas życie znośniejsze. Po długich walkach z samym sobą, wyczerpany, był jak człowiek po silnym upływie krwi. Stracił siły, płynął z prądem, a że prąd był łagodny, że te wieczory na Smolnej płynęły, jak sen cichy i odurzający, brał tę ciszę w siebie i żył odurzeniem, jak chory morfiną. Ale teraz znowu zaczęły wracać dawne burze. Nie mógł patrzeć, jak Krępic całował jej

ręce, szarpała nim zazdrość, chwilami nienawidził tego człowieka, a czasami tracił przytomność! Nie mógł za siebie zaręczyć, czy nie przyjdzie godzina, w której oszaleje, porwie ją w ramiona i będzie wołał:

— Kocham cię i z tego umieram! Więc teraz stał niepewny i nagle rzekł:

— Widzisz... ja dziś także przyszedłem tylko na chwilę.

A pani Emilja spojrzała na niego zdumiona, chciała zaprotestować i — nie powiedziała nic.

Wydał jej się jakiś zmieszany, więc także się zmieszała, a potem uczuła w sobie niepokój i nawet przestraszył. Od czasu owego księżycowego wieczoru, w którym Znamieniecki przyszedł się dowiedzieć o jej zdrowie, nigdy nie doznawała tego uczucia. Minęło bezpowrotnie. Zygmunt przychodził codziennie, jak w pierwszych dniach stycznia, był taki sam jak wtedy, a że wiele mówiono o nim i o Porzyckiej, że te plotki doszły nawet do jej uszu, cieszyła się z tego powrotu, był jej z nim dobrze, Andrzejowi także, i często o nim mówili.

Teraz niepokój wrócił.

— Czemu on nie chce zostać właśnie wtedy, gdy Andrzej wychodzi? Przedtem nic nie mówił, że ma wieczór zajęty... nawet przeciwnie, prawda!

Jakby pchnięta niewidzialną ręką, wbiegła do przedpokoju, chciała powiedzieć mężowi, żeby go nie zatrzymywał, ale Zygmunt już tam był

także a Krępic stał we drzwiach i tylko rzuciwszy: — Dziękuję ci! — poszedł.

Byli sami.

Razem wrócili do pokoju i przez chwilę stali w głębokim milczeniu. Potem pani Emilja klękała przy dziecku, które się bawiło na dywanie, i przesuwając ręką po jego głowie, rzekła:

— Niech pan mi co zaśpiewa.

Głos jej drżał tak mocno, że Zygmunt, zamiast do fortepianu, zbliżył się do niej, stał zmieszany i patrzył.

Na jedno mgnienie oka zrodziła się w jego głowie myśl, że ona może się czego domyśla i zrobiło mu się najpierw gorąco, potem zimno. Milczał, bo się bał własnego głosu i dopiero po chwili rzekł:

— Choćby przez pamięć na naszą dziecinną i obecną znajomość, mogłaby pani być ze mną szczerą.

— Jako? — zapytała już trochę spokojniej i zostawiwszy dziecko, podniosła się.

— Tak, że pani byłaby wołała dzisiaj zostać samą.

— Nie, skądże, co za myśl!... Jestem bardzo wdzięczną — broniła się nerwowo.

— Byłaby pani wołała, a ja myślałem, że już wysłużyłem na Smolnej prawa znajomego, z którym się nie robi ceremonji... Czy mogę teraz panią pożegnać?

Ale ją zdjął strach, że on przeniknął jej myśli, że się myliła i że mu się teraz wyda jeśli nie głupią, to zarozumiałą.

— Nie! — wołała — Byłam zupełnie szczerą i teraz jestem szczerą... Proszę, zostań pan!

Istotnie, była w jej głosie prawda, więc on się skłonił.

— Co mam pani zaśpiewać?

— O, cokolwiek. Wiadomo, że nie jestem wielką znawczynią i że najczęściej to mię wzrusza, czego inni nawet nie zauważyli, a nie zauważę tego, co zachwyciło wszystkich.

Uśmiechnęła się.

— Głos pana dlatego lubię, że nie jest silny, ale to właśnie dowodzi podobno, jak wielką jestem profanką.

Nic na to nie rzekł, podszedł do fortepianu, ona siadła na kanapce, z której można było patrzeć na grającego, i słuchała: *Vorrei morir nella stagione dell'anno, Quando e tiepida l'aria e il ciel sereno, Quando le rondinelle il nido fanno, Quando di nuovi fior s'orna il terreno.*

Nie był artystą i nigdy nie śpiewał przy obcych, ale miał tego rodzaju dar muzyczny i wokalny, co chwyta za serce tęsknotą i w małym kółku, o szarej godzinie, a w właściwej chwili, prowadzi na ścieżki rozmarzenia nawet trzeźwych. Pani Emilja należała do bardzo trzeźwych, ale kiedyś Zygmunt jej zaśpiewał owo „*Vorrei morir*” i odtąd musiał je na jej żądanie często powtarzać. Miękkie, jakby aksamitne tony, wydobywane jego palcami z fortepianu i głos teno

rowy, w średnich tonach przypominający wiolonczelę, nie rozmarzały jej, lecz rozrzewniały. Miewała wtedy takie uczucie, że byłaby chciała wszystko, co smutne, garnąć i ogrzewać na własnej piersi, a potem otrzeć wszystkie łzy, wszystko przebaczyć i wszystko kochać. *Lieta farebbe a Dio l'alma ritorno A primavera e sul morir del giorno !*

*Vorrei morir!*

*Vorrei morir!*

Zygmunt dzisiaj tak śpiewał, jakgdyby miał łzy w głosie, a skutkiem tego pani Emilja choć o tem nie wiedziała, miała łzy na rzęsach.

— Pan szczególnie to lubi, prawda? — zapytała, gdy skończył.

Odwrócił głowę i ze zdziwieniem dostrzegł, że jej oczy były wilgotne. Przez chwilę na nią patrzył, poczem odparł:

— Tak, chociaż właściwie wszystko mi jedno, czy umrę „a primavera”, czy też w jaką noc listopadową. Mam przynajmniej tę wyższość nad ludźmi, zadowolonymi z życia i z siebie, że się nie obawiam śmierci, a nawet myślę o niej, jak o uldze.

Była w jego głosie gorycz i niezwykła oschłość, a ona milczała długo i nagle, jakby nie panując nad sobą, z rękami splecionymi na kolanach, pochyliła się ku niemu i rzekła:

— Panie Zygmunco, czy można być z panem zupełnie szczerą ?

— O tak, proszę panią o to.

— A więc, czemu pan wcale nie zagląda do Karolówki...

— Do Karolówki?...



— Tak. Toby pana orzeźwiło. Po tylu latach czynnego życia, bezczynność nie służy, a panu bardziej, niż komukolwiek, to przecież widoczne.

— Więc pani wierzy, że wieś będzie mi służyła lepiej niż Warszawa ?

Skinęła głową.

— Tak, a właściwie nie wieś, tylko zajęcie dla myśli i serca. Po powrocie z Odesy byłeś pan inny, umiałeś i pragnąć i działać, a teraz... Przecież nic nie zaszło takiego, coby człowieka energii i czynu mogło odrazu zamienić w chodzącą apatię! Do tego trzeba albo całych lat rozczarowań i zawodów, albo choroby, albo...

— Albo ?... — powtórzył za nią i czekał.

— Nie, tego ostatniego nie powiem, bo mi się wydaje niemożliwym i oprócz tego, za mało wierzę ludzkim gawędom.

— Tak ?... A więc ja panią proszę o to trzecie. Jeśli mamy mówić szczerze, to bądźmy do końca szczerzy.

Podniósł się i widocznie wzburzony stał przed nią.

Tyle walczył, tyle przecierpiał, byle tylko żaden cień nie padł na ich spokój, i oto już się nim ludzie zajmują, może zgłębiają jego ranę, może na nią rzucają błotem?

Tymczasem oczy jego rzucały błyskawice, a ręce, oparte o poręcz krzesła, drżały i delikatne drzewo ścisnęły tak mocno, że trzeszczało.

— Bez żadnego względu na nikogo, powiedz mi pani! — prosił dalej, ale w podrażnionym tonie tej prośby była nuta rozkazująca.

Pani Emilja przyglądała mu się z przestraszaniem.

— A więc, chyba ludzie mówią prawdę. Nigdy w to nie wierzyła, tymczasem... czyżby go to tak bardzo obeszło ?

— Nie chciałabym panu zrobić przykrości — zaczęła — na tego rodzaju rzeczy nikt nie zważa, i to powtórzono tylko jako curiosum plotek warszawskich — niech pan wierzy!

Ale Zygmunt nie chciał ustąpić, więc ona z nieukrywaną przykrością rzekła:

— Utrzymują niektórzy, że pan bardzo żałuje Maniusi Porzyckiej, że ona jest powodem zmiany, zaszłej w jego usposobieniu i że naodwrot...

Patrzył na nią osłupiałymi oczami, powtarzał automatycznie: — Maniusi — Porzyckiej — i naodwrot... i — wreszcie nie dał jej skończyć, bo wybuchnął niepowstrzymanym, szalonym śmiechem.

— Ha, ha, ha, jeszcze i naodwrot? Ależ to jest niezrównane, niezrównane! Kochana Warszawa ! Ha, ha, ha, ja w roli zawiedzionego, albo bałamucącego młode mężatki, ha, ha, ha!

A jej przyszło teraz na myśl, że może śmiały się jeszcze więcej, gdyby wiedział, o co ona go posadziła przed godziną, gdy chciał odejść razem z Andrzejem, on zaś uspokoił się, siadł przy niej i rzekł:

— Dziękuję. Nigdy nie przypuszczałem, żeby

mię jeszcze kiedykolwiek w życiu tak co rozśmieszyło... Więc na chorobę nerwów, jeśli ją posiadam, pewno mi pani poradzi proboszcza Knejsa, a na ową rozpacz zawiedzionego serca?... Pani Emiljo! Jaką na to radę dostanę? Uśmiechnęła się, bardzo ucieszona.

— No, już nic, bo widzę, że kuracja niepotrzebna.

— Ależ nie, wyobraźmy sobie, że potrzebna. Niech mi pani radzi!

— Na to jest tylko jedna recepta...

— Zatem jaka?

— Powrót do Karolówki i praca. Wstrząsnął się, jakby go oblano zimną wodą, a ona pokiwała głową i rzekła:

— Widzę, że pan ma dreszcze i że tu naprawdę potrzebna kuracja nie serca, lecz nerwów.

— Tak, to jest u mnie nerwowe, ale nic wielkiego... więc pani mówi — Karolówka i praca...

— Praca jest także lekarstwem na nerwy.

— Zapewne... ale jeśli się nie jest do niej zdolnym ?

Siedział tak blisko niej, że czuł dotknięcie jej sukni, patrzył na główkę jasną, jak lniana przędza, na długie rzęsy i na pąsowe usta — teraz bledsze, niż dawniej — i mówił dalej.

— Mieliliśmy dzisiaj rozmawiać szczerze, przynajmniej pani dała początek, zatem... Ja jestem niezdolny do żadnej pracy, do żadnych pragnień i do żadnych marzeń. I na to niema lekarstwa ani tu, ani tam, ani we mnie. Jestem pasorzytem

na drzewie społecznym, zdaję sobie z tego sprawę i gdyby nie ojciec, zaraz okupiłbym tę nędzę przynajmniej jednym użytecznym czynem. Czy pani wie jakim ?

Potrząsnęła głową, a on wstał, przeszedł się po pokoju i nagle stając przed nią, rzucił:

— Postarałbym się ulżyć społecznemu drzewu, a środki, którymi nie umiem rozporządzać, przekazałbym Andrzejowi.

Zdaje się, że niktby na tem nie stracił.

Zerwała się.

— Jak pan możesz mówić coś podobnego, to jest straszne!..., Jak pan możesz!

Poblądła i usta jej drżały, on to widział, po twarzy mu się snuły jakby cienie i światła, poczem odetchnął głęboko i prędko:

— Już teraz pożegnam panią, bo naprawdę muszę być dzisiaj w domu wcześniej.

— Jako? Nie wypije pan ze mną herbaty? To byłoby tak...

— Jak w dniu mojego powrotu do kraju — dokończył za nią i na chwilę się zawahał.

— Nie, nie mogę! — wybuchnął nagle i pożegnawszy ją, pośpiesznie wyszedł.

Została sama, więcej przestraszona, niż zdziwiona, a on szedł teraz ulicą, wolno, jak starzec, lub człowiek chory. Stanowczo mu to zrujnowało życie. Nie może bez niej istnieć i to jedno wie napewno. Poza nią niema dla niego nic. Ona była tak niedościgła i tak od niego daleka, że w takim pościgu za marą i bólem

tylko warjat mógl łamać kości i mordować płuca. Wróci na wieś, będzie próbował robić cośkolwiek, a najprawdopodobniej będzie po całych dniach stał w oknie i patrzył na jezioro. Musi być teraz podobne do oka topielca, leżącego na zmarzłym śniegu. Cała Karolówka, biała, lodowata, to właśnie otoczenie dla niego. Prędzej wygaśnie przeklęty ogień, który mu trawi mózg i ciało. A potem będzie żył znośnie, bo [jeśli straci zdolność szczęścia, to straci także zdolność cierpienia.

Tak, pojedzie do Karolówki... dziś już za późno, ale jutro rano. Nie pożegna się z nimi, bo możeby został. Ojciec przyjedzie potem, kiedy będzie chciał, za tydzień, może za parę dni.

Jakoż wyjechał rzeczywiście, i to zaraz nazajutrz, a gdy Krępic z kartką w ręku wszedł do jadalnego pokoju i powiedział o tem żonie, pani Emilja zadrżała, o mało nie wypuściła z ręki łyżki wazowej i rozszerzonymi źrenicami patrzyła na męża.

On zaś pytał:

— Czy Zygmunt ci wczoraj mówił, że wyjedzie ?

— Nie, o niczem podobnem nie wspominał — odparła — ale jej było trudno wymawiać wyrazy.

— Hm... dziwny on teraz jest. Zawsze był po trochu warjat, ale do tego stopnia nigdy. Ha, może i lepiej się stało. Po tyloletniej rzeczywistej pracy, takie życie nie mogło mu służyć.

Uśmiechnął się do dziecka, które siedziało

między nim i matką, pogładził je po główce, poczem zabrał się do jedzenia i mówił swobodnie:

— Nie dziwię się, jeśli za parę tygodni zamieni się w hreczkosieja i w zapalonego myśliwego, a za jaki rok postawi kandydaturę na sędziego, albo na radcę i przyjedzie z wędną do Warszawy, opalony jak cygan. Gdyby mi dziś kazano orzec, co z czasem z niego będzie, choć myślałem, że go znam na wylot, nie wiedziałbym co powiedzieć, słowo daję! Pani Emilja milczała i przez cały obiad prawie nic nie jadła, a gdy wreszcie podała mężowi czarną kawę, nachyliła się nad dzieckiem i odwiązując mu serwetę, rzekła:

— Czy będziesz dziś u wuja Znamienieckiego?

Palce jej trochę drżały i usta także, a Krępic odparł:

— Powiniennem iść, ale nie wiem, czy będę mógl — chyba samym wieczorem.

— To może jabym poszła?

— Ty?

— Tak, to przecież naturalne. Wuj jest chory, może czego potrzebuje i ostatecznie trzeba się dowiedzieć, co się właściwie stało.

— Ależ prawdopodobnie nic. Strzeliło mu nagle do głowy i pojechał, a Znamieniecki pojedzie później. Już chodzi, ma przecież służbę i ty się tam na nic nie przydasz. Dziś zupełna odwilż, czas okropny, wołałbym, żebyś nie wychodziła, a jeśli sobie życzysz koniecznie, to wpadnę do niego, wracając z biura.

Pani Emilja nic na to nie odpowiedziała i skierowała się do drzwi.

— Co, już odchodzisz i nawet mię nie pocałujesz ?

Stała, a potem wróciła wolno i nachyliwszy się, dotknęła ustami jego czoła. On zaś wziął wtedy jej obie ręce i chciał je sobie zarzucić na szyję. Były zimne, jak dwa kawałki lodu.

— Ty jesteś zziębnięta, Milko, co tobie ? — rzekł zdziwiony.

— Czas jest smutny, rozstraja mię ten wicher z deszczem, to pewno dlatego — odparła cicho i chciała odejść.

Ale on jej nie puścił.

— "Tomkowi zimno", prawda?... Otóż ja nie chcę, żeby mojemu Tomkowi było kiedykolwiek zimno, nie chcę, czy mi wierzysz ? Gdyby odemnie zależało, miałabyś wiecznie słońce lipcowe, a teraz... masz moje gorące serce.

Pociągnął ją sobie na kolana i jedną ręką otoczywszy kibić żony, drugą przytulił jej głowę do swego ramienia i mówił z ustami przy jej twarzy:

— Czy ty wiesz, Milko, że ty teraz jesteś inna niż dawniej, bardziej kochająca, słodsza i bardziej bliska. To mię czasami przeraża. Czuję że mi wszystko obojętnieje, co nie jest tobą, tracę dawną energię, staję się Bodziewiczem i jestem tylko wtedy szczęśliwy, gdy widzę ciebie i dziecko.

— To ci się tylko zdaje — odparła, — Za

wsze robisz i zawsze będziesz robił wszystko, co do ciebie należy. Ja w to wierzę.

Nie usuwała się od niego i nie garnęła. Dziecko przyciągnęło krzesło, stanęło na niem, obu rączkami zawisło na szyi ojca, a on je przycisnął do siebie jednym ramieniem, tulił drugim żonę i mówił:

— Może masz rację, zresztą gdybym nawet zapomniał o obowiązkach człowieka, tybyś mi o nich przypomniała.

—Ja?

Było w jej głosie zdziwienie, ale jeszcze większe zdziwienie było w niej samej.

Oto po raz pierwszy zroszciała jasno, że on ją zawsze prowadził, on jej wskazywał drogi

i on był jej potrzebny dotąd, nie ona jemu. Ten silny, energiczny człowiek, pomimo wszystko co mówił, nie potrzebował nigdy ani rady, ani pomocy, oparłby się sam wszelkim pokusom i ciosom. Jak dąb, nie potrzebował oparcia, ani jej, podczas gdy inni...

Zerwała się.

— Spóźnisz się do biura... już czwarta dochodzi!

— A widzisz! Gdyby nie ty, byłbym zapomniał o obowiązkach szefa.

Postawił dziecko na ziemi, podniósł się i wyszedł. Ona długo stała na środku pokoju, tak, jak ją pozostawił, potem przesunęła dłonią po oczach i spojrzała przed siebie, jak zbudzona ze snu.

Na stole leżała kartka Zygmunta, którą Krę

pic rzucił. Więc ją wzięła i nie spojrzawszy na dziecko, wyszła, a w swoim pokoju, skulona w rogu kanapki, rozwinęła drżącymi palcami papier i czytała:

"Postanowiłem wrócić na wieś, a że mógłbym się jeszcze rozmyślić, więc jadę zaraz. Ojciec przyjedzie za mną, jak się tylko trochę wypogodzi. Jestem o niego spokojny, bo mu zostawiam Józefa; ale jeśli będziesz miał czas, wpadnij i odwiedź go. I nie wygaduj na mnie, że cię żegnam tylko listem. Nie mogłem inaczej. Chcę jak najprędzej zobaczyć, co mi da Karolówka i praca. A pisz do mnie i donoś wszystko, co się tyczy Ciebie i Twoich. Nie mam poza Wami nikogo droższego na ziemi, ale o tem już wiesz.

Zygmunt."

Pani Emilja czytała to bardzo długo, potem jeszcze dłużej wpatrywała się w czarne litery i miała przytem zupełnie szkliste oczy.

— I rzucił taki list! Naturalnie, przecież nie może wiedzieć, ile każdy z tych wyrazów kosztował męki. Ale ona wie, teraz już wie!

Obu rękami ścisnęła głowę i z jękiem poruszała nią w stronę milczących w koszu cyklamen i paproci.

A potem się zerwała i jak ćma o klosz lampy, tak ona poczęła się rozbijać o ściany pokoju.

— Przecież nie zawiniła, nic nie zawiniła! A jednak to ją boli i parzy i piecze, jak rana,

albo wyrzut!... „Nie jestem zdolny do żadnej pracy, do żadnych pragnień i do żadnej nadziei...” I naprawdę nie jest zdolny do niczego.. naprawdę!... Przecież to już dawno widziała, a teraz rozumie i czuje... ah, jak czuje! Taki da się zabić; zabiła człowieka, ona, która w taką śmierć nie wierzyła! Zatopiła ręce we włosy, stanęła przy oknie i oparła czoło o szybę.

— Oto szaro na niebie, jak na pustyni w noc bezksiężycową, a z każdej gałązki, nagiej, nabrzmiałej, płyną łzy takie duże!... Jezioro jest teraz szare, jak niebo, na lodach błyszczą woda, park Karolowiecki płacze takimi samymi łzami, tylko wiatr głośniejszy między gałęziami chodzi i jęczy... Zimno pusto, a w tej pustce on, sam jeden, z myślą o ni ej.. Odskoczyła od okna, znowu skuliła się w rogu kanapki i lkała.

Była ósma wieczorem, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek. Pani Emilja się zerwała. Płacząc zasnęła, a teraz stała na pół przytomna, drżąca, i szeptała:

— Zygmunt!

Lecz z jadalnego pokoju doleciał głos Marychny:

— Gdzie pani?

— W gabinecie u siebie. Musiała zasnąć, bo się nie poruszyła, choć byłam dwa razy — odpowiedziała służąca.

— A Zygmuś?

Głosy przycichły. Pani Emilja słyszała tylko niewyraźne dźwięki, ale po chwili we drzwiach stanęła Bodziewiczowa.

— Cóż to, pani dyrektorowa urządza teraz drzemki poobiednie? — pytała wesoło i z rękami wyciągniętymi przed siebie, szła przez ciemny pokój. — Kazaż zapalić światło, dobrze?  
— Nie, wolę tak; chodź do mnie, tu prosto! A po chwili siedzieli przy sobie, pani Emilja tuliła się do siostry i szeptała:  
— Jak to dobrze, żeś przyszła..., jak dobrze!  
— Ale przecież nie jesteś chora?  
— Nie, o nie! Sama nie wiem, kiedy zasnęłam. Zarzuciła ręce na szyję pani Marychny i przycisnęła twarz do jej twarzy.  
— Milciu, ty płaczesz! Co tobie?  
— Nie wiem... tak mi smutno! Pocałuj mnie, Marychno, tak, jeszcze raz!... Chciałabym, żebyście mnie wszyscy kochali, bardzo, bardziej, niż dotąd.  
— Dziecko moje, ależ tobie chyba tego nie brak!  
— I owszem, czegoś mi brak. Zerwała się.  
— Pójdę do Zygmunta!  
— Śpi u Andrzeja na sofie — objaśniała pani Marychna.  
— Więc muszę iść go przykryć, bo zziębnie. Lecz siostra ją zatrzymała.  
— Już go przykryłam, bądź spokojna! Znowu siadły blisko siebie i teraz Krępicowa szeptała:  
— Jakaś ty dobra!... Patrz, co ze mnie za matka!  
Poczem nie mówiły długo nic i dopiero Bodziewiczowa przerwała milczenie.

— Czemu Andrzeja jeszcze niema?  
— Wracając z fabryki miał wstąpić do wuja Zramienieckiego i pewno wstąpił.  
Zacięła się i dodała ciszej:  
— Zygmunt dzisiaj wyjechał i wuj jest sam.  
— Wyjechał?... Dokąd?  
— Do domu.  
— Aaa... To dobrze.  
Krępicowa prędko podniosła głowę, ale w ciemności nie mogła widzieć twarzy siostry.  
— Dlaczego dobrze? — spytała.  
— Albo ja wiem? Dość, że mi się to wydaje dobre. Ten wasz Zygmunt był teraz jakiś nienormalny... i zawsze tak na mnie działał, jak na nerwowych dzisiejsza pogoda.  
Pani Emilja już nic na to nie odpowiedziała, znowu oparła głowę na ramieniu siostry, ale ta się teraz żywo poruszyła,  
— Wiesz?... Winia przyjechała.  
— Jest w Warszawie?  
— Tak, od wczoraj i zaraz przyszła do mnie, bo ja przed paru dniami pytałam pani Rańkowskiej, czy czasem nie wie o jakiej korepetytorce do matematyki?  
— Więc?  
— Ona znowu wraca do Warszawy na stałe i będzie dawała lekcje. Mówiła mi, że jej było tęskno do domu i że ma już dosyć cudzych kątów.  
— Przecież u Porzyckich nie musiało jej być obco, jeśli ją pragnęli przyjąć do rodziny? — zauważyła obojętnie Krępicowa. — Nie pytałaś

jej, czemu odrzuciła Porzyckiego ? Podobno bardzo porządny człowiek i zupełnie w innym rodzaju, niż mąż Maniusi.  
— Naturalnie, miał się w niej zakochać jak student, ale ona powiedziała mi wprost, że go nie kochała i że wyszedłszy za mąż, nie mogłaby pieniędzmi męża dopomagać rodzicom, a to cel jej życia.

Pani Bodziewiczowa się zamyśliła i westchnęła, poczem jeszcze dodała:

— Gdy na nią patrzę, myślę, że to jest praw dziwy, tegoczesny gladiator, ale o takich nikt nie wie.

— Gladiator? Dlatego, że pracuje? — zdziwiła się Krępicowa.

— Nie, nie dlatego. Kiedyś mówił mi Kubacki i ja teraz myślę, że miał rację... ale czy ty o tem nie wiesz?

— Nie, o niczem nie wiem.

— No, to może i lepiej, to i ja ci nie powiem... Po co sobie robić przykrość i poruszać smutne rzeczy?... Czy zajrzysz do niej?

Krępicowa słuchała jej obojętnie, ale teraz potrząsnęła głową.

— Ona od czasu mojego ślubu bardzo się dla mnie zmieniła, przychodziła tylko gdy miała interes i widocznie unikała naszego domu, więc, jeśli nie przyjdzie pierwsza, to ja do niej także nie pójde. Po co się mam narzucać?

— Ręczę, że tego nie pomyśli i że ci będzie wdzięczna. Żebyś wiedziała, jak się zmieniła i zeszczuła! Tyle lat w jarzmie i to bez wytchnie

nia! Wakacje wymawiała sobie tylko dlatego, żeby jechać na kolonje i w rezultacie ciągle u nich bieda.

— Tak, to prawda! — szepnęła Krępicowa. Pójde do niej, może jutro...

Zerwała się, bo usłyszała w przedpokoju szmer otwieranego zatrasku.

— Andrzej wrócił, pójdźmy do niego!

i wybiegła pierwsza, a za nią poszła Bodziewiczowa. Krępic zaś już był w jadalnym pokoju i zobaczywszy żonę, rzekł:

— Nic nowego, ani złego. Znamieniecki jedzie jutro, bez względu na czas. Uważam, że zdziecinniał co do Zygmunta. Jest rozdrażniony i zaniepokojony, ciągle wzdycha i stęka i szepcze źle, bardzo źle! Zastanawiająca rzecz, co z ludzi robi choroba i starość.

Witał się z Bodziewiczową, a żona wodziła za nim oczami, parę razy usta jej się poruszyły, wreszcie rzekła:

— Czy był zadowolony, żeś przyszedł?

— Tak, on mnie zawsze chętnie widzi, a dziś ucieszył się szczególnie i nie chciał mnie puścić. Może byłbym został dłużej, ale mi było pilno do domu i ostatecznie... co z nim robić ? Nic nie mówi, tylko mi ciągle w oczy patrzy i sam do siebie szepcze o nieszczęściu Zygmunta. Ot, stare dziecko!

Pani Emilja miała teraz głowę spuszczoną, a ręce, którymi się o stół opierała, drżały.

Krępic do niej podszedł, nakrył te drżące palce swoją dłonią i rzekł:

— Wyobraź sobie, gdym mu powiedział, że

go chciałaś odwiedzić, rzucił się, jakbym go oblał gorącą wodą, machał rękami i wołał: jeszcze czego, nie potrzebujemy takich sióstr miłosierdzia!

Poczem z uśmiechem pogładził ją po głowie i dodał:

— Widzisz, jak ludzie cenią dobre serce! Tylko jeden mąż wie, jaki skarb posiada, i dziękuje ci w imieniu Zygmunta. Pani Emilja się teraz prędko odwróciła, zarzuciła mu ręce na szyję i schowała głowę na jego piersi, ale Bodziewiczowa zaczęła się z nimi żegnać, więc ją Krępic odprowadził do przedpokoju. A gdy już była na schodach, jeszcze raz ucałował jej rękę i rzekł:

— Pani nie ma pojęcia, jaki ja jestem szczęśliwy! Z Mili robi się zupełnie inna kobieta i mnie się czasami zdaje, że ona dopiero teraz zaczyna mnie kochać naprawdę.

I rzeczywiście robiła się z niej inna kobieta. Z dawnej, zadowolonej i pewnej siebie Krępicowej nie pozostało ani śladu. Po domu, jak cień, snuła się istota cicha, jakby zapatrzona w głąb siebie, zestrachana i drżąca za lada szelestem i tak pokorna, że jej mąż, patrząc na to, miał czasami łzy w oczach.

Gdy mówił o swoim szczęściu i jej za nie dziękował, całowała mu ręce, a gorętszym wybuchom jego miłości poddawała się tak, jak się poddaje niewolnica swemu panu.

Ile razy wracał z biura wieczorem, zastawał ją w jej pokoju, z dzieckiem na kolanach, w cie

mności. Dawniej mówiła, że szare godziny są dla próżniaków i często się o to sprzeczali, bo on lubił gawędę z żoną o zmroku, a ona zawsze wołała o światło. Teraz spędzała całe godziny bez zajęcia, sama, z dzieckiem.

Ale w kilka dni po wyjeździe Zygmunta, za miast w ciemnym pokoju, zastał ją przy drzwiach wchodowych. Czekala na niego, sama mu otworzyła drzwi i była blada, jak kreda, gdy, podając mu papier, rzekła:

— Depesza, albo z Kamionki, albo... z Ka... z Karolówki!

— I co się stało? — zawołał naprawdę przestraszony.

— Nie wiem, do ciebie depesza... przeczytałam tylko na wierzchu stację telegraficzną... depesza do ciebie!

Odebrał jej z ręki papier i rozrywając go, mówił:

— Więc, chociaż umierałaś z niepokoju, nie otworzyłaś. Wszystko, co przesadzone, nawet delikatność, jest idjotyzmem!

Poczem zbliżył się do lampy i oczami przebiegł pismo.

— Uspokój się, z Karolówki!

— Z Karolówki? — powtórzyła, jak echo i oparła się plecami o ścianę.

— Tak. Zygmunt się zaziębił w drodze i Znamieniecki depeszuje, żeby przysłać doktora Chabińskiego.

Dopiero teraz zrzucił futro i wszedł do pokoju, a ona za nim, przyczem chwytala się ścian i krzesel, jak pijana.



Stała przy stole, on chodził wokoło niej dość długo, ale wkońcu się zatrzymał.

— Przypuszczam, że Znamieniecki wyobraża sobie więcej, niż jest, bo cóż tam może być?... Gorączka, no! kaszel... na to i tamci doktorzy poradzą... ten tylko chorego przestraszy... Zdziecinniał, ale wysłać trzeba.

Pani Emilja nie odzywała się wcale.

— A może naprawdę co ciężkiego?... Zapalenie płuc... ale przecież zdrow pojechał!... Hm... depesza, dziś pójde do doktora i może go jeszcze dziś wysłać... roboty mam mniej... możnaby na drugi dzień wrócić...

Jeszcze raz przeczytał depeszę, ściągnął brwi, poczem, nie spojrzawszy na żonę, prędko wpadł do przedpokoju, znowu włożył futro i wyszedł.

A nazajutrz rano wyjechał do Karolówki razem z doktorem, lecz gdy trzeciego dnia powrócił i spojrzął na żonę, idącą go witać, krzyknął:

— Co się stało, Milo?

— Co się stało? — powtórzyła zdziwiona. — Nic.

— Jako nic? Wyglądasz, jakbyś wstała po ciężkiej chorobie!

— A tak, miałam przez trzy dni ból głowy i nie mogłam sypiać — odparła spokojnie — ale, ale...

Nie dokończyła, zacisnęła usta i stała, a Krępic wziął ją za ramiona, obrócił pod światło i z ogromnym niepokojem w głosie pytał dalej:

— Marychna była?

— Nie.

— I doktora nie wzywałaś? Nie, po co?

— Po co? Poślę natychmiast.

Puścił żonę, nie zważając na jej słowa, wybiegł do kuchni, poczem było słyhać, jak krzyczał:

— Wszystkie jesteście jedno warte! Własnego rozumu nic! Trzeba było dać znać pani Bodziewiczowej!... Ruszaj zaraz po doktora, albo nie, masz, jedź dorożką!

Jak wiatr wpadł z powrotem do pokoju. Pani Emilja stała teraz przy otomianie, z oczami, utkwionymi we drzwi, za którymi przed chwilą zniknął, żółtawosina, jak kość.

— Niepotrzebnie robisz hałas — rzekła cicho — bo one to robią, co ja im każe. Ból głowy nie jest chorobą.

— Nie jest chorobą? Nie musiałaś przeglądać się w lustrze!... I ja wyjechałem, jak ostatni osieł, dlatego, że staremu dzieciakowi zwykła gorączka nerwowa, czy może kataralna, wydała się zapaleniem płuc!... Milko moja... daruj mi!

— Ja ci darować?... Ja?... Więc Zygmunt... — szeptała.

— Zygmunt miał silną gorączkę, ale już jest zdrowszy, niema niebezpieczeństwa...

Nie dokończył, bo pani Emilja się teraz zatoczyła, a gdy ją przestraszony mąż pochwycił, była bez zmysłów.

V.

Krępic z piórem w ręku stał przed przyjacielem i pytał samego siebie, czy ten oto człowiek, wyciągnięty na sofie w jego gabinecie, zmęczony, szyderski, cyniczny, jest naprawdę Zygmuntem Znamienieckim, „ostatnim z romantyków”, pierwszym entuzjastą instytutu ?

Przyglądał mu się, jakby go widział pierwszy raz, a tamten utkwiał w sufit oczu, te szafirowe, które dawniej miały wyraz oczu dziewczyny, zapatrzonej w gwiazdy, i ciągnął dalej:

— Nie potrzebujesz rozpaczać, przezacny Katonie. Te piętnaście tysięcy, to ani twardy bifszytk, ani surowa ryba. Nie rozchoruję się na niestrawność. Zresztą... dwa tygodnie temu wygrałem dziesięć, tydzień temu ośm, mam jeszcze trzy tysiące na plusach, a jak wiesz, rewanżu nie odmawia się nigdy.

Roześmiał się przez zęby.

— Myślę, że Porzycki także mi go teraz nie odmówi.

Ale Krępic zmarszczył brwi.

— Więc do Porzyckiego przegrałeś?

— Tak. Czy to cię więcej boli ?... Bo wyobraź sobie, mnie jest wszystko jedno.

— Wszystko ci jedno?... I to ci wszystko jedno?... Czy ty nie wiesz, co mówią plotki ? — wybuchnął Krępic.

A Zygmunt się podniósł leniwie, obie ręce wsparł na kolanach i kiwnął głową.

— Wiem — że to jest cena pięknej pani Maniusi. Wyobraź sobie... po prawdzie niewarta więcej.

— Jesteś... jesteś prosty szuja!

Ostatnie wyrazy wypadły z ust Kręcica z takim świstem, że aż on sam się cofnął.

Twarz Zygmunta nie drgnęła, tylko mu na czole wystąpiła czerwona pręga, jak od uderzenia batem i oczy błysnęły.

Lecz po chwili zagasty. Patrzył na Kręcica z dawnym wyrazem znudzenia, poczem wstał, położył mu rękę na ramieniu i rzekł wolno:

— Podobny komplement sam sobie mówię rano i wieczór, ale... tylko podobny. Ty zawsze byłeś mało dystyngowany i lubiłeś wszystko podnosić do kwadratu, tak, Katonie! Jeszcze nie zgadłeś, co najwyżej przepowiedziałeś przyszłość.

Bądź zdrów!

Sięgnął po swoje palto, ale nie zdążył go zarzucić na ramiona, gdy już Krępic był przy nim i ścisnął go za szyję.

— Zyguncie, daruj mi!... Nie wiedziałem, co mówię i nie masz pojęcia, ile mnie to wszystko kosztuje! Czasami robisz na mnie wrażenie człowieka straconego, albo desperata... No, daj mi rękę i zapomnij!

— Nie mam co zapominać, bo mi to wcale do serca nie wpadło i prócz tego, zdaję sobie jeszcze sprawę, że, gdybyś był mną, ja zaś tobą, powiedziałbym ci to samo.

Patrzył na niego spokojnie, a widząc, że Krępic jest naprawdę przybity, uśmiechnął się i dodał:

— Jeśli ci tak bardzo żal pani Maniusi, to się uspokój. Pragnie, by o niej mówiono, więc mówią, ale ja jej nie mam na sumieniu, przynajmniej dotychczas. Za łatwa zdobycz i prócz tego, wolę odbić Porzyckiemu Giulję Velzano, Typowa wenejanka!

— Zygmuncie!

— O, daj sobie pokój i pogódź się z tem, że popłynę z wodą. Gdyby mnie wyrzuciła na twój grunt, to i owszem, ale prawdopodobnie osiadę na bagnie. Stamtąd trudno nogi wyciągać... No, do widzenia, pozwól, że tu znowu do ciebie zajrzę.

— A tam, na Smolną, nie zajrzysz? Twarz Zygmunta drgnęła nerwowym spazmem.

Odwrócił się prędko i już we drzwiach rzekł:

— Nie, to za czyste powietrze dla mnie. Mógłbym się udusić,

Wybiegł z fabryki i wskoczył do powozu.

— Dokąd? — spytał furman.

— Dokąd?... prawda... wszystko jedno... Kazał się wieźć na Włodzimierską, a w pół

godziny potem siedział w buduarze pani Porzyckiej, przyglądał się jej buczikowi, wyglądającemu z pod sukni, i ziewał.

— Czy pan przyszedłeś tylko po to, by mię przekonać, że ci się spać chce? — zapytała pani Manusia i skrzywiła usteczka.

On zaś odparł:

— Nie, przecież miałem poleczone przyjść. Jestem i czekam na rozkazy kwiatu... kwiatu... no, jakżeż panią nazwano na wczorajszym balu?

— Znać, że nie pan upatrzyłeś to podobieństwo.

— O! naturalnie. Nigdy nie byłem poetą, ale zaraz... otóż jest! Co błady kwiat lotosu rozkaże najpoddanśszemu ze sług swoich?

Kiwnęła głową z uśmiechem i odparła:

— Nic — kwiat lotosu się nudzi.

— Aa... to zupełnie tak, jak ja. Możebyśmy sobie posłali po pana Porzyckiego? On się nigdy nie nudzi.

— Dziękuję, jesteś pan bardzo uprzejmy.

Zerwała się, przez chwilę biegała po pokoju, a potem usiadła przy nim.

— W sobotę daję duży wieczór — dla pana.

— Dla mnie?

— Tak, żebyś się pan nie nudził. Proszę podziękować.

Wyciągnęła do niego rękę, on ją wziął, i pocałował, potem puścił i rzekł:

— Dziękuję, wdzięczność zachowam nawet po śmierci, ale nie będę.

— Co? Nie będziesz pan na moim balu?

— Nie.

— Dlaczego?

Oczy jej migotały, a on na to patrzył bez uśmiechu i odparł sucho :

— Mam wieczór zajęty.  
— Nieprawda! wszyscy będą u mnie.  
— Być może, ale ja będę u tych nie wszystkich.  
— Więc u kogo ?  
— U kogo, u kogo... Szukał w myśli i nagle rzekł:  
— U Krępiców.  
— O ! co to, to nie pozwolę. Taką wizytę można odłożyć na inny dzień, a w sobotę pan będziesz ze mną tańczył pierwszego kontredansa i mazura.  
— Ja właśnie mogę odłożyć wszystkie inne wizyty, tylko tej nie.  
— Doprawdy? Jakże żałuję, że pan w tę sobotę zrobisz wyjątek! Krępicowie obiecali być u mnie.  
Lecz Zygmunt uśmiechnął się szydersko.  
— Nie udała się mistyfikacja.  
— Mistyfikacja ? Może się założymy ? A jemu teraz błysnęły oczy.  
— I owszem i o co tylko pani zechce.  
— A discrétion! Jesteś pan tak mało wymagający, ja zaś żądam zwykle tak wiele, że albo nic nie stracę, albo dużo zyskam.  
Wyciągnęła do niego rękę, ale Zygmunt jej nie wziął. Otoczył panią Porzycką ramieniem i z ustami przy jej twarzy szeptał:  
— Nie radzę przegrać zakładu i nie radzę ufać mojej dyskrecji...  
— Panie Zygmunco!  
Pomimo to, nie odsunęła się od niego i gdy poszukał jej ust, nie odwróciła głowy....

A tego samego dnia wieczorem, Krępicowie mieli wizytę pani Porzyckiej.  
— Będziecie państwo u mnie, musicie być, przecież mnie się to należy za ślub! — prosiła.  
Pani Emilja patrzyła na nią zdumiona, Krępic także, ona zaś prosiła dalej.  
— Prowadziłam pana do ołtarza, panie Andrzeju!... To pierwsza większa zabawa u mnie. nie odmawiajcie!... Milcia powinna się czasem zabawić!  
— Mila jest niezdrowa — zauważył Krępic.  
— No widzi pan! Zaraz byłaby zdrowsza... każdemu potrzebna rozrywka, a już co młodym, to koniecznie!  
Krępic się ożywił.  
— Gdyby to była prawda i gdyby tylko Milka chciała, byłbym pani bardzo wdzięczny — rzekł i patrzył na żonę.  
A panią Emilję ogarnęła teraz szalona chęć zobaczenia ich tam — razem. Nie widziała go po powrocie do Warszawy ani razu, podobno był wesoły, jak król i... kochał Maniusię. Onaby poznała, czy to prawda, tylko raz spojrzalaby na niego i wiedziałyby...  
Podniosła wzrok na męża i oblała się rumieńcem.  
— Nie! to jest dzieciństwo, szkoda pieniędzy — szepnęła.  
— Co, pieniędzy? Co ty mówisz, Milo ? Jeżeli masz choć cień ochoty, to pójdziemy i może się naprawdę rozerwiesz?

Patrzył na nią rozjaśnionymi oczami, a pani Porzycka się zerwała i poczęła klaskać w ręce.

— To już jakby dane słowo! — wołała. — Dziękuję, dziękuję wam, naprawdę serdecznie!

I całowała Krępicową, śmiała się i nie odeszła, aż Krępic podał jej rękę i rzekł:

— Będziemy.

Ale tymczasem pani Emilja nie mogła się zdecydować i przynajmniej dziesięć razy każdego dnia mówiła sobie — będę, a potem — nie, nie będę. Żyła przytem w ciągłej gorączce i ostatecznie pewno nie byłaby poszła, gdyby się w to nie wdała Bodziewiczowa.

— Ależ moja droga, albo tak, albo tak, raz się już zdecyduj!

— Byłoby lepiej, żebyś została w domu — odpowiedziała Krępicowa. — Żałuję, że kupiłam na suknię.

— Co? Już kupiłaś? Ubieraj się i chodź ze mną do magazynu. Nie cierpię żadnych wahań, zwłaszcza też w drobiazgach.

Zaprowadziła siostrę do krawcowej, sama dawała wskazówki i sama ją ubrała w dzień zabawy.

A potem pobiegła do Kręcica i przyprowadziwszy go, rzekła z tryumfem:

— Patrz pan!

Pani Emilja stała na środku pokoju, z wodnemi liljami u piersi i ramion, w jedwabiu, który się mienił zielonkawą i srebrzystą barwą jeziora w górach, miała twarz bladą, oczy gorejące i usta rozplamienione, jak owoc głogu.

Krępic nigdy nie widział żony tak ubranej.

Patrzył na nią bardzo długo, z oczów mu szło zdziwienie i zachwyt, a ona rzekła:

— Taką mam treść, jak podłotek, którego pierwszy raz biorą na bal.

I rzeczywiście drżała, choć oczy i usta jej się paliły gorączką.

A gdy w godzinę potem, prowadzona przez Porzyckiego, przechodziła przez jasny salon, Zygmunt pochylił przed nią głowę w ukłonie, poczem przysłonił oczy ręką, jak przed blaskiem i zacisnął zęby, żeby nie jęknąć.

— Kto to? — zapytał go blady młodzieniec, który ciążył przy nim, jak satelita, nosił taką samą butonierkę i brodę i bardzo cierpiał nad tem, że mu się włosy nie chciały układać tak, jak pięknemu Znamienieckiemu.

— Nie wiem — odparł Zygmunt krótko i nie spojrzawszy na zdziwionego satelitę, cofnął się w róg pokoju.

' Skończono walca. On ciągle siedział bez ruchu i z głową opartą o ścianę, chodził oczami za zielonym jedwabiem i liljami.

Ale stanęła przed nim pani Manusia.

W żółtej, błyszczącej gazie, była podobna do rozkwitłej „Marechal Nil”. Dotknęła wachlarzem jego ramienia i szepnęła:

— Czy nowe kaprysy? Przypominam o zakładzie i o tem, że teraz ja rozkazuję. Proszę tańczyć... inaczej siedzenie w kącie stanie się dla młodzieży ostatnim wyrazem mody i... mój bal się nie uda.

— Niema obawy. Tańczą jak warjaci — odparł Zygmunt i podniósł się.  
— Ale ja chcę, żeby tańczyli ci, których... których kocham. Zaraz będzie kontredans.  
— Wiem o tem, byłbym szczęśliwy, ale mię dziś ten tłum gniewa... naprawdę nie mogę.  
Popatrzył jej w oczy.  
— Przecież i najokrutniejsze królowe bywają czasami względne dla swoich niewolników... Czy moja królowa mnie nie rozumie i jest bez serca ?  
— Bez serca, ja? Czy to ma być szyderstwo? Oczy jej zwilgotniały, ale zaraz się rozjaśniła i szepnęła:  
— Rozumiem... i jabym wołała, żeby tu dziś nie było nikogo... i mnie smutno. Nie tańcz, jeśli tak wolisz.  
Wrzuciła mu do szapoklaka różę i odeszła, a on odetchnął, jak po wielkim wysiłku i siadł na dawnym miejscu.  
Lecz teraz zbliżył się do niego Krępic.  
— Ledwim cię znalazł! Cóż to, nie tańczysz wcale ? — spytał i siadł przy nim.  
— Nie, nie mam humoru.  
— To po cóżeś przyszedł?  
— Bo nie miałem nic lepszego do roboty, ale ty...  
— Ja chciałem, żeby się Mila trochę rozerwała. Jest jakaś niewyraźna, apatyczna, czegoś posmutniała, lecz pocieszam się, że to nerwowe i minie.  
Krępicowa właśnie się przesuwała po po

sadzce, lekko, uśmiechnięta, z oczami jak żużle. Zygmunt na nią popatrzył i rzekł:

— Z pozoru trudnoby ją o to posądzić.

— Tak, rozbawiła się. Jestem wdzięczny Porzyckiej, że jej ta myśl przyszła do głowy.

Rozmawiali urywkami, bo Zygmunt widocznie nie miał usposobienia do gawędy. Krępic często chodził do żony, zamieniał z nią parę słów i wracał, a wokoło tłum warjował w galopadzie, w mazurze i znowu — w walcu.

Lecz Krępicowa już drugiego walca nie tańczyła. Podniosła się i przeszła do sąsiedniego pokoju, a w ślad za nią przyszedł Krępic ze Znamienieckim.

— Patrz, przyprowadziłem ci winowajcę, który dlatego do nas nie przychodzi, że się dusi w czystym powietrzu. Jeszcze umie się wstydzić, bo nie chciał tu ze mną przyjść.

— Doprawdy?

Pani Emilja wyciągnęła rękę do Zygmunta, poczem siadła i mówiła dalej:

— Słyszałam, że pan jest mistrzem w wesołej zabawie i że karnawał wiosenny tylko panu zawdzięcza swoje niezwykle ożywienie, wszakże dziś...

— Dziś go głowa boli — odparł Krępic za przyjaciela.

— Tak?... Jaka szkoda! Niektórzy utrzymują że dzisiejsza młodzież już się nie umie nawet bawić. Tymczasem pan podobno przechował tę z pradziadowskich tradycji, podtrzymuje ją z wielką energią i może ze starych gruzów wzniesie coś nowego!

Mówiła z szyderstwem, ale głos jej widocznie drżał, i gdy spotkała się ze wzrokiem Zygmunta, zawiódł ją. Umilkła i odwróciła głowę, a we drzwiach stanęła pani Porzycka.

— Panie Andrzeju, podaj pan ramię mojej matce, idziemy do kolacji!

Krępic wyszedł, ona zaś spojrzała zdziwionymi oczyma na jego żonę.

— Jakto, Milciu, jeszcze nie masz towarzysza?... Czekaj, w tej chwili...

Lecz Znamieniecki zbliżył się prędko i podając ramię pani Emilji, rzekł:

— I owszem, jest, jeśli naturalnie pani Krępicowa pozwoli.

Oczy pani Maniusi zamigotały. Otworzyła usta, jakby chciała protestować, ale nie powiedziała nic i wyszła. A

Krępicowa położyła rękę na ramieniu Zygmunta. Uczuli, że drżą oboje, on zdziwiony tem, ona nie, w milczeniu weszli do salonu i szli razem z tłumem, i milcząc siedli obok siebie przy stole.

Ona jadła bardzo mało, on nie jadł nic, ale zaraz wziął z rąk służącego butelkę z winem, i napełnił niem swoje wszystkie kieliszki.

Poczem je wypróżnił po kolei i po chwili rzekł:

— Czemu pani nie mówi, że ja i inne tradycje ojców umiem przechowywać ?

Próbowała wytrzymać jego wzrok, ale nie mogła i odwróciła głowę.

— Widzę — szepnęła — i tak mi żal...

— Żal... Pani umie żałować? To, zdaje się, zupełnie nowa struna w pani sercu.

— Może, ale pan nawet nie przypuszcza, ile to wszystko kosztuje Andrzeja i — mnie.

— I panią! Roześmiał się.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, co pani właściwie myśli o osobie tak mało godnej współczucia, jak ja ?

— Myślę, że jest naprawdę godną współczucia i...

— I cóż więcej ?

— I dałabym wiele, tak, wiele... byś pan miał więcej hartu duszy.

Patrzył na nią z wielką uwagą, poczem nagle sięgnął po nowy kieliszek i gdy go wychylił, rzekł:

— Więc pani już teraz umie się litować nie tylko nad ciemnotą i nędzą... Ogromny postęp, tak wielki, że kto wie, czy pani jeszcze kiedy nie zrozumie burz, w których hart duszy nie jest w stanie uratować od nieszczęścia całej załogi.

Poruszyła się żywo.

— Już... — zaczęła i nie dokończyła.

— Pani mówi ?

— Nic nie mówię — odparła prędko i wyciągnawszy rękę po swój kieliszek, także wypila cały.

Milczeli teraz oboje. On już był pewny, że ona wie wszystko i że ma dla niego litość, coś w nim szalało, tylko nie wiedział, czy to ból,

czy radość i chwilami zaciskał dłonie, aby oprzytomnieć i przynajmniej zdać sobie sprawę z tego, gdzie jest. Tymczasem zaczęto roznosić szampana, więc wziął w rękę pełny kieliszek i rzekł:

— Czy pani pozwoli wypić na szczęście swoje i Andrzeja?

— Nie — odparła prawie szorstko.

— Czy dlatego — nie, że temu szczęściu już nic nie można dodać, ani ująć ?

Ręka pani Emilji trzymająca kryształ, drgnęła i trąciła o talerzyk. Kryształ pękł, złotawy strumień wina popłynął na białym obrusie, a ona na to patrzyła i miała w oczach prawie przestraszonych.

— To nic! To na większe szczęście! — zawołał Zygmunt i podał jej swoje wino.

Poczem skinął na służącego i z nowym kieliszkiem w ręku, z ogniem w oczach, mówił:

— Niech pani pije bez namysłu !... Szczęścia nigdy nadto!

— Więc dobrze, ale to będzie na pomyślność pana. My mamy więcej hartu.

Wybuchnął śmiechem.

— Więcej? Czy pani była na biegunie?

— Nie.

— Więc skądże pani może mówić o mrozach ?

— Nie rozumiem... Lepiej dajmy pokój kieliszkom, bo pan już pił za dużo.

— O nie! Niechaj los zgarnie wszystko szczęście świata i rzuci je pod nogi żonie Katona i — jemu!

Postawił próżne szkło na stole, poczem utopił w niej gorejące oczy i napół przytomnie wołał:

— Pani musi wypić takie zdrowie! Sięgnęła po wino i rzekła cicho:

— Wypiję, ale na szczęście pana. Niechaj życie da wszystko dobre i...

— I co?

Zaczął odsuwać krzesła i wstawać, pani Emilja nie dokończyła, znowu położyła rękę na jego ramieniu, a on ją prowadził i mówił szeptem:

— Ja dopowiem, co nie zostało dopowiedziane : i zapomnienie w śmierci.

Posadził ją przy drzwiach buduaru pani Porzyckiej, stanął obok, a zaraz potem przyszedł Krępic.

Fale powietrza znowu drgały walcem, ale pani Emilja odmawiała.

— Już nie tańczysz ? — zdziwił się Krępic.

— Nie. Chętnie wróciłabym do domu.

— I ja także. Wysuniemy się niedługo. Lecz Zygmunta przejął teraz formalny strach,

że ona odejdzie, że już nie będzie mógł na nią patrzeć, a równocześnie przeszło mu przez głowę, że gdyby był tańczył, byłby ją miał, ileby razy zechciał, w objęciu, blisko, na swojej piersi. Zaćmiło mu się w oczach na samą myśl o takiej rozkoszy i takim bólu.



— Byłoby lepiej — rzekł nagle gdyby pani po kolacji przetańczyła jednego walca... chociaż jednego.

Potrząsnęła głową i cofnęła się.

— Nie, o nie!

Krępic wszakże poparł prośbę przyjaciela.

— Dlaczego, Milciu? Przecież najwięcej lubisz walca, a z nim nigdy nie tańczyłaś? Podobno jest mistrzem, tylko ja się na tem nie znam.

— Nie, mój drogi!... Wolałabym nie — broniła się pani Emilja.

Lecz Znamieniecki już się przed nią skłonił i czekał. Podniosła się, ociągając, położyła ramię na jego ramieniu, a gdy ją otoczył ręką, na jedno mgnienie oka błysnęła w jej głowie świadomość, że powinna się cofnąć. Błysnęła i zgasła... On ją do siebie przygarnął miękko, potem silnie, jak kleszczami i uniósł w krąg świetlisty, falujący rytmicznie, pełen harmonji, nagłych błysków i mroków, ognia w żyłach, tętna w pulsach i omdlenia w sercu.

Teraz zrozumiała. Kochała tego człowieka tak, jak musiała kochać jego matka i te kobiety, które giną z namiętności.

Drżał w niej każdy nerw, a to drzenie było rozkoszą. Bezprzymienna, garnęła się do jego piersi, chyliła twarz do jego twarzy i oddechy ich się pomieszały.

A Zygmunt oszalał.

— Kocham cię, kocham, czy słyszysz ?... Jak kwiat rosę, jak słońce wiosnę, jak zbrodniarz swoją zbrodnię... kocham cię, kocham... kocham...

Teraz cały świat wirował i rozbrzmiewał tym jednym wyrazem, on go powtarzał gorejącymi ustami, cisnął ją do siebie coraz mocniej, miał

dżył w ramionach, chciał wziąć w siebie i nie oddać, chyba śmierci.

Jęknęła. Brakło jej oddechu, powietrza, przytomniała bólem, jeszcze chwila, i udusi ją.

— Boże, ratuj mnie!

Lecz teraz i Zygmunt oprzytomniał. Stanął, jeszcze ją chwilę trzymał w objęciu, rozglądał się wokoło oczami szaleńca albo pijanego, poczem poprowadził ją do męża i uciekł.

— Zmęczyłaś się — rzekł Krępic — tańczy, jak wariat i to się ma nazywać przyjemnością.

Nie odpowiedziała nic. Jak ryba wyjęta z wody, chwyciła ustami powietrze, rękami cisnęła serce i z głową opartą o ścianę, patrzyła przed siebie rozszerzonymi źrenicami.

— Gdy odpoczniesz, pojedziemy, dobrze ? — odezwał się po chwili Krępic.

— Nie, jedźmy zaraz, już odpoczęłam. Podniosła się, weszła do buduaru, minęła salon jadalny i w przedpokoju sama zaczęła szukać swego futra.

— Czekaj, jeszcze się więcej zmęczysz! — wołał Krępic. — Ja sam poszukam, przecież nic pilnego.

Wydobył płaszcz żony, zarzucił na jej ramiona i podał narzutkę.

Ale ją teraz siły' opuściły. Napróżno próbowała owinąć głowę. Z obwisłymi rękami oparła się o ścianę i stała bez ruchu, a on naciągnął paltó i zawoławszy: Zaczekaj chwilkę! — wybiegł sprawdzić, czy już są konie. Została sama. Na sofce, przykryty jakimś

białym angorowym płaszczem, spał służący, z salonu leciało echo walca, ale we drzwiach przeciwległych stanął Zygmunt.

Nie drgnęła. On się zbliżył, blady jak śnieg jego własnej koszuli i milczący jak sylwetki paltó i płaszczów, wiszących pod ścianami, stanął przed nią i zgiąwszy oba kolana, pochylił głowę do jej stóp — do ziemi.

Nie drgnęła. Ujął koniec jej płaszcza, przycisnął do ust, poczem wstał i nie patrząc na nią, wyszedł.

A gdy się drzwi za nim zamknęły, wpadł Krępic.

— Jedziemy!

I pojechali.

Pani Emilja, wtulona w róg powozu, milczała przez całą drogę, a potem wbiegła do swego pokoju i przy świetle nocnej lampy poczęła z siebie zrywać ubranie.

Jeszcze nie była w stanie myśleć, jeszcze co chwila krew jej uderzała do twarzy i serce omdlewało, ale słabe błyski świadomości już poczęły ją ściągać na ziemię.

Więc rwała na sobie ubranie, padała na sofkę z twarzą w dłoniach i słuchała, jak jej nerwy drgały — Kocham cię, Kocham... i znowu rozpoczynała nieprzytomną wędrówkę po pokoju, ścieląc drogę jedwabiami, kwiatami i liśćmi, które z siebie zrywała dygoczącymi palcami.

Stała na środku pokoju, oblana z góry gorącym światłem pąsowej lampy, z rozwianymi włosami, napół rozebrana, gdy klamka drzwi stuknęła.

— Nie można!

Skoczyła w róg, ku sofce i schwyciwszy narzutkę z białego futra, otuliła nią sobie ramiona, ale Krępic już stał we drzwiach i mówił zdziwiony :

— Nie można? Chciałem ci tylko coś powiedzieć, Milko.

Osunęła się na kanapkę i jarzącymi oczami, patrzyła na wysokiego mężczyznę, który szedł do niej z uśmiechem na pąsowych ustach pod czarnym wąsem.

Miał jeszcze na sobie frak i biały krawat.

Jej mąż! Ten człowiek, to jej mąż i ona do niego należy.

Nie spuszczała go z oczów nawet wtedy, gdy siadł przy niej i mówił:

— Taka jesteś dziwna, Milciu... ale ja ci chciałem powiedzieć, tylko się nie śmiej i nie gniewaj... chciałem ci powiedzieć, że gdy patrzysz na ciebie, byłem szczęśliwy, bo tamci wszyscy ludzie są dla ciebie niczym, bo tyś moja, tylko moja...

Zatrzymał się i wybuchnął:

— Milko, żebyś ty wiedziała, jaka ty piękna! I chwycił ją w ramiona i ustami, usuwając futro, przylgnął do jej szyi. Ale ona się wstrząsała, jak pod dotknięciem gadu, obu rękami odepchnęła jego głowę, wyrwała się i odskoczyła na środek.

Futro jej się zsunęło z ramion i do nóg upadło.

Nie czuła. Stała z obnażonymi ramionami,

w płaszczu z jasnych włosów i drżała wstrętem.

— Milko!

W głosie Kręcica było zdziwienie i tyle bólu, że ona teraz zasłoniła twarz rękami, a potem się osunęła na dywan i napół klęcząc, podniosła oczy na męża. Był to pokorny, żałośny wzrok bitego psa.

— Miej litość, zostaw mnie samą —samą — chcę spokoju — litości...

Krępic się ocknął z osłupienia, chwycił ją za ręce, posadził, a widząc, że cała dygocze, okrył chustką i dopiero teraz zaczął mówić:

— Na Boga, dobrze — wszystko, co zechcesz, tylko się uspokój... uspokój się, dziecko moje... mój ptaku biedny! :

Zrobiła ruch, jakby chciała oprzeć zmęczoną głowę na jego ramieniu, ale to samo uczucie, co pierwej, nieprzewyciężony wstręt, odrzuciło ją w róg sofki.

— Zostaw mnie! — jęknęła cicho.

Więc odszedł, ociągając się i ze schyloną głową, a ona pozostała skurczona w rogu sofy i błędnymi oczami patrzyła na drzwi, za którymi zniknęła.

— Wypędziła go!... Człowieka, który zasługiwał na więcej czci i miłości, niż wszyscy ludzie, jakich znała, wypędziła!... Pomimo, że to był mąż... mąż! Ha, ha, ha, więc to jest miłość, i ona jest też do takiej zdolna... Tamtego by nie wypędziła, do tamtego ją coś pchało, a tu wstręt, ohyda, rozpacz!... Ha, ha, ha!... Więc tem jest

jej małżeństwo, uświęcone przez kościół, uznane przez ludzi... sprzedaż, tylko nie z nędzy i nie za brudny papierek, o nie! za cenę jego nazwiska, prawości, pracy... i ona go odtrąciła, jakby nie miał do niej praw pana i nabywcy...

odtrąciła, bo inny zbudził w niej zmysły, ha, ha, ha! Ona i zmysły!...

Z rękami we włosach, z głową w poduszkach sofy, pani Emilja wiała się jak wąż, przydeptany nogą.

— Była przecież człowiekiem, nie kapłanką, nie lalką, rozumiała życie, kochała jego wielkie cele, patrzyła z wyżyn na nędze, płynące z małych namiętności... na tych wyżynach mała namiętność spadła na nią, jak sęp, urosła w olbrzyma i zdeptała ją na prochy, na brudne prochy... ją, chłodną, pogardliwą dla wszystkiego, co było wybuchem i uniesieniem, ha, ha, ha!...

Śmiała się, ale ten śmiech był raczej łkaniem, które w sobie dusiła, gryząc palce i chowając twarz w poduszki.

— Tak, i ona stanęła na biegunie, miała tu wokoło siebie lód i pustkę, a tam, on — sam jeden, oszalały, może myśli o śmierci!... Kocham cię... jak zbrodniarz swoją zbrodnię..., powinna iść ratować, stanąć przy nim... Co winien?... Co ona winna? Kto zawinił?...

Wyczerpana, leżała bez ruchu i miała przed oczami złotą głowę tamtego i twarz tamtego, wybladłą, wynędzniałą, ale taką piękną, o Boże! Taką kochaną!

Przymknęła oczy, on przed nią klęczał, a ona

kładła mu ręce na włosy i mówiła: —Ty i ja... na całej ziemi nas dwoje, pójdziemy razem, bo musimy iść, bo to wola najwyższa... my słabi...

Wstąpiła w nią cisza i oderwała ją od ziemi i w pokoju było cicho, tak cicho, że z przeciwległego rogu poczęły teraz iść jakieś szmery, dawniej niedosłyszalne, a teraz podobne do szeptu wody, albo westchnienia liści, rozkołysanych w słońcu. Słuchała długo, a potem się zerwała i skoczyła tam, skąd szły szmery.

W łóżeczku, na białej poduszce, spało dziecko — jej syn — nie, syn Andrzeja!

Biała twarzyczka uśmiechała się we śnie — może do matki... rozchylone usteczka oddychały tak, jak kwiat oddycha.

Patrzyła i szeptała:

— Ma ojca, silnego ojca i ją... matkę, nabytą za nazwisko i za kąt... a tamten nie ma nikogo, na całym świecie nikogo... i nie będzie miał, skądże? Gdyby poszła, to byłaby hańba i zbrodnia, a gdy zostanie i będzie kłamała miłość, wejdzie na sam szczyt obowiązku i honoru. To jest honor kobiety, to. Raz sprzedana, powinna ulegać! Powinna, tylko czy będzie w stanie...

Zatrzęsa się wstrętem, znowu zatopiła palce we włosy i odskoczywszy od dziecka, rzuciła się na własne łóżko.

Ale gdy nazajutrz rano Krępic wszedł do pokoju żony, pokój był pusty.

— Pani poszła do kościoła — objaśniła służąca.

Zdziwił się, bo jej się to rzadko zdarzało, i prócz tego, była wczoraj bardziej rozdrażnioną, niż zwykle i musiała być zmęczoną.

Poszedł do fabryki przygnębiony. Coś się działo niezwykłego z tą jego Miłą, ale co, nie mógł pojąć. Przypominała mu teraz dawną pannę Emilję z Kamionki, czasami smutną i apatyczną, to znowu rozdrażnioną, z oczami we łzach i rozgoryczoną. Nic się nie zmieniła, on był taki jak dawniej, jej życie było takim, jakie je mieć chciała, lecz w tej biednej głowie musiały być znowu jakieś wątpliwości. Po ślubie, mówiła mu o każdej, on jej wtedy tłumaczył życie, ona się upierała przy swoim, ale w końcu porozumiewali się — teraz o nic nie pyta, choć widocznie coś ją nurtuje. Nigdy jeszcze godziny biurowe nie wydały mu się tak przeraźliwie długie, jak dzisiaj. Gdy minęły, zapomniał wziąć pałta i poleciał do domu, ale dom był pusty, tylko dziecko płakało.

— Pani nie była wcale?

— Była, ale znowu wyszła i nie kazała czekać z obiadem — odpowiedziała służąca.

Pierwszy raz się to zdarzyło od czasu ślubu, więc go zdjął lęk.

— Czy pani nie mówiła, dokąd wyszła?

— Mówiła. Do pani Bodziewiczowej i do państwa Rańkowskich.

— Tak... naturalnie... do kogóż miałyby iść?... Ale po wczorajszym zmęczeniu...

Siadł przy stole razem z dzieckiem i nagle wpadła mu do głowy myśl, że ona może się

wstydzi swego wczorajszego rozdrażnienia i dlatego nie chciała się z nim widzieć. Serce mu się ścisnęło żalem.

— Biedactwo!... Ale powinna już wiedzieć, że onby jej przebaczył zbrodnię, cóż dopiero szczęście, które ma przez nią!

Długo po obiedzie ociągał się i czekał, ale się nie doczekał, bo gdy Emilja wróciła, już była blisko piąta.

Kościół nie dał jej spokoju, choć klęczała w nim bardzo długo z twarzą w dłoniach i ze wszystkich sił próbowała się modlić.

Więc jeszcze raz wyszła, była u Marychny i u Rańkowskich i dopiero tam poczęła czuć grunt pod nogami.

Pani Rańkowska opowiadała jej o swoich kłopotach i zmartwieniach. Młodsza córka wyszła za męża, była chora i nie miała środków na radykalną kurację. Synowie kształcili się za granicą, ale oni — rodzice — nie mogli im dać dostatecznej pomocy. Winia się zapracowywa, że aż smutno na nią patrzeć...

— Tak, Rańkowsy, to rzeczywistość, praca, życie. Wszystko u nich takie proste, i myśli i uczucia!

Pani Emilja wyszła stamtąd, jakby z zimnej kąpieli, czuła mniej gorączki w mózgu, widziała jaśniej i wracała do domu prawie spokojna.

— Będzie codzień dużo chodziła — myślała teraz — przyjmie więcej dzieci do nauki i Zygmunusia już zacznie uczyć. Trzeba także dużo czytać i to rzeczy ciężkie. W domu tyle zajęcia!

Andrzej nie pozwala jej szyć, bo wie, że ona tego dawniej nie lubiła, ale teraz będzie. Wyuczyła się, uczyć dzieci, to nic trudnego, a każda praca jest dobra, byle pożyteczna. Tak, praca, od rana do nocy, od rana do nocy!

Wolno wstępowała na schody, a że wzięła klucz od zatrasku, sama sobie drzwi otworzyła i cicho weszła do przedpokoju.

Lietta farebbe a Dio l'alma ritorno

A primavera é sul morir giorno.

Pani Emilja stanęła, jak zahipnotyzowana. Miała źrenice rozszerzone, otworzyła usta, chyliła się w stronę drzwi saloniku i piła głos, który był cichy, ale rozsadał jej serce.

Vorrei morir!

Vorrei morir!

Śpiew dawno się rozplynął w westchnieniu, zaległa cisza, ale ona jeszcze słuchała, przegięta w stronę pokoju, gdzie był on.

Nagle przeciwnie drzwiami wpadł śmiech dziecka. Wyprostowała się, jak struna, pędem wybiegła z przedpokoju, minęła jadalny i wpadła do sypialnego.

Zygmunt się bawił na ziemi, obok niego siedziała służąca i pociągała za sznurek papierowego pajaca.

— Pan Znamieniecki jest i czeka na panią.

— Dawno?

Zrzucała z siebie okrycie, rękawiczki i kapelusz, a służąca mówiła:

— Już z godzinę. Powiedziałam, że niema nikogo, że pani nie była na obiedzie, ale pan Znamieniecki zaraz wszedł do pokoju i widać czeka.

Nie odezwała się, tarła rękę o rękę, jakby jej zeszywniały palce, potem wolno weszła do swego gabinetu, stanęła, wreszcie prędko go minęła i we drzwiach znowu się zatrzymała.

Zygmunt siedział przy fortepianie, bokiem do niej zwrócony, z łokciami opartymi o klawiaturę, z palcami we włosach. W pokoju wszystkie krzesła były w nieładzie. Widać nie mógł sobie znaleźć miejsca, albo chodząc poroztrzącał sprzęty. Słońce zachodziło, jasne — majowe, pełzało złotymi smugami po ścianach, krzesłach i posadzce i na włosy siedzącego mężczyzny siało blaski brązu.

Ale pani Emilja widziała tylko tę złotą głowę, taką biedną, choć tak kochaną!

— Gdyby się zbliżyła, przycisnęła ją do piersi, bodaj na jedno mgnienie oka, gdyby tylko powiedziała: nie sam jesteś nieszczęśliwy, wynagrodziłaby mu mękę i może dodała siły...

Na jedno zmrużenie powiek, tylko na jedno! Co to znaczy wobec wieków i wobec dni, które później przyjdą, jako pokuta?

Oto się marnuje i ginie, a ona może go uratować, czuje i wierzy, że może!... To nikczemność, nie podać ręki takiemu! Wyciągnęła ramiona, postąpiła naprzód,

a w tejże chwili Zygmunt się wstrząsnął, uniósł głowę i wstając, odsunął krzesło. Lecz pani Emilji już nie było

— Idź, powiedz panu Znamienieckiemu, że jestem chora i że go nie mogę przyjąć.

Dziwił ją własny głos. Drugi raz jużby go pewno nie wydobyła, bo spazm od niewypłakanych łez ścisnął jej gardło.

Działy się z nią od wczoraj niepojęte rzeczy. Jakaś siła ją pchała raz tu, raz tam, bez jej wiedzy i woli. Po spokoju przychodziła burza, po burzy znów spokój i tak już pewno będzie zawsze.

Siadła na sofce, na tej samej, na której wczoraj odepchnęła męża. Słyszała, że Zygmunt wyszedł i nie miała chęci go zatrzymać, choć czuła, że jej coś zabrał — pewno życie, i patrzyła przed siebie, nic nie widząc.

Dziecko weszło na kanapkę, zaglądało jej w oczy i mówiło:

— Mamusiu...

Więc je gładziła zimną ręką po główce i szeptała:

— Niema mamusi — niema — niema...

A potem przyszedł Andrzej. Przechyliła go już na schodach, słyszała, gdy wkładał klucz w zamek. Odsunęła dziecko, podniosła się, przeszła do pokoju męża i stojąc, czekała.

Już zaczął zapadać mrok, ale gdy mąż przed nią stanął i zobaczył sztywną, jakby zakrzepłą, cofnął się i milcząc, patrzył.

Ona zaś rzekła:

— Był tu Zygmunt Znamieniecki.

I gdy jej nie przerywał, dodała:

— Lecz go nie przyjąłem.

— Dlaczego, jak mogłaś? On jeszcze na to nie zasługuje i jest moim przyjacielem...

Zaświtało mu teraz w głowie, że Zygmunt mógł ją wczoraj czym obrazić, jest czasami jak skończony warjat, zrobił jej przykrość, a ona teraz taka dziwna i rozdrażniona, ma o to żal do nich obydwóch. Ożywił się.

— On sam siebie przedstawia gorzej, niż jest rzeczywiście, ja pragnęłam pociągnąć go do nas i ty, Milko, powinnaś być pobłażliwszą!... Jeśli masz żal, to mi powiedz, o co, nie bądź taka dziwna!

Podszedł do niej, a ona się cofnęła.

— Jestem bardzo pobłażliwa, szczególnie dla siebie. Zygmunt nie może bywać, ani tu, ani tam — u ciebie, w fabryce.

— Dlaczego? Nie wierz plotkom, Milo, wierz mnie i powiedz, o co chodzi?

Pani Emilja miała teraz słabą świadomość, że temu bezgranicznie ufnemu człowiekowi zada cios, ale prócz tego czuła, że co się ma stać, stać się musi. Nie może go oszukiwać, przynajmniej to z siebie zdejmie... przytem, już nie ma sił, więc niech on za nią myśli i robi.

— Nie może bywać u nas, bo mnie kocha i ja go kocham, a ty powinieneś o tem wiedzieć!

Wyrazy wychodziły z jej ust, jakby zmęczone i senne, lecz gdy padły, wydały się obojgu tak głośne, że pokój Kręcica nie mógł ich pomie

ścić. Od każdej ściany i od każdego sprzętu szły echa i wdzierały się do ich mózgu, a potem zgasły i zrobiło się zupełnie cicho.

Lecz teraz Kręcic skoczył, schwycił żonę za ramiona i wyrzucił z siebie głosem chrypliwym: — Straciła zmysły!

Nie puszczał jej, a ona mówiła dalej, wolno, sennie, jak lunatyczka:

— Nie, Andrzeju, to już tak dawno... tylko ty nie wiedziałeś. Myślałam, że się przemogę, a teraz widzę, że nie... jestem słaba, a to taka wielka moc... wielka moc...

Gięła się pod naciskiem jego ramion i ostatnie wyrazy zgasły jej na ustach w westchnieniu. On teraz zrozumiał, jęknął, puścił ją i krzyknął:

— I czegoż ty chcesz odemnie?

Tak, naturalnie! Trzeba być mężem, żeby być ślepym! Tamten już dawno zwarjował i nie bywa u nich, ta już dawno chodzi, jak obłąkana... ale trzeba być mężem, aby być aż tak ślepym! aż tak ślepym!

Wstrząsnął się i jeszcze raz krzyknął:

— Więc czegoż ty chcesz odemnie? A ona rzekła:

— Nic. Jesteś silny, ja już nie mam sił... nie umiem myśleć... Ratuj mnie!...

Patrzył na nią osłupiały, bezmyślny i powtarzał:

— Jesteś słaba, ja jestem silny — silny — o tak! Ale wyjdź, zostaw mnie na krótko, na jedną minutę... Wyjdź!

Odepchnął ją, bo się chciała teraz uchwycić jego ramienia i ostatni wyraz wyrzucił z siebie brutalnie. Ona przez chwilę ścisnęła skronie rękami i chwiejąc się, odeszła.

## VI.

Wielkie wrażenia mają jedną wspólną cechę z obrazami szkoły nowożytnej.

Na bardzo bliską odległość oczy widzą tylko grubą warstwę farby i chaos barw — dusza widzi tylko nagły błysk i odczuwa uderzenie — więcej nic. Tylko z właściwego punktu patrząc, można zrozumieć myśl obrazu i doniosłość ciosu, a cała różnica w tem, że do pierwszej oceny potrzebna odległość w przestrzeni, do drugiej odległość w czasie.

Po wyjściu żony, Krępic widział tylko chaos barw, patrzył na drzwi, które się za nią zamknęły, i z uporem przyglądał się wąskiej szparze, dzielącej te drzwi na dwie równe części.

— Spaczyły się — myślał — ale kiedy?

Przez chwilę starał się to sobie przypomnieć i dał pokój.

Dawniej zajmowały go małe rzeczy, tylko to już dawno temu — bardzo dawno. Teraz się zmienił, szczęście ludzi zmienia, filistrzeje się... Jak on się bał, żeby nie sfilistrzeć! Panował nad sobą, ale pomimo to dobrze wiedział, że go nic



nie obchodzi biuro, pan Rotte, koledzy, towarzystwo, czytelnia, szpara we drzwiach — nic. Sfilistrzał, tylko o tem nikomu nie powie, bo po co?

— Po co? — powtórzył głośno, oderwał wzrok od pękniętych drzwi i obejrzał się.

Wszystko i zawsze będzie, jak było. Mrok pada tak samo, jak wczoraj i tak samo pali się po drugiej stronie ulicy latarnia. Kładzie czworokątne światła na ścianę i dlaczego nie miałyby kłaść?

„Kocha mnie i ja go kocham... Już teraz wie i widzi, chociaż jest ślepy... On — to Zygmunt, „ostatni z romantyków", a ona, ona... Także będzie wiedział, tylko później, aż to zmaleje i zmaleje ból w głowie, nie w piersi... nic przecie pilnego i trzeba wyjść. Nie ma ochoty, ale pójdzie. Nie będzie filistrem, nawet w szczęściu, to trudno, musi się z tem pogodzić!"

Dotknął ręką czoła i powtórzył:

— W szczęściu... szczęście... raz, dwa, trzy... dziewięć liter. Śmieszne! nie chciał i musiał przeliczyć, nie ma ochoty iść i musi iść... boli go, ale widać musi boleć. Mus jest wszystkim, a on — Krępic jest niczem. Zrobił się mniejszy, mały, zupełnie mały i teraz go niema wcale. Gdzie też to wszystko się podziało?... Ale musi iść.

W przedpokoju się ubrał, potem wyszedł, schody były te same, ale inne, a na ulicy począł wszystkich mijać i często się kłaniał znajomym.

Dziwna rzecz, że go poznawali i że się ni

czemu nie dziwili, ale świat, to mądra maszyna ? Jedno kółko wyleci, cóż to jedno kółko?... Ona ciągle idzie — kręci się — śmieje i ciągle po tem kółku, po głowie, po sercu — jakby nic. Głupstwo! To się nazywa porządek społeczny, ale on sobie z tego nic nie robi. Nie jest liściem, który zmienia byle wiosna, wyrósł z korzenia, ze szczerego korzenia, kpi z liści i rozumie nietylko głupotę, ale nawet niesprawiedliwość...

Armja idzie, żołnierz się przewraca, wszyscy stają, wszyscy, cała Warszawa, pół miljona, cały kraj, cały świat i wszyscy mówią — on mnie kocha i ja go kocham... jaki biedny... Tak, to jest porządek i to jest sprawiedliwość.

Zygmunt się dlatego zmarnował i ona także. Nie, ona jest tylko słaba, sama powiedziała, a on — Krępic, jest mocny i będzie za nią myślał... o! mocny, to nie porcelana, tylko żelazo, to nie Znamieniecki, tylko Krępic!

Staął i rozejrzał się. Miał za sobą ciemną masę i głuchy szum wodospadu, dalej wielką przestrzeń, która spała, przed sobą rzekę, która szła daleko, w świat.

Usiadł na piasku i patrzył na wodę, a potem zdjął kapelusz i myślał.

Doskonale wie, gdzie jest i po co przyszedł. Ciemna masa, to Warszawa, szum, to nie wodospad, tylko maszyna, tamto, daleko — plac mustry, a tu Wisła i on... Będzie za nią myślał. Nie kocha go, ale chce, żeby za nią myślał... Musi jej być zimno, „Tomkowi zimno" i on ją rozgrzeje. Nawet nie potrzeba, żeby go kochała — on ma

ciepła za dwoje, nie, za tysiące, to wystarczy. Tylko musi na nią patrzeć i to zblizka. Żadna nie ma takich oczu i takich ust. Wziął ją i koniec, teraz musi ratować ją, siebie i...

Zerwał się na równe nogi i ścisnął głowę.

I dziecko! Zygmuś!... Ich syn! Trzeba być warjatem, żeby o tem zapomnieć! Zabierze ją i jego i pojada. Nic jeszcze nie widzieli, zobaczą teraz. Będą chodzili razem i razem będą się zachwycali, pokaże jej Włochy, gondoljerzy im zaśpiewają o miłości, słońce ją rozgrzeje — zapomni...

Znowu siadł na piasku, schował twarz w dłonie i — płakał.

Na razie myślał, że zwarjuje. Ona mu powiedziała, że go nie kocha, spadło jak piorun i zabiło go, ale teraz widzi, że nie umarł i że jeszcze będzie żył. Jest silny, jak dąb, nie ugnie się pod nieszczęściem, tylko je dźwignie — płacze, ale z radości, bo wszystko znowu będzie dobrze. Nie wyszedł z ludzi przycywilizowanych, nigdy nie tonął w filozofji, która umie dowieść, że czarne jest białem, że podłość może być bohaterstwem, że proste dogmaty uczciwości, to zdarty łachman. Nie miał po kim odziedziczyć chorych nerwów i mózgu, który poddaje analizie chemicznej własne ja, a w mgłę, buchającej z tej chemicznej retorty, nie jest w stanie oddzielić ziarn zdrowych od ziarn chorych. Tain, skąd on wyszedł, jest wszystko proste, i nienawiść, i miłość i — przebaczenie.

Przebaczenie!

O! jak on im chętnie przebaczy... i jej i jemu! Jego nawet będzie kochał, jak dawniej, bo cóż on winien? I tak już zmarnował życie. Jej nikt się nie oprze, taka słodka i kochana! Pojadą razem. Zygmunt zapomni tu, ona tam! Nigdy nie będą mówili o nieszczęściu, nigdy jej nie zrobi wyrzutu, musiałby być podły! — i w oczy jej będzie patrzył i zgadywał myśli i znowu się zrozumieją.

Tak! Teraz inny świat. Znamieniecka uciekła od męża, Znamieniecki nie umiał przebaczyć, ale oni są inni.

Spojrzał w niebo, podniósł się i zawrócił ku miastu.

Musi się śpieszyć do niej. Jest sama, a tymczasem on tam powinien już być z ratunkiem i z przebaczeniem.

Szedł coraz prędzej i coraz większe go zdejmowało rozrzewnienie. Od czasu do czasu spoglądał w górę i szeptał: — Mój ptak biedny! Mój cały świat! Nigdy nie będzie cierpiała przezemnie... przysięgłem — tam, w altanie nad jeziorem i dotrzymam.

A gdy się znalazł na Nowym Świecie, zdziwiły go puste chodniki. Więc sięgnął po zegarek i szepnął:

— Dwunasta.

W domu wszyscy spali. W jadalnym pokoju paliła się lampa, stół był nakryty, jak zwykle, na trzy osoby, ale samowar wystygł i tylko w tem miejscu, gdzie siadywało dziecko, znać było, że ktoś jadł. Zresztą cicho i głucho.

Krępic stał, długo patrzył na opuszczony stół, a potem poszedł do pokoju żony.

Tam, w nogach dzieciennego łóżeczka, tylko napół rozebrana, skurczona i zziębnięta, leżała pani Emilja. Nie zbudziła się, gdy nad nią stanął i dotknął jej ramienia, i nie drgnęła, gdy ją wziął na ręce i zaniósł na łóżko. Jedna noc bezsenna i dzień szamotania się z sobą, zupełnie ją wyczerpały. Leżała, jak martwa, oczy miała podsinione, zmęczone rysy i usta wykrzywione bólem.

Krępic nie mógł oderwać wzroku od tej twarzy. Szła od niej skarga, na jakąś krzywdę, której przecie on nie zrobił nikomu.

— Pod włoskiem niebem, na twojem gorącym sercu umrze z zimna...

Schwycił się za włosy.

— Nieprawda!... Kto to powiedział?... Nieprawda, fałsz!

Nachylił się nad śpiącą, zbliżka patrzył na jej zaciśnięte usta i powieki zupełnie sine i czuł, że strach pełza mu przez plecy i chwytą za gardło.

— Była dla niego dobra, tylko dobra. Myślał że już jest taka, spokojna i chłodna, a ona tylko — nie kochała. Teraz będzie, jak wszystkie. Miłość, która przychodzi za późno i wyrasta z bólu i walki, jest jak polip — uparta, silna — silniejsza od normalnej. Rzuci dom, jego, dziecko — odepchną ją wszyscy, obrzucą kamieniami, ją, Miłę, jego białą Miłę!... A potem... nie! nie rzuci go, zostanie, będzie żyła, jak teraz, w męce,

całe życie, a on będzie na to patrzył, będzie czuł, że jego miłość jest dla niej lodem, albo piekłem... Tu go odepchnęła, bo już wie, co to miłość, ma wstręt, bo kocha tamtego...

Zatoczył się, wyszedł, pogasił światła i rzuciwszy się w ubraniu na łóżku, leżał w ciemności.

I znowu, to go unosiło marzenie, to go gniotła rzeczywistość. Tracił przytomność i majaczył szeptem, albo patrzył trzeźwo, widział całość nieszczęścia i zmagał się z sobą.

A gdy zaświtał dzień, podniósł się, otworzył okno i począł patrzeć na niebo, zarumienione zorzą.

Już dawniej, kiedyś, widział podobne, a właściwie widziało je coś z niego, co już nie żyło. Dużo rzeczy przez tę noc umarło. Odeszły, przesłoniła je mgła, mgła także odeszła i nie zostało nic. Było, przepadło, niema!

Oparł zmęczoną głowę o futrynę okna, przymknął oczy i szepnął:

— O, matko!

Poczem zaczęto się w domu ruszać. Zamiatano pokoje, przesuwno krzesła i nakrywano stół. Samowar szumiał, jak codzień i jak codzień Miła przyszła, otworzyła szafę kredensową i zasypała herbatę.

On słuchał, a gdy postawiła czajnik na samowarze, stanął we drzwiach i rzekł:

— Proszę cię, Milko, chciałbym z tobą pomówić.

Spojrzała na niego bez zdziwienia, weszła

wolno i stanęła przy drzwiach, a jemu się przypomniało, że tak samo stawała w Kamionce, gdy spodziewała się wymówek od ojca lub matki. Przed tamtymi przykrościami uciekła do niego, a przed tem nieszczęściem dokąd pójdzie? Patrzył na nią długo.

— Pójdź, Milko, bliżej i usiądź, bo to, co powiem, pewno cię wzruszy.

— Nie — odparła, ale podeszła i siadła na sofie.

— Nie wzruszy cię?... Nie?... Nawet — Zygmunt?

Ostatni wyraz wymówił z trudnością, tylko ona tego nie odczuła. Podniosła się, obie ręce przycisnęła do piersi i patrzyła na niego oczami, w których była niewysłowiona trwoga serca.

A jemu gorzko wykrzywiła usta.

— Nie patrz tak na mnie, nic mi się nie stało, przynajmniej ja o niczym nie wiem.

Odetchnęła i znowu usiadła, a Krępic mówił dalej wolno i spokojnie:

— Chciałem ci powiedzieć, że jeśli mamy być wszyscy nieszczęśliwi, to idź do Zygmunta, ratuj jego i siebie... Ja ci dam wolność.

Patrzyła na niego i nie rozumiała, więc on zacisnął ręce, dziwił się, że mu teraz głos trudniej wychodzi z gardła i powtórzył:

— Jeśli zechcesz, będziesz wolna, zupełnie, zostaniesz żoną Zygmunta.

Lecz jej się teraz wydało, że śni.

Patrzyła na męża i zamiast niego, widziała

obraz piękny, jak zorza. Już go od wczoraj nieraz miała przed oczami. Niezawsze umiała walczyć z marzeniem, a marzenie ma tyle farb na swojej palecie i ma tak mistrzowski pędzel! Była na tym obrazie młodą, zupełnie młodą i wolną. Pozwolili jej żyć i pracować, jak chciała, więc pracowała, a potem przyszła miłość nieoczekiwana i nieprzyzywana, przyszła, jak się zrywa po drodze kwiaty. On rzekł — „bądź błogosławiona” i pójdź ze mną, bo bez ciebie niema dla mnie życia, tylko śmierć — a ona złożyła rękę w rękę tego, który kwiat podawał, i poszła, aby mu być wsparciem i siłą i szczęściem.

A Krępic na nią patrzył, widział, że miała na twarzy rozmarzenie i jeszcze raz, głośno powtórzył:

— Możesz być wolną.

Nie pojęła całego znaczenia, ale zrozumiała wyraz. Poczęła drzeć, podniosła ręce do góry i krzyknęła:

— Wolna! Ja — wolna?... Jak, jak, o mów dalej!

On zaś odparł, a te wyrazy były jak wyrąbane z lodu:

— Na świecie są rozwody. Weźmiemy rozwód, w akcie ślubnym jest nieformalność... będziesz wolna, kiedy zechcesz.

— Rozwód, nieformalność...

Cofnęła się, pochyliła głowę i rzekła cicho:

— Przysięgam. W przysiędze niema nieformalności.

Lecz on na to odparł:

— Jest, największa. Nie kochałaś mnie. Milczała, poczem podniosła na niego oczy, które teraz błyszczały gorączkowo, i wyciągnęła rękę.

— A dziecko?!

— Dziecko? Pozostanie ze mną. Jest owocem tylko mojej miłości.

Poczęła się cofać, jak przed widmem, upadła na sofę i zasłoniwszy twarz rękami, drżała, jak w febrze. On wyszedł. Był zdziwiony. Zamknął za sobą jakieś drzwi, a właściwie one się same zamknęły, bo to, co się stało, stało się z jego wiedzą, lecz bez jego woli. Ktoś kiedyś powiedział, że chcieć, to musieć chcieć, on także musiał i na to niema rady. Drzwi są zatrzaśnięte... lecz nie! Miła ma klucz... płacze... Uwielbia dziecko, psuje je, na wszystko mu pozwala, i to lepiej. Był warjatem, gdy nie widział, że to lepiej, że to dobrze!

Przez chwilę tak szalał nadzieją, że aż począł do siebie szeptać głośno:

— Zatrzaśnięte, tchórzku!... Stało się, musiało się stać, rozumiesz? Jedna jest droga i ty z niej nie zejdziesz, tchórzysz i nie zejdziesz, bo Kubacki mówił, że chcieć, to musieć chcieć!

Ale nadzieja wołała jeszcze głośniej:

— Porówna was! Porówna i wybierze!...

A gdy w kilka godzin później stał w pokoju żony, ta mówiła:

— Nie mogę żyć bez dziecka, Andrzej! Pozwól mi zostać przy sobie, jako matce Zygmunia... tylko jako matce... miej litość!

Po jej twarzy przesunął się rumieniec, a gdy znikł, była znów blada, jak przedtem. Krępicowi zaś serce się zwinęło w bólu.

Myślał, że już skamieniało, ale nie. Ożyło przez te godziny, w których się znowu łudził. — „Zostanę przy tobie, jako matka Zygmunia!” — Ona przypuszcza, że to może być dla niej, bo dla niej miłość, to wstręt, bo kocha tamtego... tamtego!... i teraz patrzy na męża z przerażeniem, jak ofiara na kata...

— A jeśli się nie zgodzę na tak poetyczny układ? — zapytał przez zaciśnięte zęby.

Wstrząsała się, oblała krwią, zasłoniła oczy rękami i szeptała z jękiem:

— To niepodobna!... To byłoby potworne! Tyś inny, tyś lepszy od wszystkich, a jam najniezwyklejsza z nieszczęśliwych... miej litość!

— Inny... lepszy od wszystkich... a jednak, a jednak... — jęczało serce Kręcica.

Milczeli długo i oboje się wstrzęśli, gdy w przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Po chwili służąca oznajmiła Zygmunta Znamienieckiego i jeszcze nie zdążyła odejść, gdy już pani Emilja ścisnęła ramię męża i wołała dziko:

— Miej litość, nad nim, nademną! Zabijcie mię, tylko nie męczcie!

Więc jego naprawdę zdjęła teraz litość wielka. Posadził żonę, siadł przy niej i powtarzał łagodnie, jak do dziecka:

— Już nie, już nie! Uspokój się, Milko. Dziś, teraz, wszystko się rozstrzygnie i skończy. Zrobisz, co zechcesz, ja się zgodzę,

przyjmę wszystko, co postanowisz, tylko się uspokój.  
Przycisnął jej głowę do piersi, a potem poszedł do Zygmunta.

## VII.

Zygmunt chodził po pokoju Kręcica i gdy go zobaczył, rzekł bez wstępu:

— Wyjeżdżam i chciałem cię pożegnać, Andrzeju.

— Dziękuję. I dokąd wyjeżdżasz, do domu?

— Nie, za granicę. Może do Włoch, może do Paryża, jeszcze sam nie wiem. Dziś jadę do Wiednia.

— O jedenastej wieczorem?

— Tak.

Stali na wprost siebie i patrzyli sobie w oczy, lecz pierwszy spuścił swoje Zygmunt.

— Żony twojej pewno nie będę mógł pożegnać — zaczął. — Obraziłem ją, później przyszedłem przeprosić i usprawiedliwić się, ale mię nie przyjęła. Proszę, pożegnaj ją odemnie i powiedz... powiedz, że ja sam nigdy sobie tego nie daruję i że tam, na zebraniu u Porzyckich byłem nieprzytomny, bo za wiele piłem.

Kręcic słuchał.

— Miała go za silnego, a jednak, jaki on jest tchórz w porównaniu z nią i — z tym!

Wyjeżdża i ma do tego dość energii, ona poświęca i jego i siebie dla dziecka, tak... tylko dla dziecka. Gdyby nie ono, poszłaby... a może i tak pójdzie ?

Znowu coś mu się w piersi szarpnęło, a Zygmunt mówił dalej:

— Nie wiem, kiedy wrócę, bo chciałbym wrócić inny. Może kiedy w przyszłości mię zrozumiesz. Może wtenczas będziemy dla siebie znowu tem, czem byliśmy dawniej. Nie wiesz, ale ja byłem dla ciebie inny... Bądź zdrow i szczęśliwy.

Patrzył mu teraz w oczy prosto i szczerze, miał w głosie dźwięki, którym, gdy chciał, nikt się nie mógł oprzeć, i wyciągnął rękę.

— Musi go kochać, takiego będzie każda kochała! — jęczało w duszy Kręcica.

Ujął dłoń Zygmunta i rzekł:

— Wiem, dlaczego chcesz wyjechać, ale może nie wyjedziesz.  
A tamten się gorzko uśmiechnął.  
— Wiesz ? Gdybyś wiedział, nie mówiłbyś, że może zostanieę.  
Wtedy Krępic zacisnął rękę dokoła jego cienkich palców i patrzył mu w oczy.  
— Wyjeżdżasz, bo kochasz Miłę, a zostaniesz, bo się dowiesz, że ona ciebie kocha, i że jeśli zechce, będzie wolna.  
Zygmunt się szarpnął, oblał krwią, potem poblądł i począł mówić zdławionym głosem:  
— Więc mię nie oszczędziła, powiedziała ci, więc wiesz... ale, pomimo to, nie masz prawa

rzucać mi takiego szyderstwa, nie masz!... Za długo byliśmy braćmi i ja za wiele cierpiałem — widziałeś! Możesz mi zabronić bywać, ale ja ci tego oszczędzałem i nadal oszczędzę, nie skrzywdziłem cię nigdy i nie masz prawa...  
Przy końcu mówił coraz ciszej, cofał się, ale przy drzwiach stanął i znowu wyciągnął rękę.

— Andrzeju ! Bądźmy przyjaciółmi.

A Krępic schwycił teraz tę rękę jak w kleszcze.

— Będziemy, chyba bym nie był sobą. Idź do niej, do Mili, niech ona sama o sobie postanowi, ale niech wtedy patrzy na ciebie, i niech się to raz skończy! Słyszysz? Mówiłem prawdę, ona cię kocha i jeśli zechce, jeśli się wyrzeknie dziecka, będzie wolna, przysięgam, ja chcę! chcę! więc będzie, a ty jej musisz dać szczęście!

Puścił go, oparł się o biurko i oddychał ciężko, a Zygmunt patrzył na niego, jak nawarjata i drżał.

— Andrzeju, tyś chory, uspokój się!

— Nie, jestem zdrow. Czy u was prosty obo wiązek nazywa się chorobą? Miła cię kocha. Jeśli ją zatrzymam przy sobie, będzie nas dwoje nieszczęśliwych, jeśli pójdzie za tobą, będę nieszczęśliwy tylko ja. To jest matematycznie ściśle, rozumiesz? — matematycznie! Robię to dla niej i dla siebie, nie dla ciebie, o nie! dla nikogo !... i gdyby ona mnie... gdyby... od niej teraz zależy i od ciebie, rozumiesz ? Gdy zażąda, będzie wolna... dostanę rozwód, kiedy zechcę, byle prędzej... idź do niej — słyszysz, idź i niech się to raz skończy, do wszystkich szatanów!...

Wziął go za ramiona, wypchnął z pokoju i zamykając za nim drzwi, jeszcze dodał, ale już ciszej:

— I wracaj tu. Będę czekał.

Znamieniecki stał bardzo długo, zbierał myśli, a potem nagle skoczył do saloniku i we drzwiach pokoju pani Emilji się zatrzymał.

Siedziała z oczami wlepionymi w ścianę, splotła ręce na kolanach, nic nie wiedziała i nie słyszała, a on drżał.

— Kocha go!... Tamten powiedział, że jest zdrow i że ona go kocha...

Chwiejąc się, szedł teraz dalej, nogi się pod nim gięły, aż się ugięły zupełnie; przycisnął spragnione usta do jej sukni.

A Krępicowa spojrzała, zerwała się i poczęła cofać się ku oknu, przerażona i milcząca.

— Andrzeju mi powiedział, że pani mię... że pani mi przebaczasz.

I patrzył na nią i klęczał ciągle, a gdy się nie odzywała, mówił:

— Byłem bardzo nieszczęśliwy — tak bardzo, że teraz, jeśli to prawda... nie mam sił do zniesienia szczęścia...  
Powiedz, czy to prawda ?

Ten głos targał jej serce, a ten wzrok ją bolał. — Boże, Boże! sił na chwilę, odrobinę mocy, tylko dziś, tylko na jedną chwilę! — modliła się, potem zacisnęła ręce, wysiłkiem oderwała oczy od jego twarzy i wyrzuciła jednym tchem;

— Choćby była prawda, to nic nie pomoże... Trzeba mieć moc — trzeba!

— Już jej dawno nie mam...

Zbliżył się do niej na kolanach, szukał oczami jej oczu, a potem ujął jej suknię. Zaczęła drżeć, a on zaś szeptał:

— Powiedz, raz jeden, to będzie moją mocą, tylko powiedz!

— Co mam powiedzieć ? — jęknęła.

A on objął rękami jej stopy i zebrał oczami, w których była bezden śmutku. Nachyliła się i położyła ręce na jego głowie.

— Więc tak, to prawda, a teraz odejdz pan i zostaw nas.

Lecz teraz Zygmunt, zamiast odejść, podniósł się, wziął ją łagodnie za ręce, posadził, a sam znowu się osunął na ziemię i ukrył głowę na jej kolanach.

— Tak, tylko tak, mogę dźwignąć szczęście! Poczem patrzył na nią rozmarzonymi oczami — szczęśliwy.

— Będziesz wolną i będziesz moją, jeśli zechcesz! On nam da niebo... czy słyszysz?... Z jego ręki, wobec Boga i ludzi, moja!...

I znów krył głowę na kolanach i obejmował stopy, ale ona tarła teraz twarz rękami, jakby się chciała rozbudzić ze snu, poczem zaczęła odpychać jego głowę.

— To jest szaleństwo — jęknęła. — Dziecko, moje dziecko... nie mogę!

— Dziecko?! A ja?

— Pan się przemożesz, musisz, nie mielibyśmy szczęścia... nie!

— Tyś jest szczęście!

— Boże, ratuj mnie... nie! Pomyśl pan, ja

kieby to było życie... z wyrzutami, z pogardą dla siebie... ani chwili spokoju! ani chwili!

— Tyś jest życie i tyś jest spokój! Otoczył ją ramionami, przyciągał do siebie, choć się broniła resztą przytomności i sił, i z twarzą przy twarzy szeptał:

— Zabrałaś mi duszę, rozum, myśli... ginę bez ciebie, umieram... z tobą będę bohaterem, albo zbrodniarzem, czem zechcesz, czy słyszysz?... Milo?! Kocham cię, jestem niczem, tylko tą miłością, oddaj mi ją! Oddaj mi moje życie, moje siły... albo kochaj!... Milo!

Straciła przytomność, nie opierała się, gdy wziął jej ręce i oplótł sobie niemi szyję, a gdy zbliżył do jej twarzy dyszące usta, złożyła na nich swoje.



— Kochasz mię? — westchnął.

— Kocham.

— Będziesz moją!

— Będę.

— Przysięgnij.

Przysięgła na jego piersi, w jego ramionach, z ustami na jego ustach, a on potem poszedł do Kręcica, jak pijany siadł przy nim i płakał.

Stało się! Tak ludzie płaczą tylko ze szczęścia!

Kręcic patrzył na pochyloną głowę przyjaciela, widział, jak przez jego cienkie palce ciekły łzy i każdym atomem nienawidził teraz człowieka, który dotąd był mu serdecznym bratem.

— Więc już koniec! To było do przewidzenia! Jemu się nie można oprzeć, a ona go przecież kocha i sama mówiła, że jest słaba. Taka

próba, to szaleństwo! Tylko warjaci miewają podobne złudzenia i robią podobne próby!... Warjaci i on — Kręcic! Stało się.

Śmiał się cicho, a Zygmunt się teraz wyprostował, patrzył na niego nieprzytomnie, z twarzą mokrą od łez i jasną od szczęścia i mówił:

— Nie chciała, ale ja ją zwyciężyłem, słyszysz? musiałem zwyciężyć, bo ją Kocham i ona mię kocha!

Zaczął łkać jak dziecko i oparł głowę na ramieniu przyjaciela, a gdy Kręcic ciągle się śmiał cicho, tamten mówił:

— Będziesz dla niej dobry, prawda? Ona jest wyczerpana, nieprzytomna, zostawisz ją w spokoju i nie będziesz robił wymówek, będziesz miał litość, prawda?

Lecz Kręcic go teraz odepchnął, wstał i począł się śmiać coraz głośniej.

— Dobry! Ja dla niej dobry! Ty o to prosisz... ha, ha, ha!

Zbliżył się do niego i utkwiał w nim oczy.

— Czy tybyś umiał być zły dla kobiety, dla której sam, własnymi rękami wyprółeś serce — jeszcze dymiące żarem i krwią, pokrajałeś na miazgę, zdeптаłeś własnymi nogami i wyrzuciłeś za okno? Ha, ha, ha! On mię prosi, poleca ją mojej litości!... On!

Zygmunt oprzytomniał, patrzył na niego ze współczuciem i szeptał:

— Przebacz.

Ale Kręcic zmarszczył brwi i nagle ochłonął.

Kilka razy odetchnął głęboko, przeszedł się po pokoju i począł mówić sucho:

— Jestem niezdrów, więcej nic. Możesz być spokojny o Miłę. Nim przeprowadzę rozwód, wyślę ją do rodziców, ale trzeba się z nią w tej kwestji porozumieć. Bądź zdrów.

Nie wyciągnął do niego ręki i wyszedł.

Pani Emilja jeszcze siedziała tak, jak ją pozostawił Zygmunt, z rozchyłonymi ustami i z marzeniem w oczach, lecz gdy zobaczyła męża, zbieła jak trup i spuściła powieki.

A on siadł przy niej i rzekł:

— Teraz trzeba napisać do rodziców.

— Do rodziców... — powtórzyła.

— Czy napiszesz sama?

Wzdrygnęła się i spojrzała na niego wzrokiem wystraszonej sarny. Ale on był spokojny i silny, tak silny, że o takiej mocy ci wszyscy ludzie nie mieli pojęcia.

— Nim dostanę rozwód — mówił — musisz mieszkać u rodziców i dlatego trzeba do nich napisać...

— Wolałabym zostać tu... boję się... nie opuszczaj mnie!

To były raczej westchnienia, niż dźwięki mowy, ale on je słyszał.

Ufała mu, wierzyła w niego, bała się, ale tylko tych, którzy nie byli nim. Ona jedna go знаła i on też tylko dla niej chce być silny i będzie.

— Trzeba napisać, Milciu, tylko się nie bój. Nikt nie ma prawa do ciebie prócz mnie, a ja

cię nie dam skrzywdzić. Musisz wyjechać, bo twoja nieobecność w moim domu ułatwi rozwód. Jeśli to dla ciebie przykre, ja napiszę, że nasze usposobienia się nie zgadzają, że nasze charaktery są różne i że zgodnie postanowiliśmy się rozejść.

Mówił łagodnie, jak matka do dziecka, wziął nawet jej rękę i dodał:

— Zygmutka weźmiesz z sobą i oddasz mi dopiero — po wszystkim.

Osunęła się na dywan i objęła rękami jego nogi.

— Chciałam i nie mogłam — szeptała. — Jestem nikczemna... niewarta ciebie, ale mi przebac! Nie pogardzaj... tyś taki wielki!

— Nie mam ci co przebaczać, Milko. Wziąłem cię od rodziców dzieckiem, nie otworzyłem ci oczu, choć mnie nie kochałaś, ale przysiągłem, że cię nie dam skrzywdzić nikomu i sam nie skrzywdzę. Wstań, Milko!

Próbował ją podnieść, ale ona nie chciała wstać. Uczępiła się jego kolan i szeptała dalej:

— Jestem nędzna!... O, Andrzeju, jaka ja nędzna!

Więc położył rękę na jej głowie i rzekł:

— Nie mówmy o tem. Tylko ja jeden mam prawo cię sądzić, słyszysz? nikt więcej, nawet ty sama, tylko ja jeden, a ja chcę, żebyś była szczęśliwa!

— Ale ty... ale Zygmut... o, Boże!

— Ja będę zadowolony twojem szczęściem, nie Znamienieckiego, tylko twojem, pamiętaj!

Dziecko nie poczuje żadnego braku, nauczę je czcić matkę i wychowam na człowieka. Będiesz je widywała tak często, jak zechcesz.

— O, Andrzeju!

A on się już sobą lubował i mękę brał za rozkosz.

— Przyślę ci je zawsze na wakacje i ty mu wtedy będziesz mówiła o mnie, jak ja jemu o tobie.

Westchnęła głęboko, nieśmiało podniosła głowę i patrzyła na męża, poczem wstała i przycisnęła twarz do jego ramienia.

Wszystkie burze kładły się w niej, jak powiązane sępy, zupełnie tak, jak kiedyś w Kamionce, gdy przyrzekła zostać jego żoną. Zdaleka majaczyła wielka, jasna gwiazda, ale ona jeszcze nie śmiała na nią patrzeć.

— Jeżeli mi naprawdę przebaczysz, czy... czy ty do nas przyjedziesz kiedy, Andrzeju ?

Przełękła się własnych słów, przygryzła usta, by nie drżały, lecz patrzyła w twarz męża i z zapartym oddechem czekała.

Wargi Krępica drgnęły tylko raz. Takie cieplarniane rośliny nie mają pojęcia, ile jest hartu w dębie, który wyrósł na dziewiczym gruncie. Warzy je i skwar i chłody, ale dąb się ostoi, wszystko przetrwa i jeszcze osłoni innych.

— Tak, Milo. Obiecałem Zygmuntowi, że będę waszym przyjacielem.

Nieśmiało objęła teraz rękami jego szyję, schowała oczy na jego piersi i wołała znowu:

— O Andrzeju, Andrzeju!

Lecz on ją odsunął.

— Trzeba przedewszystkiem napisać do rodziców — rzekł, poczem wyszedł.

A twarz pani Emilji pociemniała, jak zgaszona lampa. Chyliła głowę coraz niżej, na piersi, siedziała bez ruchu i jęczała cicho.

— Wszyscy tak mną pogardzą, jak ja pogardzam sobą, wszyscy, a ja najwięcej...

List do Kamionki poszedł tego samego dnia, ale długo nie było odpowiedzi, co w końcu zaczęło Krępica niepokoić. Obawiał się, czy ojciec lub matka nie zechce przyjechać, pragnął spokoju, nie chciał dawać żadnych wyjaśnień, ani słuchać tłumaczeń i marzył o jak najprędszym końcu. Pani Emilja nie marzyła o niczem. Znowu zobojętniała, siadywała bez poruszenia długie godziny, a co myślała, to mąż odczytywał codzień wyraźniej w jej zmęczonych rysach. I dla niej pragnął najprędzszego końca. Wreszcie przyszły listy. Jeden był do córki, drugi do zięcia, ale Krępica wziął obydwie i nie pokazując żonie, sam je najpierw przeczytał.

Pani Olchowiczowa tak pisała:

„Kochana Milo! Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co między wami zaszło. Takie rzeczy są dobre dla francuzek — dla polskich żon i matek będą zawsze za brudne. Czyś ty zawiniła, czy Andrzej — to położenia nie zmieni. Powinnaś go przeprosić, albo mu przebaczyć, zawsze pierwsza zrobić krok do zgody i zostać na stanowisku, bo kobiety nic nie zwalnia od przysięgi, chyba jedna śmierć. Schronienia w moim domu

nie znajdziesz. Matka przyjmie cię tylko z mężem. Nie wątpię, że po namyśle przyznasz mi słusność i że pójdziesz za zdrową radą. Sama cię wychowałam, jesteś moją córką i siostrą Marychny i dlatego nie przypuszczam, żebyś była w stanie okryć hańbą własną rodzinę. Gdyby jednak... w co nie wierzę, nie przyszło ci opamiętanie, wiedz, że od chwili, w której opuścisz dom męża, nie będziesz miała matki."

Krępic ze smutnym uśmiechem złożył list i schował do kieszeni, a potem sięgnął po drugi i znowu czytał: „Kochany Andrzeju! Napisałeś do nas trochę, a właściwie bardzo ogólnikowo, więc ani ja, ani matka nie wiemy, o co wam poszło. Ja się na takich głębokich filozofjach nie rozumiem, chciałbym wiedzieć prawdę, ale tymczasem pocieszam się, że to chwilowa kłótnia, i że niedługo będzie wszystko dobrze. Małeńskie sprzeczki to jak sól w chlebie. Ty jesteś dobry chłopak i niegłupi, Miła pewno coś przeskrobała, ale to tylko przez prędkość, tak jak ja. Ona jest do mnie podobna. My z matką powinniśmy się rozwodzić przynajmniej trzy razy na tydzień, a chwała Bogu, żyjemy już z sobą trzydzieści lat i jesteśmy coraz zdrowsi. Tak, mój chłopcze, rozważ to, powiedz Mili kazanie, potem się pogódźcie i na zgodę wyprawcie nam drugie chrzciny. Zawsze wszystkiego powinno być do pary. Chciałem do was pojechać, boć zawsze trochęście mi strachu napędzili i wolałbym prędzej wiedzieć, co tam Miła zbroiła, ale mi matka nie dała. Powiada, że mał

żeństwo najlepiej się samo pogodzi, i może ma rację, a jednak jestem na nią zły i o was niespokojny. Napiszno jeszcze raz, chłopcze, tylko prędko i prawdę, i powiedz Mili, żeby odemnie ucałowała Zygmutia. Nie zapomnij!"

Krępic drugi list także złożył i schował, tylko bez uśmiechu, poczem się ubrał i poszedł do Bodziewiczów.

Pani Marychna była w płaszczyku i w kapeluszu, a gdy zobaczyła Kręcica, zaraz go schwyciła za ramię i wprowadziła do pokoju męża. Poczem załamała ręce.

— Takie nieszczęście i wyście mi nic nie mówili! Czemu? Mówże pan, na miłość boską! — wołała.

— Więc pani miałaś także list od rodziców?

— Tak, matka pisała, chce odemnie prawdy, a ja nic nie wiem, nic.

Spojrzała Kręcicowi prosto w oczy.

— Co się stało?

— To, co matka pisała. Rozchodzimy się i ja przyszedłem panią prosić, żebyś na czas trwania rozvodu, zabrała Milę do siebie.

Drżącymi rękami wzięła krzesło, przysunęła się z niem do Kręcica i zapytała cicho:

— Czy pan mi powie prawdę?

— Powiem. Rozchodzimy się, bo Miła, wychodząc za mnie, była dzieckiem, nie znała swego serca, a teraz je poznała.

Nie mam prawa zadawać jej gwałtu, ani korzystać z pomyłki. Będzie wolna i zostanie żoną Zygmunta Znamienieckiego.

Pani Marychna się cofnęła, ale nie spuściła z niego oczu i szybko przytem mrugała powiekami.

— A pan?!

— Ja jestem uczciwym człowiekiem, więc, ponieważ mogę, daję jej wolność. Niechaj tylko będzie szczęśliwa.

— A dziecko?

Pasowała się z sobą i dopiero teraz wybuchnęła płaczem. Krępic zaś rzekł:

— Dziecko zostanie przy mnie.

— I ona wie o tem?

— Tak. To jest miara stanu jej serca, które ja postanowiłem uszanować. Zygmunt jest chłopcem, przy mnie nie poczuje braku matki.

Zatrzymał się.

— Wolę teraz, że będzie tu, nie tam, bo jest bardzo przygnębiona i potrzebuje spokoju. Pani wpłynie na męża, prawda? Ale pani Marychna zanosila się od płaczu, nie śmiała na niego podnieść oczu i długo było słycać w pokoju tylko jej łkanie. Po chwili Krępic mówił znowu:

— Boję się nietylko o jej zdrowie, ale nawet o jej umysł. Czuję, że nieszczęśliwa pogardza sobą i nie mogę z tem sobie poradzić.

A Bodziewiczowa się teraz zerwała i zaczęła latać po pokoju.

— I to ona!... ona... Nie mogę jeszcze uwierzyć i pojąć nie mogę, to chyba sen, mara, wszystko — tylko nie rzeczywistość!

— A jednak rzeczywistość... — szepnęła Krę

pic, jakby do siebie. — Mordowała się z tem od zimy, pewno niezupełnie dobrze wiedziała, z czem się morduje, ale gdy Zygmunt wyjechał i zachorował, zrozumiała. Zemdlała mi wtedy, a potem chodziła jak pod pręgierzem. Któż mógł wiedzieć dlaczego? Nie ja! Nie ja!

I on się teraz zerwał, poczem jeszcze prędzej siadł z powrotem i mówił chłodno:

— Niema o czem myśleć, bo już się stało. Wziąłem dziecko, w dziecku się zbudziła kobieta, w kobiecie serce... nikt nie ma prawa go deptać, kiedy ja szanuję.

Bodziewiczowa przestała płakać, patrzyła na niego suchemi oczami i poczęła szeptać:

— Moja wina, moja! Ta dziewczyna miała wtedy wstręt do małżeństwa, szła jak po hańbę, bała się, ja się także bałam, żeby jej nie wydali za Stobickiego, ale powinnam była jej bronić inaczej, zabrać z sobą, niechajby się jeszcze uczyła i pracowała... tylko o tem marzyła i ja ją popchnęłam, ja!... Pan nie wie, ale to ja!

Na policzki wystąpiły jej teraz rumieńce i zdawały się tryskać krwią, lecz Krępic ujął jej rękę i poniósł do ust.

— Niech się pani uspokoi, inni więcej zawinili. Pani będzie dla niej dobrą, prawda?... Nie potrzebuję tłumaczyć, w jaki sposób, dość ją zobaczyć.

— O tak, ja ją uspokoję... to się może jeszcze zmieni, pan nam musi teraz dać dziecko...

Krępic wstał.

— Dam, ale proszę się nie łudzić, nie ma

rzyć o żadnej zmianie i oszczędzać jej. Ja postanowiłem i nikt nie ma prawa się w to mieszać, proszę dla niej tylko o pociechę i o spokój.

Pożegnał się i chciał wyjść, a pani Marychna zapragnęła teraz zobaczyć siostrę, więc poszli razem i zastali ją w sypialnym pokoju, kołyszącą na ręku Zygmunta.

Nie uśmiechnęła się, ani rozplakała, gdy zobaczyła Bodziewiczową i nie mówiła nic, tylko twarz jak płótno, zaciśnięte usta i ciągle spuszczone oczy mówiły za nią.

Pani Marychna zacinała zęby, chcąc powstrzymać płacz, całowała zimne policzki siostry, całowała nawet jej rękę, przyczem Mila się szarpnęła, jakby ją dotknęto rozpalonym żelazem, ale gdy już wychodziła i w przedpokoju znalazła się sama ze szwagrem, wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ona i później będzie nieszczęśliwa, pan napróżno robisz z siebie ofiarę! — wołała.

Ale Krępic potrząsnął głową.

— Kocha go, on ją, odzyska nietylko wiarę w siebie, ale i szczęście... to przecież takie łatwe do pojęcia.

Wyszła łkając, przytem mówiła sobie, że ją weźmie bądź co bądź, że Jaś musi ustąpić i już spokojniej zaczęła myśleć, jak go do tego nakłoni i jak ustrzeże siostrę od przykrości.

A gdy przyszła do domu, nie mogła sobie znaleźć miejsca. To siadała, to biegła, jak w gorączce, wsłuchiwała się w każdy szmer naschodach,

spoglądała wystraszonemi oczami na zegar i zdrętwiała, gdy w zamku obrócił się klucz, a do pokoju wszedł Bodziewicz.

Miała w głowie ułożone wszystko, co należało powiedzieć mężowi, ale gdy go zobaczyła, tylko mu zawisła rękami na szyi i rozplakała się.

Przestraszony, począł ją odpychać i zbielełymi ustami pytać o dzieci, ona potrząsnęła głową, siadła razem z nim i dopiero teraz, trzymając go za rękę, cichutko, jakby oskarżała siebie, powiedziała mu wszystko. A on wysłuchał spokojnie, poczem wyrzucił z siebie tylko jeden wyraz i sapiąc ruszał wąsami.

— Jasiu!

— Tak, nie cofam. Ma dziecko i nic jej nie usprawiedliwia. Twoja noga u niej nie postanie.

Lecz pani Marychna wyprostowała się teraz i rzekła wolno:

— Nie masz prawa mi tego zabronić i nie masz prawa jej sądzić, bo od tego jest mąż!

— Mąż, Krępic?... Ha, ha, ha! idjota, niedołęga! Powinien jej dać łaźnię i — do nogi, tu! Takie tylko to rozumieją..., łaśliaby się jak pies i dopieroby go kochała! Idjota, bałwan!

Ale pani Marychna znowu objęła za szyję.

— Jasiu! mówisz co innego, niż czujesz. Pomyśl, gdyby takie nieszczęście trafiło się naszej Marysi! Tylko pomyśl, los jest mściwy, mógłby cię ukarać, Jasiu!

— Obiłbym i zrzucił ze schodów! — odparł, ale głos mu drżał.

— Marysię?... twoją Marysię?... Jasiu.

Nie odpowiedział, tylko chodził teraz po pokoju, a ona za nim, wystraszona i bezradna. Wreszcie stanął.

— I czegoś ty chcesz ode mnie?... Idź, kiedy ci bliższa, niż mąż i dzieci!

— Nie, nie bliższa, ale nieszczęśliwa i żebyś ją widział, żebyś ją tylko zobaczył! Posłuchaj, kobiety są inne, niż wy. Miła nie może być żoną człowieka, którego nie kocha. Dawniej przemagała wstręt, teraz go nie przemoże; gdyby miała innego męża, mogłoby się stać jeszcze większe nieszczęście... Przypomnij sobie Znamieniecką.,  
Bodziewicz wybuchnął śmiechem.

— Wstręt?... Ty wierzysz w takie głupstwo?... O bałwan, o niedołęga!

Pani Marychna wybuchnęła łzami i zanosila się od płaczu, on stał nad nią i ruszał wąsami, wkońcu rzekł: — Więc ostatecznie czegoś chcesz?

— Nie może być u męża podczas rozwodu, więc ją chcę wziąć do siebie.

Aż się cofnął.

— Za nic i nigdy, czy słyszysz ?

A ona teraz otarła łzy, spojrzała mu prosto w twarz i powiedziała zimno:

— Więc ja do niej pójdę. Wynajmę mieszkanie, zabiorę dzieci i nie wrócę, aż się to skończy.

Patrzył na nią z otworzonymi ustami i zapytał z bezgranicznym zdumieniem:

— A ja ? ?

— Ty poczekaś. Miałam wpierw siostrę, niż

męża. Jesteś zdrow i zadowolony, ona jest chora, nieszczęśliwa i odepchnięta nawet przez matkę, ale ja będę przy niej. Zrobiło się cicho. Bodziewicz ruszał wąsami coraz prędzej, gryzł wargi, wreszcie szepnął:

— Masz rację, daruj mi, Marychno... zrobisz jak zechcesz... Więc rodzice nie chcą jej przyjąć ?

— Matka nie chce.

— Hm...

Nie miał sympatii dla rodziców, którzy mu nie mogli darować bankructwa, i nagle uśmiechnął się złośliwie.

— Nie udało się z fachowcem, bodaj gorzej, niż z bankrutem... tak. Ponieważ chcesz, będzie u nas.

A pani Marychna się zerwała, klękała przed nim i powtarzając: będziesz dla niej dobry, prawda? całowała jego ręce, na co on teraz patrzył, jak patrzy władca w chwili wielkiej łaskawości i dobrego humoru.

Poczem rzekł:

— Nie możemy być większymi monarchistami, niż sam król. Powiedz pani Krępicowej, że znajdzie schronienie w moim domu i że ja będę dla niej takim samym, jak dawniej.

O, czemu tego nie widział i nie słyszał Kubacki!

## VIII.

Stało się!

Krępic rysował, ale co chwila powtarzał sobie te dwa wyrazy, zupełnie jakby się chciał przekonać, że się stało naprawdę.

Natura ludzka, nawet silna, ma swoje słabości.

Mówił sobie, że się ludzi, szedł prostą drogą bez zmrużenia powiek, wmawiał w siebie, że spełnienie obowiązku jest szczęściem, prawie się lubował tym obowiązkiem, a jednak gdzieś w zakątku jego mózgu tkwiła wiara w coś, co chyba było cudem.

Dziś tę wiarę stracił.

To nie on prowadził rozwód Emilji z Olchowiczów Krępicowej, to nie on spędzał puste noce w milczącym mieszkaniu, nie on chodził codziennie do Bodziewiczów i wmawiał w swoją żonę, w cień swej żony, że jest zadowolony i że będzie zadowolony, byle ona była szczęśliwa.

Oderwało się od niego drugie ja, dążyło, musiało dążyć do jakiegoś celu, ciemnego, jak noc, myślało po całych nocach, pracowało po

całych dniach, a dziś odeszło i Krępic zobaczył się sam z sobą, odnalazł siebie i spostrzegł, że jest w pustce.

Stało się, a raczej stanie się dziś. Dziś ślub Zygmunta Znamienieckiego i Emilji Krępicowej, a potem co ?

Próbował patrzeć w głąb własnego mózgu i duszy i nic nie widział. Ani miłości, ani nadziei — nic. Nawet tych rzeczy nigdy nie znał, a jeśli znał, to zapomniał o nich tak zupełnie, że już nie odnaleźć ani cienia iskry w popiele.

Jak bardzo dawny sen, stawały mu czasem przed oczami jasne błękity nad piaszczystą, wiślaną ławą, słomiane strzechy, wianek topoli, patrzący w mętne fale rzeki, i słodka, siwa kobieta...

Posłała go w świat i poszedł, ale już nic więcej nie pamiętał, nawet po co poszedł. Świat mu zabił duszę, porwał serce, pomotał myśli, odebrał, co dała tamta, święta, a teraz — nic!

Nic... Mówią, że taki wyraz nie powinien istnieć, bo sam jest niczem, ale to nieprawda, bo Krępic widział, czuł, miał to w sobie. Nic mówiło — jestem.

Ciężka ta matczyzna droga!

Ale drzwi się otworzyły i do gabinetu szefa wszedł inżynier Rańkowski.

Położył wielki karton na biurku Kręcica, poczem siadł nawprost niego i wyglądał, jakby chciał mówić.

Więc Krępic go spytał:

— Czy masz Pan do mnie jaki interes ?



— Tak, a właściwie to nie interes. Dostaliśmy nareszcie owe roboty pod Kijowem, ogromne roboty, pan wie naturalnie!

— Wiem.

— Trzeba zdolnego inżyniera, żeby tem trząśł, bo się możemy zasypać.

— Tak, ale to mnie nie obchodzi szczególnie. Niech myślą dyrektorzy. Nie będę przemawiał za nikim, ani za nikogo ręczył — robota zupełnie nowa.

— Za nikogo, może, ale za siebie? Krępic się poruszył.

— Pan mówisz ?

— Mówię, a właściwie mówi Winia, że może byłoby dobrze, gdybyś pan to wziął na siebie. Roboty potrważą rok, a najwyżej dwa. Nowy świat, nowi ludzie... czasem jest dobrze odetchnąć innem powietrzem, byle nie na długo.

Szef nic na to nie odpowiedział, oparł się łokciami o stół i patrzył na gwoździe, wbity w ścianę.

Miał wyjątkowo duży łebek i musiał siedzieć mocno, jak firma Rotte'go, tak przynajmniej wyglądał... Nowy świat, nowi ludzie... ale może „nic” i tamby za nim poszło ? Tu znał trochę ludzi, miał stosunki, dużo pracy zaczętej, jeszcze coś tam przy tem było, coś, co kiedyś się nazywało wiarą — teraz to wszystko zamieniło się w nic. Jak on późno zobaczył, że to nic! I tu — i tam — i w nim, wszędzie nic.

Oderwał oczy od gwoździa i rzekł:

— Pomyślę nad tem, ale nie dziś... później.

Rańkowski wyszedł, ściemniło się, Krępic już nie rysował, ale jeszcze siedział przy biurku i znowu drzwi skrzypnęły.

Cicho weszła panna Winia. Nie zdziwił się, wstał, wyciągnął do niej rękę i rzekł:

— Pani znów w Warszawie ? Zdawało mi się, że pani wyjeżdżała ?

— Tak, nie było mnie sześć lat, ale wróciłam — już dawno.

— Prawda, prawda, wiedziałem, tylko mam teraz lichą pamięć i dużo zajęcia. Nie mogłem państwa odwiedzić.

— Wiemy i nie mamy żalu, pan nas przecież zna.

Skłoniła się.

I ona teraz inna. Jest jakby wyższa, włosy przeświecają białymi nitkami i już nie ma w kącikach ust tych uśmiechów, co jej rozjaśniały twarz i przez oczy szły rozweselać innych.

Patrzył na nią, a ona mówiła:

— Pan dziś zabiera Zygmunia i mama chciała tu być sama, tylko jest niezdrowa. Przysłała mnie. Może Zygmunt mógłby przychodzić do nas codzień, na te godziny, gdy pan będzie w fabryce? To bliźniutko i po drodze, mama będzie szczęśliwa, jest cały dzień sama w całym domu, kazała mi bardzo prosić... ale ja nie wiem...

Mówiła bardzo nieśmiało, coraz ciszej i patrzyła na niego smutnie, a Krępic potrząsnął głową.

— Dziękuję matce pani, dziecko będzie ze mną, tu. Tu się może bawić, potem uczyć, ale zawsze ze mną.

Nie nalegała, podała mu rękę i wyszła, a on potem wyszedł także.

Ślub miał być o siódmej, teraz już piąta, musi iść do domu, ubrać się, a potem pójdzie do Bodziewiczów. Przyrzekł i dotrzyma — nawet to.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło. Pozostał w nim, choć było duże i bardzo puste. Codzień obchodził całe, zatrzymywał się długo w gabinecie Mili, patrzył na paprocie w koszu i na kolibry, błyszczące w pluszu krzesel, potem szedł do sypialnego pokoju, stawał nad łóżkiem i nad łóżeckiem i przez jadalnię wracał do siebie. I tam czekał i tu czekał, lecz nic się nie zmieniło, a on chodził i ciągle czekał.

Dziś poszedł prosto do kuchni i rzekł do Marjanny, tej samej, co była wtedy już dawno:

— Proszę jeszcze raz napalić w piecu w pokoju — sypialnym. Jest zimno — dziecko dziś wróci i ja z niem będę spał. Poczem poszedł do swego gabinetu, wyjął z szafy czarne ubranie i długo stał nad pudełkiem z krawatami.

— Czarny, czy biały?... Biały powinien mieć pan młody i on go kiedyś miał, ale inni?... Kubacki, Dembosz, Naftal, Wakowicz, wszyscy byli i mieli... chyba białe. Ależ tak, białe, czarne się bierze na pogrzeby.

Wyjął kokardę jak śnieg, położył na biurku i począł się ubierać.

To samo ubranie miał u Porzyckich i tam, wtedy, gdy go odepchnęła... Teraz, jeszcze chwila i koniec... dobry koniec. Uwierzyła, że będzie ich przyjacielem i czemu nie?... Po tamtem — to jest nic... wszystko jest nic.

Narzucił futro i zbiegł ze schodów. Na dworze zaciął deszcz ze śniegiem, bo to była połowa kwietnia i jemu dopiero teraz się przypomniało, że powinien był pomyśleć o powozie. Posłał stróża po dorożkę, owinął się w futro i czekał w bramie, przyczem myślał, że już pewno wszyscy są u Bodziewiczów, bo siódma dochodzi, i że Zygmunt dobrze robi wyjeżdżając za granicę.

Wyjadą zaraz dzisiaj, w nocy, tam pewno deszcz nie pada i Mili będzie nareszcie ciepło.

Wstrząsnął się, a w kwadrans potem wchodził do saloniku pani Marychny.

Był stary Znamieniecki, Zygmunt, Bodziewicz i stary Olchowicz, wszyscy we frakach, które tu wyglądały jakoś dziwnie. Pani Olchowiczowa nie przyjechała, nie chciała, a pani Marychna przywitała go jeszcze w przedpokoju, przyczem miała twarz, jak pieczone jabłko i potrząsała go za rękę ze wszystkich sił.

A Znamieniecki chodził po pokoju, powłóczył jedną nogą, ale się nie podpierał kijem, miał na twarzy zadowolenie i ciągle się prostował.

Krępica powitał bardzo serdecznie, a potem go przy sobie posadził i mówił:

— Pan jesteś rozumny człowiek i ja o tem dawno wiedziałem. Mówią — dobór naturalny! dobór naturalny, a ja powiem — dobór ras, i to dopiero będzie prawda. Olchowiczówna jest z dobrej rasy i z taką może się zejść dopiero pański wnuk — rozumiesz pan? To zupełnie inny grunt i inne dusze, nie mówię, że lepsze, ale takie...

widzisz pan, jakby z cieńszego płótna. Nie mogliście się dopasować. Zupełnie jak kawał żagla, zeszyty z chustką batystową, prawda? I takie omyłki trzeba naprawiać, to każdy czuje i rozumie, i pan, i ja, i wszyscy, co ? Jestem ogromnie rad, choć, jak się zacząłem domyślać, byłem na Miłę zawzięty. Taki chłopak, mój chłopak, miałby się zmarnować! Nie, pan jesteś rozumny człowiek i ja ci jestem bardzo wdzięczny.

Ścisnął rękę Kręcica, lecz ten wstał, bo do pokoju weszła Bodziewiczowa i pani Emilja, pierwsza zarumieniona, druga biała jak kreda.

Zmieniła się Kręcicowa żona. Wyglądała jak widmo samej siebie, jak cień szła chwiejnie, miała usta ledwie zabarwione na różowo, na spuszczonej powiecej zupełnie błękitne i przezroczyste, pod powiekami wielkie cienie od rzęs, które raziły ostremi łukami na woskowej twarzy. A gdy oczy podniosła, jeszcze bardziej, niż rzęsy, uderzały wielkością, głębią i gorączkowym połyskiem. Może była piękna, ale ta piękność była wprost straszna spokojem, który szedł od tej jasnej głowy.

Kręcic stał bez ruchu i patrzył, a ona podeszła do Zygmunta, podała mu rękę, poczem go poprowadziła do męża i oboje klękli.

— Pobłogosław szepnęła cicho.

Pani Marychna wybuchnęła głośnym płaczem i uciekła z pokoju, a Kręcic jak przez sen położył ręce na jasnej głowie żony i na złote przyjaciela i powtórzył:

— Błogosławię.

Potem podał rękę klęczącej kobiecie, a gdy wstała, wziął ją w ramiona i przycisnął do piersi.

— Ostatni raz! — jęknęło w nim serce, ale nie pękło.

Pojechali. Kościół gorzał i pomimo to był zimny i pusty, jak grobowiec. Szwajcarzy z szarfami na piersiach stali przy drzwiach w zwartym szeregu i walczyli z tłumem ciekawych.

A Bodziewicz się spóźnił. W ostatniej chwili uczepiły się go dzieci, więc po krótkim namyśle ubrał wszystkie, nawet Zygmutusia i zabrał ze sobą.

Teraz stał na końcu małego orszaku i otoczony dziećmi, patrzył to na Kręcica, to na tych, którzy klęczeli na stopniach ołtarza.

— Ja Emilja, biorę sobie ciebie za małżonka...

Oczy mu błysnęły, poruszył wąsami, nachylił się do dziecka Kręcica i wskazując na matkę, rzekł:

— Patrz i pamiętaj! Wujek Zygmunt zabiera ci mamusię, nie będziesz miał mamusi, zostawiła cię i idzie, a ty kochaj tatkę, tylko tatkę... pamiętaj !

Dziecko patrzyło na matkę i miało w oczętach przerażenie, poczem z krzykiem rzuciło się do ojca.

Wszyscy odwrócili głowy, przy ołtarzu pani Emilja zerwała się z kolan i pochwycona przez Zygmunta, klękła znowu, a Kręcic się wstrząsnął, przez chwilę patrzył nieprzytomnie, potem wziął syna na ręce i mówił szepem:

— Cicho, kotku, cicho!

Teraz dziecko zarzuciło ramionka dokoła szyi ojca i tłumiąc płacz, skarżyło się do jego ucha:

— Wujek Jaś powiedział, że nie będę miał mamusi, że mamusia pójdzie, a ja nie chcę, żeby poszła!

— Nie, nie pójdzie, wróci. Będziesz miał mamusię i tatusia, tylko cicho!

A od ołtarza szedł wyraźny i czysty głos Zygmunta Znamienieckiego:

„I nie opuszczę cię, aż do śmierci, tak mi, Boże, dopomóż. Amen.«

Poczem, ledwie dosłyszalnie szemrał głos drugi:

„Tak mi, panie Boże, dopomóż. Amen.“

I stało się.

Zaczęto wychodzić z kościoła, młoda para naprzód, Krępic z dzieckiem na końcu.

Miał ochotę wysunąć się niepostrzeżenie i uciec do domu, ale stary Olchowicz o nim pamiętał i zabrał do swego powozu.

— Jesteś poczciwy chłopak — mówił teraz do zięcia — ale nie gniewaj się, trochę głupi. Z kobietą to trzeba tylko wiele cierpliwości, więcej nic. Potem byłaby cię kochała, jak i przedtem.

Krępic przyciskał do piersi syna i milczał, a stary odsapnął i mówił dalej.

— Ano, będzie panią i matka też się przeprosi, chociaż taka zawzięta. Jakże?... pod bokiem będą mieszkali, ani podobna. Byłbym na

wet zupełnie kontent, żeby mi ciebie nie było żal... Taka Karolówka i Leszczyny były warte z pięćkroć, no, spadło psiarstwo, ale pal sześć! Jakby go zjadły ceny i serwituty, jeszcze ma fach w garści, co? Na wszelki przypadek... jak myślisz? Toć się pewno nie zapomina takiej inżynierki, w głowie siedzi i ani ogień, ani woda... prawda?

— Tak.

— A widzisz! Ciebie mi tylko żal, boś poczciwy z kościami. Niema jak fachowcy, zawsze gadałem, a matka — nie!

Znowu znaleźli się wszyscy w saloniku na Złotej, ale pomimo dobrego humoru Znamienieckiego i Olchowicza, powietrze było ciężkie i parne, jak przed burzą. Zygmunt z niepokojem spoglądał na żonę i co chwila patrzył na zegarek, widać tylko o tem myślał, żeby jak najprędzej nadeszła godzina, w której odchodzi pociąg. A Krępicowi było tak duszno, że niepostrzeżenie wyszedł do sypialnego pokoju Bodziewiczów, siadł przy drzwiach, w fotelu pani Marychny i oparł głowę o zimny saffjan.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział. Zaczął myśleć i widzieć dopiero wtedy, gdy do pokoju weszła pani Emilja.

Szła wolno, obie ręce przyciskała do piersi, poczem się zatrzymała przy toalecie siostry i stała cicho.

Krępic się nie poruszył, wstrzymał oddech i patrzył, a w tej samej chwili wbiegł Zygmunt.

Teraz stali oboje nawprost siebie, a nocna

lampa rzucała chwiejne blaski na pochyloną, jasną głowę kobiety i na dumną, tryumfującą, ciemną głowę mężczyzny.

— Milo!

Było w tym głosie wszystko — i smutek, i radość, i tęsknota bez dna, i szczęście bez brzegu.

Nie odpowiedziała i nie spojrzała, tylko opuściła ręce, jak człowiek śmiertelnie zmęczony, ale on wziął te dwa białe, wychudzone płatki śniegu, te dwie najkosztowniejsze emalje Kręcica, i poniósł je do ust.

— Tyś jest życie — i szczęście — i spokój! Milczała, więc on się teraz pochylił, oplótł

sobie szyję rękami żony, otoczył ją ramieniem i z twarzą przy jej twarzy, z rozchylonymi ustami czekał. Westchnęła, przymknęła oczy i Kręcic zobaczył, że te dwie najpiękniejsze głowy, jakie widział w życiu, poczęły się teraz do siebie chylić, coraz więcej, aż się zwały ustami i tak trwały.

Jęknął, zerwał się i wybiegł.

W jadalni nakrywano do stołu, a Marysia w kątku opowiadała bajkę Zygmuśowi. Więc skinął na dziecko, wziął je za rączkę i wyprowadził z sobą do przedpokoju. Tu przymknął drzwi do saloniku, gdzie pani Marychna bawiła starszych panów.

W gabinecie Bodziewicz trzymał na kolanach syna i całował go we włosy, po twarzy i po rękach. Chłopak się bronił i kręcił, a ojciec wtedy przykładał mu do ust własną rękę i mówił z prośbą:

— Przepróż tatuleczka, przecież kochasz tatuleczka!

Kręcic zdjął z wieszadła swoje palto i ubranie dziecka i cicho wyszedł z tem wszystkim na schody, a Zygmuś szedł przy nim, za przykładem ojca także na palcach i gdy się zobaczył za drzwiami, zapytał szeptem:

— A mamusia?

— Mamusia przyjdzie potem, a my musimy być pierwiej w domu. Już dawno nie byłeś w domu, prawda?

— Tak, to dobrze.

Ubrali się i zeszli, a gdy się znaleźli na ulicy, Kręcic wziął dziecko za rączkę i bez względu na niepogodę i wicher, począł iść prędko.

Biegło przy nim w podskokach, bo je bawił deszcz i błoto, ale niedługo stanęło.

— Tatusiu, już nie mogę.

Więc Kręcic także stanął, przetarł oczy i nagle schwycił syna za ręce.

— Masz niedobrego tatusia, niedobrego!... nie umie być mamusią! — wołał z rozpaczą i przyciskał dziecko do piersi.

A gdy wbiegł na wschody własnego mieszkania, drżał ze zmęczenia i musiał się oprzeć o ścianę.

Byłby mógł tak stać bardzo długo, lecz dziecko pociągnęło go za rękę i rzekło:

— Chodź, tatusiu, do domu!

I szło naprzód, ciągle się oglądając, a Kręcic wolno za niem.

Poczem weszli do mieszkania. W przedpo

koju i jadalnym było ciemno, lecz w gabinecie błyszczało światło.

Krępic zobaczył to ze zdziwieniem, a gdy wszedł, zdziwił się jeszcze więcej. Przy jego biurku siedział jakiś obcy człowiek, bardzo szczupły i lichy ubrany, podpierał się wygodnie na obydwóch łokciach i czytał. Światło lampy padało na jego pochyloną czaszkę, pokrytą rzadkimi, jasnymi włosami i trochę wyłysiałą na czole, a gdy nieznajomy posłyszał kroki i wstał, rozjaśniło mu twarz, bardzo bladą i zmęczoną.

Lecz teraz w oczach Kręcica zdziwienie było jeszcze większe. Postąpił naprzód, tamten także, równocześnie wyciągnęli do siebie ręce i Krępic szepnął:

— Kubacki!

I długo stali w milczeniu, ze splecionymi rękami i przyglądali się sobie z uwagą.

— Jak ty wyglądasz?! — rzekł pierwszy Krępic.

— Jak Bóg dał — odparł tamten i puściwszy jego rękę, wskazał na dziecko.

— Twój chłopak ?

— Tak.

Teraz Kubacki wziął Kręcicowego syna, uniósł w górę i postawił na biurku.

— Wychowamy go we dwóch, a czego nie skończymy, on skończy!

Lecz twarz Kręcica stała się mroczna. Patrzył na przyjaciela pilnie, długo milczał, wreszcie

rzekł, a miał w głosie obok zdumienia jakby zazdrość:

— Toś ty jeszcze nic nie pogubił ?

— O, dużo! ale także dużo znalazłem. A ty?

— Ja ?... Ja już chyba wycofany z szeregów.

Sam się zdziwił, skąd się w jego ustach znalazło owe „chyba” i prócz tego czuł w sobie jakby wątpliwość. Ciągle patrzył w twarz Kubackiego, a ten potrząsnął głową.

— Nieprawda, nie wiesz, nie znasz siebie i nie czujesz, co masz. Hej! toż całe skarby, ale musi je stracić, musi po nich tęsknić po całych dniach i śnić po całych nocach, kto chce ocenić! Posłuchaj! Jakem tu odetchnął waszem powietrzem, jakem zobaczył to szare niebo i chaty szare i ludzi szarych i mgły i wichry, to mi serce wyło z radości, jak pies i rwało się do kochania, do wiary i do nadziei, jak głupie! Chodź!

Pociągnął go na otomanę, wziął na kolana dziecko i mówił, a z oczu mu szedł ogień:

— Czy wiesz, że ja staję w twoim szeregu ? Widziałem pół świata — i wieczny lód i cyprysy — i Alpy i morza — i bulwary i doki. Włóczyłem się, patrzyłem i słuchałem, zaglądałem do dusz i do głów ludzkich, zgubiłem, com zabrał, nie znalazłem dla nas nic — rozumiesz, nic i chciałem się powiesić.

Krępic patrzył na niego, z coraz większą uwagą, a gdy tamten urwał, zapytał:

— I cóż?

— Tyś mi się przypomniał i dałem spokój.

Plunąłem na dawne mrzonki, kupiłem sobie w Dublinie „Samopomoc” Smile’a, a gdy wracałem z nią pod pachą, myślałem całą drogę, że co Kubacki i Kato, to nie jest Krępic — prawda ?

Uderzył dłonią po nodze przyjaciela i zawołał :

— Będziem wciągali krokwie... a dach połóży ot, ten zuch!

Teraz postawił sobie chłopca na nodze i długo patrzył w białą twarzyczką, o drobnych rysach i śmiałych oczach matki, a Krępic oparł brodą na rękę i patrzył na przyjaciela.

— Sterał się i zestarzał, ale ogień zawsze ten sam — myślał w duszy, a w sercu coś mu topniało, odkręcała się jakaś sprężyna, którą zacisnął ból, obracała się z początku opornie, potem wolniej, lżej, i Krępic odetchnął.

Dotknął teraz ramienia Kubackiego i rzekł cicho:

— Czy ty wiesz?

— Wiem. Byłem u Rańkowskich, potem w kościele, ale mię nie puścili.

— Ciężkie życie...

— Ciężkie i smutne... tylko nie głupie, nie. Meteory gasną i trzeba ciągle pamiętać, że to meteory, ale są gwiazdy, Katonie, są!... stałe, wielkie i błyszczące i ludzkość po nie sięgnie, bo wydaje takich ludzi, jak ty!

— Jak ja...

Krępic powtórzył echem, potem oparł głowę o ścianę i przymknął oczy.

— Wiesz, od jakiegoś czasu nie mogę spać bez chloralu, ale dziś może usnę... jestem zmęczony, tylko ty, Kuba, mów jeszcze, długo, wszystko, ja będę słuchał.

Po twarzy spłynęły mu dwie łzy, a Kubacki mówił dalej, miał w oczach czasem smutek, czasem szyderstwo, najczęściej ogień i gdy wreszcie umilkł zmęczony, dziecko spało na jego ręku, obok niego spał Krępic.

Błady człowiek o zimnej, obojętnej twarzy, począł teraz przyglądać się śpiącemu, patrzył długo i uważnie, dostrzegł białe włosy na skroniach i zmarszczki przy ustach, a gdy mu powieki zwilgotniały drobnymi kroplami, prędko przesunął dłonią po oczach i szepnął:

— Kato.

Był zachód słońca i park Rivoltella drzemał w ciszy. Ptaki milkły, a wielkie platany, magnolje, schylone pod kwieciami, i gaj rododendronów patrzyły na willę różową od słońca i liljową od wianków z glicynji i szeptały sennie: o piękna!

Lecz z pięknej po stopniach, spowitych bluszczem, wyszło dwoje, jak maj i róża. Szli po kwiatach, które glicynje rzuciły ziemi, trzymali się za ręce i patrzyli w niebo, także senni, jak gaj rododendronów i błady kwiat magnolji.

A pod szerokim kasztanem, gdzie wzgórze jest prostopadłe, jak urwisko i zielone jak wio

sna, siedli obok siebie, poczem patrzyli w dal różową i błękitną. Na prawo Tryjest kąpał białe stopy w wodzie, przed nimi morze było, jak turkus, brzegi Dalmacji, jak szczęście, nad nimi niebo patrzyło niezapominajkami i zorzą.

Słońce zachodziło, sączyło szkarłat między turkusy i mówiło: mira mare! A białe zagle szły z dali błękitnej i różowej i niosły na skrzydłach jutrzeńkę — śnieg — srebro.

Patrzyli.

Ona miała ręce zarzucone wokoło jego szyi i głowę wspartą na jego ramieniu, a on mówił:

— Jak cicho...

— Cicho i smutno — szepnęła.

— Smutno ? Nie, Milo, patrz! Te ogrody i czerwone dachy Dalmacji śmieją się i przeglądają w morzu, a woda im oddaje uśmiech za uśmiechy.

Nie odpowiedziała, więc znowu siedzieli w milczeniu, ale po chwili uniosła głowę i złożyła usta na jego ustach.

— Kiedy wrócimy, Zyguncie?

— Jak będziesz zdrowa.

— O nie! Ja dopiero tam będę zdrową, tam! Będziemy pracowali razem, wszyscy — i on... On będzie z nas dumny, musi być, prawda?

— Przysięgam, Milo i dotrzymam. A ona znowu podała mu usta.

— Kiedy, Zyguncie?

— Jak będziesz zdrowa.

Chciała odpowiedzieć, i zakrztusiła się ka

szlem; on ją otoczył ramieniem, przyciągnął bliżej i z trwogą w oczach patrzył na twarzyczkę bladą, jak rzeźba w alabastrze, ona zaś oddychała prędko i znowu patrzyła w dal błękitną i różową.

I było coraz senniejsze, tylko słońce z toni niezapominajkowej staczało się niżej, w morze.

Nagle drgnęła.

— Która godzina, Zyguncie? Więc on wyjął zegarek i odparł:

— Siódma.

Znowu podniosła głowę, zdjęła ramiona z jego szyi i zaczęła mówić gorączkowo:

— Widzisz, zgadłam! Oni teraz wracają z biura, on i dziecko, przychodzą do pustego mieszkania, Zygmus szuka mamusi, woła... myślą o mnie!

— Kubacki jest z nimi — szepnął Zygmunt i chciał ją przycisnąć do siebie.

— Kubacki, tak, jak to dobrze, przynajmniej jedno serce!... Co oni teraz robią, Zyguncie ?

Uśmiechała się przez łzy, a on wziął jej ręce w swoje dłonie i patrzył w oczy.

— Nie wiem, najdroższa... Milo! przecież ja jestem przy tobie, ja, twój Zygmunt!

— O tak, kocham cię, ty wiesz!... popełniłam zbrodnię i popełniłabym jeszcze jedną!... ale takbym chciała wiedzieć, co oni teraz robią... takbym chciała!

Wyciągnęła rękę, wzięła książkę, która leżała obok męża na ławce, i uśmiechała się.



— Zapytamy wyroczni, tylko się nie śmiej, dobrze? Może jutro list przyjdzie ?

Otworzyła książkę i zatrzymała wzrok na pierwszym wierszu od góry, potem zwróciła oczy do słońca i powtórzyła cicho:

"Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości, Albowiem przez nich sprawiedliwość zmartwychpowstanie.

KONIEC.